TOMASZ ŁAPIŃSKI

$ZMATA

GDY PIŁKA NOŻNA STAJE SIĘ PRZEKLEŃSTWEM

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

$ZMATA

TOMASZ ŁAPIŃSKI

$ZMATA

KRAKÓW 2019

Przedstawione wypadki nie rozegrały się w Polsce w 2002 roku. Z szacunku dla tych, którzy nie brali w nich udziału, zmieniono nazwiska postaci. W trosce o polską piłkę nożną wymyślono przebieg zdarzeń.

Czy narrator może przeklinać?

A skąd mam to, kurwa, wiedzieć? Całe dorosłe życie spędziłem na boisku, zresztą dużą część dzieciństwa także, więc skąd mam wiedzieć? Od dziesiątego roku życia, gdy mój cioteczny brat Darek stwierdził, że takich piłkarzy jak ja jest w Polsce na pęczki, każdą wolną chwilę poświęcałem, by przestać być pęczkiem, jakich tysiące, i stać się pęczkiem wyjątkowym. Tak to wtedy rozumiałem. Nie żebym myślał o tym codziennie, ale wspomnienie tych słów powracało do mnie jak echo co kilka lat, gdy pokonywałem kolejne szczeble piłkarskiego rozwoju.

Kopałem piłkę przy trzepaku między blokiem a rozsypującymi się blaszanymi garażami, przez środek naszego boiska biegł ruchliwy chodnik. Kiwałem się między drzewami przy przedszkolu – tylko my wiedzieliśmy, które drzewa to bramki, a których tak właściwie tam nie ma. Zdzierałem skórę z kolan na popękanym asfalcie przed szkołą, w końcu grałem też na luksusowym trawiastym boisku LZS Borowiec, gdzie kępa rosła na kępie i trzeba było uważać, by nie zaryć przy kopnięciu piłki; o przewidzeniu, gdzie ta się odbije, nie było mowy. Najpierw regularnie odwiedzałem podrzędne mazurskie stadioniki, zwiedziłem chyba wszystkie takie obiekty w okolicach Olsztyna. Potem, gdy jako osiemnastolatek przeniosłem się do Warszawy i superligi, poznałem najważniejsze areny w kraju.

Zdecydowanie lepiej wiem, jak poruszać się po murawie niż jak spisywać wspomnienia. Choć myślę, że akurat teraz, gdy mam zostać trenerem, ta umiejętność też mi się przyda. W końcu powinienem umieć objaśnić drużynie taktykę, a żeby to robić, muszę przebić się przez tępotę graczy. Tak, to kluczowa cecha – i nie dotyczy wyłącznie zespołu piłkarskiego. Jeśli choć jeden, nawet najgłupszy członek ekipy nie zrozumie, o co chodzi, to cały plan można o kant dupy rozbić. W podstawówce i ogólniaku skupiałem się raczej na wuefie niż na

pozostałych przedmiotach. Trochę czytałem, ale podobnie jak piłkarz nie staje się automatycznie trenerem, tak i czytelnik nie zostanie tak od razu pisarzem.

Tylko intelektualiści mogą pisać? Kopacze nie powinni? Forma jest ważniejsza od treści? To tak, jakby powiedzieć, że styl gry jest ważniejszy od punktów. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, z ławki trenerskiej, z trybun i z loży prasowej mecz często wygląda zupełnie inaczej niż z poziomu murawy. Zwycięstwo po gównianej grze? Wszystko w porządku.

Właśnie uzmysłowiłem sobie, że przecież będę musiał pisać opisy, składać składnię, „zjednoliterzać paplomanię". Zgroza! Przed oczami mam *Nad Niemnem* Orzeszkowej. Nigdy nie przeczytałem szybciej żadnej lektury, głównie dlatego, że pomijałem strony z opisami. Ja też będę musiał opisywać, w co kto był ubrany, jaka była pogoda? Odmalowywać okoliczności przyrody, widok trawnika przed blokiem? Czy ktoś się uśmiechał, czy wręcz przeciwnie? Przecież nie pamiętam, jakie slipy miał Rogal w Koksie (gówno mnie to obchodziło) ani czy George się uśmiechał, gdy bramkarz złapał go za jaja. Cóż, przygotujmy się na festiwal łgarstwa. Będę zmyślał, bo nie pamiętam takich rzeczy, nie przywiązywałem wtedy wagi do szczegółów. A czy pisarze mają pamięć fotograficzną? Na sto procent wymyślają opisy krzaczków, chmurek i ubierają ludzi, w co im tylko pasuje. A czytelnik to wie i się z tym godzi – widocznie prawda nie jest ważna w tekście, liczy się przede wszystkim efekt. Łgarze, przynajmniej nie będę sam.

Jak mam opisać piłkarską szatnię bez używania przekleństw? Po prostu się nie da. Każdy opis, gdzie w co drugim zdaniu nie pojawi się bluzg, będzie nieprawdziwy. Nawet jeśli nikt nie rozmawia w samej szatni, to przekleństwa i tak słychać, najczęściej dochodzą z pomieszczenia obok, bo ktoś się kąpie, rycząc sprośną piosenkę, albo w pokoju do masażu rozlega się wulgarny kawał z jeszcze bardziej wulgarną pointą. Na stojącej samotnie na parapecie tablicy na sto procent jest jakiś żartobliwy napis albo wycinek z gazety, albo inna rzecz mająca rozbawić piłkarzy, i jest tam na pewno jakiś „chuj", „cipka" albo inny „pedał".

Nie wiem, jakie są normy (no dobra, wiem), ale lojalnie uprzedzam, że w mojej opowieści przekleństwa się pojawią. Najłatwiej powiedzieć: półgłówki mają ubogie słownictwo i braki w terminologii, to bluzgają. Ale wielu wykształconych ludzi z szerokim zasobem słownictwa klnie jak

szewc przy podeszwie. Może dlatego, że czasem jedno krótkie, dosadne „kurwa” lepiej oddaje powagę sytuacji niż kwiecisty opis? Czy rzeczywiście byłaby to lepsza, ciekawsza opowieść, gdyby było w niej mniej przekleństw, a więcej elokwencji? Nie sądzę, na pewno zaś okazałaby się mniej prawdziwa. Wiem, że takie słownictwo może razić, ale trudno – tak wygląda piłkarska szatnia, a ja nie zamierzam łagodzić jej obrazu tylko dlatego, że komuś z tym niewygodnie. Fair play, rywalizacja, szacunek wobec przeciwnika, walka, zaangażowanie, czysta gra i tak dalej… Hm, przyznam się, że piłka bardziej kojarzy mi się z bólem przy każdym kroku, schodzącymi paznokciami, obtartymi od wślizgów udami, wrzaskiem trenera i grupą dziwnych facetów obok. Choć może to ja jestem najbardziej dziwny, czarna albo biała owca wyróżniająca się w stadzie, największy dziwoląg w tym towarzystwie.

Zresztą to mój świat, moja historia i ja tu ustalam zasady. To ja wytyczam granice, jestem siłą sprawczą – choć także obserwatorem – i opiszę wszystko zgodnie z prawdą, a nie próbując spełnić czyjeś oczekiwania. Nie będę wdzięczył się do czytelnika, dostosowywał do odbiorcy, żeby było miło, ładnie i interesująco, żeby dobrze się to czytało i żeby nie można było oderwać się od tej historii. Sorry, ale będzie surowo i bezwzględnie.

Nie wiem nawet, po co się nad tym zastanawiam. Bez znajomości szatni każda opowieść piłkarska jest kłamstwem, zbiorem plotek, które nijak nie mogą zamknąć się w całość i ułożyć w odpowiednich miejscach. Później ukazują się spisane przez ignorantów biografie gwiazd, ze stwierdzeniami typu: „Ja piłem, wszyscy pili, ale ja piłem najwięcej, a i tak byłem najlepszy na boisku” albo „Wszyscy handlowali, ja handlowałem, bo wszyscy handlowali i zrobili ze mnie kozła ofiarnego, a i tak byłem najlepszy”. Czytam potem recenzje: mocna, wstrząsająca, poruszająca lektura! Tymczasem dla mnie to brak szacunku dla fanów piłki, urąganie ich inteligencji. Autorzy uznają chyba, że kibic, który przełknął już tyle gównianej ligowej młócki, łyknie jeszcze jeden kawałek gówna, tym razem papierowy, tak zwany papierzak. Byliście kiedyś w parku albo przydrożnym lesie po weekendzie? Na ziemi wala się mnóstwo takich papierzaków.

Mój będzie następny. Niczym się w końcu nie różnię; jestem klasycznym przykładem kopacza, który skończył grać i zgorzkniały próbuje wycisnąć jeszcze cokolwiek z zakończonego etapu życia. Nie będzie podniosłej

historii o wzlocie i upadku, walce i zwycięstwie albo przegranej. Nie będzie patosu, porad i przykazań.

Nie do końca wiem, co wyjdzie z tej opowieści, ale i tak ją spiszę. Nie wiem, czy poczujecie atmosferę szatni, nie wiem, czy odkryjecie skrzętnie skrywane przez lata tajemnice. Nie zrozumiecie też piłkarzy, ich motywacji, sposobu patrzenia na świat, bo ja sam ich nie rozumiem, jestem więc ostatnią osobą, która powinna próbować to przedstawić. Pisząc „szatnia", nie mam tu na myśli samego pomieszczenia, bo tam może wejść każdy; to raczej żywy organizm, system powiązań, relacji, zależności, które tworzą się w specyficznych warunkach.

I tu dochodzę do bardzo ważnego pytania: po co spisuję te wspomnienia? Wspomnienia zresztą całkiem świeże, bo w głównej części dotyczące wydarzeń z nieodległej przeszłości. Dlaczego jeszcze raz chcę przemielić w głowie to, co się wydarzyło? Czy nabrałem już do tego wszystkiego dystansu i chcę inaczej spojrzeć i ocenić własne wybory? Wątpię. Chcę się zatem oczyścić, wyrzucić to z siebie? Jeszcze nigdy rozmowa nie podziałała na mnie oczyszczająco. Nigdy nie potrzebowałem rozmowy, nie czułem kojącego efektu wypływającego ze mnie potoku słów. Czy słowa to zresztą jakieś szmaty polerujące mi umysł, które robią mi pranie mózgu, czyszczą pamięć? Jeśli je wypowiem, to zapomnę? Wyleje się ze mnie toksyna i będę żył długo i szczęśliwie, jakby to się nie wydarzyło? Wszystko to bzdety.

Więc po co?

Czy to kolejna bezsensowna rzecz w moim życiu? Czy chcę się delektować przeszłością, czy raczej się nią torturować? A może po prostu ją zrozumieć? Gdzieś w głębi serca chyba zaczynam się domyślać, czemu to robię. Bo tam głęboko jestem chyba zdecydowanie bliżej prawdy.

Prolog

Płyta chodnikowa była ciepła i chropowata w dotyku. Rozgrzany po całym dniu słonecznej pogody beton teraz, po zmroku, zaczął powoli się schładzać, ale jego temperatura była jeszcze na tyle wysoka, że osuszała mi skórę na wilgotnym policzku. Bałem się poruszyć, przyglądałem się z bliska fakturze chodnika. Miejsce, w którym był pęknięty, uwierało mnie w brodę mokrą od łez. Nie byłem w stanie ich powstrzymać, czułem, jak powoli spływają mi po policzkach i nosie.

Leżałem w jasnym kręgu pod pobliską latarnią, oświetlony niczym aktor na scenie, a może właśnie jak piłkarz w czasie meczu. Żadnego efektownego migotania ani brzęczenia elektryczności, nic. Cisza i snop światła, który przygwożdżał mnie do ziemi. Przejeżdżające auto, które zwolniło, a potem nagle przyspieszyło, twarze przyklejone do szyby, utkwione we mnie oczy i otwarte usta.

Ciężko oddychałem, ból był nie do zniesienia, zmiażdżone kolano pulsowało żywym ogniem. Leżałem na pustym chodniku i wiedziałem, że muszę wstać, że to nie może się tak skończyć, nie po tym wszystkim, co się zdarzyło.

Musiałem się zmobilizować i… pospieszyć, w każdej chwili mogli przecież uciec, a wtedy zostałbym na ulicy sam, jak ta ofiara losu.

Na skraju świadomości błąkało mi się absurdalne pytanie: czemu w to kolano? Czemu nie w drugie? Jakbym mógł zdecydować, którą nogę mi pogruchoczą. Już wcześniej miałem lekko uszkodzony staw kolanowy, więc siłą rzeczy byłoby mniej szkoda, gdyby to właśnie on uległ zmiażdżeniu. A tak mam do krojenia oba kolana. W tej chwili jednak był to mój najmniejszy problem; jakkolwiek patetycznie to zabrzmi, wiedziałem już, że przed dwoma godzinami zagrałem swój ostatni mecz w życiu.

Spróbowałem oderwać policzek od chodnika, poczułem silne ukłucie bólu w okolicy żeber, o mało nie zemdlałem. Nie tylko kolano miałem uszkodzone. Oparłem się plecami o ścianę, chwilę trwało, zanim mroczki ustąpiły sprzed oczu. Rozejrzałem się, oświetlona latarniami ulica była pusta, w którymkolwiek kierunku spojrzałem. Nic dziwnego, taka akcja musiała porządnie wystraszyć okolicznych mieszkańców.

Popatrzyłem na ciemne plamy na chodniku, dotknąłem włosów. Ciecz, którą brałem za łzy, była czerwona. Z boku głowy wymacałem długie rozcięcie, na szczęście nie krwawiło już za bardzo. Uderzenie zdarło mi świeżego strupa, pamiątkę sprzed dwóch dni po kontakcie z agresywnym właścicielem latarki.

Usłyszałem kroki; rozpoznałem go, dopiero gdy się nade mną pochylił. Chciał dzwonić po pogotowie, ale złapałem go za koszulę i syknąłem, żeby się nie ważył. Szarpnąłem i dźwignąłem się z głośnym stęknięciem. Podtrzymał mnie za ramię, inaczej bym upadł. Świat zawirował, rozżarzony do czerwoności.

Gdy znowu otworzyłem oczy, zatykał mi usta. Chyba krzyczałem. Odsunął się o dwa kroki i z niedowierzaniem patrzył na mnie, gdy odwracałem się w kierunku wejścia. Nie wiem, jak tam dotarłem, pamiętam tylko ból, gdy drzwi wepchnęły mnie na ścianę naprzeciwko. Rozmowy ucichły, jak przez mgłę widziałem postać, która szybkim krokiem opuściła pomieszczenie drugim wyjściem.

Młody chłopak na mój widok zbladł.

– O Jezu – wyrwało mu się.

Nie wyminąłem go, nie byłem w stanie, cofnął się przestraszony. Wlokłem się wpatrzony w wątłą postać siedzącą przy stole w głębi. Nie odrywałem wzroku od celu, bałem się, że jeśli choć na moment umknie mi z pola widzenia, nie dotrę do niego.

Stękając i jęcząc, parłem wzdłuż stołów, otoczony niewidzialną barierą, która trzymała ludzi z dala ode mnie.

Jakbym był trędowaty.

Dużo się działo przez ostatni tydzień, mam nieodparte wrażenie, że o wiele za dużo.

Chciałbym teraz napisać, że powiedziałem sobie wówczas: „Wstawaj, kurwa, nie pozwolę, by zrobili ze mnie idiotę i wydymali jak pierwszego lepszego. Mam zamiar opowiedzieć tę historię po swojemu, z moim zakończeniem, które będzie zgodne z prawdą, a nie z gazetową relacją, zazwyczaj zniekształconą przez wynik meczu. Bo rezultat i przebieg zawodów nie zawsze odzwierciedlają prawdę o nich, a ja mam zamiar właśnie to zmienić”.

Niestety, nic takiego sobie nie powiedziałem, o niczym takim nie myślałem. Byłem w szoku; najpierw leżałem półprzytomny, brudny,

zaśliniony jak menel, nie wiedząc, co robię i co mam zrobić, a potem działałem jak w malignie, oszołomiony bólem i stresem. Czułem się jak w meczu, w którym przeciwnik rozjeżdża cię jak walcem i prowadzi do przerwy 5:0, a ty musisz dograć to spotkanie do końca. Sędzia go nie skróci, trzeba grać, nie ma przebacz. Nie możesz ot tak zejść z boiska, choćbyś nie wiem jak źle się czuł. Więc i ja dokończę tę historię…

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Nie należałem do gaduł, zazwyczaj w szatni uważnie obserwowałem wszystko, co dzieje się wokół. Zabierałem głos, tylko jeśli mnie o to proszono, a i wtedy raczej mówiłem tylko to, co musiałem. Bo i po co tyle gadać? To czyste marnotrawstwo energii. Nie znam żadnej osoby, która umiałaby słuchać, może poza Marią, ale to raczej w czasie, gdy poznaliśmy się jako nastolatkowie, później było z tym dużo gorzej.

Dziennikarze uważali mnie za durnia, z którego trudno cokolwiek wyciągnąć. A ja robiłem wszystko, by utwierdzić ich w tej opinii. Odpowiadałem na pytania jednym słowem, pytaniem na pytanie, gadałem idiotyzmy, byleby się odczepili. Bez wątpienia bardzo starałem się być trudnym rozmówcą, co gorsza nudnym, i trzeba przyznać, że udawało mi się to doskonale.

Nie cierpiałem wywiadów, przemów, uroczystości, więc unikałem ich jak ognia. Gdy nie było wyjścia i znalazłem się na widoku, potrafiłem zamknąć się w skorupie własnych myśli, by odgrodzić się od rzeczywistości. Kiedyś na spotkaniu z kibicami, w części przeznaczonej na pytania, padło z sali:

– Czy pan Dzwonecki jest aż tak znudzony spotkaniem z nami, na jakiego wygląda?

Jak zatem widać, nie porywałem tłumów i niespecjalnie o to dbałem.

Nasz trener, Piotr Huczny, wiedział, że słuchanie to trudna sztuka. Dlatego nadaliśmy mu ksywkę Wrzaskun. Był niskim pięćdziesięciolatkiem z rysującym się brzuchem piwnym i sięgającą mu do połowy głowy łysiną, którą usiłował ukrywać, zaczesując włosy z boku na czoło. Do Centrum sprowadził go najważniejszy człowiek w klubie – Jan Książę. Trener był autorskim wynalazkiem prezesa, niby odnosił sukcesy z pierwszoligowymi klubami, bo Siarka walczyła o awans, a wcześniej utrzymał w lidze Romex, który, jak się wydawało, był w beznadziejnej sytuacji. Ale nominacja na stanowisko trenera Centrum wprawiła całe środowisko piłkarskie w zdumienie. Dziennikarze przez kilka tygodni naśmiewali się i z trenera, i z prezesa (w prasie ukazywały się tytuły w rodzaju: *Księciu Hucz(n)y w głowie*), lecz Książę niewiele sobie z tego robił. Pismaki przestały się czepiać, gdy drużyna zaczęła niespodziewanie dobrze punktować.

Huczny miał swój sposób komunikowania się z zespołem; pewnie się domyślał, że aby utrzymać uwagę dwudziestu facetów na różnym poziomie intelektualnym, zwykle poniżej średniej, trzeba użyć fortelu. Wydzierał się na nas notorycznie, ale trzeba mu przyznać, że niejednostajnie. Zazwyczaj zaczynał spokojnie, potem się nakręcał i w pewnym momencie następowało apogeum, eksplozja, kiedy wywrzaskiwał jedno, a czasem kilka słów. Wrzeszczał jak opętany w bardzo różnych momentach swojej przemowy, co często było zaskakujące, bo tak naprawdę nie wiadomo było, dlaczego podnosi głos w tej właśnie chwili.

– Oglądaliście wczoraj Chelsea? Widzieliście, jak szybko gra się piłką? To jest mistrzostwo, ta płynność akcji, tempo, w momencie przyjęcia już wiedzą, gdzie zagrać. Na raz, maksymalnie na dwa kontakty. Cudo – zachwycał się trener. – Oglądaliście czy nie?

Zazwyczaj odpowiadała mu cisza. Nikt nie chciał się narażać na konwersację.

– Co się tak gapicie? – mówił głośniej. – Zadałem pytanie. Musicie oglądać takie mecze. Tylko obserwując najlepszych, analizując ich grę, możecie się doskonalić. A nie napierdalać non stop w karty albo diabli wiedzą co robić.

Odpowiadała mu cisza. Wtedy wrzeszczał:

– Kaczka! Oglądałeś mecz?!

Kaczorek aż podskakiwał na ławce. Trener często obierał sobie za cel wrzasków Piotrka Kaczorka, pewnie dlatego, że ten był cichym, spokojnym chłopakiem zbliżającym się do trzydziestki, który zazwyczaj nic nie mówił, z nikim się nie kłócił – taki bezkonfliktowy typ, choć na boisku jako lewy obrońca potrafił grać agresywnie. Był wychowankiem klubu, regularne treningi zaczął dość późno, może dlatego tak długo nie potrafił przebić się do pierwszego składu. Z drugiej drużyny wyciągnął go właśnie Huczny. Tuż po tym żartowaliśmy, że może trener go sprowadził, bo szukał bezpiecznego celu dla swoich werbalnych ataków. Ale tak naprawdę niski, chudy jak patyk Kaczka z wiecznie sterczącą ciemną czupryną miał końskie zdrowie do biegania, wydolność na poziomie maratończyka, mógł kilka meczów zapieprzać wzdłuż linii bocznej boiska, tam i z powrotem, chyba się nie męczył.

Kiedy wydarzyła się ta historia, byłem już doświadczonym zawodnikiem, rozegrałem kilkaset spotkań w superlidze, nosiłem kapitańską opaskę.

Gadułą wciąż nie zostałem i często zarzucano mi w prasie, że ktoś tak małomówny nie nadaje się na przywódcę zespołu, że mam autorytet, ale nie umiem go wykorzystać. Co to niby za szef, pisano, którego nie widać na boisku, który nie kieruje drużyną w czasie meczu?

Ale o tym, jak wygląda mecz, często wcale nie decyduje lider, przywódca. Wszystkim się wydaje, że charyzmatyczny kapitan to połowa sukcesu. Bzdura. Charyzmę możesz wsadzić sobie w dupę, jeśli nie masz wytrzymałości, by wrócić po stracie piłki, jeśli brakuje ci szybkości, by dogonić przeciwnika. Charyzmą nikogo nie przepchniesz, a nawet nie popełnisz nią taktycznego faulu. Charyzmą możesz błyszczeć w szatni, na konferencji prasowej, ale jeśli nie podeprzesz jej fizycznym przygotowaniem, nic nie będzie warta. Wiedziałem o tym, więc swój autorytet wśród chłopaków zbudowałem nie gadką w szatni, ale na boisku, tym, co robiłem w czasie meczów.

Zdradź, w jaki sposób myślisz, a powiem ci, jakim piłkarzem możesz być. Pokaż mi, jak biegasz, powiem ci, jakim piłkarzem możesz być. Pokaż mi, jak szybko reagujesz, a powiem ci, jakim piłkarzem jesteś… Tu i teraz, dziś, jutro już taki możesz nie być. Ułamek sekundy szybsza reakcja, pięć centymetrów dłuższy wślizg, korzystniejsze ustawienie, dokładniejsze przyjęcie piłki, nawet kilka kroków więcej decyduje o zwycięstwie lub porażce. Ale z drugiej strony, jeśli będziesz myślał powoli, błędnie oceniał sytuację, to nie pomogą ci choćby najdoskonalsze warunki fizyczne.

Mówią, że piłka nożna to prosty sport, dwie bramki, piłka i tak dalej. Chyba tylko do oglądania po kilku głębszych, one zazwyczaj upraszczają widok.

Wszyscy myślą, że nasz legendarny trener Kazimierz Górski mówił o piłce mądre rzeczy. Ja jestem przekonany, że nie chciało mu się tłumaczyć zawiłości dyscypliny laikom, bo wiedział, że szkoda na to czasu. Piłka jest okrągła, a bramki są dwie… i odpierdolcie się. I tak nic nie zrozumiecie. Zależności fizyczno-mentalne, psychologiczno-komunikacyjne na każdym kroku, liczba zmiennych, wszechstronne, wzajemnie się wykluczające wymagania fizyczne: za dużo wytrzymałości – szybkość spada… Niezły burdel, czy to w sferze fizycznej, czy psychicznej. Po co strzępić język na darmo?

Ktoś powie, że w takim zespołowym sporcie jak piłka nożna o sukcesie i tak decyduje zazwyczaj średnia cech motorycznych i inteligencji zespołu. Masz wysoką przeciętną – wygrywasz. Z tym że na boisku nie ma żadnych

gwarancji. Widziałem wielu magików, którzy myśleli, że z kalkulatorem i tabelą danych w ręku znaleźli sposób na pewny sukces. Po kilku miesiącach budzili się ze snu, w lidze niżej.

W ostatnim sezonie mieliśmy silny zespół, ale nikt w zasadzie nie wiedział, dlaczego graliśmy tak dobrze. Transferów wielkich nie było, klub borykał się z problemami finansowymi, pensji nie płacili nam od pół roku, nie mówiąc już o premiach. Raptem zaczęliśmy jednak wygrywać mecz za meczem. Zespół uwierzył w swoje możliwości, przez jesień przelecieliśmy jak burza, liderując w tabeli, na wiosnę kilka razy się potknęliśmy, ale i tak punktów wystarczyło, by na trzy kolejki przed końcem ligi prowadzić w tabeli z trzypunktową przewagą nad Zorzą Poznań. Prezes Książę też był zaskoczony zwycięstwami i z niedowierzaniem patrzył na rosnący dług względem drużyny.

Szatnia była długa i wąska jak tramwaj. Z brudnoszarych ścian gdzieniegdzie odpadał tynk, w rogach widać było ślady wilgoci i grzyba. Zresztą cały obiekt Pomorza Szczecin lata świetności miał już dawno za sobą i domagał się nie tyle remontu, ile rozbiórki. Cuchnęło niemiłosiernie, a teraz dołożyliśmy jeszcze do tego bukietu zapach jedenastu spoconych męskich ciał.

Huczny chodził wzdłuż ławek, na których siedzieliśmy. Maszerował, kołysząc się na boki jak kaczka, przez całą długość pomieszczenia, od okna do drzwi, spoglądając to na jedną, to na drugą stronę.

– Co to, kurwa, jest? – mówił cicho i spokojnie. – Kopnąć celnie na pięć metrów nagle nie potraficie? Końcówka sezonu, szansa na mistrza, a wy co? Sparaliżowało was? Zesraliście się ze strachu?

Nikt nie podnosił głowy, wszyscy wpatrywali się w podłogę. Brał nas pod włos, znałem ten jego trik, choć trzeba przyznać, że dosyć często okazywał się skuteczny.

– Weźcie się w garść, uspokójcie grę. Poszanujcie piłkę, niech oni biegają. Tylko bez paniki i dokładnie, na litość boską. Jabol, nie schodź na skrzydła, zostaw miejsce Babce, no i więcej ruchu. Pokazujcie się do gry! Na stojaka jeszcze nikt meczu nie wygrał.

Spoglądał po nas, jakby pierwszy raz widział swoją drużynę.

– Rogal, nie kombinuj. Masz trudną piłkę? Napierdalaj w ziemniaki i mamy spokój. Nie wstydź się, nie tacy wykopują byle gdzie. Bierzcie się do roboty! Macie czterdzieści pięć minut.

Wszystko to Wrzaskun mówił bardzo spokojnie, jak nie on, powoli, dokładnie artykułując słowa.

– Kurwa, przecież wygrywamy – bąknął pod nosem Piesek.

Trener odwrócił się tak gwałtownie, że zaczeska zsunęła mu się z głowy i wisiała z boku jak skalp. Z oburzeniem w oczach szukał autora tych słów.

– To co?! Znaczy, że możecie poleżeć?! – ryknął. – Trzy setki mieli do przerwy, chcecie czekać, aż w końcu trafią? Nie ma lekceważenia, koncentracja do końca – stwierdził, poprawiając fryzurę.

Rozległo się pukanie. Huczny był akurat tuż przy drzwiach. Szarpnął je mocno. Na korytarzu stała starsza pani w fartuchu, na widok trenera mało nie upuściła tacy zastawionej szklankami z kawą. Spojrzała na niego wystraszona.

– Kawa – wyjąkała.

– Miała być przed meczem – warknął Huczny.

Zabrał jej tacę i przeszedł przez całą szatnię do stolika przy oknie, mijając pochylone głowy zawodników. Ręce mu się trzęsły tak, że szklanki pobrzękiwały jak dzwonki na mszy. Kawa się powylewała, tworząc na tacy czarną kałużę, a wszyscy ukradkiem odprowadzaliśmy go wzrokiem do samego okna. Będąc świadomy wrażenia, jakie wywarł, Wrzaskun trząsł się coraz bardziej.

Domyślałem się, że jego pewny ton i krzyki to poza. Tak naprawdę był kłębkiem nerwów, w środku dygotał jak te szklanki na tacy. Ukrywał to skrupulatnie, ale czasem własne reakcje wymykały mu się spod kontroli. Wiedział, że jeśli drużyna to zauważy, będzie to początek jego końca.

Wyjazdowy mecz z Pomorzem nie wyglądał w naszym wykonaniu najlepiej. Trzecia kolejka przed końcem ligi, walka o mistrzostwo kraju szła na całego. Było bardzo gorąco, bezchmurne niebo i brak jakiegokolwiek wiatru negatywnie wpłynęły na tempo spotkania. Mokre koszulki lepiły się nam do ciał, a bezlitosna „lampa” nad głową podgrzewała powietrze do temperatury prawie uniemożliwiającej oddychanie. Kibice porozbierali się do gaci, łapali opaleniznę na trybunach, a my smażyliśmy się na trawie jak na patelni.

A poza tym był to mecz przyjaźni, kibice obydwu klubów trzymali sztamę, razem dopingowali swoje drużyny. Nikt w nas nie napierdalał kamieniami, nikt nie wyzywał, nie opluwał, nie było nawet obraźliwych piosenek. To jak się tu zmotywować do pracy?

Nie to co we Wrocławiu, gdy w dwudziestej minucie staliśmy stłoczeni wraz z sędziami i drużyną gospodarzy w kole na środku boiska, a z trybun leciał w naszym kierunku grad kamieni wielkości pięści. Nie było nawet jak przerwać meczu i zejść z boiska.

Wprawdzie szybko objęliśmy prowadzenie i utrzymaliśmy je do przerwy, ale błędów w obronie popełnialiśmy bez liku i tylko nieudolności przeciwnika zawdzięczaliśmy zejście do szatni z przewagą. Mnie jednak grało się całkiem przyzwoicie, nie popełniłem większych błędów. No i po tych zawodach nikt nie mógłby mi zarzucić, że się nie odzywam; niemiłosiernie darłem się na kolegów, opieprzałem ich po groźnych akcjach przeciwnika – do tej pory mieliśmy mnóstwo szczęścia, a jako kapitan i prawy obrońca wolałbym tylko podpowiadać, a nie musieć jak dziki zapieprzać z wywieszonym jęzorem.

Teraz uznałem, że oficjalna część wystąpienia trenera się zakończyła, i poszedłem do kibla. Zamknąłem się w kabinie. Nagle usłyszałem kroki i trzask drzwi.

– Chcą kupić punkt. – Rozpoznałem głos Babki.

– Ile będzie? – Niskiego basu Rogala też nie dało się pomylić.

– A… a… a tytuł…?

– Kurwa, dwa mecze z ogórkami u siebie. Masz szmal na ruchanie? – Babka nie dał skończyć Pieskowi.

Nie byłem zaskoczony tą sytuacją. Wiedziałem, w jakim środowisku funkcjonuję, to, co usłyszałem, tylko utwierdziło mnie w podejrzeniach. Stałem w kiblu i myślałem, co zrobić: pozwolić im skończyć rozmowę, czyli pozwolić się pogrążyć, czy też szybko się ujawnić i dać im szansę na wybrnięcie z sytuacji? Nie wątpiłem ani przez moment, że opierdolą mecz dla kasy, nie będą mieli żadnych oporów, bo już wcześniej miałem trochę wątpliwości przy kilku spotkaniach, w których traciliśmy punkty. Skalkulowałem, że jeśli będę zmuszony podkablować ich po przegranym meczu, to na sto procent ich zawieszą i będziemy musieli występować w osłabieniu – cokolwiek by powiedzieć o ich uczciwości, w piłkę potrafili grać świetnie, więc bez nich nasze szanse na triumf w lidze mocno by się zredukowały. Ręka sama powędrowała do spłuczki, rozległ się dźwięk spuszczanej wody, za drzwiami zapadła cisza. Dałem im jeszcze sekundę i wyszedłem z kabiny.

Stali w rzędzie przy pisuarach, gapiąc się w dół, jakby pierwszy raz zobaczyli, co mają między nogami. Podszedłem do zlewu, odkręciłem

wodę. Pierwszy opanował się Babka.

– Dobrze, że jesteś, kurwa. – W dalszym ciągu stał przyklejony do pisuaru. – Pomorze chce, by im odpuścić punkt, ale powiedziałem im, kurwa, żeby spadali.

Cała przemowę wygłosił jakby do ściany, wpatrując się w kafelki, i na koniec rzucił mi krótkie, nerwowe spojrzenie przez ramię.

Nie odezwałem się słowem, dalej mocząc ręce w wodzie. Babka wymownie spojrzał na kolegów, szukając poparcia.

– No, gramy o miszcza – przebudził się Rogal.

– W… w… właśnie, po… po… pojebało ich. Myśleli, że im punkt oddamy? – jąkając się, poparł ich Piesek.

Gapili się na mnie przez ramię, czekając, jak zareaguję.

– Idioci, no nie? Myśleli, że im punkt oddamy – powtórzyłem. – Ciekawe czemu?

Zakręciłem wodę, strzepnąłem ręce i spojrzałem na nich wymownie, po czym wyszedłem z toalety. Zamykając drzwi, usłyszałem przytłumiony głos Pieska:

– Quasimodo, pie… pierdolony Zygmunt. – Wiedzieli, że nie znoszę obu tych przezwisk.

W szatni panował typowy rozgardiasz. Gorąco jak w saunie, wentylator stojący w kącie buczał i wypluwał parne powietrze. Doktor wymachiwał wilgotnym ręcznikiem przed twarzami piłkarzy, usiłując schłodzić im gorące głowy, maser oklepywał łydki siedzącemu obok Witkowi. Klapnąłem ciężko na swoim miejscu.

– Chcą sprzedać mecz – szepnąłem do ucha Witkowi Kowalskiemu. Spojrzał na mnie i zmarszczył brwi.

– Jesteś pewien? Kto?

– Głuchy nie jestem, naradzali się w kiblu. Wiedzą, że słyszałem. – Spojrzałem wymownie na drzwi do łazienki.

– No to luz, nie zaryzykują.

Za chwilę cała trójka także wróciła do szatni, jakby nic się nie zdarzyło; usiedli na swoich miejscach i jak ognia unikali mojego wzroku. Gdy trener wyszedł z szatni, Witek wstał. Był wysokim stoperem z nieproporcjonalnie długimi nogami i krótkim tułowiem, a do tego podkreślał nieświadomie tę dysproporcję, wysoko podciągając spodenki.

– Jest próba podejścia – stwierdził głośno.

W szatni zapadła cisza. Podrapał się po ciemnej czuprynie, zrobił pauzę dla większego efektu, po czym oblizał swoje duże, jakby murzyńskie wargi.

– Podobno chcą punktu. Pieprzyć ich, no nie? Gramy o mistrza i musimy wygrać ten mecz. Prawda? – Spojrzał w kąt, w którym siedzieli winowajcy. Nie podnieśli głów.

W szatni rozległy się głosy poparcia.

– Więc wychodzimy i do roboty. – Witek usiadł, zadowolony z siebie spojrzał na mnie z uśmiechem i wyciągnął nogi na całą szerokość szatni.

Spiskowcy, których podsłuchałem w toalecie, stanowili istotne ogniwa drużyny. Babka, czyli Michał Babicki, był dwudziestopięcioletnim chudym chłopakiem z krótko obciętymi włosami i śladami po ospie na policzkach. Pierwszy dowcipniś w zespole i typ, który nie umiał zbudować zdania bez słowa „kurwa”. Czasem namawialiśmy kierownika, by wpisał go do protokołu właśnie w ten sposób: „Michał Kurwa Babicki”. Pewniak u Wrzaskuna, grał zawsze w pierwszym składzie, zwykle jako skrzydłowy, czasem w środku. Miał taki gaz, że mało było piłkarzy w lidze, którzy mogliby się z nim ścigać. Sam byłem bardzo szybki, ale na dłuższym dystansie zostawiłby mnie daleko w tyle. Poruszał się charakterystycznym długim, lekkoatletycznym krokiem, w którym czuć było potężną moc drzemiącą w mięśniach – trzymaną na uwięzi, ale w każdej chwili gotową do wyzwolenia, jakby czekał na wystrzelenie z procy. Zresztą jego szybkość doceniał też selekcjoner reprezentacji kraju i często powoływał go do kadry.

Kibice uwielbiali go z jeszcze jednego powodu – był wychowankiem Centrum. Przeszedł wszystkie szczeble w klubie – od grup młodzieżowych do pierwszej drużyny. Nigdy nie rozumiałem kibiców, bo chcieli widzieć u piłkarzy cechy, które sami cenili, a których gracze byli całkowicie pozbawieni. Fani jednak tak już mają – w gówniarzy, którzy tak naprawdę myślą tylko o tym, by dobrze kopać piłkę, pakują jakieś wyższe, wzniosłe uczucia. Patriotyzm lokalny, wierność barwom – niezły ubaw.

Piesek z Rogalem stanowili nierozłączną parę. Pojawili się w klubie trzy lata wcześniej niż ja, prezes ściągnął ich w pakiecie z Czarnych Zabrze, oddając w rozliczeniu Krzyśka Kortykę, w tamtym okresie objawienie ligi. Jak się okazało, zrobił dobry interes, bo Krzysiek złapał kontuzję, która wyłączyła go na wiele miesięcy z treningów, a ci dwaj szybko wskoczyli do pierwszego składu.

Andrzej Rogal był potężnym mężczyzną. Wysoki na prawie dwa metry, wielka klatka piersiowa, długie włosy spięte w kucyk i surowe rysy twarzy. Pochodził z małej wioski pod Białymstokiem, chyba bliżej Hajnówki, co było słychać w sposobie mówienia – zaciągał białostockim „śledzikiem" jak ta lala. Chłopaki żartowały, że odciągnęły go siłą od pługa, ale raczej po kątach, tak żeby nie słyszał, bo Rogal znany był ze swego wybuchowego charakteru. Gdy stawał w bramce, miało się wrażenie, że ta gwałtownie się skurczyła, a nasz bramkarz sięga swymi długimi ramionami od słupka do słupka.

Robert Piesecki był przeciwieństwem Rogala. Niski, drobnej budowy, z blond lokami i bardzo przystojny, stanowił obiekt westchnień kibicek, mimo że lekko się jąkał. Jako poznaniak z urodzenia miał wszelkie złe nawyki wielkomiejskiego dandysa. Grał na środku pomocy, był świetnie wyszkolony technicznie, potrafił z piłką robić cuda. Fizycznie za to prezentował się dużo gorzej: ani szybki, ani wytrzymały, ani waleczny, ktoś zawsze musiał czuwać za jego plecami i wykonywać czarną robotę, którą Piesek się brzydził.

Grali razem z Rogalem przez kilka lat w jednym klubie i już w Czarnych tak przypadli sobie do gustu, że wszędzie chodzili razem. Najczęściej był to najbliższy burdel, bo spędzali tam mnóstwo czasu. Piesek był dwudziestoszścioletnim kawalerem i ciągle gadał o pieprzeniu, ruchaniu, posuwaniu i podobnych aktywnościach fizycznych, miał niepohamowany apetyt na seks, więc ciągnął za sobą Rogala na panienki, ilekroć ten miał czas. Nasz bramkarz miał wprawdzie żonę i dziecko, ale mawiał: „Na boku i z kurwą to nie zdrada".

Podejrzenia, że ktoś handluje punktami, miałem już wcześniej. Gdy traciliśmy je jesienią, nie zwracało to mojej uwagi; graliśmy dobrze, a błędy, które się nam zdarzały, były raczej pokłosiem dobrej postawy przeciwnika. Prezes nie płacił nam już wtedy, ale mamieni ciągłymi obietnicami graliśmy swoje. Ale przez całą jesień i zimę zaległości mocno urosły, także ze względu na nasze dobre wyniki, i na wiosnę w szatni dało się już wyczuć zniecierpliwienie. Pojawiało się coraz więcej narzekań i pytań, wszyscy zrobili się bardziej nerwowi.

Gdy traciliśmy bramkę, zazwyczaj był to efekt serii błędów kilku piłkarzy, które kumulowały się w jednym czasie. Napastnik gubił piłkę na połowie przeciwnika, nie powalczył o odbiór, pomocnik spóźnił się z przesunięciem ustawienia, obrońca zaatakował na dzika, na „raz", drugi

go nie zaasekurował i bum – stracony gol. Bywają też jednak bramki zawalone tylko przez jednego piłkarza, zazwyczaj przez bramkarza, stopera lub innego obrońcę, choć pomocnikom także się to przytrafia. W meczach zdarzają się wręcz nieprawdopodobne klopsy – bramkarz sam sobie wrzuca piłkę do siatki albo obrońcy walą niewiarygodne samobóje. Takie bramki nie wzbudzały jednak moich podejrzeń, tylko idiota oddawałby punkty w ten sposób.

Znałem doskonale Rogala, Babkę czy Pieska, wiedziałem, jak grają, jak się poruszają, co umieją. Tymczasem na przykład w takim meczu z Polanką, ligowym słabeuszem, wiele zagrań moich kolegów było w bardzo subtelny sposób niedokładnych. Rogal ślizgał się co kilka minut, wypuszczał piłkę prawie przy każdym strzale (Polanka oddała ich chyba z pięć przez cały mecz!), miał jednak tego pecha, że nieudolni przeciwnicy nie mogli nic trafić, partaczyli wszystkie sytuacje, które im stwarzał. Z przodu Babka nie pozostawał im dłużny i nawet mając szansę strzału do pustej bramki, bił na siłę hen, w zegar, a Piesek miał statystycznie najwięcej niecelnych podań w całym sezonie. Zresztą domyślałem się, co się dzieje, bo i w poprzednich rozgrywkach widziałem już kilka takich spotkań w ich wykonaniu. Nie reagowałem, bo i co miałem powiedzieć? „Hej wy, sprzedaliście mecz?” „My? Po prostu słabo zagraliśmy. Co to za bezpodstawne oskarżenia? Rozbijasz jedność drużyny. Działasz na szkodę zespołu”. Nauczyłem się więc robić swoje, bez względu na okoliczności koncentrować się tylko na sobie i starać się grać jak najlepiej.

W minionych latach przerabiałem to już wiele razy. Nieraz byłem świadkiem ogólnych dyskusji, najczęściej w czasie podróży na spotkanie, o handlowaniu meczami – oczywiście zawsze rozmowa dotyczyła innych drużyn i zawodników.

– Na sto procent się, kurwa, dogadali – twierdził Babicki, trzymając przed sobą rozłożony „Kurier Sportowy”.

– Kto? – dopytywał siedzący z tyłu Rogal, wyglądając zza oparcia fotela.

– Polanka z Jurą – mówił Babka, mając na myśli zespół z dołu tabeli i ligowego średniaka, któremu nie groził ani spadek, ani puchary. – Może nawet im, kurwa, zapłacili za ten remis, diabli wiedzą, punkt jest punkt – wyjaśniał, jak gdyby punkt mógł nie być punktem.

– Ja, ja… ja tam ich rozumiem – odzywał się Piesek. – P… p… premii nie widzieli od roku, pensję rzucą im raz na kilka miesięcy, to z… z… z czego mają żyć? Zapierdalają, trenują, ła… ła… łapią kontuzje i co z tego

mają? – Część chłopaków kiwała potakująco głowami. – Przyjdzie jaśnie pan prezes, uściśnie dłoń i po… po… powie, że za tydzień będą pieniądze… a po… po… potem przez miesiąc można go ze świecą szu… szu… szukać.

– Miesiąc? – śmiał się Jabol. – Kiedy ostatni raz widzieliśmy Księciunia?

– Nikt ci tyle nie… nie da, ile K… K… Książę obieca, taka prawda – dodał Piesek.

Wyszliśmy na drugą połowę, słońce nie zamierzało nas oszczędzać. Nie przypuszczałem, że skwar może być jeszcze gorszy, ale był: powietrze stało nieruchome, jakby zamarło w oczekiwaniu na wynik spotkania. Po kilku krokach, zanim jeszcze doszliśmy do murawy, ponownie mieliśmy mokre koszulki, poodparzane w pierwszej części stopy znowu dawały o sobie znać.

W drugiej połowie Rogal zagrał bezbłędnie, wybronił kilka groźnych sytuacji, Babka hasał na skrzydle tak, że obrońcy o mało nie pozderzali się głowami, a Piesek zdobył piękną bramkę z rzutu wolnego. Wszyscy pobiegli pogratulować strzelcowi, ściskali się pod bramką Pomorza, tylko ja zostałem na swojej połowie. Po rewelacjach podsłuchanych w kiblu jakoś nie chciałem brać udziału w tej farsie, tym bardziej że do końca meczu pozostało jeszcze kilka minut, a wciąż spodziewałem się po konspiratorach najgorszego. Wygraliśmy jednak pewnie 2:0.

Do zakończenia sezonu pozostały nam już tylko dwa spotkania, a terminarz mieliśmy wymarzony: najpierw mecz z Białą, a na koniec ze Sternikiem, oba spotkania u siebie. Wyglądało na to, że nikt ani nic nie jest w stanie odebrać nam mistrzostwa.

Jedyny problem polegał na tym, że w końcówce meczu z Pomorzem po którymś ze wślizgów coś chrupnęło mi w nodze. Doktor chciał zdjąć mnie z boiska, uznałem jednak, że wytrzymam. Kolano napieprzało jak diabli, ale bałem się, że gdy zejdę, koledzy zdążą wywinąć jakiś spektakularny numer, więc zacisnąłem zęby i dograłem spotkanie do końca.

2

Droga powrotna ze zwycięskich meczów zawsze była, co zrozumiałe, przyjemniejsza. Mimo że od Szczecina dzielił nas kawał drogi, drużyna, może poza drobnymi wyjątkami, była w wesołych nastrojach. Mówiąc o wyjątkach, nie mam na myśli Rogala, Pieska czy Babki, ale… siebie.

Gdy sięgam bowiem pamięcią wstecz, widzę wyraźnie, że nie potrafiłem się cieszyć. Nie powiem, żeby często zdarzały nam się okazje do świętowania, ale gdy już się trafiły, to cała drużyna po sukcesie podskakiwała, wrzeszczała, robiła rundy honorowe wokół boiska, inni urządzali śpiewy w szatni, a ja zawsze trzymałem się z boku, cichy i spokojny. Chłopaki łypały na mnie podejrzliwie, widziałem te dziwne spojrzenia, pewnie niejeden myślał, że jestem snobem, że się alienuję.

Nie da się ukryć – nie wybuchałem uczuciami, nie szalałem ze szczęścia po zwycięstwach. Dlaczego? Nie umiałem znaleźć odpowiedzi, po prostu nie czułem potrzeby wyrażania radości, jaka udzielała się drużynie. Byłem zadowolony, ale dopiero dzisiaj wiem, że obok spełnienia, satysfakcji czułem coś jeszcze, coś, co starałem się od siebie odsunąć – smutek.

Dopiero niedawno uzmysłowiłem sobie, że sukces wywoływał we mnie przejmujące wrażenie, że kurtyna opadła, przedstawienie się skończyło. Cieszyłem się, gdy dążyłem do celu, w czasie meczów i treningów. Nie potrzebowałem uczucia spełnienia, namacalnego zwycięstwa. Gwizdek końcowy powodował u mnie przygnębienie, bo najpiękniejsza część, euforia dążenia, spocona radość, satysfakcja zmęczenia, to wszystko już minęło. Dotarło do mnie, że zawsze, bez względu na to, czy przegrasz, czy wygrasz, na końcu i tak czeka smutek. Nieuchronnie.

Większość chłopaków zachowywała się jednak po wygranych „normalnie”, czyli tak, jak można by się spodziewać – po prostu się cieszyli. Po porażkach bywało oczywiście inaczej, wszyscy chowali się w swoich fotelach, zsuwali się nisko, by uniknąć przypadkowego skrzyżowania wzroku z trenerem. W szatni czy autobusie panowała pełna powaga, nikt nie ważył się głośniej zaśmiać, bo groziło to starciem z Wrzaskunem, który na dźwięk śmiechu odwracał się gwałtownie i spoglądał ponurym wzrokiem, jakby chciał zapamiętać wesołka,

a najlepiej zamordować go okiem bazyliszka. Nikt wtedy nawet nie marzył, żeby napić się piwa.

Co innego po zwycięstwie, tak jak wtedy, gdy wracaliśmy ze Szczecina. Trener nie oglądał się za siebie, nawet syk otwieranych puszek czy brzdęk obijających się szklanych butelek nie wytrącał go z równowagi. Zgarbił się po prostu na pierwszym fotelu obok kierowcy i gapił jak zahipnotyzowany w szybę przed sobą. Tuż za nim siedzieli maser i doktor, obok kierownik drużyny. Nikt za bardzo nie krył się z piwem, w końcu jakoś trzeba było uprzyjemnić sobie te siedem albo i osiem godzin jazdy. Panowała powszechna wesołość, rozbrzmiewały krzyki, śmiechy, słychać było głośny gwar rozmów.

Za sztabem, na kilku siedzeniach z przodu autokaru, siedzieli najmłodsi w ekipie, kilku juniorów, czasem chłopcy z drugiej drużyny zabrani na mecz, gdy mieliśmy dużo kontuzji. Zazwyczaj to oni nosili sprzęt, piłki, torby ze strojami, napoje, medykamenty. Oczywiście każdy miał swoje miejsce w autokarze i nie daj Boże, żeby któryś z młodych zajął nieodpowiedni fotel.

Siedziałem w środkowej części, po prawej stronie. Naprzeciw mnie, w tych bardzo rzadkich przypadkach, gdy udało mu się załapać do meczowej osiemnastki, zajmował miejsce George i zazwyczaj przeszkadzał mi w czytaniu swoją dziwaczną gadką. Fotel tuż za mną zajmował Witek Kowalski, obok George’a najbliższy mi człowiek w zespole. Co prawda nie widywałem się z nim tak często jak z George’em, bo nigdy nie miał czasu. Wychowanie czterech chłopaków i żona pochłaniały go dokumentnie i rzadko udawało mu się wyskoczyć z nami na piwo czy do kina. Babicki namawiał go codziennie na wazektomię, Piesek w prezencie przynosił mu kondomy, a Witek tylko wydymał swoje murzyńskie wargi i twierdził, że wpierw musi skompletować jedenastkę meczową. Był charyzmatycznym typem, który o nic nie zabiegał, a wszyscy i tak go szanowali, mimo że piłkarzem był solidnym, ale zaledwie przeciętnym.

Nie integrowałem się z resztą drużyny, ani z młodzieżą, ani ze starszyzną, i to nie dlatego, że czułem się lepszy, mądrzejszy. Po prostu lubiłem skupić się na rzeczach, które wymagały samotności, a poza tym miałem inne zainteresowania od reszty. Męczyły mnie ciągłe wygłupy chłopaków, gadki o dupach i seksie, wolałem pochylić się nad ciekawą książką niż ględzić po próżnicy. Często było to odbierane jako świadome wywyższanie się, nieintegrowanie z ekipą, zadzieranie nosa.

– Co czytasz? – spytał Witek, zaglądając przez oparcie siedzenia. – Poczekaj, niech zgadnę. – Podniósł palec, udając zadumę. – Na sto procent Paulo Coelho… i już wiesz, jak żyć.

– Pudło. – Roześmiałem się i pokazałem mu okładkę książki. – De Mello.

Wyrwał mi ją z ręki, przeczytał notkę na odwrocie.

– Nudy. – Skrzywił się. – Nie możesz choć raz zabrać czegoś rozrywkowego? Ciągle ten pseudofilozoficzny bełkot, zwariować można. Nie możesz uprościć sobie życia zamiast je komplikować? Spójrz na nich. – Mrugnął okiem i wskazał głową za siebie. – Można?

W końcowej części autokaru znajdowały się dwa stoliki, naprzeciw siebie, po dwóch stronach przejścia, każdy z czterema fotelami, z czego dwa były ustawione tyłem do kierunku jazdy. Zajmowali je karciarze. Na lewym stoliku toczyła się rozgrywka w kierki, na prawym w pokera. Oczywiście wokół siedzieli starsi zawodnicy, którzy obserwowali grę, popijając piwo i rzucając od czasu do czasu uszczypliwe komentarze. Ekipa od kierek często się zmieniała, nie miała stałego składu, grali ci, którzy akurat mieli ochotę. Za to pokerzyści spotykali się praktycznie w tym samym składzie osobowym, jedyne zmiany zachodziły, gdy któryś z nich łapał kontuzję albo nadmierną liczbę kartek i musiał pauzować.

Kilka lat temu zdarzyło się nawet, że i ja zaliczyłem z nimi kilka sesji, ale było to na samym początku pobytu pokerzystów w klubie, gdy jeszcze dobrze ich nie poznałem, choć zaklasyfikowałem jako potencjalnych „dawców”. Później już unikałem jak ognia tych rozgrywek, i to nie dlatego, że znienawidziłem pokera – raczej z litości, by nie zabierać im ostatnich pieniędzy, gdy w klubie nie płacą. Choć kusiło mnie, by ich ograć, oj, kusiło.

Przy stoliku pokerowym otoczonym wianuszkiem widzów siedzieli Rogal, Piesek, Babka i Jabol. Czasem, znużony długą podróżą albo nudną lekturą, przyglądałem się, jak grają. Z boku zawsze łatwiej ocenić innych graczy, poznać ich słabe i mocne strony.

Jabola znałem najsłabiej, przyszedł do nas zimą, w przerwie między rundami. Przez ostatnie trzy lata wędrował między klubami, nigdzie nie mogąc zagrzać miejsca, co było dziwne, zważywszy na to, że na boisku prezentował się świetnie. Był niskim, krępym, silnie zbudowanym piłkarzem, trudnym do przepchnięcia, a co najważniejsze – bramkostrzelnym. Jego znanym boiskowym zagraniem była tak zwana

zastawka na walizkę. Umiał tak ustawiać się w stosunku do piłki, że wypiętym tyłkiem blokował obrońcę i pomagając sobie ramieniem, niemal go przestawiał, zyskując w ten sposób lepszą pozycję do strzału. Był niski, ale barki miał węższe od bioder (stąd to porównanie do walizki), a do tego małą głowę ostrzyżoną na jeża. Cała jego postać przypominała kształtem butelkę, więc i ksywka Jabol pasowała do niego jak ulał, choć nosił ją nie tylko z racji nazwiska i figury, ale też nałogu.

Chodziły słuchy – jak się przekonaliśmy, prawdziwe – że żaden klub nie chciał go zatrzymać ze względu na to, że jest alkoholikiem. Szybko się go pozbywano, bo chciano na nim zarobić, zanim stoczy się całkowicie do rynsztoka i nie będzie chętnych na jego kupno. I tak Mariusz Jabłoński wędrował przez kilka lat z klubu do klubu, w każdym strzelając po trochę bramek i po kilku miesiącach (i paru wyciszonych ekscesach alkoholowych) musiał się pakować i przeprowadzać do innego miasta.

Zabawnie było obserwować, jak chłopaki rżną w karty. Ubrani w takie same dresy i niebieskie koszulki klubowe, wyglądali jak figurki. Różnili się jednak nie tylko fryzurami, ale i zachowaniem przy stole, charakterami i temperamentem. Grali w odmianę amerykańskiego pokera zwaną Texas Hold’em. Każdy dostawał do ręki po dwie karty, później na stole pojawiał się flop, czyli trzy odkryte karty i kolejno jeszcze dwie. Pojawianie się karty zawsze poprzedzała licytacja. Wygrywał ten, kto z dwóch kart w ręku i pięciu na stole złożył najsilniejszy układ.

Jabol siedział rozluźniony przy oknie, oparty o szybę, na co miał pewnie wpływ opróżniony już drugi bidon zabrany maserowi, do którego dolewał sobie po kryjomu wódkę. Na małej główce miał ciemne okulary, za pomocą których chciał raczej ukryć worki pod oczami i szklany wzrok niż bronić się przed odgadnięciem, jak silne dostał karty. Nosił te bryle non stop, zdejmował je tylko podczas codziennej inspekcji Wrzaskuna, który bacznie lustrował wszystkich przed treningiem.

Jabol był nieprzewidywalnym graczem, mam wrażenie, że czasem sam nie wiedział, jaką ma kartę, ale jakimś cudem jego bilans zysków i strat oscylował zazwyczaj wokół zera. Wygraną i przegraną przyjmował zawsze w taki sam sposób, bez wielkich emocji. Sięgał tylko spokojnie po bidon i pociągał długi łyk, aż podskakiwało mu jabłko Adama, i mlaskał ze smakiem, jakby poker był jedynie pretekstem, a głównym punktem programu – łyk wódki zmieszanej z napojem izotonicznym.

– Co ty tak ciągle siorbiesz? – dopytywał się Babicki. – Daj spróbować.

Jabol szybkim ruchem odsunął bidon poza zasięg rąk Babki.

– Odżywka. Nie widać? Jak się zapieprza w czasie meczu, to trzeba uzupełnić elektrolity. Idź do Wojtka, to ci naleje.

Obok niego siedział Piesek, skulony nerwowo na brzegu fotela. Łokcie trzymał blisko siebie, jedną ręką bawił się kosmykiem blond włosów. Co chwila odchylał rąbek swoich dwóch kart leżących na stole, jakby się bał, że ktoś mu je podmienił, albo by się upewnić, że dobrze je zapamiętał. Kolana też trzymał złączone i co kilka minut kopał Jabola, który prawie leżąc, wpychał nogi pod jego fotel.

– Za… za… zabieraj te konary… Już nawet skarpety ca… ca… capią ci wódą.

– Zawsze możesz podnieść nogę i siknąć krystalicznie żółtym strumieniem, będzie czuć psem – odgryzł się Jabol.

Piesek był kiepskim graczem, strachliwym i nerwowym, typem „murarza”, który nie uczestniczy w grze, tylko czeka na układ praktycznie nie do pobicia. W związku z tym był bardzo przewidywalny i gdy atakował, wszyscy zrzucali karty.

Do najciekawszych scen dochodziło, gdy przyczajony Piesek, mając silny układ, podbijał, a pijany Jabol, mimo minimalnych widoków na zwycięstwo, dokładał do puli i pokazywała się akurat ta jedna jedyna karta w talii, która dawała mu wygraną. Widok trzęsącego się Pieska, podskakującego między siedzeniami i wyzywającego Jabola, wywoływał powszechną wesołość.

– Ku… ku… kurwa, dwa, sie… sie… siedem? Jak mogłeś s… sprawdzić podbicie z takim g… gównem w ręku?

– Miałem czutkę – odpowiadał ze stoickim spokojem Jabol.

– Czu… czu… czutkę? Na turnie też miałeś czutkę? Kurwa, dwie karty w talii dają kutasowi zwycięstwo, no… i pokazuje się ta pie… pie… pierdolona siódemka – pieklił się, gdy wszyscy wokół głośno rechotali.

– A skąd wiesz, co spadnie? – pytał Jabol z uśmiechem, zgarniając żetony, jakby ta niewiedza usprawiedliwiała każdą decyzję przy stole.

Babka dużo gadał na różne tematy, chciał sprawiać wrażenie luzaka, lekkoducha, który pozornie nie zwraca uwagi na grę. Dowcipkował, lecz w rzeczywistości był bardzo czujny. Cały czas uśmiechnięty, ze swadą snuł swoje opowieści i tylko nerwowo poruszające się oczy i wzrok skaczący od gracza do gracza wskazywały, że jest w pełni skoncentrowany i obserwuje, co się dzieje na stole. Lubił się angażować w mocno ryzykowne rozdania,

ale zachowywał zazwyczaj trzeźwą ocenę sytuacji i potrafił nawet wycofać się z puli, w którą dużo zainwestował, jeśli wyczuł zagrożenie.

Po wygranych partiach uwielbiał nabijać się z pokonanych. Wręcz szydził z ich wiary w mało prawdopodobne zwycięstwo.

– Jak nie umiesz, to, kurwa, nie graj. Witamy w klubie dawców. Grałeś w to, kurwa, kiedyś? Pamiętaj, as i król to karta „drołująca”, to jest nic, jeśli nie trafisz stołu.

Takie rzeczy jeszcze bardziej wkurzały innych graczy; Jabol kwitował je łykiem z bidonu, Piesek wstawał i zaczynał chodzić nerwowo wzdłuż siedzeń, a Rogal tylko zgrzytał zębami.

Jak mówiłem, nasz bramkarz był potężnym facetem, ledwo mieścił się w fotelu, wciśnięty między oparcie a stół, z łokciami na blacie. Dres leżał na nim, jakby był dwa numery za mały i miał lada chwila rozerwać się przy najdrobniejszym ruchu. Głowę Rogal trzymał podpartą na ogromnej dłoni, którą specjalnie zasłaniał prawie całą twarz, by ukryć ewentualne problemy z zachowaniem kamiennej miny. Łypał tylko spomiędzy palców posępnym wzrokiem na innych graczy, potwornie przy tym świszcząc.

– Chcesz tlenu? Podłączyć cię pod respirator? – dopytywał Jabol. – Czuję się jak na oddziale intensywnej terapii. Wiesz, że jak nie odsuniesz tej łopaty od twarzy, to się nie dotlenisz i obumrą ci te ostatnie szare komórki, które właśnie dogorywają.

Rogal zmieniał tylko rękę i dalej sapał, jakby specjalnie chciał zdenerwować resztę. Był dobrym graczem, czasem agresywnym, niełatwo było go wystraszyć, wyrzucić z rozdania. Często zmieniał sposoby rozegrania partii, nie był jednostajny, a co za tym szło, bardzo trudno było go „przeczytać”, przewidzieć, co zrobi, a jeszcze trudniej – prawidłowo ocenić siłę jego kart. Wszyscy znali jego wybuchowy charakter, więc pojedynek z nim zawsze obarczony był dodatkowym ryzykiem.

Generalnie przy kartach panował nad sobą dużo bardziej niż na co dzień, lecz gdy wybuchał, bywało niebezpiecznie. Zdarzyło się, że Piesek „złamał” mu asy jakąś niską parą i później musiał uciekać na przód autokaru, a na Rogalu wisiało trzech piłkarzy. Innym razem wyrwał z podłogi stolik, bo komuś doszedł „runer, runer” strit.

– Poker to taka, kurwa, prosta gra – tłumaczył Babka – i tak naprawdę to mało w niej, kurwa, emocji, a więcej matematyki. Wpływ na podjęte decyzje powinna mieć, kurwa, procentowa szansa na pojawienie się kart,

które dają, kurwa, zwycięstwo, przy jednoczesnym prawidłowym oszacowaniu siły kart przeciwnika.

Piesek gapił się na niego z otwartymi ustami.

– Czym więcej, kurwa, kart gwarantuje silny układ, tym więcej inwestujesz w pulę, ot i, kurwa, recepta na sukces – kontynuował Babka. – Statystycznie w dłuższym okresie taki sposób gry gwarantuje zwycięstwo. Jeśli będziesz, kurwa, konsekwentnie go realizował, unikał błędów, to wygrana murowana.

– D… d… dłuższy okres czasu to znaczy ile? Dwa miesiące? P… pięć lat? – dopytywał Piesek.

– A myślałem, że znasz, kurwa, tylko jeden, kurwa, okres: podpaskowy – włączył się w dyskusję Jabol. – Posłuchaj, Reksio, ja ci to wytłumaczę. Zawsze masz pięćdziesiąt procent szans: albo wygrasz, albo przegrasz. A reszta to pierdolenie mające dać hazardzistom złudne poczucie jakiejkolwiek kontroli nad grą, teoria mająca zachęcić do poksa jak najwięcej frajerów, którzy potulnie oddadzą swój szmal. To jest recepta na sukces.

– To po co grasz, mądralo? – odezwał się Rogal.

– Gram? Nudzę się. Rozdawaj.

Podnosił bidon do ust, opierał się o szybę i grali dalej.

Moim poglądom na pokera było zdecydowanie bliżej do opinii Babki niż Jabola, lecz w trakcie czarnych serii, gdy przegrywałem hurtowo rozdania, w których przeciwnik miał tylko kilka procent szans na wygraną, albo gdy wściekły po porażce podejmowałem kretyńskie decyzje, ku mojemu zaskoczeniu dające zwycięstwo, wiedziałem, że w słowach Jabola kryje się dużo prawdy. To trochę jak z piłką. Analizy, statystyki, strategie, taktyki, ustawienia, a i tak wygrywa ten, kto trafi w bramkę, a nie uderzy w trybuny, ten, kto jest szybszy, silniejszy, wytrzymalszy niż przeciwnik. To proste: masz taki wynik, jaką dysponujesz kartą czy składem.

Gdy się nad tym zastanowić, to poker, sposób, w jaki grały w niego poszczególne chłopaki z zespołu, bardzo trafnie obrazuje stosunki w drużynie, nieuczciwość, wybiórcze stosowanie zasad w zależności od potrzeb. Czy wiedza, że kumpel usiłuje mnie oszukać, i moja zgoda na to, powoduje, że jest to uczciwe oszustwo? Czy może nie jest to oszustwo? A więc jaka jest liga, skoro wszyscy wiedzą, co się w niej dzieje? Uczciwa? Najłatwiejsza, najskuteczniejsza i co ważne – niezauważalna jest zmiana, do której dochodzi bardzo powoli. Najpierw akceptuje się zasady pokera,

potem idzie się dalej. Ktoś uczciwy zmienia się w oszusta, gracza w… No właśnie, w kogo?

Nie zdążyliśmy jeszcze opuścić Szczecina. Gdy przejeżdżaliśmy remontowany odcinek drogi na przedmieściach, kierowca zmniejszył prędkość i zaczął hamować przed sznurem aut stojących przy sygnalizatorze z czerwonym światłem. Akurat wstałem, chcąc poprzyglądać się grze. I właśnie wtedy pierwszy kamień uderzył tuż za mną w szybę, a ta rozprysnęła się na setki kawałków. Zamarłem, kompletnie zdezorientowany. Dopiero gdy następny kamień rozbił kolejną szybę i uderzył Mirka Skowrońskiego w głowę, skuliłem się ze strachu.

– Na ziemię! – wrzasnąłem.

Zanim sam wylądowałem na czworakach, kątem oka dostrzegłem kilka sylwetek w zielonych bluzach Pomorza, które ciskały kamienie z odległości kilkunastu metrów. Tuż obok drogi leżały sterty żwiru i kamieni, pewnie zgromadzone tam do remontu nawierzchni, które teraz posłużyły za magazyn amunicji. Staliśmy się łatwym celem, autokar ledwo się toczył, odległość była niewielka, więc kibole bez trudu trafiali w nas niczym w tarczę strzelniczą.

Wszyscy momentalnie padli na podłogę, nakrywając głowy ramionami. Wokół latały kamienie i sypało się szkło. W tylnej części autokaru, przy stolikach graczy, było tak ciasno, że na podłodze brakowało miejsca. Babka i Piesek wcisnęli się pod stoły, reszta leżała jeden na drugim w wąskim przejściu między fotelami. Pochyliłem głowę i przysunąłem ją jak najbliżej siedzenia. Tuż obok widziałem zakrwawioną twarz Mirka i jego pełne przerażenia oczy.

Odwróciłem się ku przodowi auta i zacząłem nerwowo posuwać się między fotelami. Wszędzie było pełno szkła, podłoga usiana była też różnej wielkości kamieniami.

– Jedź, kurwa! Nie zwalniaj – krzyknąłem do kierowcy.

Nie wiem, czy zagłuszyły mnie uderzenia kamieni, czy kierowca nie słyszał, co wrzeszczę. Po chwili nie miało to już zresztą znaczenia, bo ujrzałem, jak spada z fotela, trzymając się za głowę. Czułem pod dłońmi i kolanami ostre odłamki szkła, mimo to parłem naprzód, brnąc przez wystające spomiędzy foteli nogi skulonych piłkarzy. Przy pierwszym siedzeniu minąłem trenera, który leżał na plecach i zasłaniał się torbą jak tarczą. Kierowca, jęcząc, trzymał się za czoło, spomiędzy palców ciekła mu

krew. Na szczęście silnik wciąż cicho pracował na jałowym biegu. Wokół w dalszym ciągu bębniły kamienie.

– Wstawaj, musimy odjechać! – krzyknąłem, usiłując podnieść oszołomionego mężczyznę.

Spojrzał na mnie zdezorientowany, nie rozumiejąc, czego od niego chcę. Odepchnąłem go, wskoczyłem na fotel kierowcy, wrzuciłem bieg, aż zazgrzytała skrzynia biegów, wcisnąłem pedał gazu – silnik zawył na wysokich obrotach – i ruszyłem pod prąd. Przejeżdżając skrzyżowanie na czerwonym świetle, kilkakrotnie nacisnąłem klakson, który zabrzmiał jak syrena tonącego okrętu. Po kilku kilometrach zatrzymałem się w zatoczce autobusowej. Ręce mi się trzęsły. Oddychałem głęboko, jakbym cały ten dystans przebiegł, a nie przejechał.

Autokar był w opłakanym stanie. Po lewej stronie nie ostała się ani jedna cała szyba, tych kilka, które trzymały się w ramach, w każdej chwili mogło wypaść. Karoseria, w wielu miejscach powgniatana uderzeniami większych kamieni i upstrzona cętkami odpryśniętego lakieru, wyglądała jak powierzchnia Księżyca. Na szczęście oprócz Mirka i kierowcy nikomu nie stało się nic poważnego. Było trochę drobnych skaleczeń i obtarć, więc doktor z masażystą opatrzyli poszkodowanych, Mirkowi i kierowcy założyli po kilka szwów i pojechaliśmy dalej. Była niedziela wieczór, o tej porze nie dało się zamówić innego autokaru, więc szefostwo uznało, że nie będziemy tu sterczeć, aż zostaną załatwione wszystkie formalności. Kierownik zgłosił telefonicznie zajście na policji, a resztą miał się zająć następnego dnia. Wszyscy poubierali się, w co tylko mogli, powyciągali z toreb dresy i ręczniki, poowijali się nimi i powoli turlaliśmy się do domu.

– Tam by… by… byli też nasi – odezwał się Piesek. – Widziałem n… niebieskie bluzy.

– Trzeba, kurwa, zadzwonić do Tarpana, niech coś z tym zrobi – rzucił Babicki. – Panuje nad nimi czy nie? Pojebało im się, kurwa, w głowach.

– T… T… Tarpan też rzucał – dodał Piesek. – Widziałem.

Wszyscy zamilkli, mając świadomość, co ta informacja może dla nas znaczyć.

– Pierdolona kibolska przyjaźń – stwierdził Rogal. Trafił w sedno.

Jabol podniósł bidon do ust i pociągnął długi łyk.

– Ta, przyjaźń, akurat. Interesy wspólne robią, trzepią kasiorę, to ich łączy, a nie miłość do barw klubowych.

– Byłby, kurwa, remis, nie byłoby problemu – mruknął Babka, zerkając w moją stronę.

Tarpan, a właściwie Marek Tarpiński, był szefem kibiców. Chociaż „szef” to złe określenie, bo w tak luźnej grupie hierarchia miała charakter umowny. Dowodził dopingiem w czasie meczów (na zmianę z Kredensem) i cieszył się dużym poważaniem wśród kiboli. Choć nie mógł wydawać rozkazów, to miał na tyle duży autorytet, że zazwyczaj i tak robili to, co chciał. Respekt zdobył sobie wyczynami na wyjazdowych meczach i podczas ustawek. Sławny mityng w Nadarzynie to jego dzieło, kibole Zorzy do dziś zgrzytają zębami na to wspomnienie, bo Tarpan podobno w pojedynkę zdemolował sześciu poznaniaków.

Kilka dni przed meczem próbował namówić mnie i – jak się domyślam – pewnie jeszcze kilku innych piłkarzy, byśmy zremisowali mecz z Pomorzem. Obydwie grupy kibiców od lat żyły ze sobą w przyjaźni, wspierały się w dopingu na innych stadionach, słowem, była to wielka miłość międzyklubowa. Tarpan wymyślił sobie, że mając trzy punkty przewagi nad Zorzą, a w perspektywie dwa niemal pewne zwycięstwa w ostatnich meczach z Białą i ze Sternikiem, moglibyśmy oddać punkt Pomorzu, które walczyło o miejsce premiowane udziałem w europejskich pucharach. Zakładając, że Zorza mecz swój wygra, dalej mielibyśmy nad nią punkt przewagi, praktycznie pewny tytuł mistrza Polski, a do tego zdobylibyśmy dozgonną wdzięczność kibiców Pomorza. Powiedziałem mu jednak bez namysłu, żeby się pierdolił, bo nigdy nie oddawałem i nie zamierzam oddawać punktów, czy to za darmo, czy za coś, a zaprzyjaźnione kluby nie są wyjątkiem i nawet sama propozycja budzi mój niesmak. Poza tym nie mieściło mi się w głowie, że kibice chcieli, by ich drużyna nie wygrała meczu.

Najpierw go zatkało, potem lekko się napompował, na twarzy pojawiły mu się barwy wojenne i zaczął mi tłumaczyć, że nie oddajemy punktów (użył właśnie liczby mnogiej), tylko gramy ostrożnie i niekoniecznie chcemy zaryzykować wymianę ciosów. Jako że rozmawialiśmy tuż przed wyjazdem do Szczecina i staliśmy na parkingu pełnym dziennikarzy, nie mógł w pełni demonstrować, jaki jest wściekły, więc odwrócił się na pięcie i odszedł. Myślałem, że temat upadł, lecz w drodze powrotnej okazało się, że jednak nie. Wiedziałem, że taplam się w gównie po kolana, ale raptem okazało się, że zawartość kloaki sięga mi już do pasa.

3

Dzwonecki to nie najszczęśliwsze nazwisko w piłkarskiej szatni. Nie będę opisywał siebie, niech wystarczy stwierdzenie, że nie byłem najpiękniejszym chłopcem. Pierwsze przezwiska nawiązujące do mojego wyglądu i nazwiska pojawiły się bardzo szybko, bo już w trampkarzach. Dzwonek, Quasimodo czy też Zygmunt były na porządku dziennym. Początkowo się denerwowałem, walczyłem z wiatrakami, a co za tym idzie – zaliczałem wiele siniaków, potem jednak przywykłem.

Urodziłem się na Mazurach, w Borowcu, obskurnym miasteczku, gdzie źródłem utrzymania piętnastu tysięcy mieszkańców była cukrownia albo rolnictwo. Były to czasy rozkwitu socjalizmu: wszystko należało do wszystkich, nic do nikogo, co wasze, to nasze, co państwowe, to można kraść. Mój ojciec, Zbigniew, po pracy (oczywiście w cukrowni, w której spędzał za biurkiem osiem godzin, wypełniając papiery) zajmował się urzeczywistnianiem swego największego marzenia – chciał zrobić z jednego ze swoich synów piłkarską gwiazdę. Ciągał nas więc na stadion, jeszcze bardziej obskurny od samego miasta, oddawał pod skrzydła miejscowego trenera LZS-u Borowiec i sterczał przy linii, komentując każde ćwiczenie i zagranie swoich latorośli. Nie milkł nawet na chwilę, jakby uważał, że słowo to utrwalacz, który spowoduje, że jego syn zapamięta, co i jak ma robić na boisku. Nawet gdy biegł po piłkę kopniętą nad pobliską rzekę, i tak słychać było jego wrzaskliwe uwagi. „Nie widzisz, gdzie się kończy boisko? Okulary przynieść? Skoncentrujta sie! Nie bede latał za gałą jak…” – jazgotał, przedzierając się przez krzaki oddzielające plac gry od wody. „Tera. Szybciej, graj! Na co czekasz, ćmucie jeden? Graj piłką, no co robisz? Szeroko!” – wydzierał się, stojąc za linią boczną.

Trener i zawodnicy byli już oswojeni z tym ciągłym słowotokiem, który czasem, gdy ojciec był w złym humorze, robił się agresywny. Nikt nie wchodził z nim w polemikę, wszyscy puszczali mimo uszu nawet obraźliwe słowa. Najgorzej było na meczach. Gdy wynik był niekorzystny dla naszej drużyny, ojciec wpadał w szał, darł się przy linii, wyzywając wszystkich, z sędzią i trenerem przeciwników włącznie, kłócił się z piłkarzami rywala.

Pamiętam pewien mecz ze Spartą Sobiechów; miałem wtedy może czternaście lat, przegrywaliśmy 0:2. W pewnym momencie zakotłowało się

przy linii bocznej. Sędzia przerwał spotkanie. Gdy zbiegłem do boku, zobaczyłem ojca trzymającego wielkiego obcego faceta. Obaj byli zakrwawieni i ciężko dyszeli. Ojcu krew lała się strumieniem z rozbitego nosa, tworząc czerwony wzór na białej koszuli przeciwnika. Zbigniew przylgnął do tułowia adwersarza, jedną rękę trzymał za plecami mężczyzny, przyklejając się do niego i wciskając głowę pod jego pachę, drugą wymachiwał, próbując zadać cios, raz w nerki, raz w głowę. Facet usiłował go odepchnąć, ale jednocześnie opędzał się od razów ojca, więc miał z tym problem.

Później się dowiedziałem, że wszystko zaczęło się od nieodgwizdanego faulu. Sędzia puścił grę, ojciec się na niego wydarł, kibic (tatuś piłkarza, który faulował albo nie faulował) stanął w obronie sędziego. Od słowa do krzyku skończyło się ciosem w twarz Zbigniewa, który upadł zaskoczony, ale szybko się podniósł i zaatakował. Drugi cios rozkwasił mu nos, powodując obfite krwawienie. Ojciec się jednak nie poddał, ponownie ruszył na dużo większego mężczyznę. Zmienił taktykę, uchylił się przed zmierzającą w jego kierunku pięścią, skrócił dystans i zaatakował bykiem, przylgnął do przeciwnika, próbując okładać go pięściami. Gdy w końcu ich rozdzielili, dalej się wyrywał, próbując dokończyć przerwaną walkę. Usta mu się nie zamykały, prowokował rywala, wyzywając go od pedałów.

O dziwo, udało nam się zremisować ten mecz; bokserska przerwa spowodowała, że otrząsnęliśmy się z letargu, zaczęliśmy grać lepiej i odrobiliśmy straty.

– Widzisz – mówił po spotkaniu ojciec, przytrzymując trzęsącymi się rękami chusteczkę przy nosie – trza walczyć do końca. Nigdy, przenigdy się nie poddawaj, konsekwentnie dąż do celu, to zawsze przyniesie efekt, choćby przeciwnik miał przewagę.

Akurat tego dnia miał rację.

Będąc niespełnionym graczem, za wszelką cenę próbował, jako się rzekło, wychować jednego ze swoich czterech synów na piłkarza. I to nie byle jakiego. Mierzył wysoko, bo w superligę. Zabierał nas od małego na treningi, czy tego chcieliśmy, czy nie. Alternatywą było przesiadywanie z mamą na wieczornej mszy. (O ile w tygodniu trening był traktowany jako usprawiedliwienie nieobecności w kościele, to w niedzielę nie było przebacz, każdy z nas musiał się zameldować na mszy). Ojciec nie miał więc większego problemu, żeby namówić nas na trening, przynajmniej na

początku. Bo i co innego można było robić w takiej mieścinie? O komputerach i komórkach nikt wtedy nie słyszał. Latem jedyną rozrywką były popisy na przepompowni przed dziewczynami opalającymi się w kostiumach kąpielowych. Skoki na główkę z betonowych przegród, wrzucanie dziewczyn do wody, wyścigi pływackie i podtapianie kumpli, czyli standardowe lokalne rozrywki. Zimą atrakcją stawała się pobliska górka, pod warunkiem oczywiście, że był śnieg, a szkolne boisko pełniło funkcję miejskiej ślizgawki. Poza tym jednak panowała bezbrzeżna nuda.

Ojciec był skoncentrowany na wychowaniu piłkarza doskonałego, mama natomiast namiętnie zajmowała się robieniem z nas porządnych ludzi. Wiązało się to z jak najczęstszym chodzeniem do kościoła i wymogiem bezwzględnej uczciwości. Nie tolerowała kłamstwa w żadnej formie, do furii doprowadzał ją nawet cień podejrzenia, że mijamy się z prawdą. Przeprowadzała wtedy dokładne śledztwo, by odkryć kulisy zbrodni i ukarać winowajcę. Do dziś pamiętam wstyd, gdy po wyjściu ze sklepu zauważyła pod domem, że „pożyczyłem” sobie dwa cukierki. Drałowaliśmy z powrotem przez całe miasto, bym mógł je zwrócić zdziwionej ekspedientce, która ze śmiechem machała ręką, bagatelizując całe zajście. Wyglądało to tak: ja czerwony jak burak ze wstydu, mama z przejęciem udzielająca mi jednej z najważniejszych życiowych lekcji i śmiejąca się w głos sprzedawczyni.

Ojciec i matka mieli bardzo zbliżone charaktery, „wulkanopodobne”, jak to określaliśmy. Jedno i drugie nie zastanawiało się dwa razy, oboje woleli działać niż myśleć. Stąd szybkie, nerwowe ruchy i furia, gdy coś szło nie po ich myśli. Ich kłótnie były wprost legendarne. Niczego nie zamiatali pod dywan, jeśli mieli coś na wątrobie, to wiedział o tym cały blok. Zamykali się w kuchni i zza drzwi dobiegał nas tylko wrzask i hałas wywołany przez latające garnki i talerze.

Mirek brał mnie wtedy za rękę, chowaliśmy się pod łóżkiem w sypialni i z niepokojem czekaliśmy, aż burza minie. Za każdym razem obiecywaliśmy sobie, że nigdy się tacy nie staniemy, że nie będziemy się wydzierać, bić i rzucać czym popadnie. Awantury nie zdarzały się może bardzo często, ale spędziliśmy pod łóżkiem wystarczająco dużo czasu, bym utrwalił w sobie postanowienie, że niezależnie od okoliczności będę umiał się powściągnąć, i dlatego w dorosłym życiu bardzo rzadko traciłem panowanie nad sobą. Ubocznym efektem była moja skrytość.

Gdy w kuchni zapadała cisza i drzwi się otwierały, świat wracał do normy. Nikt nic nie próbował wyjaśniać – przecież pogody się nie tłumaczy, jak pada, to pada i już. Dom zaczynał znowu funkcjonować, rodzice wracali do swoich zajęć jakby nigdy nic, potem omijali się przez jakiś czas, a na koniec następował etap wzmożonej uprzejmości względem siebie, jakby chcieli zatuszować całe zajście.

W jednym rodzice byli zgodni – wspólnie wpajali dzieciom, że najważniejsza jest konsekwencja. Słowo klucz, które otwierało w życiu, a szczególnie w naszym domu, wszystkie drzwi. Na jego dźwięk nasi rodzice rzucali to, czym akurat się zajmowali, i zaczynali słuchać z zainteresowaniem i pochwałą w oczach. Konsekwencja w codziennym chodzeniu do kościoła, konsekwencja w wytrwałym treningu, konsekwentna modlitwa, konsekwentne powtarzanie do znudzenia ćwiczenia sprawiającego trudność… Konsekwencja musiała w końcu przynieść efekty. Konsekwencja zawsze daje efekty, wszystko to tylko kwestia cierpliwości i wytrwałości. Głęboko w to wierzyli i usiłowali za wszelką cenę w nas tę wiarę zaszczepić.

Od małego obserwowałem starania Zbigniewa. Gdy ojciec rozgrywał swoje mecze, a potem komentował zza linii zagrania moich starszych braci, zawsze byłem tuż obok, jako brzdąc szwendałem się za linią boczną. Pamiętam moment, kiedy podjąłem decyzję, że także zostanę piłkarzem. Miałem może z sześć lat, gdy pewnego dnia poszedłem z ojcem na bazar, na który rolnicy zjeżdżali się z okolicznych wiosek. Handlowali, czym się dało. Rżące konie przy furmankach, z założonymi na głowach workami z owsem, przypominały mi stwory z koszmarów sennych. Mężczyźni o ogorzałych twarzach, w fufajkach, z batem w ręku, końskie odchody na bruku. Krowy, świnie w drewnianych skrzyniach, kury, tuż obok sery, mleko i tłum ludzi ze szmacianymi torbami w kwiaty, z dwoma plastikowymi rączkami. Wokół rwetes i krzyki kłócących się handlarzy zmieszane z odgłosami zwierząt. Staliśmy w kolejce, ojciec szturchnął mnie i wskazując postać przed nami, powiedział:

– Zobacz, to najlepszy piłkarz w Borowcu.

Przed nami stał młody, wysoki człowiek w dzwonach i koszuli z szerokim kołnierzem, a jakaś ładna kobieta w białych kozakach do kolana trzymała go za rękę. Zapamiętałem to, bo zastanawiałem się, jak jej się udało nie ubrudzić w łajnie tych bucików. Sprzedawca zaczął wyciągać jajka z pojemnika, stolik stał na nierównym bruku, jedno z jajek zaczęło się

toczyć, a gdy było tuż przy krawędzi, kobieta krzyknęła: „Jurek!”. Gdy zmierzało już prosto na bruk, chłopak błyskawicznie uniósł nogę i zamortyzował upadek. Zareagował odruchowo, przyjął je jak piłkę na boisku, uniósł nogę i szybko opuścił, a jajko stoczyło się bezpiecznie na ulicę.

– Chociaż raz ta twoja piłka się do czegoś przydała – skomentowała sytuację kobieta.

Stałem z otwartą buzią i gapiłem się jak zahipnotyzowany na uśmiechniętego chłopaka. Później po kryjomu próbowałem kilka razy powtórzyć w domu ten wyczyn, ale nigdy mi się to nie udało. Musiałem zarzucić próby, gdy mama zarządziła śledztwo w sprawie znikających jaj.

Uwielbiałem ruch, działanie. Bieganie z treningu na trening, z koszykówki na piłkę nożną, było dla mnie czymś najnormalniejszym w świecie, czułem się w takiej rzeczywistości jak ryba w wodzie, chyba nie umiałbym bez tego żyć. W grze się spełniałem, z łatwością przychodziło mi to, o co koledzy musieli się mozolnie starać. Nie zastanawiałem się, co mam robić, po prostu to robiłem i wychodziło mi świetnie. Przynajmniej do momentu, gdy zderzyłem się z pierwszym koszmarnym błędem. „Zderzyłem się” to dobre określenie, bo było to jak potężny cios obuchem.

Już w Centrum, w meczu superligi z Gwardią, który oglądało kilka tysięcy widzów, zagrałem do tyłu, do naszego bramkarza. Zrobiłem to jednak za lekko, przeciwnik przechwycił piłkę i wjechał z nią do bramki. Przegraliśmy mecz 0:1, po moim babolu! Nie wiedziałem, czy mam uciekać z boiska, czy zapaść się pod ziemię. Pierwszy raz odczułem presję otoczenia, kibiców, kolegów z drużyny, trenera. Namacalnie, fizycznie przygniotła mnie do ziemi. Od tego momentu przez długi czas robiłem wszystko, jakbym miał nadwagę, na treningach i w czasie meczów grałem z balastem, ciążyła mi świadomość, że mogę popełnić błąd.

Piłka nożna nie była już dla mnie taka sama. Uruchomiły się we mnie kalkulacja i wahanie, paraliżujący strach, wyobraźnia. Straciłem kilka lat, zanim wróciłem na odpowiednie tory, zanim znowu zacząłem myśleć i grać jak wcześniej. To był chyba moment, kiedy przestałem kochać to, co robię.

Jeszcze w juniorach grałem jako napastnik, strzelałem mnóstwo bramek, przewyższałem rówieśników w każdym elemencie piłkarskim, ale w dorosłej piłce – a w drużynie seniorów zadebiutowałem jako szesnastolatek – trenerzy zaczęli mnie cofać, najpierw na prawą pomoc,

potem na prawą obronę. Gdy jako nastolatek zadomowiłem się w pierwszym składzie drużyny seniorów, dostrzegł mnie ktoś ze związku okręgowego. Szybko zacząłem jeździć na zgrupowania kadry województwa, w rozgrywkach imienia Michałowicza zaszliśmy dość wysoko i dostałem pierwsze powołanie do reprezentacji kraju do lat osiemnastu. Ojciec był wniebowzięty, tak jak i mama. Szczególnie dlatego, że był to w ich oczach triumf konsekwencji.

W „Kurierze Sportowym", ogólnopolskim dzienniku, zostałem sklasyfikowany na trzecim miejscu w rankingu najbardziej obiecujących młodych bocznych obrońców. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Objawiła się siła mediów. Pierwszy zgłosił się Stomil i z racji niewielkiej odległości, jaką miałem do Olsztyna, wydawało się, że wyląduję właśnie tam. Ale gdy pojawił się Marek Karczew z Centrum Warszawa, decyzja mogła być tylko jedna.

Ojca rozpierała duma, mamę opanował strach, co czeka jej najmłodszego syna w wielkim mieście. Sam też się bałem wyjazdu, i to bardzo, ale wstydziłem się okazać strach, więc dałem się poprowadzić bezwolnie jak cielę i sprawy związane z przeprowadzką załatwił za mnie ojciec. Pieniądze za transfer ulokował bezpiecznie… w słoiku, w wersalce, część w postaci dolarów, a część w złocie. „Diabli wiedzą, czy nie będzie wojny", mówił. Klub LZS Borowiec dostał dwa komplety strojów meczowych i piętnaście piłek Adidasa, więc prezes sądził, że zrobił interes życia.

I tak jako osiemnastoletni chłopak wylądowałem w szatni superligowego klubu. Jeszcze kilka tygodni wcześniej oglądałem w telewizji dwóch piłkarzy Centrum grających w drużynie narodowej podczas mistrzostw świata, a chwilę potem zostali moimi kolegami z zespołu. Pierwszy kontakt z profesjonalną piłką był dla mnie oszałamiający: wszyscy jednakowo ubrani, nikt się nie spóźnia, dyscyplina w szatni. W Warszawie boiska treningowe były lepsze od głównego w Borowcu, do tego używaliśmy piłek Adidasa, które w czasie deszczu nie zwiększały wagi, mieliśmy też lekkie lanki Copa Mundial, moje ulubione buty do gry w piłkę, produkowane zresztą do dziś.

Szybciej zaaklimatyzowałem się na boisku niż w szatni i w mieście. Praktycznie od początku dostawałem szanse w rozgrywkach, najpierw jako zmiennik, a w końcówce sezonu jako podstawowy obrońca, co było ewenementem w tamtych czasach, przy tak silnej konkurencji. Na boisku rozumiałem się z kolegami doskonale, bez słów wiedziałem, co mam robić,

oni też od razu zauważyli we mnie potencjał na wzmocnienie drużyny i zaakceptowali mnie w zespole.

Poza treningiem raczej stroniłem od towarzystwa. Wyjątkiem był Robert Lipiec, wysoki, chudy chłopak o długich pająkowatych kończynach, z podłużną, końską twarzą i grzywą ciemnych włosów. Grał w Centrum, a gdy przekroczył wiek juniora, jako wyróżniającego się pomocnika włączono go do pierwszej drużyny. Od razu przypadliśmy sobie do gustu; był warszawiakiem, ale typem swojskiego chłopaka, a nie cwaniaczka ze „stolycy". Mieszkał niedaleko hotelu, w którym zakwaterowali mnie na początku, więc pierwsze moje dni w klubie, łącznie z dojazdami, spędzaliśmy razem.

Pamiętam stres, który towarzyszył mi bezustannie przez pierwsze dni pobytu w Warszawie, gdy ramię w ramię z Robkiem Lipcem mijałem bramę klubu. Nie wiedziałem, jak mam zwracać się do starszych zawodników, nie mówiąc już o reprezentantach Polski. Musiałem nauczyć się funkcjonować w nowym środowisku, znaleźć wzorce postępowania. Miałem mówić „proszę pana" do kolegi z drużyny? „Czy mógłby mi pan następnym razem zagrać piłkę mocniej i bardziej na skrzydło? Dziękuję panu". Trochę słabo. Siadałem więc w kącie i nie odzywałem się, za to uważnie wszystkich obserwowałem.

Gdy przyjechałem do Warszawy, klub zainstalował mnie w małym hoteliku na Ochocie, w miarę schludnym i czystym. Podobał mi się, nie byłem wymagający. W końcu czego może oczekiwać chłopak z małej mazurskiej miejscowości? Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że jedynymi gośćmi oprócz mnie byli albo robotnicy z niedalekiej budowy, którzy po fajrancie zaczynali pić na umór i wieńczyli imprezę festiwalem pieśni partyzanckich, albo zawodnicy pobliskiego klubu rugby, których libacje kończyły się dla odmiany awanturami i bijatykami. Bez względu na to, która grupa akurat okupowała korytarz, wieczorami bałem się opuszczać pokój. Zamykałem drzwi na klucz, dostawiałem szafkę pod klamkę i uszczelniałem szpary, żeby choć trochę odciąć się od hałasu, a i tak najskuteczniejsze okazywały się słuchawki i muzyka.

Zresztą po pół roku klub, szukając oszczędności, zaczął mi zmieniać hotele średnio raz na miesiąc, więc gdy wracałem ze zgrupowań kadry młodzieżowej, czasem okazywało się, że nie wiadomo, gdzie są moje rzeczy. Pani w recepcji z miłym uśmiechem informowała mnie, że już

dawno tu nie mieszkam, bo ktoś z klubu pod moją nieobecność zarządził przeprowadzkę.

W mieście też nie czułem się dobrze, byłem wyobcowany, samotny i dlatego co tydzień choć na jeden dzień jechałem do Borowca, by znaleźć azyl w domu rodzinnym. Ponure lata osiemdziesiąte były podobnie ponure w Borowcu i w Warszawie: w sklepach głównie puste półki, zakupy robione na ryneczku, ustawione w kartonowych pudłach kasety VHS ze śnieżącymi hitami z zagranicy. Jedyne mięso, które udawało się kupić, przywoziła do klubu pani Zosia. Miała znajomego masarza i co czwartek ustawialiśmy się w kawiarni klubowej po szynkę czy baleron. Przebojem były flaki zamrożone w półmetrowej sztabie, która ledwo mieściła się w zamrażalniku. Nie miałem tak wielkiego garnka, więc gdy chciałem je podzielić na mniejsze części, używałem do tego piły do metalu.

Po roku moje wizyty u rodziców zaczęły ustawać, głównie ze względu na to, że poznałem Marię. Przez ten czas zdobyłem też zdecydowanie silniejszą pozycję w klubie. Mieliśmy młodą, ambitną drużynę, co prawda niezbyt doświadczoną, ale nadrabiającą brak umiejętności zaangażowaniem. W szatni panowała kapitalna atmosfera, spotykaliśmy się po każdym meczu na tak zwanych obiadówkach, przesiadywaliśmy w wynajętej sali restauracyjnej, starzy i młodzi, razem z całymi rodzinami. Był to jeden z przyjemniejszych okresów w moim piłkarskim życiu; może piłkarsko ten zespół był słabszy od dzisiejszej ekipy, na pewno więcej wtedy piliśmy, ale każdy dałby się pokroić za kumpla z drużyny i przekładało się to na postawę na boisku, na asekurację, współpracę między formacjami, funkcjonowanie zespołu.

Przed bramą klubową często kręciła się grupka gówniarzy. Sterczeli godzinami przy niebieskim ogrodzeniu z grubych metalowych prętów, czasem kopali piłkę na nierównym, ale dość szerokim chodniku z betonowych płyt. Ochroniarz wydzierał się na nich, żeby nie krzyczeli, a kierowcy trąbili, gdy piłka wpadała na ulicę. Czy to przed treningiem, czy po, kilkoro z tych dzieciaków zawsze czekało, choć tak naprawdę nie wiem na co. Wyróżniał się wśród nich Staszek, wysoki jak na swój wiek, chudy dwunastolatek z długimi, przetłuszczonymi włosami, ubrany w znoszone dresy. Skład reszty grupy się zmieniał, lecz Stachu zawsze trwał na stanowisku, gadał z ochroniarzem albo bawił się piłką. Nie wiem, jak godził to ze szkołą, ale faktem jest, że rzadko kiedy brakowało go przed

bramą. Gałę miał starą, poprzecieraną, gdzieniegdzie widać było naderwane łatki niczym odstające uszy młodocianego właściciela. Żonglował nią albo odbijał o ścianę, by zabić nudę, gdy czekał na piłkarzy.

– Ty jesteś ten nowy z Mazur? – spytał mnie, gdy pierwszy raz natknęliśmy się na niego z Lipcem. Zlustrował mnie uważnie.

– A co?

– Muszę sprawdzić, czy będziesz wzmocnieniem.

Absurd tej sytuacji spowodował, że stanąłem jak wryty. Spojrzeliśmy zaskoczeni na siebie, Robert szturchnął mnie i mrugnął okiem. Uśmiechnąłem się.

– Dawaj – rzuciłem do chłopaka – nie wiedziałem, że test będzie jeszcze przed bramą.

– Zaczniemy od czegoś prostego.

Z poważną miną postawił piłkę na asfalcie, cofnął się i z rozbiegu zagrał do mnie. Dobiegł do futbolówki bokiem, robiąc nienaturalny łuk, uderzył wewnętrzną częścią stopy, wyginając ciało w dziwny sposób, pomagał sobie przy tym wysuniętym językiem i ręką, która też się wyginała, jakby miała pomóc nodze ustawić się w odpowiedni sposób. Wyglądało to dość komicznie i na pierwszy rzut oka widziałem, że piłkarza to z niego nie będzie. Później dowiedziałem się, że Staszek usiłował się dostać do drużyn młodzieżowych, ale trenerzy nie mieli sumienia robić mu nadziei i pozbywali się go szybko, każąc mu próbować w innych dyscyplinach.

Przyjąłem piłkę, podbiłem ją, zrobiłem kilka żonglerek i kopnąłem z dropsa, znaczy z szybkiego kozła, prostym podbiciem, z powrotem do Staszka.

– I jak wypadłem? – spytałem, gdy mocno uderzona piłka wyśliznęła mu się z rąk.

– No, bez rewelacji. – Spojrzał na mnie spode łba, pocierając dłonie. – Musisz popracować nad ułożeniem nogi postawnej. Ale na początek może być, będę sprawdzał postępy.

Roześmieliśmy się.

– Jego też sprawdź – wskazałem Lipca – bo wygląda mi na ogórka.

Ponownie kopnął piłkę, Robert udał, że piłka mu odskakuje, i niedokładnie zagrał do chłopaka.

– O, la, la, ciebie to jeszcze czeka tyle pracy, że powinieneś przychodzić do mnie na treningi wyrównawcze. – Chłopak z dezaprobatą machnął ręką i z pełną powagą udzielił Lipcowi porady: – Ale nie martw się, jak będziesz

cierpliwie pracował, to się nauczysz. Pamiętaj, nie wagary, tylko koncekpensja – wyrecytował formułkę usłyszaną pewnie od nauczyciela.

Ten sprawdzian przydatności do drużyny stał się naszym rytuałem, który musiał się odbyć codziennie przed treningiem. Na nasz widok Staszek pędził od bramy, wymienialiśmy kilka podań, trochę gadaliśmy, śmiejąc się i przemierzając parking. I tak prawie codziennie, przez pierwszy rok, gdy Lipiec był jeszcze w klubie. Inni piłkarze naśmiewali się z nas, że tak długo nie możemy zdać egzaminu, a Lipiec odpowiadał, że jesteśmy po prostu koncekpentni. Pozostałe dzieciaki próbowały się wkręcić w tę zabawę, ale sprawdzian był zarezerwowany tylko dla mnie, Lipca i Staszka, nie chcieliśmy do niego dopuszczać nikogo innego.

Potem, po odejściu Roberta do Wandy Kraków, kontynuowaliśmy ten zwyczaj we dwóch. Cały ten teatr do tego stopnia wszedł mi w krew, że w tych rzadkich dniach, gdy Staszka nie było przed klubem, czułem się dziwnie nieswojo i czegoś mi brakowało.

Dowiedziałem się później, że Staszka wychowywała samotnie matka, ledwo wiążąc koniec z końcem. Ojciec zostawił ich, gdy Staszek był mały. Mieszkali niedaleko stadionu, więc dzieciak spędzał mnóstwo czasu przy klubie.

Widok chłopaka poprawiał mi humor, był sygnałem, że wszystko gra i jest na swoim miejscu. Lubiłem gówniarza. Choć wygląda na to, że niekoniecznie polubił nas los. Albo ktoś rzucił na nas klątwę. A może to ja jestem czarną owcą? Repek – mój najbliższy kumpel z ogólniaka – usnął z papierosem w ręku po zabawie sylwestrowej, cały dom się spalił, a on z nim; Lipiec – złamane obydwie kości podudzia z przemieszczeniem, śruby, trzy operacje, rok o kulach; ja – zmiażdżone kolano. Staszka klątwa też nie ominęła. Po dwóch latach naszej znajomości potrącił go pijany kierowca. Złamana miednica, zgruchotane obydwa kolana. W trakcie treningu słyszałem karetkę na sygnale, potem przy bramie długo nikogo nie było.

Odwiedzałem Staszka w szpitalu wielokrotnie. Załamał się. Lekarze straszyli, że będzie miał kłopoty z chodzeniem. Leżał, z ponurą miną gapiąc się w ścianę. Zawsze był szczupły, lecz wtedy wyglądał jak wychudzona szkapa: zapadnięte policzki, worki pod oczami. Trudno było wycisnąć z niego choć słowo. Namówiłem chłopaków, złożyliśmy się, by pokryć koszty rehabilitacji. Żeby go podnieść na duchu, założyłem mu konto w banku. Ustaliliśmy, że co do „koncekpensji” nic się nie zmieniło:

cokolwiek będzie robił, musi to przynieść efekt. Obiecałem co miesiąc wpłacać na to konto określoną kwotę, aż Staszek skończy dwadzieścia lat, pod warunkiem że będzie konsekwentnie dążył do realizacji celu, który sobie założy. To była drobna suma, milion przed denominacją, czyli sto dzisiejszych złotych, ale konto było wtedy wysoko oprocentowane, powyżej dziesięciu procent, znajomy w banku pilnował, żeby w ramach rachunku inwestować też w lokaty i inne produkty bankowe, więc po latach uzbierała się całkiem niezła sumka.

Staszka zobaczyłem pod klubem po kilku miesiącach. Był jeszcze chudszy, rzadziej się uśmiechał, ale dalej zagadywał piłkarzy. Gdy tylko lekarze pozwolili mu obciążać kolana, pojawił się o kulach, z piłką, jakby nigdy nic się nie zdarzyło.

Z rozrzewnieniem wspominam moje początki w Centrum. Wiem, że pamięć przekłamuje, lecz chciałbym znów poczuć ten świeży kontakt z nieznanym, odkrywanym światkiem piłkarskim zamiast znajomego obrzydzenia i codziennej rutyny.

Dziś Wrzaskun jest szkoleniowcem Centrum, a ja trzydziestodwuletnim weteranem, który coraz częściej myśli o swojej przyszłości w roli trenera. Staszek dalej wita mnie czasem przed treningiem, skończył zawodówkę i pracuje jako mechanik w warsztacie. Nie pojawia się już codziennie, mówi, że na tyle nauczyłem się grać w piłkę, że jeden egzamin w tygodniu wystarczy, żebym się nie zapuścił, a ponadto przechodzę przecież na emeryturę, więc potrzebna mi renta, a nie sprawdzian. Odgraża się, że efekt koncekpensji jeszcze mnie zaskoczy. I rzeczywiście tak się stało. Niestety.

4

Emil uwielbiał grać w piłkę, ale nie na boisku. Jak na ośmiolatka był dość niski, drobnej budowy, podobny pod tym względem do matki, miał krótko obcięte ciemne włosy. Wolał spędzać czas przed monitorem niż uganiać się za piłką na podwórku, co, muszę przyznać, było dla mnie dość wygodne: siadał przed komputerem i jakby go nie było.

Maria piekliła się, nakładała mu limity na czas spędzany przy komputerze, lecz nie była w tym zbyt konsekwentna. Emil nie wymagał wiele uwagi z mojej strony, był spokojnym, nienarzucającym się dzieckiem, choć nie przepuścił żadnej okazji, żeby zagrać ze mną w *FIFĘ*. Nie znosiłem tej zręcznościówki, piłki miałem po dziurki w nosie, zazwyczaj więc wytrzymywałem pół godziny i przy pierwszej okazji kończyłem grę.

Nie rozumiem tego fenomenu. Co jest przyjemnego w siedzeniu na tyłku przed telewizorem i naciskaniu odpowiedniej kombinacji przycisków? Obserwowałem czasem kolegów grających na zgrupowaniach, bo Piesek zabierał na obozy swój nowy nabytek, konsolę PlayStation 2, i miał problem z tłumem w pokoju, przynajmniej do momentu, aż zaczął zamykać drzwi na klucz. Zawsze zdumiewały mnie te skupione twarze, spojrzenia wlepione w monitor, nerwowe ruchy i klekot przycisków padów, jakby gra najpierw zasysała chłopaków, a po wyłączeniu konsoli wypluwała ich z powrotem do rzeczywistości, ale już wydrążonych, czegoś pozbawionych, jakby zostawili w ekranie cząstkę siebie.

Nie byłem dobrym ojcem. Przez większość czasu nieobecny, wiecznie w podróży, z hotelu do hotelu, ze stadionu na stadion. Gdy zjawiałem się w mieszkaniu, to zazwyczaj zmęczony albo skoncentrowany przed następnym ważnym meczem. Byłem gościem zarówno w domu, jak i w życiu mego syna. Teraz widzę, że próbował zbliżyć się do mnie poprzez grę komputerową, traktował ją jak coś, co mogłoby nas połączyć.

Miałem wtedy jednak inne priorytety, skupiałem się głównie na sobie. Poświęcałem czas na rzeczy, które sprawiały mi przyjemność, które angażowały mnie emocjonalnie. Myślałem o grze, taktyce, analizowałem mecze, swoje zachowanie na boisku, mierzyłem się z popularnością czy krytyką i to były moje wyzwania. Znajdowałem czas na czytanie książek, oglądanie filmów, a brakowało mi go na zabawę z synem.

Dla Marii zresztą także mi go brakowało.

Poznaliśmy się na imprezie u Pawła, mojego kolegi z zespołu, była koleżanką jego dziewczyny. Ja byłem przestraszonym osiemnastoletnim gówniarzem, który dopiero co przyjechał z pipidówy do wielkiego miasta i którego zatkało na widok pięknej kobiety. Czułem się tak onieśmielony, że przez większość imprezy nie zamieniłem z nią ani słowa, tylko nasiąkałem wódką. Dopiero gdy stężenie alkoholu w mojej krwi osiągnęło odpowiedni poziom, zrobiłem popisówkę: w kowbojskim kapeluszu na głowie udawałem, że śpiewam piosenki Bon Jovi.

Kiedy w końcu ośmieliłem się z nią porozmawiać, niemal od razu opowiedziałem jej historię swojego życia. Ja, mruk, z którego zazwyczaj trudno wycisnąć parę słów! Siedziała z delikatnie przekrzywioną głową i słuchała, uśmiechając się lekko, z tym swoim minimalnie uniesionym kącikiem ust, wtrącając tylko od czasu do czasu jakieś słowo, a ja gadałem i gadałem, wpatrując się w jej wielkie oczy.

Bo Maria naprawdę umiała słuchać. Nie wiem, na czym to polegało – wystarczyło, że była obok, a obcy ludzie się przed nią otwierali, zwierzali jej się z najbardziej osobistych, intymnych spraw. Czekałem na nią kiedyś na ławce pod sklepem. Siedziałem tam około dwudziestu minut, mając za towarzyszkę starszą panią w okularach, która ściskała trzymaną na kolanach skórzaną torebkę. Spojrzała na mnie, ja na nią, uśmiechnęliśmy się do siebie, milcząc przez cały ten czas. Kiedy Maria wróciła z torbami zakupów, klapnęła między nami, spojrzała na kobietę z tą swoją czarodziejską miną i zaczęło się; Maria nie wypowiedziała słowa, a kobieta poinformowała ją, że właśnie zmarł jej mąż, nie bardzo sobie z tym radzi, a dorosłe dzieci mieszkają daleko i tak dalej. Maria wysysała z niej te informacje niczym czarna dziura materię, nic nie robiąc, jedynie siedząc i słuchając. Później jednak stopniowo oduczyła się słuchać. Może to przeze mnie? Jak się żyje z mrukiem, to i słuchać nie ma czego.

Wtedy, na początku mojej przygody z Centrum, miałem ogromne trudności. Nie potrafiłem się przyzwyczaić, nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić w wolnym czasie, jak się przemieszczać w tak dużym mieście. Wszędzie tłok, tumult, rwetes – wszystko to kontrastowało z tym, co znałem wcześniej. Myślę, że Maria doskonale to wyczuwała, i choć akurat z tego jej się nie zwierzałem, nie zostawiała mnie samego nawet na chwilę.

Spędzaliśmy ze sobą praktycznie cały wolny czas, nie mogliśmy się sobą nacieszyć. Jej obecność powodowała, że czułem się, jakbym wrócił

w rodzinne strony, a nie przebywał w obcym, niegościnnym mieście. Rozluźniałem się przy niej, stawałem się bardziej wylewny, uczuciowy. Przechwytywała mnie po treningu i organizowała nam czas w świetnie znanej sobie okolicy. Uwielbiała grzebać w antykwariatach, mówiła, że używane książki nasiąkają właścicielem, że przez taką lekturę poznajesz też, nawet podświadomie, cząstkę innego, nieznajomego człowieka. Przenika ona w ciebie i sprawia, że stajesz się bogatszy o ułamek doświadczenia innej osoby.

Kiedyś zaciągnęła mnie do Tratwy, małego klubu na Mokotowie, na koncert Rezerwatu, zespołu, który lata świetności miał już dawno za sobą, ale zapamiętałem te chwile jako najprzyjemniejszy moment mojego życia. Niby nie działo się nic spektakularnego, ale miałem nieodparte poczucie doskonałości chwili, spełnienia, spokoju, zawieszenia, trwania bez „chcenia". Maria wtuliła się we mnie, kołysząc się w rytm muzyki, razem z wokalistą śpiewała *Zaopiekuj się mną*, a mnie wzruszenie szkliło oczy. Dobrze, że było ciemno.

Po roku tułania się po wszelkiej maści hotelach otrzymałem wiadomość: klub wynajął mi mieszkanie. Mogliśmy więc zamieszkać z Marią razem. Jej rodzice, szczególnie ojciec, kręcili nosem – w tamtych czasach nieczęsto spotykało się pary mieszkające razem bez ślubu – ale jakoś to przebolał. Nie miał nic przeciwko, żeby ich córka widywała się z młodym piłkarzem, szczególnie że zacząłem grywać w pierwszym składzie Centrum.

Gorzej było z moją mamą. Gdy przyjeżdżała w odwiedziny, Maria zacierała ślady swojej bytności w mieszkaniu i uciekała do rodziców. Nie była z tego zadowolona, ale nie chciała też wojny z przyszłą teściową. Ukrywaliśmy się tak przed nią aż do ślubu.

W światku piłkarskim niebezpodstawnie panuje przeświadczenie, że piłkarz, który się żeni, przez pół roku albo i rok ma z głowy dobrą formę. Znałem mnóstwo przykładów potwierdzających tę teorię. Kończyło się wesele i zaczynał się festiwal wszelakich baboli. Zawodnik w życiowej dyspozycji dosłownie z meczu na mecz zaczynał popełniać masę szkolnych błędów, i to takich, że wszyscy łapali się za głowy. Delikwent tracił piłki w najbezpieczniejszych sytuacjach, prokurował setki przeciwnikowi, a nawet strzelał swojaki.

Co o tym decydowało? Diabli wiedzą. Przecież teraz młodzi mieszkają ze sobą lata przed ślubem, więc teoretycznie po usankcjonowaniu związku nic nie powinno się zmienić. Praktyka jednak pokazuje, że świeżo

poślubiony piłkarz to słaby piłkarz. Może chodzi o to, że wtedy łatwiej spocząć na laurach? Złapałem ją, tę zajebistą dziewczynę, uff, udało się, jest moja, mogę odpocząć. Regularny seks rozstraja? Napięcie seksualne stymuluje formę? Gdy go brakuje, gaz się ulatnia? A może żona nie umie gotować i szprycuje zawodnika kiepskim żarciem, a ten biedak boi się odmówić?

Przed ślubem nasłuchałem się więc, jak chujowo będę grał przez najbliższe pół roku, a w rzeczywistości zostałem wybrany odkryciem ligi. Inna sprawa, że Maria gotowała kapitalnie, jej zapiekane gołąbki powodowały, że na samą myśl o nich usta wypełniały mi się śliną, a chrupiące, mocno wypieczone, ciemnobrązowe żeberka śniły mi się po nocach. Może dlatego nie straciłem formy.

Szkoda, że Maria już nie gotuje.

Nie było mnie przy narodzinach Emila, zostawiłem Marię sam na sam z bólem i radością porodu. Teraz wiem, że przegapiłem jedno z najważniejszych wydarzeń w moim życiu. A nasz związek pozbawiłem najsilniejszej więzi – wspólnoty przeżycia. Mogłem być obecny, ale stchórzyłem. Nie wiem, czego się bałem. Tego, co zobaczę? Tego, co poczuję? Jak się zachowam? Myślałem o sobie, nie o Marii i dziecku. Może to był początek naszych kłopotów rodzinnych?

Przez pierwsze miesiące życia Emila, które spędziliśmy już w nowym, własnym mieszkaniu kupionym na kredyt, usiłowałem zatuszować moją nieobecność w szpitalu. Skakałem nad żoną i dzieckiem, byłem na każde skinienie. Wstawałem nocą do płaczącego synka, zmieniałem pieluchy, spacerowałem z wózkiem po parku, nawet śpiewałem kołysanki – jednym słowem wzorowy tata. Potem wróciła szara rzeczywistość. Gdy zagrałem kilka słabszych meczów, zrzuciłem ciężar obowiązków domowych na barki żony, skupiłem się znów na tym, co umiałem robić najlepiej: na grze w piłkę. Maria nie protestowała, choć coraz częściej dochodziło między nami do kłótni. Czuła, że jest zniewolona przez swoje dziecko i brak jej własnego, na wyłączność, skrawka rzeczywistości. Stworzyła go sobie w kolejnych latach.

Po powrocie ze Szczecina pojechałem do szpitala na USG kolana. Okazało się, że mam naderwane więzadło poboczne, a do tego delikatnie naruszone krzyżowe.

– Poboczne nie jest problemem, zregeneruje się samo – mówił doktor, zerkając na wydruk USG. – Gorzej z krzyżowym. Na razie kolano jest stabilne, uraz niewielki, lecz jeśli się pogłębi, trzeba będzie kroić.

– Czyli na dziś jest okej, tak? Mogę trenować i grać?

– Tak, choć obawiam się, że po sezonie operacja będzie konieczna. Ale to dopiero, jak zdobędziemy mistrza. Nie martw się, do końca rundy utrzymamy cię na chodzie. Dobrze byłoby odciążyć kolano. Odpoczniesz kilka dni, przepiszę ci zabiegi, a dla bezpieczeństwa stabilizator do treningu. A tu masz bonus. – Podał mi jakieś pudełko.

– Co to?

– Będziesz miał trochę radości. – Doktor zarechotał. – Czopki. Wsadzasz sobie w tyłek i czekasz, aż przestanie boleć.

Aż zacierał ręce z zadowolenia. Skrzywiłem się.

– Nie mogę dostać czegoś doustnego?

– Nie możesz, od dupy strony lepiej i szybciej działa, nie marudź.

– Kto lubi sobie grzebać w tyłku? – zrzędziłem niezadowolony.

– Oj, zdziwiłbyś się, ilu to się podoba. – Wyszczerzył się od ucha do ucha. – Do tego czopek nie niszczy ci żołądka, jest skuteczniejszy. Wytrzymasz.

Nie przejąłem się zbytnio diagnozą, ból po krótkiej przerwie zazwyczaj znikał. Myślałem, że jakoś to będzie. Tym bardziej że rokrocznie po badaniach kontrolnych kazali mi kończyć karierę, a na widok mojego odcinka lędźwiowego brali mnie na zdjęcie wycinkowe kręgosłupa.

– A pan skądś spadł? Miał pan jakiś wypadek w dzieciństwie? – padało zawsze pytanie.

Mój kręgosłup wyglądał fatalnie – zwyrodnienia na kręgach co roku przyprawiały radiologa o przyspieszone bicie serca – ja jednak nie miałem praktycznie żadnych dolegliwości. Mój silny gorset mięśniowy utrzymywał mnie w „kupie” i pozwalał grać, więc diagnozą kolana się nie zdołowałem, licząc, że będzie podobnie jak z kręgosłupem. Tylko te czopki!

Dwa dni szwendałem się znudzony po klubie, kursowałem między kawiarnią a gabinetem zabiegowym, kolano się uspokoiło i już zaczynałem się nudzić. Nadmiar energii szukał ujścia, stawałem się drażliwy, warczałem na wszystkich, pani Zosia przeganiała mnie z kawiarni do domu. Tam z kolei opieprzałem Emila, a Maria omijała mnie szerokim łukiem.

W końcu, gdy już miałem wszystkich dość, zamykałem się w pokoju z figurkami. Trzy duże półki w regale zajmowały tylko postacie

z *Gwiezdnych wojen*, cała armia składająca się z ponad trzystu plastikowych istot czekała za szybą.

Zacząłem kolekcjonować figurki Star Wars Miniatures kilka lat wcześniej. Pierwszy zestaw wraz z mapą i instrukcją rozgrywki kupiłem Emilowi jako prezent, lecz po chwilowej ekscytacji przestał się interesować światem *Gwiezdnych wojen*, mimo że filmy bardzo mu się podobały. Dokupiłem jeszcze kilka figurek, licząc, że jednak syn głębiej wniknie w kosmiczne przygody, lecz wolał zostać na wirtualnym boisku.

Tak naprawdę nie wiem, czemu zacząłem rozbudowywać kolekcję. W samą grę nigdy nawet nie zagrałem, karty postaci wrzucałem do szuflady. Za to filmy uwielbiałem, szczególnie trzy najwcześniej nakręcone części oglądałem po kilka razy. Nawet teraz, po latach, prostota tych historii, klarowność wyborów postaci wzruszają mnie do łez. Lubiłem patrzeć na te malutkie, plastikowe postacie Vaderów, Skywalkerów, Grievousów, Rancorów czy nawet Yodów. Przyglądałem im się dokładnie, gdy gdzieś odprysła farba, cieniutkim pędzelkiem zamalowywałem ubytki, co jakiś czas wycierałem je kolejno z kurzu. Utrzymywałem armię w gotowości i pełnej mobilizacji, i to bez względu na to, czy byli to rebelianci, żołnierze Imperium, potwory czy najemnicy. Figurki działały na mnie uspokajająco – jakby moja pewność siebie wynikała z samej świadomości istnienia świata, choćby zmyślonego, gdzie wszystko jest proste, zgodne z zasadami i czyste, gdzie istnieje wszystko regulująca i pozycjonująca siła.

Wstydziłem się trochę tej kolekcji. Dorosły facet, a bawił się żołnierzykami. Maria pobłażliwie głaskała mnie po głowie, gdy z pędzelkiem w ręku pochylałem się nad mieczem świetlnym, przywracając mu dawny błysk. Lubiłem ten dotyk, dawał mi więcej niż jakiekolwiek słowa, spokój i ciepło bliskiej osoby. Maria i armia figurek – jak niewiele było mi trzeba.

W drużynie tylko Witek i George Hooyot wiedzieli o mojej kolekcji i wielokrotnie, ale tylko na osobności, bez świadków, ten drugi usiłował mi z tego powodu dogryzać. Docinki zazwyczaj brzmiały w jego ustach komicznie, gdyż o ile zasób słownictwa miał szeroki, to szyk jego polszczyzny budził powszechną wesołość.

W poniedziałek przed ostatnim meczem w sezonie kończyłem montować lusterko do volvika, jak pieszczotliwie nazywałem auto. Volvo PV 544

rocznik 1966 było moim oczkiem w głowie. Wcześniej mieliśmy dwa samochody, hondę Marii i mojego volkswagena golfa, którego szybko sprzedałem, gdy tylko zobaczyłem volvo. Dla mnie to nie było tylko auto, lecz miłość od pierwszego wejrzenia, pełnoprawny członek rodziny, druga żona, kochanka, ekskluzywna kurtyzana, przyjaciel i wierny pies razem wzięte. Przechodząc obok, nie mogłem się oprzeć pokusie i musiałem go dotknąć, a choćby musnąć, pogłaskać karoserię, spojrzeć. Po tym, jak go kupiłem, biegałem co kilkanaście minut do okna, by sprawdzić, czy stoi cały i zdrowy.

Stalowo-szary samochód mocno przypominał warszawę. Łagodnie opadająca linia dachu, przecięta w połowie długości niewielkim tylnym oknem, zakończona była solidnym chromowanym zderzakiem z dwoma pionowymi buforami, nad którymi wisiała skierowana w dół klamka bagażnika niczym krótki ogonek psiaka gotowego w każdej chwili nim zamerdać. Po bokach wystawały długie tuby tylnych świateł, nadając tyłowi dynamiczny, kosmiczny wygląd. Potężne, masywne błotniki tylnych i przednich kół upodabniały auto do umięśnionego psa w pozycji leżącej, z uniesionym nosem klapy silnika i wyszczerzonym czerwonym grillem między okrągłymi ślepiami reflektorów.

Uwielbiałem się nim zajmować – nie musiałem jeździć, wystarczyło mi jedno spojrzenie na tę garbatą sylwetkę, by się uśmiechnąć. Zresztą przyciągał wzrok wszystkich przechodniów, którzy często zatrzymywali się i dopytywali, co to za auto, skąd i za ile.

Maria trzymała swoją hondę civic w podziemnym garażu, mieliśmy tylko jedno miejsce postojowe, więc tymczasowo musiałem trzymać volvo na parkingu przy bloku. Przykrywałem je specjalną plandeką, by choć trochę uchronić wóz przed wpływem warunków atmosferycznych.

– Wszystkie Polskie tak pucują rupiecie? – zagaił George w swoim stylu, usiłując mnie sprowokować, gdy dokręcałem lusterko.

Ubrany był w czarne dżinsowe spodnie i białą koszulkę na ramiączkach, uwydatniającą jego muskularne ramiona. Na szyi wisiał mu gruby złoty łańcuch, oczywiście imitacja, na prawdziwe złoto nie było go stać. Był niskim, krępym chłopakiem z gęstą czupryną okalającą okrągłą twarz o płaskim nosie.

– Też mi się podoba. Piękny, nie? Dzieło sztuki! – Uśmiechnąłem się z dumą.

– Muzeum na chodniku. To jeździ? Jeden kierowca wystarczy? – drwił dalej.

– Chcesz sprawdzić?

– A mogę? Nie wierzę. – Zrobił zdziwioną minę, gdy rzuciłem mu kluczyki, i ruszył do auta.

– Tu masz zapłon, wsteczny, o tak – zacząłem tłumaczyć, gdy wsiadł do środka. – Ręczny jeszcze nie działa. Tylko nie jedź za daleko i błagam, ostrożnie, to nie twój golf. Wolno, spokojnie i jak najdalej od przeszkód. Nie wyjeżdżaj z osiedla. Zrozumiałeś? Potwierdź.

Gapił się na deskę rozdzielczą jak sroka w gnat.

– Potwierdź!

– Tak, tak, zrozumiał. Bez paniki. – Trzasnął drzwiami.

Przyznam się, że miałem duszę na ramieniu. Powierzyłem mu swój największy skarb. George słynął z tego, że łatwo przychodziło mu uszkadzanie aut, jego volkswagen wyglądał jak siedem nieszczęść, był poobijany z każdej strony.

Silnik zapalił od razu, zawarczał basowo na ssaniu. Machnąłem ręką, żeby ruszał, auto gwałtownie szarpnęło i motor zgasł. Przewróciłem oczami.

– Daj mu gazu! – krzyknąłem.

Drugie podejście zakończyło się sukcesem i auto zawyło na wysokich obrotach przy starcie. Biegłem obok, instruując George’a.

– Dwójka. Wolniej puszczaj sprzęgło, wcześnie łapie! – wydzierałem się.

Auto przyspieszyło i zniknęło za zakrętem, tocząc się na dwójce. Słońce paliło żywym ogniem, tych kilka kroków, które podbiegłem obok auta, sprawiło, że pod pachami miałem plamy potu. Wachlowałem się ręką, patrząc w kierunku, gdzie zniknął George. Nasłuchiwałem charakterystycznego dźwięku silnika, ale zapadła cisza, miałem wrażenie, że złowroga. Czułem się trochę nieswojo, niespokojnie nasłuchiwałem i odpędzałem katastroficzne wizje podsuwane mi przez wyobraźnię. Po kilku minutach zacząłem nerwowo spacerować wzdłuż krawężnika. Podszedł do mnie uśmiechnięty brzdąc, w brudnej koszulce z numerem 5 i z kartką papieru.

– Jestem pana fanem. Mogę podpis? – zagaił.

– Nie – warknąłem.

Dzieciak gapił się na mnie z rozdziawioną gębą.

– Żartowałem, dawaj. – Machnąłem zamaszysty podpis, cały czas zerkając w kierunku bloku, za którym zniknęło volvo.

Wyminąłem chłopca i ruszyłem na poszukiwanie George’a, przeklinając w duchu moment, w którym pozwoliłem mu usiąść za kierownicą.

Z klatki wyszedł jakiś mężczyzna. Stanąłem zaskoczony, uważnie mu się przyglądając. Był wysoki, łysy, miał około czterdziestu lat, dwudniowy zarost, a jego okrągłą twarz przecinała kreska wąskich ust z opadającymi kącikami. Ta podkowa, dzięki której sprawiał wrażenie ponurego i wściekłego, wraz z kartoflowatym nosem i małymi świńskimi oczkami dopełniała obrazu oprycha. Ubrany był w dżinsy i czarną bluzę adidasa, w której kieszeniach trzymał ręce, ukrywając coś, co miał w dłoniach. Szedł zgarbiony, jakby spodziewał się, że w każdej chwili będzie musiał uciekać.

Mieszkaliśmy na drugim piętrze. Jakieś pół roku temu zmarła jedna z sąsiadek, pani Marianna, i w jej miejsce wprowadził się właśnie nowy, tajemniczy lokator. Na samym początku wymienił drzwi na ciężkie, obite blachą i niemiłosiernie skrzypiące. Na próby rozmowy reagował mruknięciem i ucieczką, nigdy nie widziałem go dłużej niż kilka sekund; snuł się zazwyczaj po zmroku, szybkim krokiem przemykając pod ścianami jak duch. Dziś pierwszy raz widziałem go w świetle dnia.

Intrygował mnie z dwóch powodów. Pierwszym były częste wizyty, jakie mu składano; goście nigdy nie wchodzili do jego mieszkania, słyszałem tylko skrzypienie drzwi i odgłos kroków na schodach. Chyba czymś handlował, ale nigdy nie udało mi się dostrzec czym. Drugą dziwną rzeczą były przyprawiające mnie o gęsią skórkę odgłosy, które dochodziły z jego mieszkania. Ciężko było się domyślić ich źródła. Bez żadnej regularności, czasem rano, czasem w środku nocy, budził mnie ze snu jazgot i szuranie dobiegające zza ściany. Emil wielokrotnie lądował z płaczem w naszym łóżku, bojąc się spać, gdy za ścianą działy się jakieś niepokojące rzeczy.

Na mój widok facet przyspieszył kroku i jeszcze bardziej się zgarbił. Odprowadziłem go wzrokiem, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów z jego wyglądu, i z westchnieniem ulgi przyjąłem widok samochodu wyłaniającego się zza bloku z drugiej strony.

– Uff, udało się – sapnąłem, gdy George wysiadł i wręczył mi kluczyki.

– Nawet, że i jeździ. Nie pogubił części? – spytał ironicznie.

Przysiadł na krawężniku i obserwował, jak wycieram karoserię. Oparł łokcie na kolanach, wyprostowane ręce sterczały mu na boki, eksponując

kilkanaście łańcuszków na luźno zwisających nadgarstkach.

– Myślisz, że prezesso też pucował ciebie będzie tak? Swoje lata masz, też antyk prawie. Jak volvo. – Wyszczerzył zęby.

– Jak zobaczy twoją fujarę, to zapomni mnie pucować, za to tobie postawi pomnik na stadionie… We wzwodzie. Frekwencja gwarantowana, przynajmniej żeńskiej widowni.

Prychnął, wydymając wargi.

– Tylko o jednym. Mógłby bardziej postarać się, a nie małpować kolegów kretynów.

Pokręcił głową z dezaprobatą i zamilkł na chwilę, szykując kolejny atak.

– Figurki tak pucuje też? Yodzie wymył futerko? Dupka Vadera wytarta?

Przyglądał mi się z uśmiechem, czekając na odpowiedź, zadowolony z riposty.

– Stul pysk. Zastanawiam się, czemu się z tobą zadaję. – Udając złość, przyglądałem się z zadowoleniem samochodowi.

– Bo ty czarnuch jesteś, Roman, od lat już. Nie wiedział o tym?

George przyjechał z Nigerii trzy lata temu, ze skrajnej nędzy wyciągnął go jeden ze skautów działających w Afryce, który powtarzał: „Kto Murzyna ma, temu Murzyn gra”. Naobiecywał George’owi milionów dolarów i przywiózł zdesperowanego dwudziestopięciolatka do zimnej Polski. Obwiózł go po połowie klubów drugo- i pierwszoligowych, a że nikt nie chciał go zatrudnić, biedny George wylądował w KS Wesoła, malutkim czwartoligowym klubiku. Dwa lata grał tam prawie za darmo, większość pieniędzy i tak wysyłał do żony i córki, które zostały w ojczyźnie, więc notorycznie nie dojadał i się zapożyczał. Miał talent do języków, bardzo szybko nauczył się polskiego, co pozwoliło mu dobrze funkcjonować w drużynie, a ponieważ dodatkowo rozweselał wszystkich swoim sposobem mówienia, był powszechnie lubiany.

Do Centrum trafił rok wcześniej, razem z dużą grupą piłkarzy. W letnim okresie przygotowawczym prezes zorganizował sparing z drużyną złożoną z samych obcokrajowców do wzięcia, bez kontraktów, wolnych zawodników. Menedżerowie zwieźli z całego świata szrot, licząc, że nowe nabytki zachwycą swoją grą prezesa albo szkoleniowca.

Zwyczaj montowania płyt DVD z najlepszymi zagraniami kandydatów na sprzedaż od dawna miał się dobrze, więc spodziewaliśmy się najazdu doskonałych piłkarzy. Według tych filmów na testy przyjechały same świetnie wyszkolone technicznie gwiazdy, dla których strzał w okienko to

codzienność i normalka. Do takiego filmu dołączano zazwyczaj opis delikwenta, w którym porównywano go do sław światowej piłki. Określenia „szybki jak Maradona”, „bramkostrzelny jak Gerd Müller”, „technika niczym Marco van Basten”, „strzał jak Roberto Carlos” były na porządku dziennym. Kierownik pokazał mi kiedyś taki zestaw, uśmialiśmy się do łez, gdy skonfrontowaliśmy to z wyczynami tych ludzi na boisku.

Rzeczywistość okazała się brutalna i totalnie niespójna z obrazem wideo. Tylko kilku z nich jakkolwiek potrafiło grać w piłkę, na resztę przykro było patrzeć. I właśnie w takim towarzystwie przybył do Centrum George. W meczu kontrolnym na tyle się wyróżnił, że wraz z pięcioma innymi piłkarzami został w klubie na okresie próbnym.

Trenowaliśmy wtedy bardzo ciężko, na granicy rozpaczy, jak nazywaliśmy część obciążeń treningowych w połowie letniego okresu przygotowawczego. Dwa treningi dziennie, rano wytrzymałość w lesie, po południu na boisku małe gry. Sam nie wiem, która z tych jednostek treningowych była cięższa. Z utęsknieniem wyczekiwaliśmy początku rozgrywek, wiedząc, że wtedy obciążenia się zmniejszą.

George nie był typem pracusia, ale wiedział, o co walczy, więc nie opierdzielał się, tylko uczciwie pracował. Później, gdy podpisał już kontrakt, jego podejście do treningu zmieniło się diametralnie, lecz na początku swego pobytu w klubie starał się, jak mógł, żeby zauroczyć trenera.

Miał mnóstwo szczęścia, że został w Centrum. Podobno spodobał się prezesowi; z tego, co wiem, Wrzaskun nie był przekonany, że Nigeryjczyk przyda się drużynie, i tak zostało już do końca pobytu George’a w Centrum. Może dlatego, że gdy jego sytuacja w klubie się ustabilizowała, większą wagę przykładał do wyglądu niż do gry. Zaczął przesiadywać w siłowni, by rzeźbić potrzebny do podbojów miłosnych „kaloryfer”, za to ulgowo traktował treningi biegowe. Wrzaskun odnotował to bardzo szybko, więc tylko sporadycznie pozwalał mu posiedzieć na ławce w czasie ligowych meczów. Najczęściej zaś wysyłał Nigeryjczyka na trybuny.

George otrzymał kontrakt na dwa lata, może „okazały nie nazbyt”, jak go opisał, ale dzięki niemu miał już co zjeść i gdzie mieszkać, bo zakwaterowali go razem z dwoma innymi nowymi nabytkami w wynajętym mieszkaniu. Lubiła go cała drużyna, bez wyjątku, nawet największe mruki i smutasy się śmiały, gdy zaczynał gadać w tym swoim dialekcie. Na imprezach, zwłaszcza gdy popił, stawał się istnym kabareciarzem, który

bawił innych do łez, a na co dzień wszyscy wprost uwielbiali nabijać się z jego penisa.

Nie licząc Witka, był jedynym piłkarzem, z którym utrzymywałem jakikolwiek kontakt poza klubem. Zastanawiałem się zresztą czasem, dlaczego się z nim zaprzyjaźniłem. Korzyści dla niego były oczywiste: koleżeństwo z kapitanem drużyny, człowiekiem, który prawie rządzi ekipą, oznaczało same plusy. Ale co takiego ja dostawałem od niego, że dopuściłem go tak blisko siebie? Czyżby lepszy rydz niż nic? Odmieniec lgnie do odmieńca? Odizolowałem się od reszty drużyny i rekompensowałem to sobie kontaktami z George'em? Sam chciałbym wiedzieć… Tak czy inaczej, zostaliśmy dość bliskimi kolegami, a że miał dużo wolnego czasu, spędzał go często ze mną, jak owego dnia przy aucie.

Gdy tak się przekomarzaliśmy, podjechała Maria. Obserwując ją, uświadomiłem sobie, jak bardzo zmieniła się od naszego pierwszego spotkania. Choć może to pamięć płatała mi figle albo widziałem w niej kogoś, kogo chciałem zobaczyć, a nie kogoś, kim naprawdę była. Zresztą wydarzenia w teraźniejszości mają wpływ na wspomnienia, przez co przeszłość jest tak samo płynna jak teraźniejszość i niepewna jak przyszłość. Zrobisz wielkiego babola na boisku i już ci go wytykają przy każdej okazji, zapominając o wielu dobrych meczach. Mało tego, twoje dobre mecze stają się złymi – tak to właśnie działa.

Miałem wrażenie, że po tylu latach nawet wyraz twarzy Marii się zmienił. Kiedyś jej uśmiech rozświetlał nie tylko jej buzię, ale też twarze wszystkich wokół, bijące od niej łagodność i spokój powodowały, że ludzie się otwierali, lgnęli do niej, szukali z nią kontaktu. Dziś w jej rysach było coś drapieżnego, lecz jednocześnie pociągającego, coś, co ostrzegało przed niebezpieczeństwem, ale było też podniecające.

Już siedząc w aucie, przyciągała wzrok falą błyszczących blond włosów, które luźno opadały jej na ramiona. Miała pociągłą twarz, lekko zadarty nosek i wąskie usta. Szczupłą, wysportowaną sylwetkę podkreślała obcisłą białą mini, która pozwalała jej eksponować długie, zgrabne nogi. Gdy wysiadała, czułem, że ma świadomość, że jest obserwowana, zauważyłem jakąś zmianę w jej ruchach. Na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Była publiczność, był George, więc pojawiała się i inna Maria. W miejsce łagodnej, opiekuńczej matki Emila, którą była na co dzień, pojawiła się kocica prężąca się jak na wybiegu.

– Odbierz Emilka, zamówiłam obiad, zaraz powinni przywieźć – powiedziała, wyciągając z bagażnika kilka reklamówek z zakupami. – Tylko nie zjedzcie wszystkiego sami, zostawcie coś Emilkowi. – Zmierzała w stronę klatki schodowej, a ja i George gapiliśmy się na nią bez słowa. Wiedziała, jakie wrażenie wywiera. – Lecę na siłownię, już jestem spóźniona, trener mnie zamęczy, jak nie przyjdę o czasie. Pomożesz? – zwróciła się do George'a, podnosząc reklamówki. – Przecież on nie zostawi swojego kochanego volvika.

George dopiero teraz otrząsnął się z transu; podbiegł do Marii, zabrał z jej rąk torby i ruszyli w stronę bloku. Niemalże piękna i bestia. George, sporo od niej niższy, ale muskularnie zbudowany, wyciągał nogi, prawie podskakując, ona zaś była smukła i ruszała biodrami jak modelka. Może przy niej ja też wyglądałem jak poczwara? Quasimodo z Centrum i jego Esmeralda.

5

Doskonale pamiętam tydzień poprzedzający ostatni mecz w sezonie, bo wielokrotnie zastanawiałem się, kiedy coś poszło nie tak. Czy musiałem postąpić tak, jak postąpiłem? Czy powoli dojrzewałem do takich, a nie innych wyborów? Czy zadziałałem pod wpływem emocji i brnąłem dalej, nie umiejąc się wycofać? Jestem raczej typem analityka, zazwyczaj przed podjęciem decyzji dzielę włos na czworo, a w tym przypadku analiza zaprowadziła mnie niekoniecznie tam, dokąd chciałem.

Poniedziałek po niedzielnym meczu był zazwyczaj luźnym dniem pod względem obciążeń treningowych. Należało się spodziewać tylko pomeczowego rozruchu i odnowy biologicznej, więc jechałem do klubu spokojny. Czułem się jeszcze lekko zmęczony i niewyspany, ale wiedziałem, że po rozbieganiu i saunie dojdę do siebie. Zawsze źle sypiałem po meczach, adrenalina nie pozwalała mi szybko zasnąć, i to bez względu na wynik. A po takim spotkaniu, jakie rozegraliśmy w przedostatniej kolejce, dodatkowo w uśnięciu przeszkadzała mi jeszcze złość.

Zagraliśmy jak cioty, obstukując słupki, poprzeczki i bramkarza przeciwnika, mieliśmy mnóstwo sytuacji strzeleckich, lecz nic nie chciało wpaść do bramki. Był to jeden z tych meczów, gdy myślisz, że jakaś siła sprzysięgła się przeciwko twojej drużynie i nie pozwala wpaść piłce do siatki rywala.

Jedynym plusem tego meczu było to, że kolano mi wytrzymało; na szczęście przeciwnik nie zmusił mnie do wielkiego wysiłku w obronie, a w ofensywie starałem się nie przeciążyć nogi – stałem przyklejony do linii bocznej, a większość roboty odwalała druga strona.

Zremisowaliśmy u siebie ze słabiutką Białą i z trzech punktów przewagi nad Zorzą zrobił się jeden. W ostatniej kolejce Zorza grała u siebie z Czarnymi, zakładaliśmy, że wygra, więc by być pewnym tytułu, potrzebowaliśmy zwycięstwa ze Sternikiem.

Z domu do klubu miałem bardzo blisko, kilka przystanków tramwajem, czasem przy ładnej pogodzie jeździłem rowerem, a nawet chodziłem pieszo, choć tylko wtedy, gdy miałem drobną kontuzję i nie uczestniczyłem

w zajęciach; w innych przypadkach szkoda mi było energii, wolałem zachować ją na trening i mecz. W tamten poniedziałek przyjechałem tramwajem, przed bramą jak zwykle stała grupka dzieciaków, ale nie było wśród nich Staszka. Nie zwróciłem na to uwagi, bo teraz pojawiał się rzadziej, nie widziałem go już pod klubem co najmniej dwa tygodnie.

Podpisałem kilka zdjęć z uśmiechem przyklejonym do twarzy – inaczej zaraz przypięliby mi etykietę bufona i snoba. Starałem się wywiązywać z obowiązku kontaktu z kibicami, ale irytowały mnie czasem ich pretensje. Nieważne, czy masz sraczkę, śpieszy ci się, czy pociąg ci ucieka! Podpisuj, machaj na zawołanie, odpowiadaj na pytania, uśmiechaj się, śpiewaj, gdy każą, podchodź do trybuny po meczu. Między spotkaniami masz być pacynką, bezwolną kukłą, która wykonuje wszystkie życzenia kibica. Ale w trakcie meczu musisz przekształcić się w Rambo, wojownika, który rozrywa drużynę przeciwną na strzępy, jest agresywny, impulsywny, zdeterminowany. Co za schizofrenia!

Obok klęczał otoczony grupką dzieci Witek i cierpliwie szczerzył się do aparatu, obejmując dwóch chłopaków. Reszta czekała w kolejce do zdjęcia. Poczochrał ich po włosach i kiwnął ręką na następnych. Nie zatrzymując się, pomachałem mu na powitanie i ruszyłem do klubu.

Kiwnąłem głową ochroniarzowi, by otworzył bramę. Gdy do niej zmierzałem, podbiegł do mnie zdyszany chłopak w przepoconej koszulce.

– Panie Romanie, mogę parę słów dla „Kuriera Sportowego”? – wysapał, wygrzebując z torby wielki dyktafon.

– Nie – odpowiedziałem, patrząc na bramę.

– Nie? – Zatrzymał się skonfundowany. – Nie chcę pytać o ostatni mecz. Interesuje mnie historia sprzed dwunastu lat i mecz z Włochami na igrzyskach. W końcu takich zachowań nie spotyka się często. Nie żałuje pan?

Spojrzałem na niego wzrokiem bazyliszka, odwróciłem się bez słowa i ruszyłem w stronę klubu. Podreptał za mną, sapiąc. Czułem, jak coś wewnątrz mnie rośnie i czeka na wybuch, mięśnie szczęk pracowały mi na całego.

– Proszę, uczciwość wymaga…

Stanąłem jak wryty, o mało na mnie nie wpadł.

– Nie – warknąłem, usiłując nad sobą zapanować.

– Ale jak to? – Gapił się na mnie, nie mogąc uwierzyć w odmowę.

– Tak to.

– No przecież musi pan coś powiedzieć kibicom jako kapitan – nie dawał za wygraną.

– Kibicom tak, dziennikarzom niekoniecznie.

Zrobił wielkie oczy, zmarszczył brwi, niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– Nie rozumiem, przecież…

– No właśnie, i tu leży problem – przerwałem mu. – Wy zazwyczaj nic nie rozumiecie, więc po co mam cokolwiek mówić?

– Panie Romanie, dwa zdania, proszę. Zabiją mnie w redakcji, jak nic nie przyniosę.

– Nie.

– Ale dlaczego?

Brama się otworzyła.

– Bo dla was to tylko parę linijek tekstu, a dla nas całe życie – rzuciłem mu przez ramię i ruszyłem w stronę szatni. – I te pretensje, że nie mamy do siebie dystansu. A wy macie?

Nie cierpię tej etykietki, którą mi przykleili po igrzyskach, właściwie kilku określeń, bo dziennikarze różnili się w ocenie tej sytuacji. Już samo wspomnienie tego meczu doprowadzało mnie do białej gorączki. Ile można o tym słuchać? Wieczne pytania, zdziwienie, zaskoczenie, niedowierzanie. Dlaczego? Czy to możliwe? Jak?

Ciągnie się za mną to spotkanie niemiłosiernie.

Po ostatnim meczu było podobnie. Po remisie z Białą straszliwie zrąbali nas w prasie. Pierwsze miejsce w tabeli, szansa na mistrza, jeden głupi remis, a tu jazda jak z burą suką. A najgorsze, że w takich sytuacjach dziennikarze wrzucają wszystkich do jednego worka, gnoją cię za wynik i nawet jeśli grałeś dobrze, to i tak dostaniesz swoją porcję razów, bo drużyna straciła punkty. Gdzie tu rzetelność, profesjonalizm, ekspercka ocena? Z piłką jest jeszcze ten kłopot, że często te same zagrania w zależności od sytuacji boiskowej raz są sensowne, a raz oznaczają błąd – jak w życiu.

Nieduży, dziesięciotysięczny stadion Centrum lata świetności miał już dawno za sobą; wielokrotnie przebudowywany, remontowany, rok w rok gonił zmieniające się wymogi licencyjne, w związku z tym od kilku lat graliśmy niemalże na placu budowy.

Szatnie i pomieszczenia administracji mieściły się w budynku tuż obok boiska. Szara kanciasta dwupiętrowa bryła przylegająca do trybun bardziej przypominała dziwną narośl niż integralną część stadionu, ale ponieważ przyglądałem się jej dzień w dzień przez tyle lat, przestała mnie razić.

Po drugiej stronie przeciwległej trybuny leżały dwa boiska treningowe, których używaliśmy na co dzień. Nie były w najlepszym stanie, bo trenowały tam wszystkie grupy młodzieżowe. Szatnię mieliśmy przestronną, z podłogą i ścianami wyłożonymi aż do wysokości głowy brązowymi płytkami. Chyba brązowymi. Zabawne, pamiętam odcień zieleni trawy z boiska w Urugwaju, dokąd polecieliśmy z reprezentacją olimpijską wiele lat temu, a nie wiem, jaki kolor miały ściany w naszej szatni, choć dopiero co z niej wyszedłem.

Przez duże okno z mlecznymi szybami wpadało mało światła, do tego szeroki parapet częściej wykorzystywany był jako podstawka pod dużą tablicę szkoleniową, więc w pomieszczeniu zazwyczaj panował półmrok. Tuż obok, w przejściu do części medycznej, były prysznice, dalej pomieszczenie maserów i toalety.

Wzdłuż ścian szatni stały długie, niskie dębowe szafki służące za siedzenia, z pustym miejscem pod siedziskiem, na buty. Nad głową wisiały pojedyncze półki z haczykami do wieszania ubrań. Nie było tam ciepło, ale za to schludnie i funkcjonalnie, i wszystkim to wystarczało.

Dobry nastrój drużyny miał zapewniać wiszący w kącie telewizor, wiecznie ustawiony na kanale z disco. Zawsze miałem ochotę cisnąć w niego czymś ciężkim, ale cóż, takie są uroki bycia w drużynie. Wyłączano go, jedynie gdy do szatni wchodził trener.

Wrzaskun często wykorzystywał zwyczaj witania się przez podawanie ręki, by zlustrować piłkarzy. Chyba jako jedyny nigdy nie witał się ogólnie ze wszystkimi, tylko skrupulatnie podchodził do każdego, długo ściskał dłoń delikwenta i patrzył mu w oczy, jakby chciał wyczytać w nich przeszłość. Czasem rzeczywiście mu się udawało, zwłaszcza gdy napotykał na przekrwione białka i czuł oddech przesycony alkoholem; kończyło się to sporą karą finansową lub nawet wczasami w drugiej drużynie. Wyjątek robił tylko dla Jabola, którego lustracja przebiegała bardzo pobieżnie i szybko. Pewnie Wrzaskun wiedział dokładnie, co ujrzy w oczach jednej ze swoich gwiazd: morze wódki albo i ocean, z okrętami butelek, kieliszków, karafek.

Przyjechałem wcześnie, więc pustych miejsc było jeszcze dużo. Z telewizora ryczał zachrypnięty Stachursky. W kącie szatni stali Rogal, Piesek i Babka, rozmawiali o czymś, zawzięcie gestykulując. Zdziwiło mnie to, bo o ile Piesek zazwyczaj przychodził przed czasem, to Babka i Rogal pojawiali się raczej w ostatniej chwili przed treningiem. Na mój widok ucichli, a gdy podszedłem i podałem im dłoń, unikali mego wzroku.

Szybko założyłem spodenki i koszulkę i chcąc wykorzystać fakt, że jeszcze nie ma kolejki u masażysty, poszedłem, szurając klapkami, by rozgrzać trochę kolano przed treningiem. Nie cierpiałem masażu, poddawałem mu się tak rzadko, że Wojtek, nasz fizjoterapeuta, naśmiewał się ze mnie i prosił, żebym się przedstawił – że niby mnie nie zna. Stroniłem od niego z prostego powodu: ze względu na mocne owłosienie każde szorowanie, głaskanie, pocieranie kończyn powodowało u mnie silne podrażnienia. Po masażach miałem całe nogi w czerwonych, zaognionych krostach, wyglądałem, jakbym złapał syfa albo dostał wysypki, choć zawsze nalegałem, by Wojtek lał na mnie oliwkę wiadrami. A nasz masażysta nie oszczędzał się w trakcie pracy, siłę w dłoniach miał taką, że gdy masował komuś zbity mięsień, niejednokrotnie w medycznym rozlegały się jęki.

– Ja kładę się po Ro… Ro… Romanie – zaklepał kolejkę Piesek.

– Znowu? – Wojtek nie był zachwycony.

– A co? Za… za… za często jestem? Dziś pierwszy raz. – Piesek uśmiechnął się ironicznie.

Nie wszyscy mieli taki stosunek do masażu jak ja – na przykład Piesek przesiadywał, a raczej wylegiwał się u Wojtka na leżance non stop. Przed treningiem wcierka rozgrzewająca – i to nie w jakiś konkretny mięsień, tylko po całości – po treningu masaż. A kto na zgrupowaniach pierwszy lądował wieczorem na leżance? Rzecz jasna Piesek. Wojtek tylko sapał na jego widok, kręcił głową i komentował krótko:

– Znowu? Niedopieszczony? Zaraz będziesz piszczał!

Wyszedłem na korytarz, by zadzwonić. Niekończący się przerywany sygnał…

Gdy wróciłem do szatni, była już prawie pełna. W przejściu spotkałem Maćka Winera, osiemnastoletniego bramkarza, który zaczął trenować z nami jakieś trzy tygodnie wcześniej, gdy Krzysiek Warecki, drugi bramkarz, złapał kontuzję. Młody nie wyglądał najlepiej: podkrążone,

błyszczące oczy, blada cera, spierzchnięte wargi. Szybko zajął swoje miejsce, nie chcąc zwracać na siebie uwagi.

W szatni panował standardowy harmider, wszędzie na podłodze walał się sprzęt treningowy, piłki, z telewizora dochodziło basowe techno. Część piłkarzy kursowała półnago między szatnią a pokojem medycznym, skąd wracała oklejona plastrami. Usiadłem i zerknąłem przez ramię George'owi.

– To bladź! Skurwysyn pierdolony! – pieklił się Rogal. – Jebnę mu, jak go spotkam.

– A co chciałeś? Dy… dy… dychę? Po remisie? – skwitował Piesek, który zdążył wrócić od masera. Obydwaj byli już przebrani w sprzęt treningowy i bramkarz trzymał przed sobą rozłożony „Kurier Sportowy". Pieska bardziej interesowały obrazki dziewczyn, które właśnie oglądał w „Życiu Sfer".

– Sześć?! Kurwa, sześć?! – Rogal nie mógł uwierzyć w notę, jaką wystawił mu dziennikarz.

– Zobacz, Re… Re… Remski też dostał szóstkę, tak jak ty – drążył Piesek. – Musi mu chyba du… du… dupy dawać. Może to dobry s… sposób, by podnieść notę? Co?

Obok mnie siedział George, także z rozłożonym dziennikiem.

– Kupiłeś gazetę? – spytałem, a ponieważ George słynął ze skąpstwa, sam sobie odpowiedziałem: – Niemożliwe. Komu zapieprzyłeś?

– Znalazł. – Wzruszył ramionami, jakby to było oczywiste.

Rzuciło mi się w oczy jedno zdanie z końcówki artykułu.

– „Świetna praca sędziego Spodka"? – Nie mogłem uwierzyć w to, co czytam. – Normalnie oprócz obserwatorów jeszcze dziennikarzy opłaca.

Sędzia Spodek aspirował do miana sędziego międzynarodowego i był pierwszą szują w lidze – nie spotkałem chyba bardziej sprzedajnego arbitra, już wielokrotnie zalazł nam za skórę i prowadził mecze w sposób tak bezczelnie stronniczy, że nóż się w kieszeni otwierał. Potrafił to robić bez kamuflażu, mówiąc otwarcie, żebyśmy się nie szarpali, bo wszystko jest ustalone. Nie bał się, bo najczęściej był dogadany z obserwatorem, który wystawiał mu notę, i jak widać, często także z dziennikarzem, który później pisał o nim w superlatywach.

– Trzy setki, kurwa, do przerwy ja wyjął, pięć, kurwa, strzałów obronił – Rogal dalej nie mógł przeboleć niskiej oceny – i daje mi sześć! Po chuj ja to czytam, w żopu wsadzić te ich noty.

Zgniótł gazetę w kulkę i rzucił na środek szatni.

– Swoje asysty przy tych obronach też liczysz? – odezwał się siedzący w kącie Jabol, pochylony nad książką. – Chciałeś zapracować na wyższe noty, podając najpierw do przeciwnika? Ciekawa strategia. Nie masz interwencji? Wystarczy podać rywalowi, efektowna robinsonada i aplauz gotowy. Trybuny skandują: „Rogal, Rogal”. Możesz jeszcze zacząć cukierki rzucać.

– Te, mądrala…– zaczął Rogal, ale Jabol nie dał mu skończyć:

– Andrzejku, zastanów się: czy gdybyś dostał wyższą notę, byłbyś lepszym bramkarzem? Ta cyferka wystawiona przez pismaka sprawia, że ty dobry albo zły? Zagrałeś inaczej? Osiem: cacy rogalik, jeden: zakalec? Jak napisze, żeś pedał, to Piesek ma zacząć uciekać?

W szatni rozległy się stłumione śmiechy.

– Ktoś cię kiedy krochmalnął na trzeźwo, Jabol? Musi nie, co? Nie wiesz, jak to jest być trzeźwy, ale zaraz możesz poczuć jebnięcie – zagroził mu Rogal, niekoniecznie na żarty.

– Jeden mnie kiedyś bił, ale usnąłem w trakcie. Może tobie się uda? – Jabol wzruszył ramionami. – Od miesięcy nie miałem piwa w gębie. Jestem trzeźwy jak zaszyty mnich z zamkniętego klasztoru.

– Ty trzeźwy? Waniajesz kacem na kilometr. Może dlatego my zremisowali? – prowokował go Rogal.

– Raz się kiedyś człowiek napije, to przylepią ci etykietkę na stałe. Ty nie pijesz? – bronił się Jabłoński.

– Raz? – szydził Rogal. – A te sznyty po esperalu to skąd? Widelcem dłubał?

– Pryszcza na dupie nie widziałeś? Odpierdol się.

Jabol otworzył książkę, by zakończyć dyskusję. Widać było, że bardzo irytuje go wypominanie mu pijaństwa, choć starał się to ukryć. Wiedział, że jak chłopaki się zorientują, że to go rusza, nie dadzą mu spokoju.

– O, niezłe jaja, k… klienci klubu go-go nabici w bu… butelkę – cytował prasę Piesek, którego bardziej interesowały newsy z burdelu niż poprzedni mecz. – „P… pan Marian po całonocnej zabawie w klubie był bardzo zdziwiony, że z jego konta zniknęło kilka tysięcy złotych, p… p… po imprezie obudził się i nie pamiętał, by tyle wydał”. Co za debil! – Piesek głośno rechotał. – A tu najlepsze: „Śledztwo wykazało, że do alkoholu serwowanego w lokalu dodawano środek po… powodujący odurzenie i w ten sposób skłaniano klientów do wydawania ogromnych sum”.

– Dobry bidon nie jest zły. – Jabol uśmiechnął się z satysfakcją. – Nie dolejecie mi nic, żeby mnie ograć w poksa.

Babka z Pieskiem wymienili szybkie spojrzenia. Od pewnego czasu w ich zachowaniu – podobnie jak w zachowaniu Rogala – było coś dziwnego, choć nie umiałem określić co. Zaszła w nich zmiana, nieuchwytna, trudna do zdefiniowania, ale wyraźna.

Gdy tylko nasze spojrzenia się spotykały, uciekali wzrokiem, stali się trochę milsi w stosunku do mnie, mimo że się nie przyjaźniliśmy. Nie wiedziałem, o co chodzi.

Nagle do szatni szybkim krokiem wparował kierownik, rozglądając się nerwowo. Kiedyś też grał w Centrum, teraz najczęściej podpierdalał zawodników u prezesa i trenera. Z kieszeni spodni od garnituru wyciągnął kartkę papieru.

– Babicki, masz powołanie, gwiazdy jadą na kadrę. – Uśmiechnął się krzywo, podał kartkę Babce.

– Dziengów prezes nie przysłał? – krzyknął Rogal.

– Sam go spytaj, zaraz przyjdzie. Zobaczymy, czy będziesz taki odważny. – Kiero uśmiechnął się z satysfakcją i uciekł z szatni.

Babka usiadł.

– Kurwa, znowu mi wycieczkę zafundowali kosztem urlopu. Lepszego terminu nie mogli wymyślić. Człowiek, kurwa, zapierdala cały rok, czekając, żeby wreszcie wypocząć, a tu przychodzi taki kwiatek. Dwa mecze zamiast wczasów.

– Reprezentacja to nagroda. Z kim gracie? – spytał Kaczka.

– Jeden z Bośnią, drugi z Hercegowiną – odpowiedział poważnie Babka.

– A, to fajnie. – Kaczka pokiwał głową.

Jabol spojrzał na nich i przewrócił oczami.

Kończyłem właśnie profilaktycznie tejpować sobie stawy skokowe. Wolałem robić to sam, wtedy wychodziło najlepiej; okręcałem kostkę gąbką, potem plastrami – wysoko, zaczynając od łydki, którą wcześniej musiałem ogolić, by nie wrzeszczeć z bólu przy ich zrywaniu, potem owijałem staw, by go maksymalnie usztywnić, ale tylko w płaszczyźnie bocznej. Mogłem swobodnie ruszać góra – dół, lecz nie dało się odchylić stopy na boki. To samo robiłem z drugą nogą, bo obydwie kostki miałem już wielokrotnie skręcone, a więzadła na tyle luźne, że na wszelki wypadek wolałem je wzmacniać. Zmuszałem ciało, by pewne rzeczy robiło

w określony sposób, wbrew sobie, przy wsparciu zewnętrznych wspomagaczy. Czy to nie definicja treningu?

Gdyby tak plastrami dało się korygować inne rzeczy, byłoby o wiele łatwiej. Przyklejasz tejpa i raptem ustawiasz słabszą stopę prawidłowo do uderzenia; oklejasz udo i nagle stajesz się szybki jak błyskawica; oklejasz czoło i podejmujesz na boisku same słuszne decyzje; zaklejasz nos i masz pod dostatkiem tlenu, możesz biegać trzy mecze z rzędu.

Niektórzy zresztą chyba rzeczywiście wierzyli w magię plastra uciskowego. A wiara w cuda, technikę i nowoczesną medycynę przynoszącą natychmiastowe efekty jest odwieczna. Szukamy łatwych sposobów, by osiągnąć efekt. Niekoniecznie cenimy stopniowe, mozolne doskonalenie. Chodzi nam zwykle o cel, nie o drogę do niego. O fotkę na szczycie, a nie wspinaczkę, choć na górze czasem nic nie widać. Wierzchołek najczęściej jest cały w chmurach, a widok ze szczytu niespecjalny.

– Ciekawe, czy wy… wypłacą coś przed urlopem? – zastanawiał się Piesek, poprawiając getry.

– Ta, skończy się liga, to następny szmal zobaczymy po starcie nowego sezonu – mruknął zrezygnowany Jabol i zaczął wiązać buty.

– Mam remont mieszkania, macie pożyczyć kasę? – Kaczka prawie płakał.

– Prezes na procent daje. – Jabłoński zarechotał, nachylony do podłogi.

– No i co? Wy… wygramy ligę, rozjedziemy się i będziemy cze… czekać do usranej śmierci? A może tak po… po… postraszmy ich trochę? – zaproponował Piesek. Na jego twarzy pojawił się uśmiech nadziei i podniecenia.

– No, przed meczem my możem, po będziemy mogli ich pocałować w żopu – poparł go Rogal i rozejrzał się w poszukiwaniu sojuszników.

Byłem sceptycznie nastawiony do całej sprawy, więc zapytałem:

– Jak to sobie wyobrażacie? Oflagujemy się? Zwołamy konferencję prasową?

– Zagrozimy, że nie wyjdziemy, kurwa, na trening. A co? – rzucił Babka.

W szatni rozległy się głosy poparcia, kilku chłopaków spoglądało na siebie, kiwając głowami.

– Przydałaby się jakaś wypłata, na pieluchy też mi już brakuje – rzucił Witek. – Ale awantura tuż przed rozstrzygnięciem walki o majstra nie jest nam potrzebna.

– A jak się na nas wypnie? Jak nie wypłaci? To co zrobimy? Nie będziemy trenować do meczu? – Wstałem i wskazałem na drzwi. – A nie wypłaci, bo doskonale wiecie, że nie ma z czego. Co zyskamy? Nic, tylko Księciunio i kibole się wkurwią, że myślimy o szmalcu, a nie o grze. Ten ostatni remis też nie poprawił naszej sytuacji. Jeśli, nie daj Boże, mistrzostwo przepadnie nam w ostatniej kolejce, to jak myślicie, kto będzie najbardziej winny? Podpowiem wam: my.

– Ale p… p… przynajmniej wszyscy będą wiedzieć, że nam chu… chuj nie płaci – odparł Piesek.

– A teraz dziennikarze nie wiedzą? Wiedzą doskonale, tylko siedzą w kieszeni u prezesa. Nie na darmo urządza im bankiety po meczach.

– Dzwonek, a ty jest z nami czy z nimi? – spytał Rogal, patrząc na mnie wyzywająco.

– Ta, mi szmal nie jest potrzebny, po co mi? Zrozumcie, jedyne, co możemy zrobić, to zdobyć mistrzostwo i domagać się szmalu z pozycji siły. Być może tytuł ułatwi znalezienie sponsora, perspektywa pucharów na pewno kogoś przyciągnie, ale każde zamieszanie przed meczem ze Sternikiem może nam tylko zaszkodzić.

Usiadłem na swoim miejscu. Zapadła cisza. Nie przekonałem ich. Spojrzeli tylko po sobie i bez słowa zaczęli zakładać buty.

– Ja pomalować mogę chałupę za darmo ci Kaczka, ale tylko na czarno – rzucił George, rozładowując napięcie.

– Prędzej, kurwa, wyburzy ścianę swoją maczugą – zaśmiał się Babka.

Dowcip nie oczyścił atmosfery, wiedziałem, że wszystkim brakuje pieniędzy i woleliby wziąć sprawy w swoje ręce, a nie bezczynnie czekać na ochłap rzucony z gabinetu prezesa, tym bardziej że wszyscy wiedzieliśmy, że zawodnicy, którzy odejdą z klubu, praktycznie nie będą mieli szansy na odzyskanie kasy.

Trenerów jeszcze nie było, Babka podszedł do tablicy stojącej na parapecie i chwycił kredę. Zmarszczył brwi, spojrzał na nas spode łba i chrząknął, naśladując trenera.

– Bardzo proszę o ciszę – powiedział, małpując sposób mówienia Hucznego. – Dziś gramy o życie… O życie! – Wskazał palcem Kaczorka. – Kaczka! Wiesz, co to jest, kurwa, życie? Życie to jest… życie! – podsumował i odwrócił się do tablicy. – Macie grać tak: akcja po skrzydle – stukał kredą jak maszyna do szycia – popędzisz jak strzała wzdłuż linii, tu złamiesz do środka i spluniesz mocną piłką na drugie skrzydło. –

Przeciągnął kredą w poprzek tablicy. Zaczął mówić coraz szybciej, modulując głos jak Huczny: – Z drugiej strony nabiegnie na gazie partner, zwód na zamach, przeciwnik leży po wślizgu, podprowadzisz do szesnastki, klepa. – Wszystkie te słowa obrazował bohomazami wyrysowanymi tak, że cała tablica zamieniła się w plątaninę linii ciągłych, przerywanych, zawijasów, trudno było się zorientować, gdzie jest bramka albo środek boiska. – Dojeżdżasz do słupa, armata po widłach i gol! – wrzeszczał. – Pamiętajcie – uniósł palec wskazujący – że nie każda kłoda pływająca w rzece jest aligatorem, macie być agresywni jak tygrysy, nie jak dyrektor zoo. A, jeszcze jedno, George. – Spojrzał na Hooyota. – Jako że jesteś jedyny uzbrojony, zagrasz dziś na libero, piłka może przejść, przeciwnik nie. Bierzesz tego swego bejsbola w rękę i napierdalasz po pęcinach kogo popadnie. Zrozumiano?! – Ostatnie słowo wykrzyczał, przykładając do krocza łokieć z zaciśniętą pięścią.

W szatni zapanowała ogólna wesołość, którą podbił George. Wyskoczył na środek z krzykiem i dopisał na tablicy nazwisko trenera.

– A trenejro zespoła tego to Piter „Wrzaskun” Chuuujcznyyy! – krzyczał, przeciągając samogłoski. – Geniusz taktyki stosowanej!

W tym momencie do szatni wszedł trener w towarzystwie prezesa i asystenta. George zaczął gorączkowo wycierać tablicę gąbką, jak się okazało, nie dość szybko. Huczny zmarszczył brwi jak parodiujący go przed kilkoma chwilami Babka.

– A tobie, Chujowy, co? Rysować ci się zachciało? Może będziesz od jutra linie na trawie smarował? Wreszcie byś się na boisku pojawił, a nie tylko grzał ławę i szmal kasował.

– Nie wstawia mnie trener do składu pierwszego… – bąknął cicho George.

– Bo jesteś chujowy, Hooyowy! – ryknął trener. – Po prostu. Trenuj, pokaż na boisku, ile jesteś wart, a nie mi tu jakieś van goghi malujesz.

W szatni zapadła cisza.

– Ktoś jeszcze jakąś laurkę namalował i chce się pochwalić? – Powiódł wzrokiem po rzędzie pochylonych głów wciśniętych w ramiona. Wyglądaliśmy jak żółwie próbujące schować czaszkę w skorupie.

Trenerzy przyszli do szatni sporo przed czasem, dlatego zaskoczyli George’a. Zazwyczaj Huczny przed treningiem siedział i wypełniał codzienną porcję kuponów bukmacherskich, po czym wysyłał asystenta albo jednego z ochroniarzy, by oddać zakłady. Oczywiście tak jak nas

dotyczył go zakaz obstawiania, więc wysługiwał się słupami, by się ukryć. Chyba był uzależniony; przez cały okres pobytu trenera w klubie nie pamiętam dnia, by ktoś nie pędził do bukmachera z tym zadaniem. Babce udało się kilka razy przechwycić na chwilę kupon; okazało się, że Wrzaskun obstawia na przykład mecze drugiej ligi fińskiej w hokeja albo pierwszej ligi islandzkiej. Obstawiał zdarzenia, o których nie miał prawa posiadać jakichkolwiek informacji, nie podchodził do tego analitycznie, raczej typował kilka meczów metodą na chybił trafił. Cóż, był konsekwentny, stosował w bukmacherce tę samą strategię co w prowadzeniu drużyny.

Teraz wodził wzrokiem po naszych twarzach. Zza jego pleców nieśmiało wyglądał asystent. Prezes stanął przy tablicy i oparł się nonszalancko o parapet.

– Nie będę analizował ostatniego meczu, bo jak sobie przypomnę, co wyrabialiście na boisku, to mnie kurwica bierze. Tydzień wcześniej bez problemu ogrywamy Pomorze na wyjeździe, a teraz remisujemy ze słabą Białą, i to u siebie? Wytłumaczy mi to ktoś? Nie wstyd wam? – Mówił coraz głośniej. – Spójrzcie w tabelę. Ten remis kurewsko skomplikował nam sytuację i niech nauczy was, że nikogo nie wolno lekceważyć. Nikogo, kurwa! – wrzasnął. – Liczyłem, że w sobotę zmażecie tę plamę, a tu co? W szatni zabawa na całego, śmiechy, rysunki na tablicy! Pojebało was? Tracimy punkty, Zorza się zbliża, a tu śmichy-chichy? Wam się poprzewracało w głowach! – Nakręcał się coraz bardziej. – Przed meczem pompka, motywacja, co to mamy robić, po meczu samobiczowanie – przedrzeźniając, obniżył głos. – Trzeba się wziąć w garść, zapierdalać, tak nie może być… Powiem wam coś: jesteście mocni tylko w gębie, jak przychodzi czas na grę, to oddajecie punkty ogórkom. Mnóstwo pustych słów bez treści i znaczenia, frazesy.

Wrzaskun zamilkł na chwilę, podniósł palec wskazujący do ust, mimo że w szatni panowała absolutna cisza.

– Słowami piłkarzy są ich czyny na boisku. To jest ważne, przemawiacie grą do siebie, do prezesów i kibiców. To jest sedno i treść, a nie pierdolenie i narzekanie do kibiców i zarządu, że to niedobre, trening zły, podróż za długa. Pieprzenie przed, płacz po meczu, to wasz świat. I to ma się zmienić w sobotę, w sobotę sens ma być na boisku, w czasie meczu. Nie przed ani po. – Spojrzał na cichą szatnię. – Zrozumiano? – Kilka głów pochyliło się w potwierdzeniu. – Proszę, panie prezesie.

Prezes Jan Książę zrobił krok w przód, wsadził kciuki w kieszenie. Ubrany w jasne dżinsy i granatową marynarkę sprawiał wrażenie miejskiego eleganta, ale my wiedzieliśmy, że to tylko pozory. Nieustannie pracujące mięśnie szczęk przy policzkach kazały sądzić, że albo coś ciągle przeżuwa, albo zgrzyta zębami. Opalona twarz i szczupła, wysportowana sylwetka świadczyły o godzinach spędzonych w solarium i na siłowni. Myślę, że był niewiele starszy ode mnie, więc w środowisku działaczy sportowych wydawał się młodzieniaszkiem. Prowadził znaną firmę ochroniarską, która obsługiwała nasze mecze, i w pewnym momencie postanowił zainwestować w futbol. Najpierw kupił część udziałów; nasłuchał się opowieści, jaki to łatwy zarobek – wystarczy sprzedać jednego dobrego zawodnika i miliony lądują w kieszeni. Gdy okazało się, że został następnym frajerem wierzącym w mit krociowych zarobków w polskim futbolu, który raczej przypomina studnię bez dna niż posiadłości króla Midasa, postanowił ratować zainwestowane pieniądze. Prezesem został w dość niejasnych okolicznościach trzy lata wcześniej, kiedy ze względów zdrowotnych z tej funkcji zrezygnował Wiesław Gołoński, zasłużony działacz Centrum. Chodziły słuchy, że Księciunio mocno mu pomógł w podjęciu tej decyzji. Od tamtej pory na każdym meczu dużo częściej zaczęli się pojawiać ludzie z miasta; zarówno z urzędów miejskich, jak i z tego drugiego miasta, „podziemnego”.

– Panowie, wiecie, o co gramy. Tyle nam brakuje do osiągnięcia sukcesu – zaczął prezes, rozglądając się po szatni i dwoma palcami pokazując, jak mało dzieli nas od mistrzostwa – ale też tyle może nas od niego oddzielić. Przyszedłem tu, by was dodatkowo zmobilizować, by nie zdarzyło się coś takiego jak w poprzedniej kolejce. Ten ostatni mecz jest podwójnie ważny: raz, że zdecyduje o tytule mistrzowskim, dwa, że jeśli go wygramy, być może skończą się nasze kłopoty finansowe. Jestem…

– Rozumiemy, panie prezesie, ale my po prostu nie mamy za co żyć – przerwałem mu. Wiedziałem, że po wcześniejszej dyskusji muszę zaryzykować konfrontację. – Od kilku miesięcy nie dostaliśmy ani złotówki. Jak mamy przygotować się do meczu?

Książę nie był przyzwyczajony, by ktoś mu przerywał; zrobił obrażoną minę i zacisnął szczęki, mięśnie twarzy bezwiednie mu drgnęły.

– Mamy chwilowe kłopoty, zgadza się, ale wychodzimy na prostą. Wcześniej wypłaty były na czas i teraz też tak będzie. Obiecuję, że wszystkie zaległości zostaną uregulowane.

– Kiedy? Słyszeliśmy to już kilka razy – nie dawałem za wygraną, choć prezes zdradzał symptomy irytacji.

– Tuż po ostatnim meczu. Jestem w końcowej fazie negocjacji z potężną firmą bukmacherską. Gobet, właściciel Sternika, to przy niej pikuś. Wszystko jest już praktycznie dograne. Będziemy mieli dużo silniejszego sprzymierzeńca, pod jednym warunkiem: wygrajcie ten ostatni mecz ze Ste…

– Kolejny warunek – ponownie mu przerwałem. – Nie może pan się najpierw wywiązać z poprzednich obietnic? Jesteśmy cierpliwi, czekamy, panie prezesie, ale ile można?

Kilka głów w szatni kiwało się na potwierdzenie moich słów.

Wiarygodność w naszych oczach prezes stracił już dawno. Gdy brakowało pieniędzy, raptem stawał się nieuchwytny. Nie pojawiał się w klubie, nie odpowiadał na maile ani telefony. Kilka razy zmusiliśmy kierownika drużyny, by przy nas, na głośnomówiącym, dzwonił do Księcia. Dwa razy odebrał, myśląc, że kiero ma do niego jakąś sprawę. Gdy się zorientował, że jest na głośnomówiącym, zaczął szumieć w słuchawkę i krzyczeć, że wjeżdża właśnie do tunelu, i się rozłączył. Za drugim razem wmawiał nam, że jest w drodze do klubu, z walizką pieniędzy, i zaraz wypłaci nam wszystkie zaległości, że wjeżdża właśnie na rondo i za kilka minut będzie na miejscu. Oczywiście się nie pojawił, a my żartowaliśmy, że pewnie ciągle krąży na rondzie i nie może z niego zjechać.

Mięsień na policzku prezesa pulsował już na całego, Księciunio gdyby mógł, pewnie zacząłby zgrzytać zębami.

– Wywiązuję się – stwierdził przez zaciśnięte zęby. – Żeby pokazać, jak ważne jest to spotkanie, daję wam dodatkowo pięćdziesiąt tysięcy premii od przyszłego sponsora.

W szatni rozległ się pomruk zaskoczenia. Prezes wyciągnął z kieszeni gruby plik banknotów i zaczął machać nim w powietrzu.

– Wywiążę się z obietnicy – spojrzał krzywo na mnie – od razu po spotkaniu. Od tego meczu zależy przyszłość klubu, być albo nie być, jak mówił Mickiewicz. Proszę o pełną koncentrację. A teraz wybaczcie, obowiązki wzywają.

Zaskoczył nas tą dodatkową premią – do tej pory jeśli nawet dostawał jakieś dodatkowe pieniądze, to szły na spłatę długów albo po cichu lądowały w kieszeni prezesa. Nie zwykł dzielić się z nami bonusami, więc domyślałem się, że dostał pewnie dużo więcej, a nam rzucił ochłap.

Po skończonej przemowie pochylił się i szepnął mi do ucha:

– Zajrzyj do mnie po treningu.

Odwrócił się z szyderczym uśmiechem, poklepał siedzącego obok George’a po ramieniu.

– Jak jest, George? – rzucił swobodnie.

– Chujowo, prezes – odpowiedział z krzywą miną George, drapiąc się po głowie. – Nie ma sianka, nie ma granka.

Rozległy się śmiechy, prezes natychmiast spoważniał i wyszedł z szatni, kręcąc głową.

– Dobra, dosyć ględzenia, czas na robotę. Wychodzimy na trening, rozgrzewka biegowa piętnaście minut… – Trener stanął w drzwiach pryszniców, rozpiął rozporek i stojąc tyłem do nas, kontynuował przemowę przy akompaniamencie strumienia moczu rozpryskującego się na podłodze łazienki. – Potem gierka dwa razy dwadzieścia.

W szatni rozległ się pomruk niezadowolenia.

– Wczoraj graliśmy mecz – zaprotestował Babka.

– Nie ma rozruchu. Nie chciało się biegać w meczu, pobiegacie dziś. Zasady te same co zawsze, blisko i agresywnie. – Poruszył kilka razy biodrami, strząsając ostatnie krople moczu. – Jeśli ktoś odstawi nogę, to mu ją urwę.

Rozległ się dźwięk zasuwanego zamka. Trener odwrócił się i przyłożył palce do nosa, potarł kilka razy nozdrza, wciągając głośno powietrze.

– A, zapomniałbym dodać… – Zrobił pauzę, w trakcie której na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiech. – Po rozgrzewce wahadełko.

W szatni zapanowała cisza, wszyscy zamarli.

– Zlekceważyliście przeciwnika, ja was nie lekceważę. Do roboty! – Zaklaskał w dłonie. – Wychodzimy!

Podnieśliśmy się z miejsc.

– Kurwa, zajebać nas chce z zemsty – mruknął Babka.

– Dobrze, że… że… śniadania nie… nie zjadłem – dodał Piesek.

– Ja zjadłem – ponuro stwierdził Kaczka.

– Będę rzygał – podsumował Jabol, idąc do drzwi.

Korki zastukały na kafelkowej podłodze.

– Zrzuta do kapelusza po pięćdziesiąt – przekrzykiwał hałas trener. – Składy te same co tydzień temu. Przypominam o ochraniaczach.

Maciek z czapką bejsbolówką w ręku obchodził szatnię, zbierając pieniądze. Rogal kozłował piłką, Kaczka walił butem o podłogę, usiłując

pozbyć się zaschniętej ziemi spomiędzy korków, asystent krzyczał, by nie zapomnieć o piłkach.

– A ty co, w lankach?! – wrzeszczał trener na widok jednego z młodych, który miał zamiar wyjść na trening w butach z miękkimi, lanymi korkami. – Może mi jeszcze bambosze założysz?! Wkręty i ochraniacze, ale już!

– Młodzi, piłki! – krzyczał asystent.

Mając w perspektywie wahadło, wychodziliśmy na trening jak na ścięcie. Wszyscy poruszali się w ciszy, bez typowych wygłupów, żartów, dowcipkowania.

Zaczął padać lekki deszcz, jakby pogoda czytała nam w myślach i dostosowała się do naszego nastroju. W trakcie kilkunastu minut biegowej rozgrzewki połączonej z rozciąganiem z niepokojem obserwowaliśmy, co robi Wrzaskun. Trener z niekłamaną radością wyzierającą z każdego ruchu rozstawiał paliki do głównego ćwiczenia na boisku, a my bacznie śledziliśmy jego ruchy.

Wahadło było jednym z najbardziej forsownych i co za tym idzie – najbardziej znienawidzonych przez nas ćwiczeń. Z tego samego powodu było to chyba ulubione ćwiczenie Wrzaskuna, zawsze poprawiało mu humor; rozstawiając znaczniki, szczerzył się jak głupi do sera. Był to trening wytrzymałości szybkościowej, a ze względu na ogromną intensywność zazwyczaj stosowano je tylko w trakcie okresów przygotowawczych, i też niezbyt często. Huczny miał w repertuarze kilka jego rodzajów, począwszy od strzeleckiego – gdy oddawało się kilkanaście uderzeń, biegając od piłek leżących w linii wzdłuż szesnastki do palika ustawionego kilkanaście metrów dalej (ostatnie strzały ledwo dolatywały do bramki, a bramkarz dłubał w nosie, broniąc nogami, podczas gdy strzelec był bliski omdlenia) – a skończywszy na pokonywaniu odległości całego boiska od linii końcowej do każdej piątki, szesnastki, połowy i drugiej szesnastki, drugiej piątki i linii końcowej, gdy za każdym razem wracało się do punktu wyjścia.

Kluczową rzeczą, której zawsze pilnował trener przy tym ćwiczeniu, była szybkość biegu. Huczny aż podskakiwał, krzycząc na piłkarzy i zmuszając ich do maksymalnego wysiłku. „Dawaj, musisz, jeszcze wyciśnij, dołóż! Kurwa, szybciej!” Każdy odcinek w wahadle trzeba było przebiec na pełnej szybkości, ale nie to było najtrudniejsze. Najgorsze okazywały się zwroty przy końcach odcinków, każde hamowanie i przyspieszanie zabierało najwięcej energii, z każdym odcinkiem nogi miękły nam coraz bardziej

i coraz bardziej uginały się pod ciężarem ciała, a trener dbał o odpowiednią liczbę powtórzeń, tak żebyśmy przeżyli, ale żeby niewiele dzieliło nas od krańca możliwości.

Tym razem wybrał dla nas krótszy, trzydziestometrowy odcinek, który mieliśmy przebiec w trzech seriach, w każdej po sześć razy z rzędu. Oczywiście dołożył nam element rywalizacji, więc biegaliśmy w parach, ścigając się z partnerem. I tak mieliśmy szczęście, zazwyczaj tej długości odcinek pokonywaliśmy dużo więcej razy; zaczynaliśmy od pięciu powtórzeń w serii, w następnej było ich sześć, potem siedem, i tak do dziesięciu, następnie schodziliśmy w dół ponownie do pięciu. To była katorga, po której wracaliśmy do szatni na czworakach.

Biegałem w parze z Babką. Miał niesamowity gaz i nie było szansy udawać przy nim szybkiego biegania, aby zaoszczędzić trochę sił. Choć Bogiem a prawdą, to miałem głęboko w dupie, kto wygra. Chciałem przede wszystkim przeżyć.

Stanęliśmy przy pierwszym paliku. Coach gwizdnął. Wystartowaliśmy. Pełen gaz, wszystkie mięśnie napięte, ręce pracują jak wahadła, kolana wysoko w górę, prawie bezdech, pierwsze hamowanie, środek ciężkości obniżony, drobniejszy krok, by wytracić szybkość, i ponownie, po zmianie kierunku, ile fabryka dała… Babka wyprzedzał mnie na prostej o pół metra, ale gdy zwalniał, odrobiłem stratę. Następny start, słyszę ciężki oddech, swój i rywala… Przy hamowaniu lekko rozjechały mi się stopy, Babka znowu tuż przede mną. Jeszcze tylko dwa, wytrzymam… Czuję, jak mięśnie mi twardnieją, uda coraz wolniej wędrują w górę, jeszcze jeden start, pełna moc, ostatnia prosta… Robi mi się ciemno przed oczami.

– Dawaj, Zygmunt, ucieka ci, musisz – jak przez ścianę słyszę krzyki trenera.

Czuję, że jestem coraz niżej, kolana się pode mną uginają. Przebiegamy między palikami prawie równocześnie, Babka klęka, ja wiem, że nie mogę zrobić tego błędu, chwilę stoję na sztywnych nogach, podpierając się dłońmi na kolanach, klatka piersiowa pracuje mi jak miech kowalski. Wiem, że jak usiądę, będę rzygał. Jakby na potwierdzenie, widzę zzieleniałego na twarzy Michała, którym szarpią odruchy wymiotne. Zaczynam chodzić jak na szczudłach, nogi nie chcą mnie słuchać, ciężko dyszę i myślę, jak tu przebiec jeszcze dwie serie. Nie do wiary, że w ciągu kilkudziesięciu sekund można się tak zmęczyć.

Ale nienawidzę, kurwa, przegrywać! Wspomniałem wcześniej, że mam w dupie, kto wygra? Kłamałem. Oszukiwałem siebie codziennie, że nie cierpię rywalizacji, że jest mi obojętne, kto wygra, po prostu lubię kopać piłkę i takie tam. Prawda jest taka, że choćbym nie wiem jak uciekał od wyścigu szczurów, to i tak w nim uczestniczę, mało tego – sprawia mi to olbrzymią frajdę… Pod warunkiem że wygrywam.

– Dosyć leżenia, gramy! – krzyknął Huczny, gdy po trzeciej serii wahadła wszyscy w drużynie usiłowali dojść do siebie i jednocześnie starali się nie obrzygać sobie butów. – Zakładajcie kamizelki i ruszamy. Indianie odpoczywają w biegu.

Możliwości regeneracyjne organizmu są jednak ogromne; po kilku minutach kopania, w czasie których sukcesem była wymiana trzech celnych podań z rzędu, a gra się totalnie nie kleiła i głównym celem było wykopnięcie piłki jak najdalej w aut, żeby zyskać kilka cennych sekund odpoczynku, z wolna zaczęliśmy dochodzić do siebie.

Rozpadało się na całego; jakby nie wystarczyło zmęczenia po wahadle, to poruszanie się utrudniało nam dodatkowo coraz większe błoto na boisku. Mimo to po początkowej ślamazarności nie było już śladu. Obydwie drużyny walczyły, jakby chodziło o mistrzostwo świata. Zastanawiałem się zawsze, dlaczego głupia gra treningowa o kilka złotych wyzwala aż takie pokłady agresji i zaangażowania. Na niejednym meczu nie było widać tylu wślizgów, ostrych starć, pojedynków biegowych. Nikt nie cofał nogi, a niejeden wkładał głowę tam, gdzie wielu wahałoby się dostawić stopę. Napierdalanka na całego, jak mawiał Babicki.

Najgorzej miał sędzia takiej gierki. Zazwyczaj w tej roli występował asystent Marian Pyrol i choćby nie wiem, jak się starał, zawsze ktoś był niezadowolony. Huczny oczywiście wszystkiemu uważnie przypatrywał się z boku, nie wtrącając się. Znajdował jakiś punkt obserwacyjny, najczęściej na trybunie, i siedział z tym swoim sławnym notesem, w którym wszystko zapisywał.

Kłótnie, szarpanina były na porządku dziennym, czasem dochodziło nawet do bijatyk, nie były to więc łatwe mecze do sędziowania, zwłaszcza że trudno zapanować nad dwudziestką rozjuszonych facetów chcących wygrać za wszelką cenę. Nierzadko Marian zmuszony był wyrzucać z boiska kilku z nich, by ochłonęli. Wszystko to w grze o pięćdziesiąt złotych!

– Wy tak żeby w meczu zapierdalać chcieli – zrzędził George po końcowym gwizdku sędziego. – Za te głupie pięćdziesiąt złote mało się nie amputowali.

W czasie gry przestało padać, wyszło słońce. Wojtek rozdawał bidony z napojami siedzącym piłkarzom, kilku ćwiczyło dodatkowo brzuszki, część zmierzała zmęczona do szatni.

– Kamizelki dwadzieścia pompek – zarządził trener, który zdążył zejść już z trybuny. – Kasa w szatni. Kończymy na dziś. Aha, Marian, zabieraj bramkarzy. Zmarzli trochę w deszczu, to popracują, by się rozgrzać. Zrób im serie dośrodkowań.

– Rogal, Maciek, do bramki! – krzyknął asystent.

Siedziałem tuż obok szesnastki, popijając wodę z bidonu; Rogal podniósł się bez szemrania i zmierzał do bramki, Maciek patrzył tylko z wyrzutem na asystenta.

– Potrzebujesz zaproszenia, mołodziec? – Rogal był bezlitosny.

Maciek zabrał rękawice i wolno poszedł do bramki. Przyglądałem się całej scenie ledwo żywy. Znowu zaczęło boleć mnie kolano, nie mogłem się zmobilizować, by ruszyć do szatni, więc sącząc wodę, obserwowałem trening bramkarzy. Asystent ustawił się z piłkami przy linii bocznej, na wysokości szesnastki. Rogal stał w bramce, Maciek na siódmym metrze przed nim. Marian pierwsze dośrodkowanie przeciągnął aż za drugą linię boczną pola karnego, bramkarze tylko odprowadzili piłkę wzrokiem. Druga poleciała za linię końcową, asystent zaklął i ustawił trzecią. Następna piłka wylądowała tuż przy mnie, czyli na dwudziestym metrze. Rogal, mimo że na pełnej szybkości starał się ją złapać, nie zdążył.

– Mam pomóc? – nie mogłem się powstrzymać od złośliwości.

Asystent tylko splunął przez ramię i uderzył następną piłkę. Rogal zrobił kilka dynamicznych kroków, wyskoczył z uniesionym kolanem i pewnie chwycił piłkę wysoko nad głową Maćka.

Przy następnych dośrodkowaniach tak samo zdecydowanie wychodził do każdej piłki z głośnym okrzykiem, czasem łapał, a czasem piąstkował futbolówkę, a Maciek stał przed nim, usiłując mu lekko przeszkadzać. Po kilkunastu minutach nastąpiła zmiana: Maciek wszedł do bramki, Rogal rzucił rękawice za linię i stanął na siódmym metrze.

Asystent dośrodkował, silnie uderzona piłka poleciała w kierunku szesnastki.

– Moja – niepewnym, cichym głosem powiedział Maciek.

Rogal uprzedził go i wbił piłkę głową do siatki.

– Moja – zaczął przedrzeźniać młodego. – Jaja ci urwali, że piszczy jak organki? Rycz jak niedojona krasula, na drugiej połowie mają cię słyszeć.

Marian wrzucił kolejną piłkę.

– Moja! – trochę głośniej krzyknął Maciek, usiłując ją złapać.

Rogal się nie odsunął, odepchnął łokciem Maćka i uderzył z woleja piłkę do bramki.

– Rozumiesz, co mówię, czy ty jakiś durnowaty? – nakręcał się. – Moja! Moja! – piskliwym głosikiem przedrzeźniał rezerwowego. – Jesteś gej? Masz jaja? Pokaż! – Szarpał go za spodenki, usiłując zajrzeć w gacie Maćka, które ten rozpaczliwie przytrzymywał. – Pijesz? Szwenda się po nocach z pedałami? Oczka jak cipki, pod oczkami wory. Po chuj tu przyłazisz? Chce grać w piłkę czy balangować?

– Co się znęcasz nad chłopakiem? Odpuść. – Zrobiło mi się szkoda Maćka, wiedziałem, że jak się Rogal rozpędzi, to potrafi zmieszać człowieka z błotem, tak że się potem przez tydzień dochodzi do siebie.

– Nie wpierdalaj się, Dzwonek, okej? Opiekun się znalazł.

Asystent ponownie dośrodkował, Maciek zdecydowanie wyszedł w powietrze, ryknął:

– Moja! – i pewnie chwycił piłkę.

Rogal wymownie spojrzał na mnie, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem”.

– Widzisz, młody? Od razu lepiej, przybij piątkę.

Zdążyłem już ostygnąć i kolano dawało o sobie znać. Do jutra przejdzie – pomyślałem. Podniosłem się ciężko i powlokłem do szatni.

Nie miałem dobrych relacji z naszym podstawowym bramkarzem. Tolerowaliśmy się, ale staraliśmy się raczej omijać i nie wchodzić sobie w drogę. Dwa razy miałem z nim spięcie, co ukształtowało nasze stosunki. Pierwszy raz zdarzył się tuż po pojawieniu się Rogala w klubie. Pod czujnym okiem Hucznego trenowaliśmy wytrzymałość w Puszczy Kampinoskiej. Trener odmierzył dwukilometrową pętlę, wyśrubował taki czas, żebyśmy musieli się zdrowo namęczyć, by ją przebiec i się w nim zmieścić. Stał ze stoperem w ręku, zadowolony, uśmiechając się jak zawsze, gdy udawało mu się nas mocno zdemolować. Do lasu na trening przyjechał też z nami asystent i maser, Huczny rozstawił ich na dwóch zakrętach pętli, a na trzecim stanął sam – wszystko po to, byśmy nie mogli skracać dystansu. Na czwartym nie miał już kogo postawić, więc piłkarze

szybko spostrzegli szansę. Skracać dystans zaczął Andrzej Szydło, słaby wytrzymałościowo chłopak, który częściej grywał w drugiej drużynie niż z nami. Po którymś kółku Rogal nie wytrzymał.

– Trenerze, tak to nie może być. – Sapał, chodząc w kółko, z rękami opartymi na biodrach. – Albo wsio równo, albo wcale. To ja, stary, gonię jak sabaka, a taki młody gówniarz Szydło zapierdala na skróty?

Hucznego na moment zatkało; nie spotkał się jeszcze z czymś takim. A mnie jakby ktoś w mordę dał.

– Słucham? – dopytywał trener.

Nie dałem Rogalowi odpowiedzieć.

– Pewnie, zacznijmy się nawzajem podpierdalać – stwierdziłem głośno. – Na pewno stworzymy wtedy silny zespół.

Rogal spojrzał na mnie zaskoczony, reszta zespołu, zdziwiona, też podniosła głowy. Rogal się zdenerwował i zaczął jeszcze mocniej zaciągać po białostocku.

– Oszusta, legata chcesz w drużynie? Będziesz za niego biegał w meczu?

Trener gapił się zdezorientowany, raz na mnie, raz na bramkarza, pewnie zastanawiając się, jak rozstrzygnąć sytuację.

– Nie będę – odparłem – ale też nie będę jak konfident donosił na kolegę. Może od razu przerzućmy się na szachy albo inny sport indywidualny – mówiłem głośno, gestykulując, a zmęczenie jeszcze bardziej wzmacniało gniew.

Wokół rozległy się pomruki poparcia. Rogal powstrzymał się od reakcji, w końcu był nowy w drużynie, a ryzykował kłótnią nie z gówniarzem, lecz ze starszym zawodnikiem. Huczny wreszcie się otrząsnął i załagodził zatarg, ale widziałem we wzroku Rogala, że przyjaciela w nim mieć nie będę. Pomyślałem wtedy, że trafił nam się jakiś fanatyk uczciwości. Jakże się pomyliłem.

Drugie moje starcie z Rogalem nastąpiło niedługo po scysji w lesie, po jakimś przegranym meczu. To było ważne spotkanie, mieliśmy szansę na puchary, a nasz golkiper odpierdalał taką manianę w bramce, że nie wytrzymałem. Najpierw wyszedł do dośrodkowania i przy próbie piąstkowania mało nie urwał łba naszemu stoperowi, na szczęście piłka, oczywiście nietknięta, opuściła boisko. W następnej akcji przeciwnik zagrał prostopadłe podanie na trzydziesty metr przed naszą bramkę; ścigałem się z napastnikiem, byłem lepiej ustawiony, sytuacja wydawała się opanowana, a tu nagle zobaczyłem, że Andrzej wypada z bramki jak dzik. Wybiegł poza

pole karne, nie miałem komu zagrać, więc wykopnąłem piłkę bezpiecznie w aut. Grzecznie mu powiedziałem:

– Stój, kurwa, w klatce, przecież widzisz, że kontroluję sytuację.

Machnął tylko ręką. Dwie minuty potem poszła następna prostopadła piłka. Co zrobił Rogal? Znowu wybiegł na trzydziesty metr, oczywiście spóźniony, napastnik trącił więc lekko piłkę, obiegł go, miał przed sobą pustą bramkę, ale uderzył za lekko i zdążyłem wybić ją z linii bramkowej wślizgiem. Krew mnie zalała, zerwałem się i puściłem naszemu bramkarzowi wiązankę motywującą. Bo ile można tłumaczyć? Zaczęliśmy wrzeszczeć na siebie, aż wkroczył sędzia i nas uspokoił.

Ostatecznie przegraliśmy; w końcówce straciliśmy gola po przepięknym strzale w okienko, którego Rogal nie miał najmniejszych szans obronić. W szatni znowu stanęliśmy oko w oko, nos w nos, wściekli i skorzy do rękoczynów. Emocje oczywiście zaraz opadły, ale od tego czasu się omijaliśmy. Tolerowaliśmy się, nieraz razem piliśmy na imprezach zespołu, ale chłodny dystans między nami pozostał.

Na środku szatni stał wielki kosz na kółkach, który magazynier wprowadził, by zebrać brudny sprzęt. Klapnąłem ciężko na swoim miejscu, mocno czułem trening w nogach. Oczywiście telewizor grał niemiłosiernie głośno, raniąc mi uszy disco polo, a któryś z chłopaków usiłował mu jeszcze dorównać, wrzeszcząc w niebogłosy. Wszyscy byli porozbierani, usmarowani błotem, część, podobnie jak ja, siedziała zmęczona, inni z fiutami na wierzchu wrzucali brudny sprzęt do pojemnika.

Kosz był już wypełniony do połowy, gdy George zbliżył się do niego, trzymając telefon przy uchu. Jako jedyny w pomieszczeniu był opasany ręcznikiem, w ręku trzymał ubłocony strój. Krawędź pojemnika sięgała mu do pasa i gdy wrzucając tobołek, zahaczył łokciem o brzeg kosza, telefon wpadł mu do środka. Pochylił się, próbując wyjąć aparat, a wtedy Babka doskoczył od tyłu, chwycił go za nogi i wrzucił do pojemnika. George zniknął pośród mokrych ubrań i błota; kosz był tak wielki, że straciliśmy go na chwilę z oczu. Chłopaki wykorzystały sytuację i zaczęły szybko dorzucać brudny sprzęt. Z każdej części szatni jak pociski leciały mokre getry, ubłocone spodenki i koszulki.

– Czego tam szukasz? Nie grzeb w gównie. W getrę pchaj. Masz go?

Wszyscy rechotali, próbując przekrzyczeć się nawzajem. George się wyprostował. Na jego twarzy malował się wyraz bezgranicznej pogardy.

– Śmieszne jak zawsze bardzo. Białasy kutasy.

Wygramolił się ze środka i odprowadzany śmiechem i gwizdami, wolnym, demonstracyjnym krokiem ruszył w stronę pryszniców. Jego ręcznik zmienił kolor z białego na brudnoszary, ale nawet tego nie zauważył. Stanął w drzwiach, powiesił go na wieszaku. Tym razem wrzask podniósł się w łazience.

– Potwór! Wąż! Boa! Ratunku!

Chłopaki z udawanym strachem zaczęły wybiegać spod prysznica, przepychając się w drzwiach.

Zrobiło mi się trochę żal George’a, ale z drugiej strony powinien już się do takiego traktowania przyzwyczaić. Zresztą nie był jedynym obiektem żartów, a te nie były kierowane tylko do obcokrajowców. Szydera, drwiny, darcie łacha były na porządku dziennym i nie omijały nikogo. Jeśli ktoś nieopacznie założył coś dziwnego, jak choćby kiedyś Maciek apaszkę, miał odjechane buty lub inną część garderoby albo powiedział coś głupiego, musiał się liczyć z szyderą. Zresztą pretekstem mogło być tak naprawdę wszystko – cecha charakteru, część ciała jak u George’a, nawyk, sposób mówienia i tak dalej.

Wlewanie wody z wiadra górą, gdy ktoś siedział na kiblu; malowanie butów na złoto; przybijanie ich do podłogi gwoździami – takie pomysły przychodziły do głowy kolegom w ramach występów kabaretowych w szatni. Piesek na przykład uwielbiał zabawę w strzał z zaskoczenia: ni stąd, ni zowąd kopał mocno piłkę w ścianę albo w sufit, futbolówka, odbijając się, w kogoś trafiała, a ofiara nie była dłużna i też waliła z całej siły. Wszyscy rechotali i chowali się po kątach, a piłka ze świstem śmigała po szatni. Aż dziw, że nigdy nie strąciliśmy żadnej lampy; tylko raz Jabol uderzył tak umiejętnie, że trafił idealnie w lufcik nad drzwiami, wybijając szybę – ale jemu często przytrafiały się takie rzeczy.

Kiedyś Rogal, chcąc go przestraszyć na parkingu, po cichu podjechał do niego od tyłu i na kilku ostatnich metrach ryknął silnikiem i gwałtownie zahamował. Jabol się przestraszył, odruchowo chciał się zasłonić tym, co trzymał w ręku, a że akurat niósł ciężki kanister, to piznął nim w reflektor, rozbijając go w drobny mak. Później uciekał przed wściekłym Rogalem, nie wypuszczając kanistra z rąk. Mam nieodparte poczucie, że wiem, co było w środku pojemnika. Pewnie testował nową skrytkę na alkohol w budynku klubowym.

Piętnaście minut później stałem z wilgotnymi włosami na korytarzu. Zadzwonił telefon.

– Witaj, braciszku – usłyszałem głos Pawła. – Co tam słychać w wielkiej piłce? – Nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Przyjadę z Poznania w dniu meczu, zostaw mi bilety na ochronie, będę od razu wracał, sam rozumiesz, interesy, przywożę ekipę biznesową, muszę jakoś ich urobić. – Zaśmiał się w słuchawkę. – Kroi się duża rzecz.

– Okej – odparłem, ale miałem wrażenie, że tego nie usłyszał. Nie przestawał gadać:

– Słuchaj, w związku z tym mam pytanie, nie musisz dawać mi odpowiedzi teraz, ale pomyśl nad tym, zastanów się. Złapałem kontakt do doświadczonej ekipy z branży utylizacji śmieci, to nowy biznes, ale uwierz, potencjał ogromny. Przecież coś z tym syfem wokół trzeba zrobić, inaczej zaleje nas morze śmieci, no nie? Trza oczyścić świat. Pewny biznes, ludzie chętni, potrzeba tylko części finansowania, by dostać kredyt. Dasz radę? Wiem, nic nie mów, przemyśl to tylko. Ta wcześniejsza pożyczka jest bezpieczna, procent rośnie, bądź spokojny. Zresztą obgadamy wszystko po meczu, przyjadę w tygodniu. Dobra? – Usłyszałem w tle dzwonek. – Muszę kończyć, mam drugi telefon. Do zobaczenia, braciszku.

Standardowa rozmowa z Pawłem – „wodosłowie” w pełnej okazałości. Powinien zostać politykiem, nie biznesmenem. Po skończeniu liceum wyjechał na studia do Poznania i już tam został. Był najmniej uzdolniony piłkarsko z rodzeństwa. Chcąc udowodnić ojcu, że nie jest ostatnim łamagą i ten niesłusznie się na nim zawiódł, ukończył AWF. Efekt ze studiów sportowych był taki, że od razu zaczął się rozglądać za pieniędzmi na własny biznes, który oczywiście nie miał nic wspólnego ze sportem i który mu sfinansowałem. Pożyczałem mu kapitał na gębę kilkakrotnie, za każdym razem zwracał, interes upadał i tak od nowa. Pralnia samoobsługowa, wypożyczalnia kaset wideo, kawiarnia, do której co rusz wprowadzał swoje innowacyjne pomysły. Każda następna prośba zawierała coraz wyższą sumę. Przyzwyczaiłem się.

Zapukałem do drzwi z tabliczką „Prezes”. Słyszałem dziwne odgłosy dobiegające z wnętrza, ale na pewno nie było to zaproszenie do wejścia. Ponownie zapukałem. Nic się nie zmieniło. Uchyliłem drzwi i zajrzałem do środka.

Na podłodze leżał zwinięty w kłębek Robert Nidziński, chłopaczek, który kilka razy pojawił się u nas na treningu. Wokół niego krążył prezes,

w samej koszuli, z podwiniętymi rękawami i rozwianym włosem. Z boku blady mężczyzna w garniturze, podejrzewam, że agent piłkarza, śledził szeroko otwartymi oczami całą scenę, bez słowa, przyklejony plecami do ściany, jakby chciał przez nią przeniknąć i znaleźć się w bezpiecznej odległości.

– To ja wyciągam cię z gówna – mówił prezes, wymierzając z zaciętym wyrazem twarzy solidnego kopniaka w wypięty tyłek zawodnika – inwestuję w ciebie czas, pieniądze… – kolejny kopniak wstrząsnął ciałem piłkarza, a Jan Książę, prezes klubu sportowego Centrum, obchodził leżącego, nie przestając mówić: – i energię. A ty, kurwa, całymi nocami w kasynie siedzisz? A ten kutas – wskazał agenta – udaje, że jest niewidomy. Myślałeś, że ja też taki będę? Ni chuja!

Kolejny kopniak wylądował na tyłku Roberta, który osłaniał łokciami głowę, jęcząc przy każdym ciosie. Prezes pochylił się, chwycił go za ucho i dopiero wtedy zauważył mnie w drzwiach.

– O, jesteś. – Zastygł, po czym się wyprostował. – Wy won. Zabieraj to ścierwo i nie chcę was więcej widzieć – pożegnał menedżera, który pomógł się podnieść chłopakowi i obaj w pośpiechu uciekli z pokoju.

Gabinet prezesa był urządzony klasycznie. Na skrzypiącym parkiecie pokrytym dużym czerwonym dywanem stało wielkie biurko przykryte rozrzuconymi w nieładzie papierami, po bokach wisiały gabloty ze sztandarami klubowymi w biało-niebieskich barwach. Cała ściana z tyłu obwieszona była półkami z ogromnym zbiorem złotych i srebrnych pucharów różnej wielkości, figurkami, statuetkami, medalami. Istny galimatias, który kojarzył mi się bardziej z wesołym miasteczkiem niż ze ścianą chwały.

Prezes obszedł biurko, wskazał mi gestem krzesło, sam też klapnął na fotel z drugiej strony i wyłożył nogi na blat. Spoglądały na mnie dwie wielkie ubrudzone podeszwy z napisem „Ecco” i małe oczka najważniejszej osoby w klubie.

– Widzisz, do czego zmuszają mnie piłkarze? Wiem, co sobie myślisz, ale czasem to jedyny sposób postępowania, nic innego nie działa. Gadać mogę sobie do usranej śmierci, a trzy kopniaki powodują, że wszystko pojmują w lot. A najśmieszniejsze jest, że robię to dla dobra tego gówniarza. – Wskazał na ścianę za sobą. – Połowy tych trofeów by tu nie było bez takich dyscyplinujących zachowań.

Korciło mnie, żeby zauważyć, że większość tych trofeów została zdobyta, zanim pojawił się w Centrum, ale dyplomatycznie zmilczałem.

Zrobił dramatyczną pauzę i zaczął z zadęciem:

– Dobro klubu to wartość nadrzędna i wszyscy musimy o nią dbać. Za wszelką cenę. Ono jest najważniejsze, mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Panie prezesie, przejdźmy do sedna – przerwałem mu, domyślając się, co za chwilę nastąpi. – Jedną lekcję wychowawczą już pan odbył, druga jest naprawdę niepotrzebna.

Zamilkł na chwilę, wwiercając się we mnie małymi oczkami.

– Wkurwiasz mnie. – Mięśnie twarzy mu zagrały, chyba wytrąciłem go z zamierzonego rytmu. Szybko przeszedł na swój naturalny sposób komunikacji i od razu łatwiej mu się mówiło: – Podważasz mój autorytet przy drużynie, nie panujesz nad szatnią. Po chuj mi taki kapitan? – Zdjął nogi z blatu i pochylił się w moim kierunku: – Wiesz co? Nie przedłużę z tobą kontraktu. Miałem ci to powiedzieć po meczu, ale podobno z twoim kolanem nie jest za dobrze, więc sam rozumiesz.

Czekał na moją reakcję, nie umiejąc powstrzymać uśmiechu. Przekrzywił lekko głowę i obserwował mnie z uniesionymi brwiami.

Znam to uczucie zassania. Wewnątrz pojawia się tyle słów, gromadzą się, ich poziom się podnosi i zamiast grzecznie czekać na swoją kolej, spokojnie pojawić się na ustach, usiłują wydostać się natychmiast, tłoczą się, przepychają, zachodzą na siebie, jakby chciały wyskoczyć wszystkie naraz i zaatakować rozmówcę, rzucić mu się do gardła niczym wściekłe psy…

– Słucham? – wydusiłem.

Spodziewałem się raczej kolejnego wykładu, jak według prezesa ma się zachowywać i co ma robić idealny kapitan. Wydawało mi się dotąd, że jestem zbyt ważną postacią w drużynie, by ot tak się jej pozbyć. W końcu byłem kapitanem, jednym z najlepszych piłkarzy, ostoją obrony. Człowiekiem, który rządził szatnią, kierował nią, był autorytetem i przykładem do naśladowania dla młodych piłkarzy. Oczywiście jak każdy popełniałem błędy, ale patrząc na skalę ocen w przekroju całego sezonu, byłem wyróżniającym się członkiem zespołu. Przecież takich piłkarzy nie kopie się w tyłek i nie wygania za drzwi klubu!

– Czego nie dosłyszałeś? – spytał słodkim głosem.

Zdążyłem już zapanować nad wewnętrznym natłokiem słów i spokojnie wyartykułowałem:

– Mógłby pan powtórzyć i wytłumaczyć, bo nie zrozumiałem? Przerywanie prezesowi? Poważna przyczyna usunięcia z klubu. Poważniejsza niż czternaście lat mojej gry w Centrum. Zapieprzanie…

– Dwanaście, nie czternaście. Nie zapomnij o dwóch latach przerwy, po olimpiadzie, dla rywali też grałeś – przerwał mi.

– Proszę nie żartować, poświęciłem pół życia…

– Nie histeryzuj. To, co najlepsze, masz już za sobą. – Uśmiechnął się. – Do dziś się śmieję, gdy przypomnę sobie ten mecz z Włochami i miny wszystkich kibiców. Większego osłupienia nigdy nie widziałem. Czas zrobić miejsce młodszym, szybszym, wytrzymalszym, którzy mają przyszłość przed sobą. To naturalna kolej rzeczy.

Ewidentnie usiłował mnie wyprowadzić z równowagi, wspomnienie o igrzyskach nie było przypadkowe. Zatrzęsło mną, choć zdołałem to przed nim ukryć. Wstał, obszedł biurko i przysiadł na jego rogu, krzyżując ramiona na piersi. Złość mu trochę przeszła, więc zaczął innym tonem.

– Odmładzamy drużynę. Nie bierz tego do siebie. – Wskazał na ścianę za sobą. – Dostaniesz piękną pamiątkową tacę z wierszykiem…

– Tacę? – Nie wytrzymałem. – Dacie mi tacę? I co mam z nią zrobić? W kościele mam na nią zbierać?

– Możesz i kaczki puszczać. – Wzruszył ramionami.

Zerwałem się z krzesła i zrobiłem kilka kroków w stronę drzwi, ale się zatrzymałem.

– A dług? Kiedy macie zamiar zwrócić mi moje pięćdziesiąt tysięcy i zaległe premie? – Powoli docierały do mnie konsekwencje tej decyzji.

– Dostaniesz, jak tylko będą pieniądze w klubie.

– Założę wam sprawę, nie dostaniecie licencji. – Usiłowałem go nastraszyć, choć głos zaczął mi się łamać.

Prezes zaśmiał się krótko.

– Nie rozśmieszaj mnie. Warunkowo zawsze dadzą, a sprawa może się ciągnąć latami. – Moja groźba nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. – Jak będziesz podskakiwał, to wytargam za ucho jak tego dzieciaka przed chwilą. Chcesz tego? Ty, ikona, procesująca się z własnym klubem? Chcesz go zniszczyć? Jak to brzmi? Jak odbiorą to kibice? Przestań.

Uśmiechał się zadowolony z siebie.

– Jesteście mi winni ciężko i uczciwie zapracowane pieniądze. Nie odpuszczę tego.

– Nie martw się, oddamy co do złotówki, obiecuję, jak tylko pojawią się w klubie.

Wstałem, prezes dalej obserwował mnie bez ruchu. Odwróciłem się po chwili wahania i bez słowa wyszedłem z gabinetu. Zbiegłem po schodach, czułem wzbierającą złość, na korytarzu minąłem panią Zosię, która coś do mnie mówiła, ale zignorowałem ją i wybiegłem z budynku.

Na parkingu dogonił mnie Witek.

– Co tak gonisz? Stało się coś? – spytał.

Zatrzymałem się, zza kierownicy kombiaka pomachała do mnie jego żona Marta, na tylnej kanapie przepychały się chłopaki, chcąc rozpłaszczyć nosy na szybie.

– Wysadził mnie w powietrze.

– Kto? Nie rozumiem.

– Książę, nie przedłuży ze mną kontraktu, o spłacie długu też nie mam co myśleć.

Witek westchnął ciężko, podrapał się po głowie.

– I powiedział ci to przed najważniejszym meczem w sezonie? Wiedziałem, że to idiota. – Ruszyliśmy w stronę auta.

– Wiesz, po meczu to też nie byłaby miła wiadomość – odparłem urażony.

Witek zatrzymał się, chwycił mnie za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. Patrzył mi w oczy.

– Roman, to tylko piłka, nie koniec świata, zabawa, rozrywka dla tłumu. Bez problemu znajdziesz inny klub, jesteś świetnym piłkarzem – próbował mnie pocieszać.

– W moim wieku i z rozwalonym kolanem może być ciężko.

– To przejdziesz na drugi brzeg. I tak już dawno jesteś gotowy do trenerki. Moim zdaniem nie masz się co przejmować, jesteś inteligentny facet, doświadczony jak mało kto. Kto wie więcej o szatni od ciebie? Kto lepiej poprowadzi drużynę? Zróbmy mistrza, a potem pokażesz Księciu, co potrafisz zdziałać z ławki. – Klepnął mnie w ramię.

– Łatwo ci mówić. – Westchnąłem.

Z tyłu odezwał się klakson, dzieci przez uchyloną szybę ponaglały ojca. Rozejrzałem się bezradnie wokół.

6

W domu przywitała mnie cisza, Emil, zamknięty w swoim pokoju, odrabiał lekcje. Usiadłem przy stoliku w sypialni. Zza ściany dobiegł mnie upiorny pisk, jakby ktoś szorował styropianem po szybie. Głośny, rytmiczny dźwięk powodujący świdrowanie w głowie. Zatkałem uszy, poczułem, jak podnoszą mi się włosy na rękach. Wybiegłem na klatkę schodową, szarpnąłem za klamkę drzwi sąsiada, lecz ani drgnęły. Zacząłem uderzać pięścią w blachę. Odgłos ucichł, wróciłem do mieszkania, Emil wyjrzał zaniepokojony ze swego pokoju. Przechodząc, machnąłem mu ręką. Po chwili ponownie rozległ się odgłos wiercenia, tym razem sporo cichszy. Zrezygnowany usiadłem na krześle.

Armia moich figurek stała w gotowości bojowej, zwarta, milcząca, wpatrzona czujnie w swego dowódcę, czekająca na rozkazy. Każda postać, przygotowana do starcia z przeciwnikiem, trzymała broń: miecz świetlny, pistolet, karabin.

Podniosłem jedną z figurek. Hrabia Dooku. Dostojny, siwy starszy pan w szarym mundurze i pelerynie, z mieczem świetlnym w ręku. Zaczynałem go rozumieć. Wywodził się ze szlachetnego rodu z planety Serenno, był jednym z najpotężniejszych i najbardziej szanowanych jedi w historii zakonu. Poświęcił wszystko sprawie, oddał jej najlepsze lata swojego życia, a w zamian dostał ból po stracie bliskiej osoby i nic więcej. Jeszcze w zakonie przejawiał zainteresowanie ciemną stroną mocy i Darth Sidious z łatwością przeprowadził go na mroczną ścieżkę. W czasie wojen klonów spotkał się z Yodą, który prawie nawrócił go na jasną stronę. Anakin Skywalker pokonał hrabiego, odcinając mu obydwie dłonie.

Jakie to proste. Pojedynek, czyste cięcie. Kara albo nagroda.

Wyjąłem telefon i wybrałem numer do Łukakiewicza, mojego pożal się Boże agenta. Nie wiem, na co liczyłem. Na cud? Po kilkunastu sygnałach uruchomiła się poczta głosowa. Nie nagrywałem wiadomości, wiedziałem, że nie oddzwoni, ostatni raz miałem z nim kontakt pół roku temu. Wie, że na piłkarzu w moim wieku wiele nie zarobi, więc po co marnować energię na bezowocne rozmowy? To, co ze mnie wydusił, już jest jego, a wyciśniętą cytrynę można wyrzucić.

Wiedziałem, że co do pieniędzy prezes ma rację. Sądy polubowne i wszystkie instancje PZPN pracowały w żółwim tempie, nie było widać ich działań, ich skuteczność też pozostawiała wiele do życzenia. Wiedziałem, że w przeciągu roku czy dwóch nie mam żadnej szansy odzyskać długu. Przez lata gry odłożyłem trochę pieniędzy, ale nie była to wielka kwota. A życie codzienne sporo nas kosztowało, zważywszy, że byliśmy z Marią przyzwyczajeni do dość wysokiej stopy życiowej. Najlepsze ciuchy, dalekie wakacje, Maria realizowała pasje nieprzynoszące zysków, za to generujące koszty. Nie oszczędzaliśmy, a na co dzień wydawaliśmy dużo. To oznaczało, że w najbliższym czasie musiałem zacząć się martwić o finanse. To jednak nie sprawa pieniędzy najbardziej mnie uwierała. Bolało mnie przede wszystkim to, jak przedmiotowo zostałem potraktowany. Czułem się jak jeden z pucharów prezesa na jego półce, który się uszkodził, zakurzył, zestarzał, w związku z czym można go schować do szafy, by nikt go nie oglądał, by nie ranił oczu brzydotą. Wszystkie lata, które spędziłem w klubie, wszystkie zdobyte trofea i medale przestały mieć znaczenie, poczułem się tak, jakby wraz ze mną do szafy trafiły moje osiągnięcia, a wszystko, co do tej pory robiłem, stało się nieważne, niepotrzebne, bezsensowne. Istotna była tylko teraźniejszość i przyszłość, w której mnie już nie będzie.

Czternaście lat! Na każde zawołanie, skinienie palcem, zdrowy czy nie, z blokadą, z bólem, zawsze…

Rzuciłem figurką hrabiego o ścianę. Trafiłem prosto w plakat ze zdjęciem Centrum z zeszłego sezonu. Podniosłem biednego arystokratę z podłogi.

Niby to naturalna kolej rzeczy, w moim wieku powinienem się spodziewać czegoś takiego, w końcu każdy przechodzi na emeryturę – ale nie przypuszczałem, że będzie to aż tak nieprzyjemne. Siedziałem, gapiąc się na plakat, kilka pucharów, jeszcze z czasów juniorskich, wiszącą tuż obok proporczyka reprezentacji olimpijskiej garść medali. Bezwiednie ściskałem w ręku małą postać, aż usłyszałem chrzęst i głowa figurki została mi w ręku.

Dobiegły mnie odgłos otwieranych drzwi i kroki Marii, z pokoju wypadł uradowany Emil.

– Mama! – Objął Marię w pasie, tuląc się do niej.

– Cześć, chłopaki! – Pogłaskała syna po głowie i zdjęła bluzę.

Stanąłem w drzwiach pokoju.

– Jak trening?

– Jak zawsze, ciężki. Uwielbiam tak się spocić, cała się kleję. Przynajmniej wiem, po co trenuję, a nie jakieś fiu-bździu i do domu. – Podniosła nogę, imitując lekkie ćwiczenie, i poszła do kuchni.

– Mamo, mamo… – Emil podążał za nami.

– Wracaj do lekcji, jeszcze nie skończyłeś – odesłałem syna.

– Skąd wiesz? – Spojrzał na mnie naburmuszony. – Później zrobię.

– Powiedziałem. – Rzuciłem mu groźne spojrzenie i wskazałem drzwi. Urażony Emil wrócił do pokoju.

Poszedłem za podskakującą w rytm niesłyszalnej muzyki Marią, usiadłem przy stole, spoglądając w okno. Kuchnia była niewielka i urządzona standardowo – ot, zabudowa z jasnymi frontami w buku, ciemny zlew i taki sam bukowy stół pod oknem. Maria stała blisko mnie, w obcisłych legginsach podkreślających smukłą figurę wyglądała jak sportsmenka. Czułem jej zapach, widziałem pracę jej mięśni, gdy zmieniała postawę.

– Muszę się wykąpać. – Spojrzała na mnie uważnie. – Stało się coś?

– Dzwoniłem, nie odbierałaś.

– Byłam na treningu. – Odwrócona, znieruchomiała na ułamek sekundy, po czym wyciągnęła z szafki szklankę i nalała sobie wody.

– Zawsze trenowałaś z telefonem i słuchawkami.

– Dziś trenowałam bez, telefon został w szatni. – Upiła trochę wody. – O co ci chodzi?

– O nic, chcę wyjść z George’em na piwo.

– Znowu? Miałam iść na pokaz mody.

– Nie możesz jednego odpuścić?

– Nie możesz odpuścić piwa?

– To nie fair…

– O fair play nawet nie wspominaj – przerwała mi.

– Bo co?

– Bo jesteśmy tu, a nie za granicą i zaczyna nam… – wyrzuciła z siebie, spoglądając na mnie z wyrzutem, lecz widziałem, że pożałowała wypowiedzianych słów. Opuściła rękę ze szklanką, oparła się o stół. – Roman…

– Zawołaj panią Elę do Emilka. – Wstałem i wyszedłem z mieszkania.

Wiedziałem doskonale, co miała na myśli. Nic mnie tak nie wyprowadza z równowagi jak ciągłe wypominanie mi tego przeklętego meczu. Czy już

wiecznie każdy będzie mnie kojarzył z tym jednym jedynym spotkaniem, mimo że przez tyle lat rozegrałem setki innych? Jeden mecz, dosłownie kilkusekundowe zdarzenie, które teraz wypomina mi co druga osoba. Jedna decyzja! Co mam zrobić? Jaki mecz wygrać? Jakie trofeum zdobyć, by wyparło z pamięci zbiorowej tę jedną sytuację? Czym mam zalepić tę siedemdziesiątą piątą minutę? A zresztą, czy zrobiłem coś złego? Czemu mnie to tak wkurwia?

Wyszedłem na klatkę schodową. Do naszych kłótni zdążyłem się już przyzwyczaić, zdarzały się coraz częściej, z coraz błahszych powodów. Wybuchały, za chwilę gasły, w nieoczekiwanym momencie ponownie następowało starcie i tak w kółko. Tylko dotąd fair play, igrzyska, zagranica były tematami tabu; nie poruszaliśmy ich, omijaliśmy je, jakby nie istniały, choć oboje z Marią wiedzieliśmy, że czają się tuż pod powierzchnią, nienazwane i obrastające w znaczenie. Wyjąłem telefon, wybrałem numer George'a.

– O szóstej? Kino i browar w galerii? – spytałem, gdy odebrał połączenie. – Daj znać Witkowi.

Nagle usłyszałem jednostajny, cykliczny odgłos – na klatce coś ciężkiego zsuwało się po schodach, stopień po stopniu. Wyszedłem na zewnątrz. Spojrzałem na prostokąt drzwi sąsiada obity srebrną blachą, nacisnąłem klamkę – zamknięte. Na dole trzasnęła brama i zapadła cisza. Zacząłem zbiegać ze schodów. Gdy wypadłem na chodnik, sąsiad kończył wpychać do bagażnika furgonetki wielką aluminiową skrzynię. Wskoczył za kółko, uruchomił silnik i ruszył z piskiem opon, nawet na mnie nie spojrzawszy.

Nie wiem, od kiedy zaczęło się między nami psuć. Od pewnego czasu mijaliśmy się z Marią w domu, wymieniając uwagi na temat codziennego funkcjonowania, opieki nad Emilem, obiadu, zakupów. Zamienialiśmy w przelocie po kilka zdań między moim treningiem a jej pokazem mody, między moim meczem a jej siłownią. Niczym znajomi z pracy skupieni na własnych celach, zadaniach do wykonania, limitach do osiągnięcia. Zastanawiam się, czy był jakiś kluczowy moment, punkt zwrotny. Czy zmieniłem się nagle w skorupiaka odgrodzonego od rzeczywistości? Czy Maria przestała słuchać, a zaczęła wymagać?

Czy naprawdę stałem się gwiazdorem, kimś w rodzaju Jona Bon Joviego, którego udawałem na imprezie, kiedy się poznaliśmy? Kazałem mówić wszystkim do siebie Jon i paradowałem w kapeluszu kowbojskim,

śpiewając *Born To Be My Baby*, a ona, uśmiechając się, udawała, że podoba jej się mój popis. Czy sam uwierzyłem, że jestem kimś, i tak naprawdę liczy się tylko to, co ja chcę, tylko moje cele są ważne i tylko je będę realizował, bez względu na wszystko?

Był ciepły, pogodny wieczór, na ławce przed blokiem siedziała głośna grupa młodzieży. Idąc chodnikiem, zajrzałem pod plandekę; volvik stał na parkingu obok czarnego garbusa i czerwonego merca, czekał na mnie opatulony materiałem. Machnąłem ręką, zatrzymując przejeżdżającą taksówkę. Do multipleksu było około dwudziestu minut jazdy, gapiłem się bezmyślnie na przystanki pełne ludzi, którzy po skończonej pracy, chcąc dostać się do domu, muszą znieść tłok i ścisk godzin szczytu popołudniowego. Stojąc na światłach, obserwowałem mijające nas autobusy wypełnione pasażerami. Twarze za szybami, pochylone nad książką lub telefonem, czasem wpatrzone w przestrzeń. Staliśmy tuż obok siebie, oddzielały nas tylko dwie szyby i kilka centymetrów przestrzeni, omijaliśmy się wzrokiem. Autobus ruszył, wyjrzała zza niego brama z dużym, wyblakłym, odrapanym gdzieniegdzie napisem MKS PROMYK.

– Niech pan tu skręci – rzuciłem odruchowo.

Taksówkarz posłusznie wykonał polecenie, mimo kilku klaksonów będących reakcją na ten niedozwolony manewr. Wjechał w bramę i zatrzymał się na parkingu.

– Pan poczeka kilka minut – rzuciłem, wysiadając. – Za chwilę wrócę.

Szedłem w kierunku niewielkiego budynku, zielona farba łuszczyła się ze ścian. Po lewej mijałem boisko treningowe. Bramki ze strzępami siatek, które zwisały jak firanki w opuszczonej ruderze. Szesnastki wyglądały jak piaskownice, od linii do linii całe w szaroburym piachu, pierwsze źdźbła trawy pojawiały się na osiemnastym metrze, tuż za półkolem, i też zbyt wiele ich nie było. Cały środek boiska, od jednego pola karnego do drugiego, wyglądał jak łysina czterdziestolatka pokryta gdzieniegdzie kępkami włosów. Piach i pojedyncze placki trawy. Za to okolice linii bocznych były gęsto zarośnięte, jakby zachęcały do rozgrywania akcji właśnie skrzydłami. Widać, że jedynym zabiegiem, jaki widziało to boisko, było wymalowanie wapnem linii, a i tak, zważywszy na ich bladość, musiało to się odbyć wieki temu. Pewnie nawet nie było kiedy zadbać o murawę, bo wszystkie grupy trenowały na tym jedynym boisku treningowym – stąd jego opłakany stan.

Po prawej stronie miałem boisko główne z trzema rzędami rozsypujących się trybun. Było w niewiele lepszym stanie, może trochę więcej trawy porastało środek, ale rejony piaskowych łysin były wypisz wymaluj identyczne. Gdyby na podstawie stanu boiska można było zgadywać taktykę stosowaną najczęściej przez miejscowych, obstawiałbym kombinacyjną grę środkiem; ale to idiotyzm, na tym poziomie rozgrywek nikt nie gra w piłkę, wszyscy tylko ją kopią. A poza tym z takiej obserwacji wynikałoby, że najlepsze murawy mają drużyny grające długą, górną piłką, „laga" i na hurra. Karczew nie znosił takiego sposobu rozgrywania, ktoś, kto nadużywał długich podań, niezbyt często pojawiał się u niego w pierwszym składzie.

– Nie bij długiej pały – mawiał. – Leci to pięć minut, obrońca zazwyczaj jest lepiej ustawiony, stoi przodem. Co ten biedny napastnik ma zrobić? Przyjąć głową? I co, żonglując jak foka ma wbiec do bramki? Przecież po meczu ze wstrząsem mózgu trzeba go będzie do szpitala wieźć. Zagraj krótką, dokładną piłkę i pokaż się do gry, ale nie truchtem, tylko na gaz, odskocz, oderwij się od przeciwnika, zagraj z klepki. To jest całe piękno piłki.

Patrzyłem na wyboiste boisko i zastanawiałem się, co też teraz mówi swoim piłkarzom. Zmienił taktykę? Bo jakoś nie wyobrażałem sobie, by na takim kartoflisku mogli „klepać" superligowi zawodnicy, a co dopiero kopacze z czwartej ligi. Taka banalna rzecz jak nawierzchnia zmusiła go do zmiany sposobu gry, do którego przez całe życie usiłował przekonać trenowane przez siebie drużyny? Gwiazda ławek trenerskich, selekcjoner reprezentacji olimpijskiej, cudotwórca organizacji gry kombinacyjnej uczy taktyki „kopnij i leć" w MKS Promyk Warszawa!

Jak ja go uwielbiałem, rzuciłbym się za nim w ogień! Czternaście lat temu sprowadził mnie, osiemnastoletniego gówniarza, do Centrum, pozwolił zadebiutować w lidze, później pociągnął za sobą na igrzyska. Ukształtował mnie jako piłkarza, ale także jako człowieka. W tamtym okresie rządził szatnią, klubem, był ubóstwiany przez kibiców, decydował o wszystkim, a ja byłem jego ulubieńcem. Aż do igrzysk.

W drodze do budynku minąłem kilku młodych piłkarzy z torbami na ramionach, którzy zamilkli na mój widok. Mokre włosy, zaczerwienione policzki – widać, że niedawno skończyli trening. Szepty rozległy się dopiero kilka metrów za mną, gdy się obejrzałem, stali w grupce i spoglądali w moją stronę. Klubowy budynek był niewielki, zielona farba

łuszczyła się w kilku miejscach także wewnątrz, z nazwy klubu została tylko końcówka MKS …MYK. Niezbyt zachęcała młodych ludzi do uprawiania piłki.

Tak naprawdę były tam dwie szatnie, klitka dla sędziów i pewnie pomieszczenie gospodarcze, w którym paliło się światło. Zapukałem do drzwi z napisem: „Szatnia gospodarzy”. Wszedłem. Przywitała mnie mieszanka zapachowa potu, stęchlizny i wilgoci, widok mokrego linoleum z rozsmarowanymi śladami błota, rząd pustych krzeseł wzdłuż ciemnozielonych ścian. W szatni panował półmrok, kilka żarówek dawało niewiele światła. W głębi, za dużym biurkiem, z zapaloną lampką siedział Marek Karczew.

Mocno się zmienił, odniosłem wrażenie, że jest go mniej, że się skurczył. Pociągła kiedyś twarz, teraz ziemista, poorana bruzdami, wydłużyła się jeszcze bardziej, kruczoczarne włosy stały się niemal białe, tylko z gdzieniegdzie przebijającą czernią przechodzącą w stal. Już jako trener Centrum nie był młody, teraz zaś uświadomiłem sobie, że dobiega siedemdziesiątki. Siedział w czarnych dresach, pochylony nad małym zeszytem i pisał coś, marszcząc czoło. Na mój widok wyprostował się, zdjął okulary, spojrzał na otwarte piwo stojące obok zeszytu. Dłoń trzymająca długopis wyraźnie drżała. Jego małe oczy nerwowo się poruszyły.

– Roman? – zapytał niepewnie i wstał, jakby w półmroku nie wierzył swoim oczom. – Wszelki duch… Tyle czasu… Ile to już lat? Siadaj, proszę.

Wyszedł zza biurka, przyciągnął spod ściany krzesło, przetarł je rękawem. Było coś dziwnego w jego ruchach, nie potrafiłem określić co. Nerwowo rozbiegane oczy, lekko zgarbiona sylwetka, jakby lekkie wahanie, chwila zawieszenia przy każdym ruchu. Wyciągnął dłoń na powitanie. Uścisnąłem ją z uśmiechem; była miękka i sflaczała, prawie całkowicie zniknęła w mojej.

– Witam, trenerze.

– Siadaj. Nic się nie zmieniłeś. Co u ciebie? Wiedziałem, że daleko zajdziesz – mówił odrobinę niewyraźnie. – Ładna koszula… Ale ten ostatni mecz wam nie wyszedł. Ja, widzisz…

Bez pukania zajrzał do środka mężczyzna w gumowcach i roboczym ubraniu.

– Marek, wypierdalaj już. Chcę zamknąć tę budę, żoneczka z obiadkiem czeka… – Przerwał na mój widok, ale dokończył niezrażony: – A wy tu gadacie na głodniaka.

Karczew zamrugał zawstydzony, spojrzał na mnie przepraszająco.

– Panie Mietku, jeszcze tylko chwileczkę – powiedział błagalnym tonem. – Wytrzyma pan? Mam znamienitego gościa.

– Ja mam znamienity obiad w chałupie. No niech będzie, ale minutka, nie dłużej. – Trzasnęły drzwi.

– No sam widzisz. Zabawa w piłkę. – Wskazał na butelkę. – Napijesz się?

– Nie, dziękuję.

– Nie chcę się już babrać w tej gównianej piłce ligowej – kontynuował. – Miałem propozycje, ale odrzucałem. Wiek już też nie ten, choć emerytem się jeszcze nie czuję. Co cię sprowadza?

– A tak, przypadkowo… Przejeżdżałem akurat obok, a że ktoś ostatnio wspominał… to pomyślałem… i zajrzałem. Pogadać chciałem…

Wiedziałem już, że ta nadzieja, która pchnęła mnie na spotkanie z Karczewem, okazała się płonna, podobnie jak wiara, że stary trener coś mi podpowie, doradzi. Tymczasem widok odmienionego Karczewa odarł mnie ze złudzeń, pokazał, do czego tak naprawdę prowadzi praca trenera czy ogólnie – praca w piłce nożnej.

– Słuchaj – przerwał mi – a wiesz, że mam dwóch ciekawych chłopaków? Może załatwiłbyś im testy w Centrum? Jeden to napastnik, jest silny jak tur, drugi skrzydłowy…

Rozległo się walenie w ścianę, aż obydwaj podskoczyliśmy.

Dozorca dyskretnie dawał nam sygnał, że pora kończyć.

– Nie wiedziałem, że zajmuje się pan menedżerką.

– Z czegoś trzeba żyć, naprawdę ciekawe chłopaki. Na pewno nie chcesz piwka? Gdybyś uprzedził, tobym coś przygotował…

– Nie, dziękuję, wpadłem tylko na chwilkę, muszę uciekać, podjadę jeszcze. Obiecuję.

Karczew spojrzał na mnie niemal przestraszonym wzrokiem, klapnął ciężko na krzesło.

– Już? Naprawdę są świetni… Naprawdę, zatrzymałbym ich, przydadzą się… – mówił coraz bardziej niewyraźnie.

– Dobrze się pan czuje?

– Tak, tylko tak chwilami trudno mi się mówi. – Podniósł drżącą rękę. – Parkinson, wczesna faza, ale wcale mi nie przeszkadza.

– Przykro mi. – Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Wstałem, chcąc się pożegnać.

– Roman… To, co zrobiłeś… dwanaście lat temu, zmieniło losy nas wszystkich, wiem, banał, ale… Ja sam długo tego nie rozumiałem – mówił z wysiłkiem. – Nie ma już takich ludzi.

– Jakich? – spytałem.

– Jak ty. Sam wiesz.

– Do widzenia, trenerze.

Szybko wyszedłem i prawie biegiem wróciłem do taksówki.

Byłem wstrząśnięty. Nie poznałem go, człowiek, z którym rozmawiałem kilka chwil temu, w niczym nie przypominał mojego byłego trenera. Fizycznie był inny, ale najbardziej uderzyła mnie zmiana psychiczna. Karczew, którego znałem, wrzał, lecz nie były to nerwy, tylko stały stan wrzenia, który powodował, że wszyscy wokół czekali na coś, co ma za chwilę nadejść. Taka gotowość na wybuch. Czuło się tę jego energię wspartą inteligencją i erudycją, non stop działał na wysokich obrotach, a jednocześnie był spokojny i pewny siebie. Mówił zdecydowanym, silnym głosem, w odpowiednim momencie potrafił zażartować, a jak trzeba było, ryknął tak, że aż szyby drżały. Wszyscy go szanowali, drużyna darzyła respektem, nie znałem nikogo, kto źle by o nim mówił – oczywiście wśród piłkarzy. Dziennikarze to inna para kaloszy. Zazwyczaj znajdował się z nimi na wojennej ścieżce, nie był medialnym trenerem, rzadko udzielał wywiadów, a dość często miał pretensje do mediów. Po igrzyskach nigdy już nie doszedł w pełni do siebie. Pracował jeszcze rok w superlidze, ale bez tak dobrych rezultatów jak wcześniej. Zanotował spadek z Nysą i nigdy już nie wrócił na piłkarskie salony.

Ironia losu polega na tym, że na tę schyłkową ścieżkę sprowadził go jego ulubiony zawodnik, którego stworzył, nauczył grać w piłkę. Mówią, że każdy jest kowalem swojego losu. Czy aby na pewno? Chciałbym, żeby to była prawda, bo wtedy przynajmniej w części mógłbym zrzucić ze swoich barków odpowiedzialność za los Karczewa.

Do galerii handlowej dotarłem spóźniony i w paskudnym humorze. Zniecierpliwiony George już z daleka wymachiwał biletami. Witek, zajęty domowymi obowiązkami, nie mógł przybyć. Szybko kupiłem w barze dwa duże popcorny i dwie cole, by zagłuszyć jedzących sąsiadów w czasie seansu. Depcząc po palcach widzom na sali, zajęliśmy swoje miejsca na środku widowni. Przywitał nas chrobot, jakby gdzieś pod podłogą stado myszy usiłowało wydostać się na wolność. Większość kinomanów

pałaszowała w najlepsze popcorn, siorbiąc napoje z wielkich kubełków, słychać było wszechobecny chrzęst prażonej kukurydzy miażdżonej w ustach. Jak chomiki.

– Ile zapłaciłeś za bilety? – spytałem George’a, bo widok pełnej sali wypełnionej ludźmi i kubłami falującego popcornu nasunął mi pewną myśl.

– Niecałe czterdzieści złote chyba – odparł zdziwiony. – A co, złe miejsca?

Zignorowałem jego pytanie.

– Ja za dwa popcorny i dwie cole zapłaciłem ponad czterdzieści.

– Ale o co? – George przestał chrupać, coraz bardziej zdezorientowany.

– To, że teoretycznie gówno, które jemy, jest warte więcej niż film, który za chwilę obejrzymy.

– W sensie że to, co jemy, drogie? Czy film tani? No bo co?

– Jajco! – nie wytrzymałem. – Oglądaj, szkoda każdej złotówki.

George dalej gapił się na mnie swoimi wielkimi białymi oczami, jakby widział mnie pierwszy raz. Niektórzy, gdy nie są w stanie pojąć sensu rozmowy, wlepiają wzrok w rozmówcę, jakby klucz do odszyfrowania treści był ukryty w jego twarzy. Śledzą ruch warg, drganie policzków, zmarszczony nos czy uniesione brwi, jakby ten zestaw znaków był jakimś kodem, mapą mającą doprowadzić do mądrości.

Nie mam pojęcia, ile George zrozumiał z *Ataku klonów*, ale po seansie zaczął pieprzyć mi o tym, jak to fajnie używa się miecza świetlnego do amputacji; nie ma kropli krwi, wszystko jest takie czyste. Ciach i nie masz ręki, przykręcasz nową i działa. Twierdził, że tylko kwestia czasu, kiedy w medycynie pojawią się świetlne skalpele. Nie dopytywałem, czy kaski à la Vader też.

Ruszyliśmy do naszej dyżurnej knajpy John Bull, zresztą było to ulubione miejsce całego środowiska piłkarskiego ze stolicy. Prowadził ją znajomy kibic, więc wszyscy związani z piłką mieli przywileje i skrzętnie z nich korzystali. Jak mawiał Rogal, „za darmo to i ocet słodki”. Pub miał typowo angielski wystrój: drewno i czerwony aksamit albo inny welur na ścianach, duża, otwarta sala z miniaturową sceną, na której często śpiewali znani wykonawcy, ale w głębi, co było dla nas ważne, dało się odseparować od ludzi w kilku mniejszych pomieszczeniach.

– Widziałem wzruszenie – zagaił George, gdy usiedliśmy przy barze, za załomem, by nie rzucać się w oczy.

– Co?

– Wzruszył się ty na filmie. – Zadowolony usadowił się na stołku. – Nie wiedziałem, że ty wrażliwy taki. Rozmowa z Księciuniem wychowawcza tak zadziałała?

– Zgłupiałeś?

– Dobra, dobra, dupa bobra. – Uśmiechnął się. – Widziałem, Padmé i Anakin. Romantik z ciebie wylazł.

Naśmiewał się ze mnie jeszcze kilka minut, jakby wzruszenie było czymś dziwnym. Widział moją ponurą minę i usiłował rozśmieszyć mnie za wszelką cenę.

Do knajpy weszło hałaśliwe towarzystwo złożone z kilku podpitych i roześmianych kobiet i mężczyzn. Krzykiem domagali się widzenia z właścicielem. Ulokowano ich w głębi sali. Faceci w garniturach, krawaty poluzowane, kobiety też elegancko ubrane. Pewnie ciąg dalszy jakiejś imprezy firmowej.

Ku naszemu zdziwieniu usłyszeliśmy nagle znajomy głos.

– Kelner, dwa baniaki whisky, najlepszej! – krzyczał sędzia klasy międzynarodowej Grzegorz Spodek i wskazał stolik wesołej gromadki. Sam lekko się chwiejąc, dosiadł się do towarzystwa.

Spojrzeliśmy z George’em na siebie. Odwróciliśmy się tyłem do niego, żeby nas nie rozpoznał, na szczęście nie rozglądał się wokół.

– Johny, zestaw cztery, cztery, dwa – zwrócił się George do barmana, który kiwnął potakująco głową.

– Czy trzeba być szmatą, żeby w tej lidze robić karierę? – zapytałem retorycznie, spoglądając przez ramię na pijanego podopiecznego kolegium sędziów.

– Nie wiedział? – George udawał zdziwienie. – O biedaczek, naiwniaczek.

Odwróciłem się, w lustrach za barem, pomiędzy kolorowym zestawem butelek, odbijały się nasze zniekształcone, wykrzywione twarze.

– Spotkałem się z Karczewem. Trenerem… – zmieniłem temat.

– Wie, kto to – przerwał mi.

– Świetny gość był… Właśnie, był. Ledwo go poznałem. Trzęsące się ręce i ten strach w oczach… – Ze smutkiem pokręciłem głową.

– Dziwne? – Błysnął białkami, podnosząc brwi. – Wszyscy się zmieniają. Spodek na przykład. Konsekwentnie ewolucjował od sędziego kalosza poprzez ścierę, teraz szmata jest. Został mu już szczebel tylko jeden. Zobacz, jaka piękna kurwa.

Obejrzeliśmy się akurat w momencie, gdy Spodek obmacywał jedną z kobiet, która ze śmiechem udawała, że się broni.

Kelner postawił przed George’em osiem kieliszków i dwie cole.

– Karczew tak naprawdę nauczył mnie grać w piłkę. – Nie mogłem pozbyć się z głowy obrazu trenera. – Był gwiazdą trenerską, a dziś… to wrak człowieka, dosłownie. Każdego z nas to czeka? Kop w dupę? Od szefa, od losu? Wszyscy wylądujemy w rynsztoku. Taka jest kolej rzeczy.

– Może dawno już w nim my? Nie czuć smrodu, bo swój? – rzucił filozoficznie.

George przyglądał mi się uważnie, podniósł kieliszek w geście toastu. Wypiliśmy. Zadzwonił mój telefon.

– Cześć, synku – usłyszałem poprzez hałas knajpy głos matki.

– Cześć, mamo.

– Co tam słychać? Jak się miewa mój ukochany wnuczek?

– Dobrze, mamo. Słabo słyszę, jestem w restauracji.

Zatkałem drugie ucho palcem.

– „Trzej przyjaciele z boiska – usłyszeliśmy głośny śpiew, George aż się skrzywił. Spodek, stojąc na krześle ze szklanką w ręku, zawodził niczym wytrawny solista. – Skrzydłowy, bramkarz i łącznik, żyć bez siebie nie mogą, dziarscy i nierozłączni. Niejeden mecz już wygrali, niejeden przegrać zdążyli, często się rozjeżdżali, lecz zawsze znów się schodzili”.

Rozległy się śmiechy i brawa. Wstałem i wyszedłem za drzwi, z telefonem przy uchu. Na korytarzu słyszałem tylko pomruk dochodzący z sali, mogłem spokojnie rozmawiać.

– Ja tylko dwa zdania. Wiesz, czemu dzwonię, prawda? – Zrobiła pauzę. – Martwię się, tak nie można, masz syna, rodzinę… Byliście w niedzielę w kościele? Ja się tak za was modlę. Bez Boga ani od proga, wiesz?

– Mamo, nie mogę teraz rozmawiać, bateria mi pada… Wiem, że się za nas modlisz. – Przewróciłem oczami. – Nie, nie byliśmy w niedzielę… Rozmawialiśmy już o tym. Musimy teraz…?

– Zawsze jest nieodpowiedni moment. – Słyszałem napięcie w jej głosie. – Napiszę list i ci go wyślę pocztą, zobaczysz.

– Mamo, przestań.

– Nie chcesz ze mną rozmawiać, to napiszę, będzie długi. Będziemy korespondować, skoro nie masz czasu porozmawiać z matką. Ja wiem, co… – W słuchawce zapadła cisza, padła bateria.

Wróciłem do sali, Spodek zakończył recital, a George zdążył już opróżnić prawie wszystkie kieliszki.

– Sam chcesz pić? – spytałem, wychylając ostatnią wódkę.

– Zamówił następne. Matka? – George nie ukrywał ciekawości.

– Ta, usiłuje za wszelką cenę zapędzić mnie do kościoła. Nic innego nie robi, tylko się za mnie modli.

Kelner postawił przed nami kolejne kieliszki wódki i dwie szklanki coli.

– Oj, modlitwy nie lekceważy. Skąd wie, że to całe szczęście, które masz, nie pochodzi właśnie z niej?

– Szczęście? O czym… – Urwałem w pół słowa. – Jak pijesz, to lepiej gadasz – zauważyłem.

– Goń się.

Podniósł kieliszek na wysokość oczu i jednym ruchem wlał sobie wódkę do ust. Skrzywił się i potrząsnął głową. Szybko sięgnął po colę.

– Mieszkaliśmy w Iseyin – zaczął snuć swą historię. – Miasto na zachód Nigerii, ja i cztery mojego rodzeństwa. Matka uczyła w szkole… chrześcijańskiej, mówiła jak… – Szukał odpowiedniego słowa. – Nie mógł przestać jej słuchać. Joruba jest… znaczy, sylaby… są określony dźwięk. Ona nie mówi, ona śpiewała, jej słowa fruwały… nucić… tuli. – Mówiąc to, wykonywał płynne gesty w powietrzu, jego dłonie falowały. – Codziennie modliliśmy wspólnie się, klęczeli na podłodze, wszyscy słuchali tych cudownych słów… – Zamilkł na moment. – A potem mnie sprzedała. Jak worek ziemniaków. – Spojrzał na mnie i wychylił kieliszek. Skrzywił się, ale nie popił colą.

Milczałem, czekając na ciąg dalszy.

– Ojciec umarł, gdy ja dwa lata, żyliśmy w biedzie. Byłem środek dzieckiem, dwóch starszych braci matce pomagało w nakarmieniu rodziny, dwa młodszego rodzeństwa były za małe, więc sprzedała tego środka, czyli ja. Zabrali mnie do Lagos, pracowałem w magazynach portowych, gorzej trafić mogłem, na przykład do burdelu. Takich jak ja było tam mnóstwo, w ruderze mieszkaliśmy tuż obok, stłoczeni jak szczury. Modliłem się co noc, by umarła, i wiesz… tak się stało. Później dowiedziałem, zmarła na raka dwa lata po moim wyjeździe. Może, nie wiem, ze zmartwienia.

Ponownie podniósł kieliszek, ale się zawahał i go odstawił.

– Teraz nie mam jej tego źle, wiem, że nie mieliśmy co jeść, a ja wylądował też całkiem, poznał takiego osła jak ty. – Machnął kieliszkiem w moją stronę. – Tylko do dziś mam dreszcze, gdy kto tak ładnie mówi,

kojarzy mi to się z obłudą, oszustwem, nie wierzę takie słowa, wolę kulawe. Na szczęcie po polsku nie da się ładnie mówić…

Uśmiechnął się, ale nie oderwał nieobecnego wzroku od kieliszka. Jakby ten zogniskował jego wolę i pozwolił podróżować w czasie i przestrzeni. Przez cały czas, gdy mówił, nie widziałem w jego oczach tęsknoty czy złości, raczej jakiś rodzaj niepokoju, jakby bał się, że wracając do tych czasów, znajdzie coś nieoczekiwanego. Opowieść George'a należała do tych nieskładnych, rwanych historii, które mimo swojej niezgrabności powodują mrowienie na plecach. Może prawda zostawia ślad na skórze w postaci gęsiej skórki?

Uświadomiłem sobie, że do tej pory nic nie wiedziałem o jego przeszłości. Pierwszy raz wspomniał o Nigerii w kontekście swojej rodziny i przyszło mu to z trudem. Pewnie gdyby nie wódka, nic by się pod tym względem nie zmieniło. A po jego opowieści zacząłem się też zastanawiać, czy nie kaleczy polskiego z premedytacją.

– Coś jeszcze podać? – Głos kelnera wyrwał nas z zamyślenia; pokręciłem głową.

– Podobała się historia? Uwierzył? – George wybuchnął sztucznym śmiechem, ale czułem, że dopiero teraz kłamie. Uznał, że za dużo powiedział i kombinuje, jak się wycofać.

– Czekaj, czekaj, czyli użyłeś czegoś dobrego, modlitwy, by zrobić coś złego: życzyć śmierci, tak? – drążyłem temat.

George prychnął w odpowiedzi.

– Na jakim ty żyje świecie? Myśli, że tylko źli robią złe? Obudź się.

Zamyśliłem się z kieliszkiem w ręku. Opowieść George'a nastroiła mnie filozoficznie.

– Wszystkiego można użyć do wszystkiego. Nawet dobra, by być złym. Spodek śpiewał o przyjaźni? Równie dobrze mógł zawodzić o czymś wstrętnym. Wzniosła, poruszająca muzyka i obleśny tekst. Mógł śpiewać o nienawiści, o wściekłości, przemocy, używając pięknej melodii jako nośnika, i zachwycalibyśmy się dźwiękiem, który towarzyszy obrzydliwej treści. – Zamyśliłem się. – A czy wtedy muzyka nie powinna przestać być piękna? – Pokręciłem głową i jednym haustem wypiłem wódkę.

– I co zamierza teraz? – zapytał George.

– Z czym?

– Nie szczym, tylko sikamy – błysnął dowcipem. – Ze sobą, po rozmowie z szefem.

– Co? Nic. Mam trzydzieści dwa lata, kredyt, niepracującą żonę i dziecko na utrzymaniu. – Podniosłem kieliszek do ust. – Poszukam klubu dla emerytów.

– Z emerytury nie wyżyje, a prezes skurwysyn, nauczka mu się należeć. U nas był kiedyś chuj prezes w Wesołej i trener też, kantowali nas, to spadliśmy. Odszedli, to my awansowali, proste. – Wzruszył ramionami.

Otworzyły się drzwi i do środka weszły trzy Murzynki. Wszystkie męskie głowy odwróciły się z zachwytem, kobiece pewnie z zazdrością, bo było na co popatrzeć. Sukienki mini z dekoltami niewiele zasłaniały. Wszystkie trzy były szczupłe, długonogie, z czarnymi kręconymi lokami i charakterystycznymi wydatnymi ustami; wyglądały jak siostry, a jednocześnie jak córy Koryntu, bo chyba taką miały profesję. George na ich widok poderwał się i do nich podbiegł. Chwilę porozmawiali, widziałem, że zaprasza je do nas, ale zniknęły w jednej z małych salek w głębi knajpy.

– Stare znajome, też w Polsce od lat paru – stwierdził. – A co do tematu: może zeszmacić się czas?

Spojrzałem zdziwiony na niego, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi. Kiwnąłem głową w kierunku, w którym zniknęły dziewczyny.

– Mam dupy dawać?

– No. Źle mu? – Wskazał na roześmianego Spodka. – Zobacz, jak szmata popłaca. A ty ostatnia szansa, by zarobić.

– Co? – Nie rozumiałem, o czym mówi.

– Ma ostatni mecz do rozegrania, tak? Mecz o tytuła. Hm? Ile to warte?

Otworzyłem usta ze zdumienia. Odłożyłem kieliszek na blat.

– Mam sprzedać mistrzostwo? – Nie wierzyłem nawet, że to mówię. – To jest ta szansa?

– Będziesz żyć z czego? Liczysz, że prezes wypłaci premię? Człowiek jesteś kryształ, poza podejrzeniem. Hm?

Wzruszył ramionami. Podniósł kolejny kieliszek do ust.

– Numer do Nieba znam jeszcze ze starych czasów, on aktywny w niższych ligach też – dodał George.

– Handlowałeś punktami w czwartej lidze?

– Zaraz handlował. Prezes chuj był, mówiłem, i tak chcieli my przegrać, szkoda, żeby się zmarnowali punkty. To i Niebiński się przydał raz czy dwa. Życie nie jest czarno-białe, jest szare – dodał.

– A ty jaki jesteś? Żółty? – nie wytrzymałem. – Ile razy słyszę te opowieści wygłaszane mentorskim tonem: „Życie nigdy nie jest czarno-białe, jest pełne odcieni szarości”, to mnie chuj strzela. Zawsze u podstawy czyn jest albo biały, albo czarny, dobry albo zły. Rozumiesz?

Kilka odwróconych głów uświadomiło mnie, że mówię podniesionym głosem. Wychyliłem szybko kieliszek.

– Jakby ta szarość była usprawiedliwieniem każdego czynu w życiu – kontynuowałem ciszej. – Biel albo czerń robi je takim, jakie jest. To twoje „szare życie” to składowa dobrych albo złych składników, białych albo czarnych. Albo jesteś złodziejem, albo nie. Wybór jest więc według mnie dość prosty.

George szczerzył zęby w uśmiechu.

– Nic ja nie zrozumiał. Powinien ty wykładać na uniwersytecie dla daltonistów. A tu strona ciemnej mocy wzywa. – George się zaśmiał, chcąc rozładować atmosferę. – Tak zastanawiam się, czemu ty taki uczciwy cały lajf? Bo Luke Skywalker, Obi-Wan Kenobi? Dlatego? Spójrz na Vadera.

– Zajebisty plan wymyśliłeś.

– Ma lepszy? Czy woli ten prezesa o emeryturze i biedzie?

Spojrzałem w stronę części lokalu zajętej przez grupę Spodka.

– Myślisz, że Babka, Piesek, Rogal byli kiedyś uczciwi? – spytałem.

– Nie no, pewnacko – zaczął z poważną miną. – Tak do chwili, gdy skończyli ssać cycka. Nie wyobraża ja sobie tego kataklizma.

– Poważnie pytam, przecież musieli kiedyś zrobić pierwszy chachmęt. Dlaczego? Co spowodowało, że zaczęli kombinować?

W przeciwnym kącie sali znajomi otoczyli Spodka wianuszkiem i z uwagą wsłuchiwali się w słowa sędziego, który z gwałtowną gestykulacją tłumaczył im swoją wizję, kreśląc w powietrzu linie i wykresy. Milczałem. Wiedziałem, że George ma rację, nie miałem planu działania, nie miałem przyszłości. Widząc moją minę, stwierdził:

– Zadzwonię do Nieba.

– Zgłupiałeś! Jadę do domu. – Wyjąłem z kieszeni rozładowany telefon, porwałem z blatu aparat George’a. – Daj pin, zamówię taxi.

George się uśmiechnął.

– Jeden, dwa, trzy, cztery.

Pokręciłem głową, zamówiłem taksówkę i położyłem pięć dych na blacie.

– Do jutra, pijaku – rzuciłem na do widzenia i ruszyłem w stronę wyjścia.

– Za mało dał, nie starczy… Jest mi winny, zapiszę. – Podniósł banknot z blatu i machał za mną. – Zadzwonię do Nieba! – krzyknął. – Pomyśl to jeszcze, duża rzecz.

Wyszedłem w ciepły czerwcowy wieczór, lekki wiatr przyjemnie chłodził mi skórę. Ulica tętniła życiem, kolorem, hałasem. Czułem wpływ wypitego alkoholu, stanąłem, przyglądając się przechodniom. Zwykłym przechodniom – pomyślałem. Na chodniku jak na tę porę panował spory ruch, młodzi ludzie zmierzali w sobie tylko znanych kierunkach. Wiedzieli, dokąd idą, przynajmniej takie sprawiali wrażenie. Ja nie byłem tego pewien.

Pokusa, jaką usiłował znęcić mnie George, była dla mnie czymś nowym. Przez całą karierę nikt nigdy nie próbował mnie kupić. W sumie nie ma się co dziwić, że nie było chętnych po numerze, który wykręciłem na igrzyskach. Przez te wszystkie lata gry nie musiałem się nawet opierać, walczyć ze sobą, zastanawiać, bo po prostu nie dostawałem propozycji. Całe sprzedajne środowisko jednogłośnie uznało, że nie biorę. I słusznie, bo odrzuciłbym każdą ofertę…

Jak to łatwo odpowiedzieć czasem na pytanie dotyczące przeszłości, decyzji, które by się podjęło w określonych okolicznościach. Z jaką lekkością i pewnością udziela się odpowiedzi. Człowiek nie ma wątpliwości, nie zastanawia się, decyzje hipotetyczne zawsze są bardzo łatwe. Pamięć koloruje wspomnienia, często tak, by było nam z nimi wygodnie, by nic nie uwierało nas w teraźniejszy tyłek. Ale czy na pewno bym odrzucił?

Minąłem gabloty z wielką podobizną Marka Kondrata z plastrem na czole – do kin właśnie wszedł *Dzień świra*. Pomyślałem, że to idealne podsumowanie dzisiejszego wieczoru. Stanąłem, czekając, aż koleś w zielonych spodniach i niebieskiej marynarce zwolni miejsce przy bankomacie. Odszedł dwa kroki i zatrzymał się, licząc pieniądze. Wsadziłem kartę do maszyny, chłopak stanął ponownie za mną, obejrzałem się lekko zaniepokojony.

– Maciek! – krzyknął do kolegów, machając ręką. – Chodźcie, krasnoludki wypłacają podwójnie.

Rzeczywiście, zamiast dwustu złotych z podajnika wysunęły się dwa banknoty dwustuzłotowe. Obsługa maszyny musiała popełnić błąd i zapełniła szufladę nie tymi banknotami co powinna. Schowałem pieniądze do portfela i stanąłem przy krawężniku, czekając na taksówkę. Tymczasem

do bankomatu ustawiła się już kolejka chętnych na łatwy szmal. Między elegancika a jego znajomych usiłował się wcisnąć barczysty facet w marynarskiej koszulce w pasy. Wywiązała się kłótnia, kto kiedy dołączył do kolejki, która rozrosła się już do pokaźnych rozmiarów. Grupka czekających oczywiście włączyła się do dyskusji, zebrani mówili coraz głośniej, wzajemnie się przekrzykując. Kiedy podjechała taksówka, marynarz nie wytrzymał i wyprowadził prawy sierpowy, który sprowadził eleganta na ziemię. Koledzy znokautowanego natychmiast rzucili się do pomocy. Za chwilę na chodniku trwała już regularna bijatyka, której przyglądał się wianuszek gapiów. Odjechałem, widząc za oknem stado dorosłych, uczciwych obywateli, walczących między sobą o to, kto będzie mógł ukraść więcej pieniędzy z bankomatu.

CZĘŚĆ DRUGA

1

Tej nocy pierwszy raz przyśnił mi się stadion. Zazwyczaj nic nie pamiętam z sennych majaków, a do tego boiska miałem w nadmiarze na jawie i nocą nigdy do niego nie wracałem. Zanurzam się w sen jak kamień w wodę, bez żadnych koszmarów, nawet nie wiem, czy cokolwiek mi się śni.

Nie mam też problemów z zasypianiem, jedyny wyjątek to noce po meczach, gdy wracam do domu tak pobudzony, że mimo ogromnego zmęczenia nawet nie kładę się do łóżka przed trzecią, bo wiem, że i tak nic z tego nie będzie. Kiedy mięśnie stygną, zaczynają dawać o sobie znać wszystkie stłuczki, zderzenia, cała historia meczu wraca w postaci bólu. Trudno się poruszać, a mimo to gdy zamykam oczy, sen nie nadchodzi. Pojawiają się za to fragmenty gry. Wkurzenie, wściekłość po przegranym meczu, na siebie, czasem na kolegów czy trenera. Wracają słowa, ukryte gdzieś głęboko emocje. Dobrze wiem, kto popełnił błędy, ale rzadko mam pretensje do kogoś bezpośrednio. Wiem, że za tydzień mogę być na miejscu aktualnego winnego, a poza tym to zadanie trenera. Oczywiście zdarzały się wyjątki, czasem dochodziło do awantur zakończonych rękoczynami, lecz częściej codziennością winowajców jest przezroczystość i niewidzialność, szczególnie gdy emocje opadną. Nikt nie zwraca na nich uwagi, kontakt ograniczany jest do minimum, przynajmniej do momentu, gdy drużyna przetrawi porażkę. A alkohol podobno pomaga w trawieniu. To nie przypadek, że pijaństwo zazwyczaj odbywa się po meczu – w końcu coś z tą długą, bezsenną nocą trzeba zrobić.

Jako junior często słyszałem, jak starsi zawodnicy mówili, że jeśli wstajesz rano i nic cię nie boli, to znaczy, że nie żyjesz. Nie bardzo wiedziałem, o co im chodzi, bo w tamtym okresie po siedmiu godzinach nauki w szkole pędziłem na trening piłkarski juniorów, wracałem do domu, jadłem w przelocie obiad, a potem szedłem na trening koszykówki z drużyną szkolną i jeszcze wypożyczali mnie na zawody siatkarskie, bo zaprzyjaźniona szkoła brała akurat udział w tych rozgrywkach. I tak dzień w dzień, wracałem wieczorem i jakoś wcale nie narzekałem na nadmiar zajęć i zmęczenie.

Ale gdy wstałem z łóżka po spotkaniu z George’em, nie mogłem swobodnie zrobić nawet kilku kroków, wszystko mnie bolało, mięśnie

miałem jak z drewna, kolano także dało o sobie znać. Uff, żyję – pomyślałem, drepcząc na sztywnych nogach do łazienki. Usiadłem na kiblu, żeby się odlać – zawsze to kilka sekund więcej na dojście do siebie. Za ścianą rozległo się szuranie, coś ciężkiego przesuwało się krótkimi skokami po podłodze.

Zanim się rozruszałem, minęło kilka minut. Marii i Emilka już nie było. Ubierając się, popijałem kawę i przysłuchiwałem się sąsiedzkim odgłosom. Nagle ucichły. Rozległ się przytłumiony dzwonek do drzwi. Dokuśtykałem do judasza, przed blaszanymi drzwiami stała ciemna postać, zniekształcona przez szeroki kąt wizjera sylwetka w kapturze. W napięciu czekałem na dalszy ciąg. Postać ponownie nacisnęła dzwonek i po chwili jeszcze raz rozległ się piskliwy dźwięk. Mężczyzna zaczął przestępować z nogi na nogę. Znowu dzwonek i cisza. Zniecierpliwiony wróciłem do kuchni, by dopić kawę, i wtedy usłyszałem chrobot otwieranych drzwi. Dobiegłem do przedpokoju, szarpnąłem klamkę. Chłopak na klatce schodowej drgnął i schował coś pod bluzą, blaszane drzwi zamknęły się hałaśliwie, a on zaczął zbiegać po schodach. Ruszyłem za nim. Żeby się nie zabić, przytrzymywałem się poręczy i usiłowałem nie zgubić klapek, które miałem na nogach. Gdy po paru sekundach wyszedłem przed blok, po chłopaku nie było śladu. Rozejrzałem się.

Mimo dość wczesnej pory było bardzo gorąco, słońce prażyło niemiłosiernie.

Już na mnie czekali. Grupka młodych ludzi w niebieskich koszulkach z dużą literą C. Tarpan – wysoki blondyn w obcisłym trykocie bez rękawów, który eksponował potężnie zbudowaną klatkę piersiową i ramiona – zrobił kilka kroków w moim kierunku. Trudno, będziemy się napierdalać – pomyślałem, wiedząc, że nie mam żadnych szans na zwycięstwo. Rozejrzałem się wokół, ale akurat o tej porze osiedle wyglądało jak wymarłe, znikąd pomocy. Podszedłem wolno do Tarpana; reszta kiboli została z tyłu, bacznie obserwując przebieg wydarzeń.

– Kłaniają się skutki i konsekwencje – zagaił Tarpan. – Czyżbym zauważył lekki strach? – Uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Tak, rozglądam się, czy zza winkla nie wyglądają twoi kumple z kamieniami. Jesteś mistrzem wojny partyzanckiej, dzięki za uatrakcyjnienie podróży ze Szczecina. – Nie mogłem się powstrzymać.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Tarpan udawał głupka.

– Następnym razem przyjdź tak jak teraz i wyjaśnijmy rzeczy jak ludzie. Wiesz, że przez ulicę i przy latających cegłówkach trudno się rozmawia?

– Wiem, jak się z tobą rozmawia – odparł Tarpan. – Miałem okazję. Grzecznie prosiliśmy o przysługę dla naszych braci, a wy co? Zabieracie przyjaciołom, a oddajecie punkt tej kurwie, Białej!

– Wypadek przy pracy.

– Nie mógł się zdarzyć w Szczecinie? – drążył temat Tarpan.

– Ja gram w piłkę – odparłem – nie rozdaję punktów.

– To może pomyśl, dla kogo grasz w piłkę. – Podszedł jeszcze bliżej. – Czy aby nie dla kibiców? Dla nas wychodzisz na boisko, dla nas kopiesz się z przeciwnikiem, dla nas zdobywasz bramki. Gdyby nie my, nie miałbyś po co tu przychodzić. Nikt by ci nie płacił takich pieniędzy za dwie godziny pracy dziennie. Centrum to my, nie wy. Nie stado prostytutek zmieniających pracodawcę, jak tylko sypnie się kasa.

Przez cały czas wygłaszania tej tyrady patrzył mi prosto w oczy, prężąc się przede mną. Odwzajemniłem się tym samym i gdy skończył gadać, gapiliśmy się tak na siebie kilka sekund, nos w nos. Pewnie naoglądał się za dużo walk bokserskich. Niektórzy myślą, że wszystko trzeba w życiu wygrać, nawet zwykłą rozmowę traktują jako szansę na kolejne zwycięstwo.

– Już? – spytałem krótko.

Widocznie Tarpan nie doczekał się spodziewanej reakcji, bo odwrócił się i rzucił na odchodnym:

– W sobotę ma być zwycięstwo.

– A nie remis? – spytałem ironicznie.

Zatrzymał się, spojrzał na mnie przez ramię.

– Nie żyjesz na świecie, na którym myślisz, że żyjesz. To twoje auto? – Wskazał na przykrytego volviaka i cała grupa się oddaliła, głośno rechocząc.

Już odchylając plandekę, wiedziałem, że jest źle; gdy odrzuciłem ją na ulicę, z głośnym brzdękiem upadło lusterko boczne. Nogi ugięły się pode mną i usiadłem na krawężniku. Moim oczom ukazał się wrak samochodu. Nie ostała się ani jedna szyba, wewnątrz na porżniętych fotelach i kanapie świeciły się odłamki szkła, wszystkie światła były rozbite, urwali nawet lusterko wsteczne. Opony przedziurawione, cała karoseria została ostukana jakimś ciężkim narzędziem. Podeszli do sprawy bardzo metodycznie,

wszędzie wgnieciona blacha i odpryski lakieru. Przecież musiało im to zająć z godzinę, na osiedlu, gdzie jest mnóstwo ludzi. Nikt nic nie widział?

Siedziałem i wpatrywałem się bezradnie w zniszczone auto, czułem obezwładniającą słabość i niechęć do wszystkiego. Nie było we mnie gniewu, agresji czy chęci zemsty. Wypełniała mnie tylko bezradność przypominająca tę, która ogarnia piłkarza, gdy jego drużyna traci decydującą bramkę, tylko dużo silniejsza. Gdy przeciwnik strzela gola, nie ma czasu na rozpacz, myślenie, rozpamiętywanie – gra toczy się dalej, są następne akcje, na których trzeba się skupić. Tu, przy resztkach auta, odechciało mi się czegokolwiek.

Jak automat przykryłem to, co zostało z pięknego samochodu. Odwróciłem się i odszedłem.

Nie pamiętam, jak dotarłem do klubu, nie wiem, co działo się w szatni. Funkcjonowałem jak w transie, czułem się, jakbym to ja dostał bejsbolem, a nie auto. W letargu odpowiadałem na pytania George’a, który bezskutecznie usiłował coś ze mnie wycisnąć, co chwilę sprawdzał, czy nic mi nie jest, albo wysyłał mnie do doktora. Reszta drużyny też wyczuwała, że coś jest nie tak, i omijała mnie szerokim łukiem.

Z treningu pamiętam tylko tę kretyńską rozgrzewkę Mariana Pyrola. Jak można kazać dwudziestu dorosłym facetom bawić się w jakąś pierdoloną wyliczankę? Truchtaliśmy wokół boiska w grupie, a Marian co jakiś czas krzyczał liczbę od jednego do pięciu. Każda cyfra oznaczała co innego, na przykład jeden to był podskok z kolanami do piersi, dwa – przysiad, trzy – przewrót, cztery – pad siatkarski, a na pięć trzeba było wskoczyć komuś na barana. Przedszkole! „Jeden!” – ryczał trener i wszyscy podskakiwali. „Cztery!” – i cała drużyna waliła się pokotem na glebę. Szkoda, że nie kazał nam tańczyć w kółeczku i śpiewać: „Kółko graniaste, czterokanciaste”. Kto się pomylił i wykonał złe ćwiczenie albo został sam, gdy wszyscy wsiedli komuś na barana, robił dwadzieścia pompek. Pewnie zapamiętałem tę idiotyczną rozgrzewkę dlatego, że pompowałem co chwilę. Biegałem jak w malignie, nie wiedząc, co się wokół dzieje, i koło dupy mi latało, jaką cyferkę akurat wrzaśnie Marian, więc uzbierało się trochę tych karniaków. Po treningu George liczył, że coś wreszcie ze mnie wydusi, więc niemal siłą zaciągnął mnie do klubowej kawiarni.

Zosia, niska, okrągła sprzedawczyni w fartuchu w kwiaty, przywitała nas jak zawsze z uśmiechem. Al stanął na tylnych łapach, opierając pysk na

ladzie. Mieszaniec rottweilera i boksera, z tułowiem w ciemne prążki, wyglądał groźnie, lecz był bardzo przyjaznym psiakiem i zawsze wybiegał zza baru, by się przywitać. Tym razem Zosia uwiązała go na smyczy, być może z obawy przed wizytą sanepidu, więc merdał kikutem ogona, piszczał i ślinił się za ladą.

– Zosia, kawy daj dwie! – krzyknął George od progu.

– A macie czym zapłacić? – droczyła się sprzedawczyni. Wiedzieliśmy, że obsłuży nas i za darmo.

– Nie – mruknąłem.

Spojrzała na mnie uważnie.

– Al, bierz go! – poszczuła psa i spuściła go ze smyczy.

Psisko z głośnym szczekaniem, ślizgając się i drapiąc pazurami po podłodze, wybiegło zza lady. Wpadło we mnie z impetem i zaczęło skakać wokół jak opętane, domagając się przywitania. Gdy tylko poklepałem zwierza, stanął zdziwiony, że nie turlam się z nim jak zawsze po podłodze.

– Oho, ktoś tu jest nie w humorze – stwierdziła Zosia.

Do kawiarni wszedł Marian Pyrol ze słuchawką telefonu stacjonarnego w ręku.

– Pani Zosiu, poproszę wodę z gazem – rzucił, stając przy ladzie.

– Alfons, do budy. – Miałem już dość zabawy z psem.

– Al, żaden alfons – obruszyła się Zosia.

– Sama pani mówiła, że to na cześć Capone, a on, czy pani chce, czy nie, miał na imię Alfons.

Marian podszedł do naszego stolika, położył słuchawkę i zaczął tarmosić psa za uszami, uśmiechając się.

– Ma rację – zwrócił się do Zosi z podziwem. – Ale to był gangster, nigdy nie udowodnili mu nic poważnego, cwaniak dużej klasy.

– Ale i tak wylądował w pierdlu – dodałem.

Trener wziął wodę z lady i zmierzając do drzwi, rzucił:

– Za podatki się nie liczy, ze skarbówką nikt nie wygra. – I zniknął w korytarzu.

Zosia przyniosła na tacy dwie kawy, chwyciła Ala za obrożę i poprowadziła go za bar.

– Jak jeszcze raz go wyzwiesz od alfonsów, to ceny pójdą w górę – zażartowała, ale minę miała poważną.

Popijaliśmy kawę w milczeniu, choć czułem, że w George’u aż się wszystko gotuje z niecierpliwości. Wpatrywał się we mnie wymownie,

czekając, aż zacznę mówić.

– Opowie?

Nie odezwałem się słowem, gapiłem się na ślad łyżeczki w kawie jak we wróżbę. Bałem się, że jak zacznę mówić, to przestanę nad sobą panować.

– No – ponaglał mnie.

Streściłem w trzech zdaniach moją rozmowę z Tarpanem, opisałem stan volviaka i siedziałem z ponurą miną, mieszając kawę. George chwilę milczał, wreszcie wypalił:

– Rozmawiał ja z nim. Dzwoni, się nie tego, to nie przypadek, że gościu się tak nazywa. Jak modlitwa. Mówisz: „Boże, ukaż skurwiela”… i już, proste. Dokopiesz gnoju i jeszcze szmal wpadnie. Konkret prośba, życzenie i się spełnia, u Boga trwa to dłużej, u Nieba błyskawicznie.

Spojrzałem na niego z dezaprobatą.

– Uciekam. – Wziąłem ostatni łyk, wstałem i skierowałem się w stronę drzwi. Czułem na sobie wzrok George’a.

Na zewnątrz zatrzymałem się przy bramie. Żar lał się z nieba, rozgrzane powietrze falowało, rzeczywistość przypominała miraż. Spojrzałem w stronę pobliskiej knajpy i wydało mi się, że widzę znajomą postać, która na mój widok zatrzymała się i szybko, charakterystycznym kaczkowatym krokiem, wróciła do restauracji.

W środku przywitał mnie półmrok, klima nie działała, więc obsługa zasłaniała okna, by obniżyć temperaturę. Na sali żywego ducha, tylko barman za niską ladą przecierał szmatką kieliszki.

– Gdzie się schował? – spytałem.

Wskazał głową drzwi do toalet.

– Niech go pan zabierze, od tygodnia tu przesiaduje, pije na umór.

Wszedłem do męskiej toalety. Czarne ściany, rząd trzech kabin, jeden długi zlew jako pisuar.

– Wyłaź! – rzuciłem głośno.

Cisza.

– Staszek, nie wygłupiaj się, czekam przy barze. – Wyszedłem, trzaskając drzwiami.

Zamówiłem wodę z lodówki i poprosiłem o dwie szklanki. Gdy piłem, usłyszałem dźwięk otwieranych drzwi. Kołysząc się lekko, Staszek podszedł, po czym usiadł koło mnie przy barze. Koszulka i krótkie spodenki nie pierwszej świeżości, na twarzy kilkudniowy ciemny zarost.

Widziałem, że jest mocno podpity, normalnie kołysał się dużo mniej. Nalałem mu wody.

– Opowiadaj. – Podsunąłem mu szklankę.

– Co? – udawał głupka.

– Przestań kręcić i wal prosto z mostu.

– Ale nie mam co opowiadać, nic się nie dzieje. Codzienność, jak zawsze, ot i wszystko, normalka – trajkotał.

– Tak nic się nie dzieje, że boisz się pokazać przy bramie i chowasz się w knajpie? Że chlasz w godzinach pracy warsztatu i na mój widok spierdalasz do kibla? Rzeczywiście, nic się nie dzieje.

– Nie zauważyłem cię, zawróciłem, bo chciało mi się lać. – Dalej grał głupka.

– Okej, nie chcesz, nie mów, i tak się dowiem. Spytam matki.

Aż się wyprostował, spojrzał na mnie z paniką. Matka trzymała pieczę nad całym jego życiem, pilnowała dosłownie wszystkiego. Od czasu, gdy ojciec ich zostawił, całą energię wkładała w wychowanie syna i nie dawała mu ani odrobiny luzu. Zawsze musiała wiedzieć, gdzie jest i co robi, nawet gdy był już pełnoletni. Staszek wielokrotnie narzekał, że jest przez nią ubezwłasnowolniony, że bez jej wiedzy nie może się po dupie podrapać, a jednocześnie bał się jej jak ognia.

– Ona nie może się dowiedzieć – stwierdził, trzeźwiejąc.

– Czego nie może się dowiedzieć?

Staszek spuścił głowę. Wpatrując się w blat tuż przed sobą, mruknął:

– Dałem dupy.

– Co?

– Wiem, idiota ze mnie. Mówili, że to stuprocentowo pewna sprawa. Wszystko kontrolują i wszyscy zarobimy. Przyszli tu na kawę… Rozmawialiśmy… ja… – głos mu się rwał – chciałem ci zwrócić pieniądze… Mówili, że nie ma ryzyka. Komu miałem zaufać, jak nie im?

– Kto? – spytałem.

– No, Babka, Rogal i Piesek, mówili, że w jeden wieczór podwoją… Skąd miałem wiedzieć, że przegrają?

– Dałeś im pieniądze na pokera?

Krew mnie zalała. Gwałtownie wstałem i ruszyłem do drzwi. Zawróciłem. Zacząłem krążyć wzdłuż kontuaru, aż barman dziwnie na mnie popatrzył. Staszek nie odrywał wzroku od szklanki. Hamowałem się, jak mogłem, w końcu nie wytrzymałem.

– Kurwa, przez tyle lat tylko tego nauczyłeś się o konsekwencji? To zrozumiałeś? To jest konsekwencja? Pstryk i masz? Tego chcesz? Mówisz „już” i raptem masz morze pieniędzy? Jakim idiotą trzeba być…

– Przepraszam, Roman. – Zwiesił głowę, wpatrując się w blat.

Wybiegłem z restauracji i z bielmem na oczach ruszyłem do klubu. Chciałem rzucić im się do gardła, poprzegryzać im aorty i patrzeć, jak krwawią. Gorące powietrze przydusiło mnie jak poduszka przyłożona do twarzy, zrobiłem głęboki wdech.

Przejeżdżające auto gwałtownie zahamowało, zabrzmiał ostry klakson, kierowca popukał się w czoło i puścił wiązankę, której nie usłyszałem przez zamknięte okno. Oderwałem buty od oblepiającego je prawie płynnego asfaltu; zostały czarne smugi.

Wkurwiony szedłem w stronę bramy. Dotarło do mnie, że nic nie mogę zrobić, najwyżej wyżyć się na gnojach, co i tak nie pomogłoby Staszkowi. Zatrzymałem się. Przecież nie zabiorę skurwielom portfeli, pieniądze przegrali, nic z nich nie wycisnę. Schowałem się w cieniu pobliskiego drzewa, wykonałem kilka telefonów do pokerowych znajomych.

Okazało się, że moi koledzy z drużyny zwietrzyli okazję, by ograć zagranicznych frajerów z Rosji. Myśleli, że mają leszczy, których mogą doszczętnie oskubać. Zorganizowali pokera, Ruscy postawili tylko warunek, że chcą grać na wysokie stawki, drobne ich nie interesują – większa stawka, większe emocje. Babka i spółka, nie chcąc ryzykować swoimi pieniędzmi, zapożyczyli się u wielu znajomych, Staszek był tylko jedną z ofiar ich pazerności. Rosjanie okazali się starymi pokerowymi wyjadaczami, którzy grali już w wielu turniejach światowych. Oczyścili Rogala, Pieska i Babkę w jedną noc, doszczętnie. Zrozumiałem, dlaczego tak dziwnie zachowywali się ostatnimi czasy i dlaczego chcieli sprzedać punkt Pomorzu. Części układanki wskoczyły na miejsce.

Gdy przekraczałem ulicę, zadzwonił telefon, spojrzałem – nieznany numer. Odebrałem.

– Słucham.

Dobiegł mnie wysoki męski głos:

– Piotr Niebiński.

Stanąłem jak wryty. Rozejrzałem się na boki. Nie wiedziałem, co mam zrobić.

– Halo? Jest tam pan? – usłyszałem w słuchawce.

Zatrąbił klakson, kierowca wymachiwał rękami za szybą; stałem na środku ulicy, szybko wszedłem na chodnik.

– Tak. Jestem – odezwałem się.

– George uprzedził mnie, że chce pan porozmawiać, więc dzwonię. Któżby nie chciał pogadać z gwiazdą polskiej piłki.

Milczałem dalej, kompletnie nie wiedząc, co powiedzieć. Zapadła niezręczna cisza.

– Odezwie się pan do mnie? – dopytywał się Niebiński.

– Przepraszam – wydukałem – jestem po prostu zaskoczony. Nie wiem, co George panu naopowiadał.

– Prawie nic. Zresztą i tak niewiele da się zrozumieć z tego, co mówi. – Zachichotał. – Gada, gada, gada, a człowiek potrzebuje dobrych pięciu minut, by to sobie złożyć do kupy… A właśnie, à propos zrozumienia, zawsze chciałem wyjaśnić tę sprawę z igrzysk, podczas meczu z Włochami, ta sytuacja nie daje mi spokoju.

– Stare dzieje, a poza tym nie ma co grzebać w trupach – warknąłem zirytowany.

– Niektórzy chcieliby mieć takie trupy w szafie, panie Romanie. Ducha Świętego bym się prędzej spodziewał niż informacji, że chce pan pogadać. Ciekawość mnie zżera. – Zaśmiał się. – O czym będziemy rozmawiać?

Zawahałem się, nie wiedząc, co powiedzieć; stałem bezradny na środku chodnika.

– Chciałem prosić o poradę sportową. – Miałem nadzieję, że w moim głosie nie słychać niepewności.

Zapadła cisza, słyszałem tylko oddech i szum muzyki w tle.

– Panie Romanie – stwierdził z udawanym wyrzutem – pierwszy raz w życiu rozmawiamy, a pan obdarza mnie takim zaufaniem? Co mam o tym myśleć? Mam wiele wątpliwości, ale zaintrygował mnie pan, skrajności zawsze mnie interesowały. Pójdziemy na improwizację. Ma pan piętnaście minut, by dojechać do mnie do Grandki, pokój numer jedenaście. Jeśli się pan spóźni, rozmowy nie będzie.

I się rozłączył.

Tarłem podeszwą buta o krawężnik, usiłując zdrapać resztki asfaltu z obuwia. Przekrzywiałem stopę pod różnym kątem, by pozbyć się brudu, kopałem energicznie w ostrą krawędź, zastanawiając się, co zrobić.

Po co z nim gadałem? Wystarczyło nie odbierać telefonu albo stwierdzić, że to pomyłka. Tak niewiele było trzeba, tak niewiele dzieliło mnie od

spokojnej piłkarskiej emerytury – może bez kokosów, ale i bez stresu i poczucia winy. Wystarczyło po prostu odrzucić połączenie, żeby reszta życia była mniej skomplikowana. Tak to jest, gdy w proces decyzyjny zaplączą się uczucia. Jak na boisku – kretyńskie wybory są efektem zamroczenia umysłu emocjami.

W knajpie, po rozmowie ze Staszkiem, dotarło do mnie, z kim tak naprawdę jestem w drużynie, i zrozumiałem, że wszelkie moje skrupuły są wprost śmieszne. Wiedziałem, po co wszyscy grają, co jest dla nich ważne i co się naprawdę liczy, począwszy od prezesa, trenerów, piłkarzy, a skończywszy na kibicach. Ukazało mi się to w całej rozciągłości.

Co mną wówczas kierowało? Żal i rozgoryczenie, że w taki sposób kończę karierę piłkarską, a do tego świadomość, że wszyscy wokół to kanalie kradnące, co się tylko da? Udało mi się gdzieś w zakamarki umysłu zepchnąć myśl, że tak naprawdę nikt nie ma wpływu na to, co robię. To ja, nikt więcej, ponoszę odpowiedzialność za to, co robię. Bardzo skutecznie zakopałem tę iskierkę rozsądku w stercie emocji i w obrazach bezwzględnej rzeczywistości.

George miał rację, gdy kilka minut później stwierdził, że przeszedłem na ciemną stronę mocy z całą moją zapalczywą konsekwencją w działaniu. Jeśli podjąłem decyzję i miałem jakiś plan, musiałem go zrealizować za wszelką cenę, podporządkowywałem wszystko temu celowi i metodycznie, krok po kroku go urzeczywistniałem. W końcu dzięki takiemu podejściu grałem w superlidze. Zmiana planów nie wchodziła w rachubę; nie cierpiałem porażek, bo ich przyczyną był zazwyczaj brak konsekwencji.

– Wstawaj, jedziemy – rzuciłem zdecydowanym głosem do George’a, który dalej siedział w tym samym miejscu.

Stałem nad nim w kawiarni, zasapany.

– Co?

– Wstawaj, jedziemy, mamy mało czasu. – Zniecierpliwiony, prawie wyciągnąłem go zza stołu.

– Dokąd?

– Do Grandki, do Nieba.

George aż zagwizdał i głęboko wciągnął powietrze. Po chwili na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Wstał, nucąc marsz imperialny z *Gwiezdnych wojen*, i nie przestał, gdy zadzwoniła słuchawka telefonu stacjonarnego, którą zostawił asystent.

– Najbiedniejszy klub w Polsce, słucham – rzucił miłym głosem George, odbierając połączenie.

W słuchawce rozległy się głośne krzyki, George odsunął ją od ucha z miną niewiniątka.

Wbiegł Marian.

– Zostawiłem…

– To do pana, prezes. – George oddał mu słuchawkę i szybko ruszyliśmy do wyjścia.

Wychodząc, widzieliśmy nietęgą minę asystenta, który stał ze słuchawką przy głowie i spoglądał za nami z wyrzutem.

2

– Czasu dać nie chce na kombinacje – zauważył George, prowadząc auto.

– Zdążysz? – spytałem, streściwszy mu rozmowę telefoniczną z Niebińskim.

– Ja nie zdążę? Moc jest z nami.

Do Grand Hotelu nie było daleko, jakieś piętnaście minut jazdy, uznałem, że zdążymy nawet z George'em za kierownicą. Zamknąłem oczy i modliłem się, by rzeczywiście moc była z nami. George nie był dobrym kierowcą, jego astra wyglądała niewiele lepiej niż mój zdewastowany volvik, tyle tylko, że o prezencję auta zadbał sam, obijając się nim o wszystko co się da. Ulicą Chopina przejechaliśmy szybko, ale trafiliśmy na korek przy Krzywej. George chciał kombinować, objeżdżać chodnikiem, ale wybiłem mu to z głowy, argumentując, że spokojnie zdążymy, nawet puszczając pieszych przez skrzyżowanie. Popatrzył na mnie z powątpiewaniem, nerwowo stukając palcami po kierownicy.

Czułem się niepewnie – w końcu jechaliśmy na rozmowę z największym oszustem w polskim świecie piłkarskim. Gdy ktoś miał pretensje do sędziego albo podejrzenia co do uczciwości meczu, zawsze winny był tylko jeden człowiek – Niebiński. Legendy o tym, co może Niebo, krążyły w klubowych szatniach od lat; wszyscy piłkarze powtarzali, jak to ich przekręcił, jak zabrał im pieniądze i punkty.

Przyznam, że nie wiem, jakim cudem Niebo doszedł do pozycji guru chachmętów i prezesa spółdzielni handlowo-punktowej w jednym. Zaczynał jako zwykły działacz piłkarski w Czarnych, po kilku latach pracy, gdy poznał reguły gry, wywalili go z roboty. Nie wiem, czy to przypadek, ale Czarni rok później spadli, a w następnym sezonie wrócili do superligi. Podobno i w jednym, i w drugim maczał palce Niebo. Chyba zabolało go to zwolnienie.

Nie wiem, w jaki sposób działał i jak udało mu się tak szybko zdobyć opinię wszechmogącego. Cała moja wiedza o nim ograniczała się do krążących w środowisku piłkarskim plotek. Aż do dzisiaj. Zastanawiało mnie tylko jedno: że nikt nie wspominał o tym, że to tylko pośrednik, innymi słowy łącznik pomiędzy tymi, którzy chcą ukraść punkty innym, a tymi, którzy chcą ukraść punkty swoim.

Grandka to jeden ze starszych hoteli w mieście, ale cieszy się dobrą opinią; usytuowany tuż obok głównego deptaka, przyciągał klientów dobrą lokalizacją. Szybko minęliśmy dwie ogromne kolumny tuż przy wejściu i przez obrotowe drzwi weszliśmy do środka. W holu, choć byliśmy już spóźnieni, poruszaliśmy się wolnym, statecznym krokiem; pod czujnym okiem portiera w liberii spokojnie przeszliśmy po czerwonym dywanie i zniknęliśmy w zakamarku z windami. Na pierwszym piętrze ostatnie metry do pokoju numer jedenaście pokonaliśmy już biegiem, gruba wykładzina tłumiła tupot. Zdyszany zapukałem do drzwi.

Po kilku sekundach zobaczyliśmy przed sobą szczupłego, siwiejącego mężczyznę w średnim wieku, odzianego w szary garnitur. Energicznie otwarłszy drzwi, uważnie nam się przyglądał.

– Dzień dobry, panie Piotrze. – Wyciągnąłem rękę na powitanie.

– Dzień dobry, Piotr siedzi tam. – Wskazał głową za siebie.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę na płynność jego ruchów. Było w nim coś elastycznego, czułem sprężynę gotową do rozciągnięcia, ukształtowaną długim treningiem. Ewidentnie jakiś były sportowiec – swój pozna swego.

– Pan wejdzie, zapraszam. – Przepuścił mnie obok siebie, George’a zaś zatrzymał dłonią. – Pan niestety nie.

– Poczeka w kawiarni. – George potulnie odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę wind.

Po prawej stronie urządzonego z wiktoriańskim przepychem salonu stało ogromne łoże z baldachimem, ciężkie aksamitne zasłony w oknach były częściowo rozsunięte, a klimatyzacja pracowała pełną parą, więc w pokoju panował przyjemny chłód. Po przeciwnej stronie stał okrągły drewniany stół, przy którym siedział Piotr Niebiński, rękami rozdzielając leżącego przed nim na talerzu dużego kurczaka.

– Pan wybaczy, pora obiadowa. – Umazaną w tłustym sosie ręką wskazał krzesło. – Zapraszam.

Byłem lekko zaskoczony. Spodziewałem się jakiegoś eleganckiego biznesmena w typie mafiosa, a spotkałem gościa wyglądającego jak urzędnik ze skarbówki, któremu brakuje na krawat, do tego upapranego obiadem. Niebo dobiegał pięćdziesiątki, miał spory brzuch, kartoflowaty nos i małe oczka. Fryzura mocno się przerzedziła w centralnej części głowy, jedynie boki pamiętały czasy świetności. Ciemne pukle mocno powiększały mu czaszkę, dlatego nieodparcie kojarzył mi się

z Kopernikiem ze szkolnych obrazków. Rękawy białej koszuli miał podwinięte. Patrzył na mnie, nie przestając jeść.

Usiadłem na krześle naprzeciwko.

– W dalszym ciągu trudno mi uwierzyć, że ktoś taki jak pan trafił do mnie. – Oblizał palec. – Choć trochę obracamy się już w piłkarskim światku, więc nic nie powinno nas zaskoczyć. No nie? Jak śpiewała Lipnicka: wszystko może zdarzyć się. – Uśmiechnął się zadowolony. – Czym mogę służyć?

Miał wysoki, piskliwy głos, pasujący raczej do kobiety niż do starszego pana z urzędu podatkowego; przez telefon był lekko zniekształcony, teraz bardzo kontrastował z wyglądem właściciela.

– To dość skomplikowane, nie wiem, czy powinienem o tym opowiadać, bo to dość długa historia – zacząłem nieskładnie. – Wie pan, zostałem zmuszony, nie chciałem… George sam zadzwonił…

– Panie Romanie – przerwał mi – prosto z mostu, najłatwiej.

– Chcę sprzedać mecz ze Sternikiem – wypaliłem, myśląc: co ja tu robię?

Na dzień dobry zdradziłem swoją niekompetencję i brak doświadczenia. Uznałem, że nie będę owijał w bawełnę i szybko przejdę do sedna. Noga lekko mi drgała i czułem się bardzo niezręcznie, jak uczniak na audiencji u dyrektora szkoły.

Niebo aż prychnął, uniósł brwi i zatrzymał w połowie drogi podnoszonego do ust kurczaka. Sięgnął po serwetkę i przetarł usta, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

– Oj, panie Romanie, jaka nieostrożność i brak subtelności. – Wgryzł się w kawał mięsa. – A jeśli nagrywam?

– No to ma pan nagrane. I co, zaszantażuje mnie pan? Jak wygramy czy jak przegramy? – Zaśmiałem się nerwowo. – Wiem, kim pan jest i czym się zajmuje, więc po co te gierki? Przejdźmy do rzeczy. – Usiłowałem ukryć niepewność i chyba mi się udało.

– Cóż, dobrze, zróbmy następny krok. – Wyglądał na lekko zawiedzionego moją obcesowością.

Kiwnął na mężczyznę stojącego przy drzwiach. Ochroniarz zrobił zdziwioną minę.

– Proszę wyjąć telefon. – Gdy położyłem aparat na stole, zirytowany zwrócił się do siwego: – Przeszukaj pana, sprawdź, czy nie ma podsłuchu i tak dalej. Telefon do łazienki.

– Ale my nigdy… No kto nam…? – Niebo spojrzał na niego wymownie, przekrzywiając głowę. – Okej, już się robi.

Siwowłosy mężczyzna otworzył drzwi do łazienki.

– Zapraszam.

– Dziękuję, nie czuję potrzeby. – Spojrzałem na Niebińskiego.

– Rozmowa na poziomie, który pan zaproponował, wymaga poświęceń – stwierdził Niebiński, wycierając dłonie w serwetkę.

Ochroniarz spoglądał na mnie wyczekująco, stojąc przy drzwiach. Równocześnie czułem świdrujące spojrzenie Niebińskiego. Nie wiem, czy tych środków ostrożności nie wymyślił właśnie przed chwilą, i to raczej po to, żeby się mną pobawić niż poczuć bezpieczniej, bo kto tak naprawdę miał go niby nagrywać i podsłuchiwać? Policja? Ona nie mogła sobie poradzić nawet z kibolami, a co dopiero z Niebem. Myślę, że był ciekaw, jak zareaguję, chciał się przekonać, czy schowam urażoną dumę gwiazdki polskiej piłki do kieszeni, i sprawdzić, jak bardzo jestem zdeterminowany. A może po prostu uznał, że warto się mną pobawić? W końcu nieczęsto trafiały mu się takie skanseny jak ja, więc postanowił się podelektować, trochę mnie przeczołgując. Siedziałem, zastanawiając się, co mam zrobić, wreszcie się podniosłem i wszedłem do łazienki z cierpiętniczą miną. Nie chciałem pozwolić wyeliminować się z gry po takim błahym manewrze taktycznym jak przeszukanie.

Ochroniarz kazał mi opróżnić kieszenie, obmacał mnie bardzo dokładnie, sprawdził każdy fałd koszuli, na szczęście nie kazał mi się rozbierać.

– Pasuje? Mam się wypiąć? – Nie miał poczucia humoru, spojrzał na mnie tylko i otworzył drzwi.

– Przypilnuję ich. – Wskazał leżące przy zlewie rzeczy z mojej kieszeni.

Wróciłem do pokoju i siadłem na krześle, czując się tym razem jak na komisji poborowej. Ochroniarz stanął za moimi plecami pod ścianą.

Niebo, wciąż za stołem, przybrał niedbałą pozę, palił papierosa i strząsał popiół do talerza z resztkami kurczaka. Uśmiechnął się na mój widok.

– Słucham… – Zaciągnął się dymem.

– Tak jak powiedziałem, chcę sprzedać Sternikowi punkt potrzebny do utrzymania. – Nerwowo splotłem dłonie na kolanach.

– Dlaczego? – spytał od razu. – Gracie o mistrza, punkt przewagi nad Zorzą to mało. Tego meczu nie sprzedadzą nawet tacy recydywiści jak Rogal czy Babka.

– Czy to ważne? – Nie chciałem się przed nim spowiadać.

– Gdyby tu siedział Rogal, nie zadałbym tego pytania, ale bardzo interesuje mnie motywacja naczelnej, a może jedynej dziewicy w lidze. – Uśmiechał się ironicznie. Widziałem, że świetnie się bawi całą sytuacją.

Też pewnie chciałbym przedłużyć chwilę zabawy, gdyby siedział przede mną taki znerwicowany frajer, podrygujący nerwowo na krześle, jakby swędziała go dupa, ale po drugiej stronie barykady nie było już tak fajnie.

– Pieniądze, to proste – rzuciłem, licząc, że zaspokoję jego ciekawość i zakończy przesłuchanie.

– Tylko? – drążył dalej. – Dziewice rzadko sprzedają cnotę. I tak się dowiem.

– Prezes kutas, koledzy kurwy, kibice skurwiele. Wystarczy? I taca za czternaście lat gry. – Spojrzałem na niego wyzywająco.

– Dwanaście – poprawił mnie. Przyglądał mi się, usiłując zachować powagę, choć oczy zdradzały, że jest w dobrym humorze. – Hm, przyznam, że to kusząca propozycja. Po wyczynie z igrzysk nikt pana nie będzie podejrzewał. – Zaciągnął się dymem z końcówki papierosa. – Nie lubię Księcia, to nowobogacki bufon, Sternik ma kasy jak lodu, ale jest tak słabą drużyną, że aż oczy bolą, gdy się patrzy na ich grę. To byłaby przysługa dla kibiców, gdybym ich spuścił. Z drugiej strony, kiedy mi się trafi taki rarytas jak pan do współpracy? Sam nie wiem… – Zastanawiał się głośno.

Wstał, zaczął się przechadzać wzdłuż okien. Siedziałem, przyglądając mu się. Mały, łysiejący Kopernik z brzuchem, spacerujący w skarpetkach po miękkiej wykładzinie. Połowa koszuli wysunęła mu się ze spodni, podwinięte rękawy odsłaniały mocno zarośnięte przedramiona. Wpatrywałem się uważnie w jego koszulę, usiłując wypatrzeć plamy po tłustym sosie, które dopełniłyby ten obraz gangstera polskiego piłkarstwa. Jaka liga, taki ojciec chrzestny – pomyślałem.

– Moja odpowiedź brzmi… nie. – Zawiesił głos, czekając na moją reakcję. – Panie Romanie, co to za burdel bez żadnej dziewicy? Żeby można było handlować punktami, ktoś musi grać uczciwie. Kogoś trzeba oszukać. – Na twarz wrócił mu uśmieszek. – Oszusta? To sprawiedliwość. Takich jak pan to ze świecą szukać, reszta to przecież sprzedajne kurwy, nie oszukujmy się. Każdy w tej lidze kręci, jak może, to norma. – Zaśmiał się jak z dobrego dowcipu. – A poza tym macie zbyt silną drużynę, nawet gdy pan będzie po stronie Sternika, to i tak możecie ten mecz wygrać. Tu i sędzia nie pomoże. – Kiwnął głową na siwego. – Proszę zabrać rzeczy. Przykro mi, ale nic z tego nie będzie.

Ochroniarz przyniósł mi z łazienki portfel, telefon i klucze. Położył wszystko na stole, skubnął palcami kawałek mięsa z talerza, nic sobie nie robiąc z tego, że kości kurczaka przyprószone były popiołem papierosowym.

– Nie wierzy pan, że potrafię sam załatwić mecz? – spytałem.

– A ma pan w tym jakieś doświadczenie?

Nie dało się ukryć, nie miałem. Totalnie zaskoczył mnie odmową, myślałem, że tylko czeka na okazje, by realizować takie transakcje. Tymczasem okazało się, że selekcjonuje propozycje, bo dostaje ich tyle, że wybiera tylko te, które mu pasują. Uświadomiłem sobie, że po prostu komponuje ligę według własnego widzimisię! Układa rozgrywki jak puzzle i wyśmienicie się przy tym bawi.

– Skończyliśmy. – Niebo odwrócił się do okna.

Ochroniarz podszedł szybko i otworzył drzwi na korytarz; spoglądałem z niedowierzaniem na jednego i drugiego, w końcu wyszedłem i wolnym krokiem ruszyłem do wind. Na korytarzu minęła mnie wyzywająco ubrana piękna kobieta, pewnie prostytutka. Pukając do pokoju w końcu korytarza, spojrzała na mnie, jakby szacując mój potencjał.

Zastanawiałem się, jaki błąd taktyczny popełniłem i jak go jak najszybciej naprawić. Cały plan walił się właśnie z hukiem i jeśli wyszedłbym z hotelu… Otworzyły się drzwi windy, jakiś dowcipniś wcisnął kilka numerów pięter, na ścianie wisiała kolorowa reklama aspiryny. Odwróciłem się, prostytutka już zniknęła. Drzwi windy zaczęły się zamykać. Zadźwięczał dzwonek i winda ponownie się otworzyła, na korytarzu stał ochroniarz.

– Zapraszam jeszcze na chwilę. – Gestem wskazał drzwi.

Zawróciłem, wszedłem do pokoju, gdzie stał uśmiechnięty Niebiński.

– Wie pan co? Wpadł mi do głowy pewien nowatorski pomysł. To może być ciekawa rozgrywka.

Ochroniarz wyjrzał za mną na korytarz i zamknął drzwi.

Pół godziny później zszedłem do prawie pustej o tej porze hotelowej kawiarni; tylko kilka osób siedziało przy stolikach w przeciwnym końcu sali. George wybrał najbardziej ustronną część pomieszczenia i uważnie obserwował mnie już od wejścia. Idąc, starałem się zachować kamienną twarz. Chwilę wcześniej wyszedłem z toalety, więc poprawiałem koszulę w spodniach. George nie odrywał ode mnie wzroku.

– Do łóżka z nim poszedłeś? – Wskazał na mój niedomknięty rozporek.

– Jasne. – Zasunąłem zamek.

– Kto kogo wyruchał? Ma większego? Jak było w… niebie? W niebie czy w niebu? Jak się mówi?

– Dadzą sześć baniek – szepnąłem mu do ucha i opadłem na krzesło z triumfalnym uśmiechem.

– Fju! – George tylko zagwizdał, patrząc na mnie z podniesionymi brwiami. – Czyli sześć milionów?

– Zgłupiałeś? Sześćset tysięcy. Gobet dałby i trzy razy tyle, byle ich utrzymać w lidze – szeptałem pochylony nad stołem, nie potrafiąc ukryć podniecenia. – Co to jest, gdy wpompowało się w drużynę dwadzieścia milionów, a do tego pojawia się szansa, by upokorzyć konkurencję. Ci deweloperzy są pojebani.

Zacząłem wyjadać resztki frytek z talerza George’a, delektując się jego miną. Kwota, którą zaproponował Niebiński, robiła ogromne wrażenie. Nie wiedziałem, czego oczekiwać, ale mocno mnie zaskoczyła. Nie sądziłem, że w grę wchodzą aż takie pieniądze. Zaczynałem rozumieć, z jakimi pokusami przegrywali notorycznie walkę Babka i spółka. Szybki, łatwy, a do tego kolosalny szmal. W jeden dzień zarobek jak za kilka lat kontraktu. Choć jak wywnioskowałem z wypowiedzi Niebińskiego, okazja była wyjątkowa – podbramkowa sytuacja klubu, a do tego pieniądze nie były dzielone na wielu uczestników – więc stąd niebagatelna suma.

Gobet, potężna firma deweloperska, zainwestowała w Sternika rok wcześniej, kalkulując jak dziesiątki firm przed nią w polskim futbolu: że wystarczy rzucić kasę i wyniki od razu przyjdą. Jeden prezesunio z drugim naczytają się w prasie o sumach transferowych, za jakie sprzedawani są zawodnicy za granicę, więc siądzie taki z kalkulatorem w ręku, a potem z wypiekami na twarzy pędzi do klubu, przeliczając w myślach te zarobione góry szmalu. Po roku albo dwóch patrzy na kwoty inwestycji, koszty utrzymania, stan rachunku i zastanawia się, gdzie jest dno tej studni. Gobet był właśnie na etapie uświadamiania sobie istnienia studni i próbował znaleźć uzasadnienie dla milionów utopionych w niej pieniędzy. Wpompowaliśmy krocie, ale się utrzymaliśmy – ot, normalny tok myślenia u początkujących inwestorów piłkarskich. Jeszcze ze dwa lata i pewnie uciekną z polskiej piłki, aż będzie się za nimi kurzyło, a raczej paliło. Z tyłu zaś będą się dopalać zgliszcza jakiegoś klubu.

– Znaczy, targować chcesz się? – George nic nie rozumiał.

– Nie, i tak ledwo się zgodził. Najpierw wyrzucił mnie za drzwi, musiałem prawie żebrać. Tak, ja, żebrać o możliwość zahandlowania meczem. Rozumiesz? To jakaś paranoja – szeptałem teatralnym szeptem, pochylony nad stołem.

– No, w końcu da tysięcy sześćset! – George się uśmiechnął.

– Sam pewnie drugie tyle przytuli – dodałem.

– Co?

– Przecież też musi zarobić.

– Pięćdziesiąt procent prowizji? – George nie mógł w to uwierzyć. – Nieźle. A będę miał z tego co ja?

Zawahałem się.

– Dwadzieścia procent pasuje?

– Dwadzieścia pięć? – kombinował George.

– Nie przeginaj. W końcu to ja będę grał i robił z siebie kurwę – stwierdziłem z pełną świadomością. – Musimy jeszcze tylko do piątku wyeliminować ze składu Rogala, Babkę, Pieska, Kaczkę… i Jabola.

George znieruchomiał, ponownie zrobił wielkie oczy, ale szybko nad sobą zapanował.

– Kogoś jeszcze? – spytał od niechcenia. – Ale grali będziemy w jedenastu czy chce może, żeby w ośmiu wyszli na Sternika? Jaja sobie robisz? – Tu już nie mógł zapanować nad emocjami i podniósł głos: – Składu pół pierwszego chcesz się pozbyć w trzy dni?

Uśmiechnąłem się protekcjonalnie i teatralnym gestem wsadziłem sobie do ust ostatnią frytkę.

– Ale jak? – dopytywał się George. – Zastrzelisz? Bandytów naślesz? Bomba? Hurtowa masakra piłą mechaniczną? Niemożliwość!

– Pozbędziemy się ich ze składu albo podzielimy się z nimi pieniędzmi.

Zamilkł na chwilę.

– Znajdziemy sposób. – George błyskawicznie umiał zmienić front. – Pozbędziemy ich się. Tylko jak? – Spojrzał na moją zdeterminowaną twarz. – Ty ma pomysł – stwierdził.

– A mam – odparłem. – Potrzebny tylko telefon do tych Murzynek, z którymi się wczoraj witałeś.

Tych ostatnich kilka minut w pokoju Niebińskiego uzmysłowiło mi, czego tak naprawdę chce. Przeliczył pewnie koszty i wyszło mu, że taniej wyniesie go kupienie jednego piłkarza niż pięciu. Oczywiście oznaczało to

większy zarobek dla niego, ale podejrzewam, że przeważył inny argument. Dotarło też do mnie, jak bezkarny jest w tym środowisku, nieskrępowany żadnymi regułami i zasadami. Nie czuł najmniejszego strachu przed wpadką. Z nudów i braku emocji bawił się, mieszając i improwizując w piłkarskim tyglu, kompletnie nie zwracając uwagi na to, że za klubami stoją rzesze ludzi. Szukał rozrywki, a ja chyba właśnie podsunąłem mu pomysł, jak zapewnić sobie interesujące rozdanie. Przestało go bawić proste załatwienie meczu. Kupienie zawodnika, opłacenie sędziego to był banał, więc szukał większych wyzwań, zwłaszcza że tak naprawdę niczym nie ryzykował. Może dlatego podjął wyzwanie polegające na współpracy ze mną. Wiedział, jaki jestem, i właśnie to sprawiało, że cała akcja miała smak. Używając złagodzonej terminologii Pieseckiego: lepiej mieć w łóżku niedoświadczoną dziewicę niż rutynowaną czterdziestoletnią prostytutkę.

3

Mecz ze Sternikiem miał się odbyć w sobotę wieczorem, więc od wtorku mieliśmy trzy i pół dnia – cztery jednostki treningowe – na pozbycie się z pierwszego składu pięciu podstawowych zawodników. Umówiłem się z Niebińskim, że mam czas do piątku wieczorem; jeśli po treningu wciąż byliby na chodzie, umowa wygasała. Gdy wchodziłem do windy, miałem już zarys planu, który dostarczyłby rozrywki Niebińskiemu, a jednocześnie okazał się skuteczny i możliwy do realizacji w krótkim czasie. Teraz, gdy wspominam te wydarzenia z dystansu, wydaje mi się, że właśnie wtedy zacząłem działać i myśleć jak trener. Wcześniej byłem obserwatorem, biernie przygotowywałem się do roli szkoleniowca, patrzyłem, słuchałem i notowałem. A od tego momentu zacząłem postrzegać i analizować sytuację inaczej, a co ważniejsze – spróbowałem działać jak trener.

Pierwsze zadanie: wypieprzyć pięciu podstawowych zawodników ze składu, i to tak, żeby niczego nie podejrzewali.

Paranoja, wiem. Brzmi bardziej jak cel gangstera niż trenera, ale od czegoś trzeba zacząć. Zanosiło się na niezły debiut.

Uwielbiam suchy tekst regułek taktycznych. Kapitalnie obrazują rzeczywistość gry. Krótki, lakoniczny komunikat, jak notka służbowa od automatu rozpatrującego zdarzenie. Opis sytuacji boiskowych, zarówno w ofensywie, jak i w defensywie, zachowań zawodników i przeciwnika, zmian pozycji – wszystko szczegółowo określone, do najmniejszego drobiazgu. Bez emocji, motywów, stresu i nerwów. Problem i rozwiązanie tuż obok siebie, bez zbędnych, utrudniających życie dodatków. Czy podobnie można rozpatrywać codzienność? Czemu nie? Przecież także podlega regułom i zasadom, interpretacjom i ocenom. Trudniej ją analizować niż grę na boisku?

W każdym planie taktycznym ważną rolę zajmuje rozpracowanie przeciwnika. Znajomość jego mocnych i słabych stron pozwala określić odpowiednią strategię i przygotować zespół na wszystkie niespodzianki. Przede wszystkim umożliwia znalezienie luki w jego szeregach obronnych, miejsca, przez które najłatwiej się przedrzeć, by stworzyć bezpośrednie zagrożenie pod bramką rywala. A ja doskonale znałem słaby punkt moich

kolegów z drużyny i zamierzałem wykorzystać tę wiedzę. Ich piętą achillesową – jakkolwiek to zabrzmi – był chuj.

Po wyjściu z hotelu rozdzieliłem więc zadania. Wysłałem George'a, by skontaktował się z dziewczynami, które widzieliśmy wczoraj w Bullu. Ze znalezieniem miejsca do całej akcji też nie było problemu. George poznał Murzynki w Koksie, niepozornym klubie nocnym w centrum miasta. Jak twierdził, właściciel był jego bliskim kumplem i za odpowiednią opłatą zgodził się wynająć część lokalu. Umówiliśmy się z George'em, że kosztami dzielimy się odpowiednio do zysków; cóż, musiałem sięgnąć do rezerw finansowych, ale perspektywa otrzymania ponad pół miliona osłodziła mi ten wydatek. Ustaliliśmy, że spotkamy się na parkingu przed klubem.

Stadion Dziesięciolecia przywitał mnie adekwatną do swojej wielkości monumentalną rzeką ludzi płynącą między obskurnymi blaszanymi budami, które utrzymywały ten potok spoconych ciał w ryzach. Każdą alejkę obiegającą stadion u podnóża, a także koronę budowli i łączące je schody, zapełniały upchnięte bez ładu i składu różnokolorowe stoiska handlowe. Wcześniej minąłem wielki czerwony napis na zielonym tle, „Jarmark Europa", nawiązujący chyba do różnorodności sprzedawców, którzy usiłowali przekrzyczeć się za wszelką cenę. Murzyni różnych narodowości, Azjaci, Ruscy – wszyscy usiłowali opchnąć swój towar, zazwyczaj trefny: podróbki Adidasa, Nike, pirackie kasety wideo, oprogramowanie na płytach, książki… Zatrzęsienie stojaków obwieszonych ubraniami i niezliczone sterty kartonowych pudeł i papierów walających się na rozgrzanym betonie dodatkowo utrudniały poruszanie się wśród straganów. Wszystko to okraszone było smrodem tłuszczu z pobliskich jadłodajni wietnamskich i drażniącym hałasem tłumu.

Stadion, arena zmagań sportowców, walki ze słabościami organizmu! A tu co? Jarmark! I sajgonki, i kurczak w trzech smakach, i adejdasy. Chyba nie powinienem być zdziwiony. Czy tak bardzo się to różni od tego, co serwują stadiony piłkarskie? Właśnie to przecież dzieje się u nas na stadionach – handel i fałsz, jedno albo drugie, albo oba naraz. Tu podróba i tam podróba. Mecz udający mecz, jak adidas udający adidasa, piłkarz udający piłkarza, sędzia udający sędziego. Tu, na jarmarku, przynajmniej wszystko było jasne, akceptowane przez kupujących i sprzedających.

Udało mi się przedrzeć przez tłum do blaszaka z namalowaną żółtą sylwetką kulturysty, którą z powodu odłażącej płatami farby rozpoznawali tylko stali klienci. Napis „Biceps” też nie zachęcał do zakupów, w przeciwieństwie do Michała, handlarza, który machał do mnie już z daleka. Przywitałem się, podałem kartkę z napisaną nazwą i pomimo zdziwionej miny sprzedawcy schowałem do kieszeni pudełko, które mi podał. Odetchnąłem z ulgą dopiero na ulicy, gdy uciekłem z tego wibrującego tygla pseudotowarów.

Drugi trening zaczynał się o siedemnastej, ale czekałem na parkingu już od czwartej. Upał nie zamierzał odpuszczać, nawet stojąc w cieniu, czułem, jak pot spływa mi po plecach. Pierwsi zjawili się Rogal z Pieskiem. Wysiedli z czarnego audi bramkarza i rozmawiając, stali przed bramą. Obserwowałem ich z przeciwległego końca parkingu, schowany w cieniu jedynego drzewa w okolicy. Po chwili dołączył do nich Kaczka i zaczął przysłuchiwać się rozmowie. Na parking podjechał rozpędzony granatowy jeep i zatrzymał się z piskiem opon, zmuszając całą trójkę do odskoku. Rozległ się klakson i z auta wysiadł uśmiechnięty Babka. Sądząc po gestykulacji, rozgorzała zawzięta dyskusja, która zakończyła się salwą śmiechu. Żona Babki pocałowała go w policzek i zajęła miejsce za kierownicą, zza tylnej szyby odjeżdżającego auta pomachał mu kilkuletni syn. Patrzyłem na ich czwórkę, stojącą prawie w tym samym miejscu, w którym zazwyczaj koczował Staszek. Mijali się z nim codziennie, rozmawiali z nim, żartowali i po prostu go okradli.

Gdy zauważyłem astrę George’a, ruszyłem w kierunku bramy. Hooyot zaparkował, otworzył drzwi pasażera i pomógł wysiąść długonogiej Murzynce w obcisłej sukience mini. Byłem już na tyle blisko, by zauważyć reakcję chłopaków. Wszyscy zastygli jak skamieliny, łącznie z ochroniarzem w budce przy bramie. Gapili się tylko z rozdziawionymi gębami, jak kobieta, trzymając George’a pod ramię, kołysze prowokacyjnie całym ciałem. Gdy zbliżyli się do bramy, pocałowała George’a w policzek i z uśmiechem pomachała chłopakom, a potem się oddaliła. Ustaliliśmy wcześniej z George’em, że mamy ich zwabić po treningu, ale idealna okazja nadarzyła się już przed, więc skrzętnie z niej skorzystał. Wszyscy jeszcze długo w milczeniu odprowadzali dziewczynę wzrokiem.

– Stoją jeszcze czy już po wytrysku? – spytał niewinnie George, choć obaj doskonale widzieliśmy, że przynęta została połknięta; miałem

wrażenie, że razem z żyłką, wędką, kołowrotkiem, a także częścią wędkarza.

Pierwszy opamiętał się Piesek, co mnie wcale nie zdziwiło, zważywszy na jego apetyt seksualny.

– Kto to? Skąd i jaki ma numer telefonu? – zapytał bez najmniejszego zająknięcia.

– Sam spytaj – odpowiedział George. – Koleżanek kilka ma i będą wieczorem w Koksie. Robię imprezkę. Wpadniecie?

– Ty płacisz? Nie wierzę – powiedział ze śmiechem przechodzący obok Jabol.

– No, no, się nie rozpędza. Wy płacą.

– Ożeż w żopu – zdołał tylko wydusić Rogal, nie odrywając wzroku od oddalającej się kobiety.

– Też o dwudziesta wpadaj do Koksa – rzekł George do Jabola. – Będą laski i wóda.

– Laski, znaczy oni? – Wskazał na chłopaków. – Będę, tak towarzysko, na chwilę, popatrzeć, jak Piesek się ślini.

– Kurwa, też wymyśliłeś termin. – Babka się skrzywił. – Dziś nie mogę, mam pierwszą, kurwa, rocznicę ślubu. Jutro byłoby idealnie, zawożę rodzinkę wieczorem do teściów.

George spojrzał na mnie i tylko wzruszył ramionami.

– Wybór do cię należy.

– Ja też chyba nie dam rady – niepewnie stwierdził Kaczorek.

– Nie pie… pierdol Kaczka, zawsze się wykręcasz, choć raz sobie po… po… poruchaj, bo ci pióro uschnie – jak zawsze subtelnie argumentował Piesek i klepnął Kaczkę w plecy, aż się chłopak zachwiał.

– Masz być i koniec – poparł go Rogal. – Bierzemy kogo jeszcze?

– Murzynek jest ograniczona liczba – stwierdził George.

– Co będziemy m… młodzież deprawować – szybko zareagował Piesek. – Sami się pobawimy. Zygmunt, też będziesz?

Spojrzeli z Rogalem na siebie, pewnie licząc, że nie przyjadę. Uśmiechnąłem się.

– Zajrzę, nie mogę was samych zostawić przed tak ważnym meczem.

– Jeden za wszystkich, drugi za jednego… Czy jakoś tak – ironicznie mruknął Jabol i poszedł w stronę klubu.

– Malczewskiego piętnaście, o dwudziestej – sprecyzował George.

– Kurwa, one będą później jeszcze? Zostawicie coś, kurwa, dla mnie? Wiecie, że w sobotę mecz, no nie? – dopytywał Babka.

Wszyscy ruszyli do szatni.

Wymieniliśmy z George’em porozumiewawcze uśmiechy. Szliśmy na samym końcu roześmianej grupy.

– Witek? – George spojrzał na mnie pytająco, gdy zostaliśmy nieco z tyłu.

Pokręciłem głową.

– Lepiej go w to nie mieszajmy.

Dobry trener wie, że rozpoznanie przeciwnika to tylko jedna strona medalu. Kluczem do sukcesu jest zazwyczaj odpowiednie przygotowanie swojej drużyny, nakreślenie takiej taktyki, by zespół ją zaakceptował, zrozumiał, a co najważniejsze – umiał zrealizować. Oczywiście cele pośrednie mogą być różne, na przykład szybsza gra ofensywna albo zagęszczenie strefy obronnej, asekuracja poszczególnych linii, odbudowa ustawienia defensywy po stracie piłki i tak dalej. Bardzo wiele zależy, rzecz jasna, od pomysłu na realizację tych założeń.

Jednym z naszych szkoleniowców był Wermaszewski, niegdyś znany piłkarz, który niedawno skończył karierę zawodniczą. Już na starcie swojej pracy trenerskiej za wszelką cenę pragnął błysnąć niekonwencjonalną myślą taktyczną. Graliśmy mecz wyjazdowy w Mielcu, chciał zaskoczyć przeciwnika i większość gry prowadzić skrzydłami, więc wystawił po dwóch bocznych pomocników. A w środku oczywiście nikogo. Przeciwnik, wykorzystując dziurę w centrum boiska, wpakował nam do przerwy cztery bramki. W przerwie ustawienie zostało skorygowane, ale wynik nie uległ już zmianie. Nie popracował z nami długo, przesadna oryginalność taktyczna w futbolu nie jest w cenie.

Wiedziałem, że musimy reagować szybko, mieliśmy trzy dni, w dodatku ze względu na brak czasu nie mogłem sobie pozwolić na pojedyncze akcje. Postanowiłem więc działać hurtowo i taktyka narzucała się sama.

Szybko i z głowy – taki był plan.

Używając terminologii trenerskiej, moim celem było totalne zaskoczenie nieprzygotowanego przeciwnika już na początku meczu, poprzez frontalne natarcie całą siłą ofensywną tuż po pierwszym gwizdku, zanim niczego niespodziewający się wróg zewrze szyki.

Po treningu wskoczyłem więc na chwilę do domu i szybko się przebrałem; musiałem niestety odmówić Emilowi, który miał ochotę

pobawić się z ojcem. Maria odprowadziła mnie kamiennym wzrokiem i nie raczyła nawet odpowiedzieć, gdy stwierdziłem, że wrócę późno. Uciekłem, bo bałem się, że zauważy w moim zachowaniu symptomy nerwówki i zacznie dociekać, skąd się wzięły. Wydawało mi się, że mimo starań, by to ukryć, i tak zachowywałem się dość dziwacznie.

Wyruszyłem dużo przed czasem i zajrzałem do banku, bo wiedziałem, że będzie potrzebna gotówka. Jadąc autobusem, układałem w myślach przemówienie. W końcu czekała mnie jeszcze praca organizacyjna, zamierzałem przeprowadzić odprawę taktyczną z moim zespołem. Wszystko miało być zapięte na ostatni guzik i każdy z członków ekipy musiał wiedzieć, co ma robić.

4

Koks okazał się niepozornym, szarym domkiem jednorodzinnym. Na niewielkiej działce ogrodzonej drucianą siatką, za którą posadzono wysoki żywopłot, skrywała się jednopiętrowa, kanciasta bryła domu przypominającego miniaturkę socjalistycznych bloków. Opuszczone rolety we wszystkich oknach sprawiały wrażenie, że budynek jest opustoszały, ale przeczył temu równo przystrzyżony, zadbany trawnik. Z jednej strony Koks sąsiadował z innym domem jednorodzinnym, z drugiej miał parking osiedlowy, a kilkadziesiąt metrów dalej zaczynało się blokowisko. Przy zamkniętej bramie, w małej furtce, stał ochroniarz ze splecionymi na piersi rękami. Wielki facet z czarnymi sumiastymi wąsami, w za dużej marynarce, wpatrywał się we mnie wrogim wzrokiem. Kolorowo błyskający neon z nazwą klubu zachęcał do odwiedzin. Przepchnąłem się przez furtkę i ruszyłem po trawniku w stronę budynku; bramkarz łypnął na mnie z ponurą miną. Drzwi otworzył ubrany na czarno łysy mężczyzna pokaźnych rozmiarów, tuż za nim stał George, który pełnił funkcję gospodarza.

– Zostawili ciecia – stwierdził George – mówi cieć do ciecia. Która godzina? Ciecia. Uwielbiam polski. – Zarechotał. – Chodź, oprowadzę. Wszystko załatwione.

Z przedpokoju, w którym mieściła się wnęka robiąca za szatnię, przeszliśmy do obszernego salonu. Parkiet skrzypiał przy każdym kroku, obite ciemnym drewnem i miękkim bordowym materiałem ściany powodowały, że czułem się jak w gabinecie jakiegoś prezesa, a nie w klubie go-go. Z głośników płynął przebój disco polo *Przez twe włosy faliste*, który przyprawiał mnie o mdłości, bo w szatni puszczano go chyba co dwie minuty. Całe pomieszczenie podzielone było na kilka mniejszych boksów, odgrodzonych od głównej sali miniściankami. W wydzielonej przestrzeni stał otoczony kanapą i fotelami stolik i mała, podwyższona scenka z pionową chromowaną rurą do sufitu. Wszystko to było odseparowane od reszty lokalu, co dawało namiastkę intymności.

– Ta loża nasza. Może być?

Kiwnąłem głową w odpowiedzi na pytanie George’a. Pomieszczenie znajdowało się najbliżej baru, można było spaść z hokera wprost do naszej

loży.

Panował półmrok, cała główna sala zastawiona była stolikami i miękkimi kanapami. Na kilku z nich siedzieli mężczyźni, a roznegliżowane kobiety ocierały się o nich jak kotki. Gdzieniegdzie na ścianach paliły się niewielkie kinkiety mające tworzyć romantyczny nastrój. Całość sprawiała całkiem przytulne wrażenie krzyżówki klubu golfowego z burdelem.

Po prawej stronie od wejścia, na wysokich krzesłach przy barze, siedziały dwie dziewczyny w kusych sukienkach. Spojrzały na nas, szacując grubość naszych portfeli, i wróciły do rozmowy z barmanem, uznając nas za ogórków.

– A teraz ważna część.

– Zaraz – przerwałem mu i podszedłem do baru. – Chcesz też? Nie, ktoś powinien być trzeźwy.

Zamówiłem dwie wódki i obydwie szybko wypiłem, bez popijania. Skrzywiłem się lekko, ale zaraz poczułem przyjemne ciepło w przełyku. Wiedziałem, że nie zniosę tej akcji na trzeźwo. Ręka lekko mi drżała, George zmarszczył brwi, gdy wypiłem trzeci kieliszek.

– To oni mają najebać się, nie ty. Trzeba za lokal, barmana, ochronę i alkohol zapłacić – wyliczał George. – Wytargował tysiąc za wynajem po znajomości, no i dziewczynom zaliczkę, a potem za…

– Ile? Pamiętaj, że też uczestniczysz w kosztach. – Zrobiło mi się przyjemnie, alkohol zaczął działać, więc nawet rozmowa o wydatkach nie popsuła mi nastroju.

– Nie bój, podatek wyciągniemy z chłopaków, w końcu to robimy dla nich.

Z głównej sali weszliśmy w wąski korytarz. George otworzył drzwi po prawej, zajrzeliśmy do małego pokoju z wielkim drewnianym łóżkiem przykrytym czerwoną narzutą, szafką z książkami i małym stolikiem w kącie. Nad łożem wisiał słodki pejzaż z roznegliżowaną kobietą na łonie natury.

– Przytulnie – stwierdziłem, rozglądając się – jak w burdelu.

– Oto scena zbrodni, tylko dla nas. – George’owi dopisywał humor; padł na łóżko z rozłożonymi rękoma, lecz za chwilę spoważniał. – Nie waha się, wątpliwości nie ma? Dostaną ze dwa lata. – Gapił się na mnie, leżąc jak ukrzyżowany.

– Dwa lata zawieszenia, będą normalnie żyć, funkcjonować, tylko nie będą mogli grać w piłkę – obruszyłem się. – To taka straszna kara? Za to,

ile wcześniej nakradli, powinni gnić w pierdlu kilka lat, a nie dostać zawiasy. Przestań.

George się podniósł.

– Może to i racja. – Spojrzał na mnie dziwnie. – Nienawidzi ich, nie?

– Zajebali szmal Staszkowi. Pamiętasz?

– Jabol i Kaczka też? – spytał.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Kto z kim przestaje, takim się staje. Tacy święci są? Już nie pamiętasz, ile razy najebany wychodził na mecz? – Tak naprawdę szukałem argumentów, aby przekonać siebie, nie George'a. Miałem problem, żeby usprawiedliwić usunięcie Kaczorka, ale przecież to nie ja go wybrałem, tylko Niebiński.

Wyszliśmy. George zamknął drzwi i poprowadził mnie dalej. Wskazał drzwi na końcu korytarza.

– Tu kibelek i prysznic.

Za toaletami skręciliśmy w prawo, zeszliśmy po kilku schodkach i zatrzymaliśmy się na półpiętrze.

– A oto i centrala operacji. – George otworzył drzwi kluczem. Wewnątrz ukazał nam się prosto urządzony, obskurny pokój bez okna, wyłożony tapetą w kwiaty. Wzdłuż jednej ze ścian na złączonych biurkach stały dwa duże monitory i klawiatura z myszką, drugą ścianę zajmował rząd złożonych krzeseł. Do stanowiska komputerowego ktoś dosunął wygodny fotel z łuszczącą się skórą, która zdradzała, że mebla często używano. Lewy podłokietnik był praktycznie cały wyskubany, spod postrzępionej, porozrywanej skóry wyglądał metalowy stelaż. Ktoś albo się nudził przed tymi monitorami, albo był nerwowo podekscytowany, gapiąc się na fiki-miki dziewczyn i ich pacjentów.

– Właściciel lokala przezorny, w pokojach dał kamery i nagrywał fanaberie klientów. W końcu pomysła stałych bywalców zachować dla potomności trzeba – szydził George.

– CBA by się nie powstydziło takiej rudery – stwierdziłem.

– Nie marudzi. – George usiadł przy biurku. – Tu wszystkie kamery. – Wskazał na monitor, którego ekran podzielony był na wiele mniejszych okienek. Wejście, główny salon, pokój z łóżkiem i kilka innych, których wcześniej nie widziałem, ale wyglądały identycznie jak pokój z pejzażem. – Klikasz tu i wybierasz, co chcesz widzieć na dużym monitorze. – Kliknął i na całym ekranie zobaczyliśmy pokój z łóżkiem.

– Wiedziałem, że te książki nie są do czytania – stwierdziłem, rozpoznawszy, gdzie została umieszczona kamera.

– I teraz nacisk tu… czerwona kropeczka… i wszystko, co w pokoju, zapisane na dysk, dźwięk też. – Uśmiechał się, jakby już udało mu się nagrać Rogala i Kaczkę.

– Skąd znasz właściciela? Tak bez problemów podzielił się podglądem?

George nerwowo zamrugał.

– To historia długa, winny mi przysługę i chce… znaczy ode mnie coś – plątał się.

– Co? – Gapiłem się, nic nie rozumiejąc.

– Nieważne, mamy to, co chcieli, i już. – Widziałem, że George wyraźnie chce coś ukryć.

Przyglądałem mu się długą chwilę; nerwowo klikał, zmieniając obraz na monitorze.

– Nagrywaj wszystko i wszędzie. Diabli wiedzą, co im przyjdzie do głowy. – Wolałem się zabezpieczyć.

George wstał od stołu wyraźnie zadowolony, że nie drążyłem tematu.

– A może po prostu ich nagrać i zaszantażować? – zaproponował. – Mniej komplikacji.

Popukałem się w głowę.

– Zaszantażować? Czym? Rogal przestraszy się krzyczącej żonki, bo rucha kurwę? A na Pieska kto nakrzyczy?

George się uśmiechnął.

– O, Grażynka potrafi wrzasnąć.

– Jeszcze jakieś pomysły? Wołaj dziewczyny – zarządziłem.

George wybiegł z pokoju, ja rozstawiłem krzesła pod ścianą i czekając, zacząłem podglądać poszczególne pomieszczenia. Wyglądało na to, że gości powoli zaczyna przybywać – w głównej sali siedziało więcej osób niż wtedy, gdy przyszliśmy, a i w loży obok naszej zauważyłem grupkę mężczyzn. Ochroniarz sprzed drzwi zniknął, nie mogłem go zlokalizować, więc pewnie monitorowana była tylko część posesji. Przyglądałem się, jak barman wyciera szklanki, ustawia butelki, drapie się po tyłku, mogłem zrobić zbliżenie, prawie zajrzeć mu do kieszeni, i gdy coraz bardziej zaczynało mi się to podobać, wrócił George z dziewczynami. Szybko wyłączyłem monitory. Do pokoju weszło pięć kobiet, trzy Murzynki, które już wcześniej widziałem, i dwie blondynki. Wszystkie wyglądały jak

maszyny do seksu, były piękne i zgrabne – George spisał się na medal, lepszej formacji atakującej nie dałoby się stworzyć.

Każdy szkoleniowiec tak naprawdę powinien zaczynać od wyselekcjonowania składu, to podstawa. To wtedy zapadają najważniejsze decyzje, wybory, od których zależy, czy wygrasz, czy przegrasz. Jak zestawisz poszczególne formacje, tak później realizowane są założenia taktyczne. Drużyna, którą wprowadził do pokoju operacyjnego George, zdecydowanie wyglądała na zwycięską i robiła oszałamiające wrażenie. Dopóki nie otworzyła ust.

– O kuźwa, ale nora! Tu się mamy ruchać? – zaczęła blondynka.

– No, normalnie jak w kiblu w podstawówce, gdzie pierwszy raz dałam dupy – zawtórowała jej druga.

Spojrzałem na George’a, który tylko wzruszył ramionami.

– Oto Kate, Jane i Rose – przedstawił Murzynki. – A to Lulu i Beauty.

– Same staropolskie i nigeryjskie imiona, nie mogłyście wymyślić czegoś oryginalnego? – Usiadłem na biurku. – Załatwmy to szybko, na górze jest przyjemniej. Rozumiecie po polsku? – Murzynki kiwnęły głowami. Wpatrywały się we mnie w milczeniu. – George wprowadził was już ogólnie w sytuację. Ja nakreślę szczegóły.

Wyciągnąłem portfel i wręczyłem każdej po stówie.

– Wstępniak – wyjaśniłem – za to, żeby chłopaki czuły się totalnie zrelaksowane i zabawione. Spełniajcie wszystkie ich zachcianki, choćby najdziwniejsze. Oczywiście kasujcie ich za numerki, niech płacą, to, co otrzymacie od nich, jest ekstra, traktujcie ich jak swoich najlepszych klientów. Reszta wypłaty po zabawie, nie będziecie stratne. I jeszcze jedno: ograniczacie się tylko do chłopaków z naszej loży.

– Jasne? – spytał na koniec George. – Są pytania?

Dziewczyny spojrzały po sobie i pokręciły głowami.

– Noc jest z nami, dziewuszki, do roboty – rzekł z uśmiechem mój kompan i otworzył drzwi. A gdy dziewczyny wyszły, stwierdził: – Odprawa debiutującego trenera, nie porwał tłumów.

– Ważne, żeby zrozumiały, a nie piały z zachwytu. Masz stanozolol?

George wyciągnął z kieszeni malutkie foliowe torebki z białym proszkiem i zaszeleścił nimi w powietrzu. Wcześniej zostawiłem mu tabletki, by zajął się przygotowaniem odpowiednich dawek leku. Miałem nadzieję, że rozgniótł wystarczającą ilość.

Po spotkaniu z Niebińskim pojechałem do mojego stałego dostarczyciela odżywek. Klub nie śmierdział groszem, więc o wsparcie farmakologiczne każdy z piłkarzy dbał sam albo obchodził się bez niego. Aż dziw bierze, że tak mało było wpadek dopingowych. Znając podejście kilku moich kolegów do kwestii wspomagania, poszedłbym o zakład, że połowa faszerowała się jakimś ścierwem i może nawet miała tego pełną świadomość. Ja kupowałem odżywki już od kilku lat u zaufanego gościa, starego znajomego – Michała ze Stadionu Dziesięciolecia. Nigdy nie zdarzyło się, by sprzedał mi jakiś trefny towar, a byłem kontrolowany pod kątem dopingu wielokrotnie. Gdy usłyszał nazwę stanozolol, trzy razy musiałem go zapewnić, że to nie dla mnie, ale dla znajomego kulturysty. Dopiero potem wyjął spod lady pudełko z napisem „Strombafort", zawierające tabletki, które miały pomóc w realizacji naszego celu. Swego czasu przy dyskwalifikacji jakiegoś znanego lekkoatlety albo lekkoatletki media trąbiły o tym środku na prawo i lewo, a ja jakimś cudem zapamiętałem tę nazwę.

– Jedna na głowę wystarczy?

– Daj dla pewności dwie, zamieszaj tylko, by nie było widać osadu – instruowałem George'a. – Z kelnerem sobie poradzisz?

George się wyszczerzył.

– Tak, spoko, taki koktajl ja zrobi, że wystrzelą poza normal, będziemy mieli ich z głowy.

Ostatnie minuty przed przyjazdem chłopaków bardzo mi się dłużyły, chodziłem nerwowo od ściany do ściany, nie wiedząc, co mam ze sobą zrobić, jakby dopadł mnie stres meczowy. Trzy razy sprawdziłem, czy podgląd w każdym pomieszczeniu działa, w końcu pobiegłem do baru i na szybko przyjąłem kolejne dwa kieliszki wódki. Od razu pomogło. Czułem się już nieźle wstawiony, ale nie przeszkadzało mi to w niczym, przynajmniej tak mi się wydawało. George był za to niezwykle rozluźniony. Wyłożył stopy na krześle naprzeciwko i zagłębił się w lekturze „Przeglądu Piłkarskiego".

– Dowiedziałeś się czegoś odkrywczego o piłce?

– Z „Przeglądu"? Ocipiał? – Opuścił gazetę i spojrzał na mnie zdziwiony. – Czytam, żeby na ciebie z trzęsawką się nie gapić. Gazeta jest po to, by czego innego nie robić albo zasłoniać. – Podzielił się ze mną swą mądrością i podniósł płachtę papieru. – O, piszą o nas – mruknął zza zasłony.

Z ulgą zobaczyłem na ekranie monitora chłopaków stojących przed drzwiami. George poszedł ich przywitać, a ja rzuciłem jeszcze okiem na wszystkie pomieszczenia, zastanawiając się, czy o czymś nie zapomniałem, i ruszyłem do głównej sali.

Chłopaki tłoczyły się przy barze. Disco polo zagłuszało gwar rozmów, prawie wszystkie kanapy na sali były zajęte. George spojrzał na mnie przez ramię dziwnym wzrokiem. Podchodząc bliżej, wiedziałem już dlaczego.

Na barze stał rządek bidonów, plastykowych ćwierćlitrowych pojemników z zakręcaną końcówką, z których piło się napój, albo go zasysając, albo naciskając na korpus butelki. Na pewno jednak nie dało się do nich nic nasypać. Dziewczyny siedzące obok patrzyły na nas jak na dziwaków. Barman napełniał już bidon pierwszego w kolejce Jabola.

– Butle zostają cały czas na wierzchu, ta? – zarządził Rogal. – Są nasze i tylko nasze. Ten sok i cola też.

Kelner gapił się zdziwiony, ale potulnie pokiwał głową.

– Nie martwcie się, przypilnuję ich odpowiednio – zaoferował się Jabol i rzucił do barmana: – A możesz trochę szybciej?

– George, no, no, a gdzie te piękności? – niecierpliwił się Piesek. – To nasza? – Wskazał lożę i razem z Rogalem weszli do środka.

Podchodząc do baru, już wiedziałem, że będą problemy. Dowiedziałem się później, że cały kłopot powstał za sprawą Pieska. Jadąc taksówką do Koksu, on jeden wiózł bidon. Przypomniał sobie, że w szatni czytał o klubie go-go, gdzie naciągali klientów na jakieś kosmiczne kwoty, dosypując gościom czegoś do drinków, a rano nieświadomi amatorzy wdzięków kobiecych zastawali konta bankowe ogołocone do zera. Cwany Reksio wymyślił więc, że nie będzie ryzykował, i zaopatrzył się w bidon. Taksówka zrobiła jeden dodatkowy przystanek przy sklepie i w Koksie na barze wylądował nie jeden plastikowy pojemnik, tylko cztery.

– Co to jest? – spytałem, podchodząc do nich.

Najbliżej stał Kaczka i tym swoim cichutkim głosikiem odpowiedział:

– No, bidon.

– Prowiant też swój przynieśliście?

Wszyscy spojrzeli na mnie.

– Nie no, co ty? – Kaczka nie załapał ironii. – Tylko pojemniki, z których będziemy pili.

Dostrzegłem Rogala w loży – wgramolił się na podest i wyginał się, imitując striptiz na rurze: jedną ręką trzymając się chromowanej rurki,

drugą rozpinał koszulę w hawajskie wzory. W tle wokalista zachwycał się majteczkami w kropeczki.

– Pokaż cycki! Pokaż cycki! – darł się z baru Jabol.

– Kurwa, co za obciach. – Nie ukrywałem zdenerwowania. – Przychodzicie do klubu i z miski będziecie siorbać?

– Czepiasz się. To… to… to gdzie dziewczyny? – spytał Piesek, który wyszedł właśnie z loży.

– Nalej mi – powiedziałem do barmana. – Nie w plastik, tylko w szkło, ktoś tu musi być normalny.

Liczyłem, że może któryś pójdzie za moim przykładem, ale twardo trzymali się swoich bidonów. Wypiłem kolejne dwa kieliszki. George bezradnie gapił się na mnie, jakby w nadziei, że nagle znajdę rozwiązanie tej kłopotliwej sytuacji. W końcu przemówił, ale słyszałem w jego głosie uciekającą z każdym słowem nadzieję.

– Nasz salon – George machnął ręką w kierunku loży – dziewczyny dla nas tylko są, zawołam je, ale najpierw szmal. Zrzuta po trzysta, pić ile wlezie, dziewczynom ekstra płacić.

– T… t… tak od razu, na wejściu? – zrzędził Piesek, wyciągając portfel.

– Poruchać chce? Niech płaci. A pokój do dymania tam. – Hooyot wskazał korytarz.

Zebrał od wszystkich pieniądze i ruszył na zaplecze, spoglądając na mnie wymownie. Wypiłem jeszcze jedną wódkę, płyn palił mnie w gardle, ale zrobiło mi się trochę lżej na duszy.

Rogal dosiadł się do Jabola i czekali, obserwując z niecierpliwością barmana, który napełniał pojemniki alkoholem.

– Odpuści Wrzaskun jutro? Zarzyna nas teraz jak nigdy.

– W… w… wiadomo, co będzie – rzucił Piesek. – Gra na utrzymanie i k… k… klepanie.

– Niech klepią do usranej śmierci, lepsze to niż wahadła – zauważył Rogal. – Posiadanie piłki. Brandzel. Nic innego.

– Na razie przynosi to efekty – odparł Jabol. – Spójrz w tabelę.

– To tak, jakby siedział ja całą noc z panienką, stawiał driny, bajerował, całował w żopu, a nad ranem przyszedł inny gość, zaciągnął ją do kibla i zerżnął. Miałem piłkę całą noc, a kto inny strzelił gola.

Zaśmiał się. Jabol spojrzał na niego z ukosa.

– Od kogo to usłyszałeś? Bo nie uwierzę, że sam wymyśliłeś tę historię.

– Nie, no jak… – usiłował wybronić się Rogal.

– Ale wiesz, sporo w tej historyjce racji, tylko po pierwsze – tłumaczył Jabol – ten, który zaciągnął ją do kibla, powinien się na HIV-a przebadać, bo nie wie, w co wdepnął. Po drugie, czasem może przyjść, gdy ty będziesz z nią już po pięciu numerkach. A po trzecie, numerek na szybko w kiblu jest taki przyjemny? Przyjemniejszy od długiej gry wstępnej, taktycznej rozgrywki, podchodów i pieszczot?

Zaśmiał się.

– Masz rację, brandzel.

– No dawaj wódkę, kurwa, na trzeźwo za dużo gadam – rzucił do barmana Jabol.

Bramkarz krzywo się uśmiechnął, spoglądając na kolegę.

– Od miesięcy nie pijesz? Ta? Jedzie mi tu czołg? – zadrwił Rogal.

– Jedzie i zaraz wystrzeli, jeśli się nie napiję – rzucił Jabol, nie odrywając wzroku od barmana. – Stefan, w takim tempie to umrzemy tu z pragnienia.

Dogoniłem George’a na korytarzu. Stał przy ścianie i nerwowo podskakiwał.

– Kurwa, jak dosypać im? – Prawie krzyczał. – Przez dziurkę bidona? Do gęby? Cały plan w piździec…

– Ciszej! Przyprowadź im dziewczyny, bo nabiorą podejrzeń. Coś wymyślę. – Pociągnąłem go za ramię i wypchnąłem na salę.

Musiałem szybko ochłonąć i podjąć jakąś decyzję, choć świat wirował mi przed oczami. Trener w trakcie meczu też nie ma czasu na zastanowienie, musi reagować natychmiast, z tym, że on zazwyczaj jest trzeźwy, a ja byłem już zdrowo nawalony. Czułem uderzenia gorąca, twarz mi płonęła. Drużyna nie może czuć jego bezradności, braku pewności siebie, a nie daj Boże – rezygnacji.

Zamknąłem się w pokoju operacyjnym i krążyłem od ściany do ściany; na monitorze widziałem dziewczyny, które zaopiekowały się chłopakami. Piesek prawie leżał na kanapie, z rozrzuconymi ramionami. Był w swoim żywiole, obściskując przytuloną do niego Kate. Obok Kaczka w zapiętym na ostatni guzik niebieskim polo, zepchnięty do krawędzi kanapy przez Rose, siedział z łokciami przyciśniętymi do ciała, spięty i przestraszony obcesowością dziewczyny. Przy stoliku Rogal z Jane pogrążyli się w rozmowie. Wszyscy się uśmiechali, ale nie wypuszczali z rąk pieprzonych bidonów, a ja gapiłem się w monitor, zastanawiając się, co tu zrobić. Jak znowu przejąć inicjatywę? To ja muszę kierować meczem, a nie pieprzony przypadek!

Czułem, że pot występuje mi na czoło.

Pukanie do drzwi sprawiło, że prawie podskoczyłem.

– Otwórz, to ja – usłyszałem głos George’a. Jemu też udzieliła się nerwowość. – Piją, tańczą, bawią. Co, kurwa, robimy?

Widziałem na monitorze tańczącego Rogala, który ściskał za tyłek Jane, prawie wbijając palce w jej pośladki.

– Jesteśmy w dupie – stwierdził George, patrząc w monitor.

Zastygłem tknięty nagłą myślą; przed oczami stanął mi uśmiechnięty doktor z opakowaniem lekarstw w ręku. I już wiedziałem, co mam robić. Odwróciłem się gwałtownie.

– Masz tabletki przy sobie? – spytałem.

– Tak. – Wyjął z kieszeni torebki z białym proszkiem.

– Kurwa, potrzebne mi całe tabletki. Gdzie je masz?

– W domu.

– Fuck! – wrzasnąłem.

– Skąd miałem wiedzieć…?

– Zapierdalaj po nie.

– Ale po co? Co chce zrobić?

– Wsadzimy im je w dupę.

– Co? – George uniósł brwi, a potem stwierdził: – Cię jebło.

– Masz inny pomysł? Będą ruchać dziewczyny z wypiętą dupą. Jaki to problem wsadzić im w odbyt niewielką tabletkę? Bonusik taki, kurwa, nawet tego nie zauważą – mówiłem, szybko wyrzucając z siebie słowa.

– Wie, kiedy sra? Oni też wiedzą. I co? Mam wejść w pokój i w dupę lek pchać?

– Kurwa, nie ty, dziewczyny to zrobią, debilu! Przecież nie będą sobie potem wygrzebywać z tyłka! Nie mamy czasu, leć po tabletki.

Gdy o tym teraz myślę, widzę, jaki to był idiotyzm. Jedynym moim wytłumaczeniem jest wypity alkohol. Jak w ogóle mogłem wpaść na tak durny pomysł? Z drugiej strony, czy to raz widziałem piłkarzy, którzy w czasie meczu podejmowali tak irracjonalne decyzje, że nikt nie był w stanie ich zrozumieć? Siedzisz przed telewizorem albo na trybunach i nagle widzisz tak kretyńskie zachowanie piłkarza, że szczęka ci opada i przez pięć minut dochodzisz do siebie. Niczym niewyróżniająca się akcja z boku boiska, skrzydłowy nie wie, co zrobić z piłką, więc kopie ją w kierunku bramki. Obrońca wyskakuje z zamiarem jej wybicia i nagle widzi, że piłka, która miała wylądować na jego głowie, minie ją

o kilkanaście centymetrów. Źle ocenił trajektorię lotu, za wcześnie wyskoczył, powiał mocniejszy wiatr, cokolwiek, i teraz wisi taki delikwent w miejscu, w którym miał uderzyć futbolówkę, a ta jest jeszcze metr przed nim. Ma ułamek sekundy na podjęcie decyzji, nie wie, co się dzieje za nim, myśli, że jeśli piłka go ominie, napastnik zdobędzie bramkę. Co więc robi? Wybija piłkę tym, czym może jej sięgnąć, czyli ręką. Wszyscy łapią się za głowę, koledzy stoją jak wryci, nic nie rozumiejąc, a sędzia pokazuje na wapno. A ja właśnie usiłowałem zagrać ręką we własnym polu karnym. Ręką w dupie! Dosłownie.

George szybko wybiegł z pokoju, kręcąc głową. Dalej chodziłem od ściany do ściany, lekko się zataczając; lepiej mi się myślało i przynajmniej mogłem się podeprzeć. Nie wiedziałem, czy stanozolol działa jakoś inaczej, gdy poda się go w inny sposób niż doustnie, ale założyłem, że skoro wielokrotnie lekarze podawali nam leki przeciwbólowe zarówno do połknięcia, jak i w czopkach, to i tym razem metoda zadziała. Nie byłem tylko pewny, jak przebiegnie aplikacja tabletki. Czy dziewczyny sobie z tym poradzą?

Wyszedłem do baru i dyskretnie dałem sygnał Jane. Po chwili weszliśmy do pokoju operacyjnego.

– Jest dodatkowy szmal do zarobienia. Zainteresowane?

– Jasne.

– Powiedz dziewczynom, tylko po waszemu – mówiłem wolno, wyraźnie artykułując słowa – że płacę tysiąc… za każdą tabletkę… którą wsadzicie chłopakom… w dupę.

Oczy Jane zrobiły się wielkie jak spodki, popatrzyła w taki sposób, w jaki George w ostatnim czasie spoglądał na mnie już kilkakrotnie.

– Zwariował – stwierdziła.

– Na chwilę wsadzicie im palec w tyłek w trakcie seksu i po sprawie, oni to lubią. George zaraz przyniesie tabletki. Oczywiście nie mogą o tym wiedzieć.

Dalej patrzyła na mnie, jakby czekała, aż prychnę śmiechem i cała sprawa okaże się dowcipem.

– Mam wsadzić palec – pokazała wskazujący – w tyłek, a oni mają nie wiedzieć?

– Kurwa, mają nie wiedzieć, że to była tabletka, sekunda z palcem w tyłku za tysiaka. To źle?

Gdy cały czas wpatrywałem się w nią z poważną miną, spytała:

– Ty naprawdę? Co to?

– Kochanie, za tysiąc to jeszcze ważne? Środek na sraczkę, taki kawał śmieszny chcemy zrobić.

– Szybko działa?

– Wolno, zesrają się w domu. Jasne?

Zwietrzyła okazję.

– Tysiąc pięćset.

Zawahałem się, udałem, że się zastanawiam, ale tak naprawdę nie miałem wyboru, planu B nie było.

– Okej, dam wam tabletki, jak tylko George wróci. Powiedz dziewczynom. Tylko czarnym. No i wyciągajcie ich do pokoju pojedynczo, nie wszystkich naraz – dodałem.

Jane wyszła, a ja spojrzałem na zegarek, mając nadzieję, że George pędzi na złamanie karku, bo wiedziałem, że Piesek czy Rogal nie będą długo prowadzić gry wstępnej. Na ekranie zobaczyłem, jak Jane podchodzi po kolei do dziewczyn i coś im tłumaczy. Reagowały podobnie: robiły wielkie oczy i marszczyły czoło, ale zaraz potem uśmiech wracał im na twarze. Pełny profesjonalizm.

Klapnąłem na krzesło, zaraz jednak się z niego zerwałem, nie mogąc usiedzieć na miejscu. Wiedziałem też, że nie mogę spędzić całej imprezy przed monitorem, bo to tylko kwestia czasu, gdy ktoś zauważy moją nieobecność i nabierze podejrzeń.

Wszedłem do salonu i usiadłem przy barze obok Jabola. Kiwnąłem na barmana, który po chwili postawił przede mną kieliszek z wódką.

Zmienili płytę i z głośników leciała spokojna ballada rockowa.

– No wreszcie się z kimś napiję, ten nie daje się namówić. – Wskazał na barmana. – Jestem widocznie mało przekonujący. To może El Kapitano?

Podniósł bidon do ust i patrzyłem, jak przy przełykaniu podskakuje mu jabłko Adama. Wychyliłem kieliszek i obejrzałem się do tyłu. W loży Kate przerzuciła obie nogi przez kolano Pieska, który wodził dłonią od łydki do uda dziewczyny, prawiąc jej komplementy.

– Jesteś cudeńkiem. – Głos Pieska zdradzał, że jest już trochę wstawiony. – Nie, nieziemską istotą, niemal dziełem sztuki. Cóż za figura, fala włosów niemal jak wodospad opływający cudne kontury, linia ciała godna Wenus i ten heban egzotyczny! Będę się na ciebie gapił jak w muzeum. – Piesek nawijał tak płynnie, że nie mogłem uwierzyć w to, co słyszę.

– A pieprzyć nie będzie?

– Zjem cię. – Piesek wgryzał się ustami w łydkę dziewczyny, która zapiszczała rozbawiona.

Jabol obejrzał się przez ramię.

– Piesek, ja już wiem, czemu ty taki pies na baby. – Zaśmiał się. – Chcesz choć przez chwilę mó… mó… mówić płynną polszczyzną – przedrzeźniał go – i nawet o sztuce monologi wygłasza. Fiu, fiu. Jakbym cię nie znał, tobym nie uwierzył, że jedyna sztuka, z jaką miałeś kontakt, to pięć sztuk pornosów na półce w sex shopie.

Obok Rose szeptała coś do ucha Kaczce, który dalej siedział, jakby połknął kij; dziewczyna wsadziła mu dłoń pod koszulkę, głaszcząc go po piersi. Śmiał się głośno, miałem wrażenie, że aż za głośno. Ta jego nieśmiałość też może pokrzyżować mi plany – pomyślałem, ale liczyłem na to, że wypije jeszcze trochę i się rozluźni. Rogal za to nie miał żadnych oporów, siedział na krześle z szeroko rozsuniętymi nogami i klaskał w dłonie i podest w rytm muzyki, przyglądając się tańczącej na rurze Jane.

Jabol opróżnił jednym haustem chyba ćwiartkę bidonu, obejrzał się na hałasującego Rogala.

– Możesz przestać walić? To nie tamburyn. Rozumiem twoje podniecenie, seks z samicą to dla byka niecodzienność, ale łeb od tego pęka. – Pociągnął kolejny łyk i z zadowoloną miną kontynuował: – Tak w ogóle to powinni się tym zainteresować obrońcy praw zwierząt. Wiesz, jak wygląda sytuacja erotyczna byka? – zwrócił się do mnie. – Stoi non stop uwiązany w zagrodzie, ciasno, ciemno, brudno, z ciężkim metalem w nosie, sam jak palec. Przywiązany sznurem za kółko w nozdrzu nie może się ruszyć. Potężne, silne zwierzę, kwintesencja samca, siła i energia, moc. Testosteron buzuje, czuje samicę. Furczy mu jak sto pięćdziesiąt. I wiesz, co robią? Grzebią mu w dupie, by go podniecić, robią to dotąd, aż się spuści, aż do orgazmu! Łapią nasienie w słoik i jadą do krowy. To jest byczy seks, ja się pytam? Nawet Rogalowi bym tego nie życzył. Straszne! Wyobrażasz to sobie? – Wzdrygnął się. – Dosłownie gówniany seks, bez samicy, z palcem w dupie, kółkiem w nosie i chujem w słoiku. – Obejrzał się do tyłu, omal nie spadając z krzesła, i wrzasnął: – Rogal, podobają ci się kolczyki w nosie?

Jane pląsała na scenie, nie odrywając wzroku od Rogala, który zdawał się nie słyszeć zaczepek Jabola. Wyglądała przepięknie, świecąca minisukienka na ramiączkach z cekinami błyszczała i falowała przy każdym ruchu jej

ciała, a gdy się wypinała, spod tej różnokolorowej fali wyglądały seksowne majteczki. Rogalowi oczy świeciły jak latarnie, prawie podskakiwał na krześle, nie mogąc usiedzieć w miejscu. Dziewczyna zaczęła zsuwać majtki. Kurwa, co ona robi? Przecież zaraz ją tu puknie na scenie – pomyślałem. Rogal chwycił rzuconą bieliznę, przycisnął do nosa, wciągnął głośno powietrze i schował koronkowe majtki do kieszeni. Wstał, złapał Jane za rękę i pociągnął w stronę korytarza.

Dopiłem wódkę i szybko ruszyłem do pokoju operacyjnego, po drodze wyciągając telefon. Gdy spojrzałem na ekran monitora, Rogal właśnie rzucał Jane na łóżko, a chwilę potem zaczął całować.

Telefon wypadł mi z rąk i z trzaskiem uderzył o blat stołu. Na szczęście przeżył. Kopnąłem krzesło ze złością. Wybrałem numer do George’a i przyłożyłem słuchawkę do ucha, modląc się, żeby otworzyły się drzwi i stanął w nich mój czarny koleżka. Odsłuchałem kilkanaście sygnałów, w tym czasie Rogal zdążył już ze dwa razy zmienić pozycję na łóżku, i gdy uruchomiła się poczta głosowa, zakończyłem połączenie. Wściekły rzuciłem telefon na fotel, podkręciłem głośność na małej kolumnie na stole. Na szczęście w pokoju był też zainstalowany mikrofon. W głośnikach dało się słyszeć lekki szum, stękanie Jane i szybsze oddechy Rogala. Dziewczyna delikatnie odsunęła go od siebie i wstała.

– Muszę odświeżyć. Jest spocona. Poczeka chwilę.

– Chuj tam, nie przeszkadza mi. – Podniósł się i przyciągnął ją do siebie.

– Ale mi tak. Momento. – Pocałowała go w czoło.

Rogal padł na wznak na łóżko, aż czerwona narzuta zafalowała.

– Tylko szybko.

Dziewczyna chwyciła ręcznik z półki i przechodząc obok szafki z książkami, zrobiła skrzywioną minę do kamery. Wyskoczyłem z pokoju i złapałem ją na korytarzu.

– Graj na zwłokę – chwyciłem ją za ramię – opóźniaj sprawę. Musimy doczekać powrotu George’a.

– Jak? Co ma robić?

– Nie wiem, kurwa, bawcie się w przedszkole albo w co innego. – Traciłem panowanie nad sobą. – Powstrzymaj go trochę. George zaraz powinien być.

Spanikowany trener. Nie może być nic gorszego. Drużyna jest jak gąbka, chłonie swego szkoleniowca, nasiąka nim, czy ten tego chce, czy nie. Wiedziałem, że muszę się opanować. Dziewczyna weszła do łazienki, a ja

szybko wróciłem przed monitory. Spojrzałem na zegarek. Miałem wrażenie, że George’a nie ma już całą wieczność. Ponownie wybrałem jego numer telefonu, ale nie odebrał. Nie mogąc wytrzymać w pokoju, wyszedłem na salę. Jabol, jak tylko mnie zobaczył, rozdarł się na cały głos:

– Zygmuś! Gdzie się kręcisz? Dawaj, napijemy się.

– W kiblu siedzę, strułem się – wymyśliłem na szybko kłamstwo.

– Widzisz, trzeba było z bidonu pić, wódka dezynfekuje. – I rzucił do barmana: – Józek, dawaj tu.

– To Wiesiek – poprawiłem go.

– Jeden chuj, lej.

Wypiłem podany kieliszek wódki i szybko wróciłem do pokoju operacyjnego, zasłaniając się sraczką. Rogal dalej leżał na łóżku, trzymając bidon w jednym ręku, drugą miętosząc sobie jaja. Zgnieciona narzuta leżała w kącie pokoju. Drzwi się otworzyły i weszła Jane, owinięta tylko w ręcznik. Rogal odstawił bidon na szafkę obok i wstał, przyciągając dziewczynę do siebie.

– Teraz ty.

– Co? – Rogal prawie krzyknął.

– Teraz ty się myje – powtórzyła Jane.

– Nie piernicz. Kąpałem się dzisiaj, nawet dwa razy. – Niecierpliwił się, usiłując chwycić ręcznik dziewczyny.

Jane zgrabnie odsunęła się tanecznym krokiem i z uśmiechem stwierdziła:

– Będzie mycie, będzie seks. Big seks. – Poruszyła biodrami, trzymając dłoń na brzuchu.

Rogal się zawahał; obserwowałem na ekranie wewnętrzną walkę zwierzęcej chuci z rozsądkiem. Myślałem, że rzuci się na dziewczynę, zedrze z niej ręcznik, zaknebluje ją i tyle będzie z planu.

Stałem oparty o biurko, z dłońmi kurczowo zaciśniętymi na krawędziach, cały napięty, wpatrując się w monitor. Już wiedziałem, jaką bezradność musi czuć trener obserwujący z ławki mecz, który wymyka mu się spod kontroli. Może się tylko przyglądać, krzyk nie zda się na nic, bo i tak nie dociera do zawodników poprzez wrzawę na trybunach, a gesty to za mało, żeby dotrzeć do drużyny. Czułem tę bezsilność, gdy cały organizm aż się rwie do walki, do czynu, a zamiast tego sterczysz jak ten fiut napięty, przy linii bocznej albo przed monitorem, i tylko się gapisz jak sroka w gnat na to, co dzieje się poza twoją kontrolą.

Rogal, o dziwo, jakimś cudem jeszcze się opanował, na szczęście nie był bardzo pijany. Gdy dziewczyna rzuciła mu drugi ręcznik, chwycił go i wyszedł z pokoju, jakby mu się bardzo spieszyło. Za chwilę drzwi ponownie się otworzyły, biegiem dopadł do szafki, zabrał z niej bidon i zniknął na korytarzu. Odetchnąłem, choć wiedziałem, że nie będzie się długo szorował. Chwyciłem za telefon, George w dalszym ciągu nie odbierał. Zastanawiałem się gorączkowo, jak opóźnić bramkarza, ale w tej samej chwili ktoś zaczął szarpać za klamkę. Zamarłem, zastanawiając się, czy to nie Jabol albo Piesek, lecz usłyszałem znajome „Otwieraj, chuju". Zdyszany George wpadł do środka.

– Kurwa, zrobili mi chyba zdjęć pięć.

– Masz tabletki?

– Mam. – Wyciągnął z kieszeni pudełko.

– Szybko, podaj Jane do jedynki, Rogal jest w łazience, szybko! – ponagliłem go i wypchnąłem z pokoju.

Stanąłem za zakrętem, by mieć widok na drzwi do łazienki, George wybiegł na korytarz, zapukał, drzwi się uchyliły. Zobaczyłem wychodzącego z łazienki Rogala, szybko wyciągnąłem telefon i wybrałem numer do George'a. Patrząc zza załomu, widziałem częściowo zasłoniętego drzwiami Hooyota i zmierzającego do nich bramkarza. George wyciągnął rękę w stronę dziewczyny, gdy nagle w drzwi grzmotnęła pięść Rogala, uderzyły w ścianę, otwarte na oścież. Zadzwonił telefon George'a. Wszyscy spojrzeli na niego. Dziewczyna schowała rękę za siebie, George skamieniał.

– O, co to to nie! – stwierdził Rogal, odsuwając George'a, który miał przerażenie w oczach. – Zajęta jest! Ty na końcu. Po tobie to już tylko bejsbol. – Roześmiał się, wszedł do środka, popychając przed sobą Jane, i zamknął George'owi drzwi przed nosem.

Hooyot spojrzał na mnie, przewrócił oczami. Weszliśmy do operacyjnego i tam zwalił się ciężko na fotel. Oparłem się o biurko, odetchnąłem. Patrzyliśmy na siebie z rezygnacją.

Sytuacja podbramkowa została opanowana, było bardzo groźnie, ale obrona stanęła na wysokości zadania. Teraz należało przejść do kontrataku. Samą defensywą nie wygra się meczu, ona nawet nie gwarantuje remisu, bo błędy się zdarzają, więc trzeba wypracować bezpieczną przewagę. Przede wszystkim zdobyć bramkę, objąć prowadzenie, stworzyć sobie ten margines błędu, który pozwoli na komfort psychiczny, i dopiero wtedy spokojnie

kontrolować bieg wydarzeń. Ale to już leżało w gestii dziewczyn, a raczej między ich nogami.

W pokoju skończył się czas na rozmowy. Po powrocie z łazienki Rogal zdarł z Jane ręcznik, odwrócił ją tyłem do siebie i pchnął na łóżko. Szybko założył prezerwatywę i nie namyślając się długo, wszedł w dziewczynę od tyłu, aż jęknęła głośno.

– Nagrywasz? – spytałem George’a.

Spanikowany nacisnął klawisz i na ekranie pojawiła się czerwona kropka.

– Tak – odparł, patrząc na mnie niewinnie.

Jane klęczała na brzegu łóżka, ściskając w ręku tabletkę, a tuż przed jej głową, na szafce, stał zakręcony bidon, w który wpatrywała się, podskakując po pchnięciach Rogala. Ten się rozochocił, od czasu do czasu walił ją otwartą dłonią w pośladek, aż echo niosło się po pokoju. Gapiliśmy się z George’em w ekran, ale seks ani mi był w głowie. Nie był to zresztą najlepszy pornol, jakiego w życiu widziałem, tym bardziej że pół ekranu zajmowała wielka, wypięta, owłosiona „żopa” Rogala. Jane głośno krzyczała. W tej pozycji nie miała szans sięgnąć odbytu bramkarza. Po paru chwilach przeprowadziła pierwszą nieśmiałą próbę zmiany pozycji.

– Teraz inaczej? – spytała przez ramię, na co otrzymała odpowiedź w postaci soczystego klapsa.

Spojrzeliśmy z George’em na siebie z niedowierzaniem.

– Noż kurwa, odwróć się na plecy – wrzasnąłem.

Jane jakby usłyszała moją prośbę, bez pytania o pozwolenie spróbowała się odwrócić, ale Rogal chwycił ją tylko mocno za biodra i ustawił w poprzedniej pozycji. Skręciła tułów w drugą stronę, ale znów mocno ją złapał i ścisnął za szyję. Widać ta walka jeszcze bardziej go podnieciła, zaczął dusić ją coraz mocniej i coraz szybciej posuwać. Jane zaczęła charczeć i się wyrywać, ale tkwiła w żelaznym uścisku wielkich łapsk bramkarza, który poruszał teraz biodrami w ekspresowym tempie. Ponownie spojrzeliśmy z George’em na siebie.

– Udusi ją, chuj – ocenił George. – Trzeba pomocy.

Zerwał się z krzesła.

– Czekaj. – Przytrzymałem go za ramię. Rogal wreszcie skończył, poluzował uchwyt, pocałował ciężko oddychającą Jane w plecy. Zsunął się z niej i chwycił bidon.

Rzuciłem szklanką o ścianę, aż rozprysła się na drobne kawałki.

Chciałbym umieć wpływać na ludzi jak mistrz Yoda czy Obi-Wan Kenobi, mieć taką moc: kiwasz palcem, a oni robią, co chcesz, pstryk i Rogal grzecznie rżnie Jane klasycznie, a ta wsuwa mu tabletkę w tyłek i już. Ale zamiast tego gapię się na… uśmiechniętego i zadowolonego Rogala.

Jako trener straciłem właśnie kontrolę nad meczem – zła strategia, realizacja jeszcze gorsza. Zdałem sobie sprawę, że funkcja trenera mnie po prostu przerosła.

– O, Kaczka – rzekł George, wpatrując się w drugi monitor.

Rogal z Jane opuścili już miejsce igraszek i ponownie siedzieli w głównym salonie z Pieskiem i Kate, za to do pokoju zmierzał Kaczka, a raczej Rose ciągnęła go tam za rękę.

– Ona nie ma tabletki! – rzuciłem do George'a.

Zerwał się z fotela i wybiegł z pokoju, grzebiąc w kieszeni.

Dogonił ich na korytarzu. Śmiejąc się, złapał Rose za rękę lewą dłonią, w której trzymał tabletkę, drugą położył jej na plecach, jakby chciał z nią zatańczyć, zakręcił dziewczyną energicznie, gdy chwyciła pastylkę, zrobił jeszcze jeden obrót i wypuścił Rose z objęć.

– Kaczkom stoi w zimna woda. Chcecie lodu? – Roześmiał się i poszedł do salonu.

Pochylił się nad Kate, która dalej siedziała wtulona w Pieska, i dyskretnie wsunął jej tabletkę do ręki.

Obserwowałem to wszystko na ekranie i gdy George wrócił do operacyjnego, Rose właśnie zamykała drzwi sypialni. Kaczka szybko zajął miejsce na krześle przy stoliku pod ścianą i siedział sztywno, pstrykając nerwowo końcówką bidonu. Rose, nucąc pod nosem melodię, zaczęła przed nim tańczyć, siadła mu w rozkroku na kolanach, cały czas kołysząc biodrami. Odwróciła się, wypięła tyłek, pocierając nim krocze Kaczki, który przyglądał się tej scenie, nie wypuszczając bidonu z ręki, i usztywniał się coraz bardziej. Miałem wrażenie, że gdyby mógł, wcisnąłby się z krzesłem w ścianę. Dziewczyna odsunęła się, powolnym ruchem zsunęła ramiączka, sukienka opadła na podłogę, a Rose w samej bieliźnie położyła się na łóżku w kuszącej pozie.

– Chodź. – Klepnęła łóżko i lubieżnie się przeciągnęła.

Kaczka się nie poruszył, zamiast tego zapytał:

– Długo jesteś w Polsce?

– Długo. – Oblizała usta.

– Skąd przyjechałaś?

– Z daleka. Będziemy gadać? – Usiadła wygodniej na łóżku, opierając się plecami o ścianę.

Oczy Kaczorka nerwowo skakały na boki, jakby szukały czegoś, co będzie tematem do rozmowy.

– Nie staje ci?

– Proszę! – Spojrzał na nią z wyrzutem. – Czym się zajmowałaś w ojczyźnie?

– Tym samym. – Roześmiała się zaskoczona i wzruszyła ramionami. – Tylko to umie. A ty? Tylko gada?

Wstała, spróbowała usiąść Kaczce na kolanach, ten jednak szybko się zerwał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

– Nie chcę seksu, ja… chciałem… – Przerwał. Na jego twarzy odmalował się paniczny dylemat, jaki przeżywał. Lekko otwarte usta, gorączkowe poszukiwanie jakiegoś pretekstu, nerwowe przełykanie śliny. Usiadł ponownie. – Chcę porozmawiać. Jak się mówi po waszemu „dobry wieczór”?

Po raz enty spojrzeliśmy z George’em na siebie.

– Nie no, nie wierzę. Impotent pierdolony. Nie mogę na to patrzeć – rzuciłem i wyszedłem z pokoju.

Poddałem się, w tamtej chwili myślałem, że z naszego planu nic nie wyjdzie. Wyłożyliśmy się już w pierwszym kwadransie meczu, planowany atak frontalny okazał się totalną porażką, wywołany huragan podążył w całkowicie nieplanowanym kierunku.

– Gdzie George? – spytał Jabol bełkotliwym głosem, gdy usiadłem obok niego przy barze.

– No gdzie ma być? Posuwa na zapleczu jedną…

Rogal i Piesek z dziewczynami siedzieli przy stole, przyglądając się tańcom blondynki, Piesek cały czas nadawał coś do ucha uśmiechniętej Kate, pewnie ciągle prawił jej komplementy.

– Józek, dawaj kielicha dla Zygmunta – zarządził Jabol. – Najlepszy dzwon w lidze, Quasimodo i dziewica w jednej osobie – szydził.

Barman chciał nalewać, lecz Jabol wyrwał mu butelkę z ręki.

– Poradzimy sobie. – Napełnił mi kieliszek, nie rozlewając ani kropli na blat.

Wypiłem, krzywiąc się lekko.

Po chwili wychyliłem kolejny, a Jabol cały czas był przyssany do bidonu jak dziecko do cycka matki. Nawet napełniając dla mnie szkło, nie odstawił pojemnika na bar, jakimś cudem potrafił odkręcić korek jedną ręką, równocześnie przytrzymując butelkę. Zważywszy, w jakim był stanie, graniczyło z cudem, że nie porozlewał alkoholu ani nie rozbił butelki.

– Więc… Quasi… jak to jest być dziewicą? – spytał, przeciągając lekko słowa i odchylając się niebezpiecznie do tyłu.

– Dziewicą? – Westchnąłem z uśmiechem politowania. – Miło, że tak o mnie myślisz.

– Ja? Cała liga tak myśli. – Jabol się roześmiał. – Więc jak to jest?

– Nie wiesz?

– Nie. Urodziłem się już zbrukany, wiesz, grzech pierworodny i te sprawy. Do kościoła nie chodzisz? Dlatego piję, żeby o tym zapomnieć. – Uśmiechnął się i pociągnął łyk z bidonu.

– Większość ciężko pracuje, by ten stan jeszcze pogorszyć – stwierdziłem.

– Który? Grzechu czy pijaństwa? – zarechotał.

– Jeden i drugi.

– A ty? Co ty robisz? – Spojrzał na mnie z ukosa. – Świętojebliwość przewlekła?

– Ja? – Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. – Ja… też… teraz już też… dojrzałem. – Uśmiechnąłem się kwaśno i szybko wlałem w siebie kieliszek wódki.

– Lepiej późno niż wcale – podsumował i czknął głośno. – Ale wiesz, to chyba złe słowo. Dojrzewanie sugeruje stan rozkwitu, moment rozpłodowy – wymachiwał rękami, tak że ledwo trzymał pion – punkt kulminacyjny, szczytowy czas w rozwoju jednostki, kiedy jesteś gotowy do wielkich czynów. Czas przenoszenia gór i budowania zamków, gdy wszystko wiesz i kontrolujesz… Czujesz się tak? Na szczycie? W apogeum możliwości?

Do salonu wszedł Kaczka, popychając przed sobą Rose; zatańczył na środku, ruszając biodrami do przodu i tyłu, imitując seks. Chłopaki zaczęły klaskać i gwizdać, on wdzięcznie się ukłonił i padł na kanapę, pociągając za sobą dziewczynę. Patrzyłem na niego i nie wiedziałem, co myśleć. Wydawał się rozluźniony, uśmiechnięty. Może jednak spuścił z kija? Ze wzroku Rose też nie umiałem nic wyczytać.

Piesek się podniósł, a potem uklęknął przed Kate i pocałował ją w rękę.

– No, na… nasza kolej, chodź, mój ty eksponacie muzealny.

Jabol nawet się za nimi nie obejrzał, gapił się w blat baru, jakby zobaczył tam coś niesamowitego. Na scenę weszły dwie blondynki, podskakując w takt muzyki.

– Hej, chłoptysie, dawajcie – usiłowały nas zachęcić, co Jabol skwitował czknięciem, o mało nie spadając przy tym ze stołka. Przytrzymał się bidonu, jakby plastikowy pojemnik wypełniony wódką był jedynym stałym punktem w jego chwiejnej rzeczywistości. Z obu stron Jabola było pusto, goście woleli zachować bezpieczny dystans. Pociągnął długi łyk, rozejrzał się po wypełnionej sali i kilkakrotnie nerwowo zamknął oczy, z grymasem na twarzy.

Twarz Jabola żyła własnym życiem, otworzył na moment usta, szeroko, jakby chciał sprawdzić, jak bardzo może je rozewrzeć, poruszał szczęką na boki, zrobił dzióbek, jakby szykował się do wiekopomnej przemowy i usiłował rozgrzać mięśnie twarzy. Patrzyłem na asa naszego ataku – poplamiona, wymięta koszula, brudne spodnie dżinsowe, otępiały wzrok, ślina na ustach. Oto wzór do naśladowania dla tysięcy młodych piłkarzy w Polsce, idol trampkarzy, juniorów. Człowiek, na którego miejscu chciałoby być każde polskie dziecko trenujące piłkę nożną. Do tego panteonu należy dołączyć Rogala z jego dzikością – autografy powinien rozdawać na zdjęciu z filmu, który oglądałem kilka chwil temu: grymas szaleństwa na twarzy, dzikie, wytrzeszczone oczy i na pierwszym planie charcząca, przyduszona Jane. Perfekcyjny wizerunek idola piłkarskiej młodzieży. I jeszcze ten pierdołowaty Kaczka, który nie umie wyruchać nawet kurwy. I obleśny Piesek, śliniący się na widok dowolnej kobiety, gotowy wskoczyć na nią choćby między jednym a drugim słowem.

Może Niebiński miał rację, kiedy twierdził, że w trosce o zdrowie psychiczne kibiców niektóre kluby powinno się spuścić z ligi? Może dotyczy to też piłkarzy? Czy liga nie będzie choć trochę zdrowsza, gdy wytnie się z niej zgangrenowaną tkankę w postaci takich osobników jak Rogal, Babka czy Piesek? Nawet w trosce o dzieci – przecież ci ludzie za kilka lat będą trenerami. Zgroza! Wyobrażam sobie, że będą uczyć młode pokolenie grać w piłkę i podejmować decyzje – nie tylko na boisku, bo w jakimś stopniu pokażą im również, jak żyć. Zostaną wychowawcami, pedagogami, wzorcami do naśladowania. Zaczną kształtować nowe pokolenia piłkarskie! Horror! Czego może nauczyć Rogal? Co wpoi swoim podopiecznym Jabol? Piesek zostanie trenerem drużyn kobiecych?

Chyba że się zmienią, dojrzeją jako starsi ludzie, bogatsi o doświadczenia. Już jako trenerzy, a nie piłkarze, inaczej spojrzą na świat. Ale czy tak się stanie? Mam wątpliwości. Rogal spojrzy wstecz i powie sobie: „A fe, byłeś niegrzeczny, nagrzeszyłeś tyle, że ho, ho, ale teraz to już się zmienisz, już wszystko będzie cacy”. Jakoś nie umiem sobie tego wyobrazić. Nie uwierzyłbym nawet ich zapewnieniom. Tacy jak oni się nie zmieniają, są inni tylko do momentu, aż pojawi się szansa na nowy szwindel. To nie okazja czyni złodzieja. Złodziej jest złodziejem, na długo zanim ukradnie pierwszą rzecz, i nie kreuje go możliwość przestępstwa, tylko sposób myślenia o nim.

Wtedy w Koksie nie przyglądałem się swoim decyzjom, nie widziałem jeszcze siebie w jednym szeregu z moimi kolegami z drużyny.

Dolałem wódki do bidonu Jabola (którego oczywiście nie wypuścił z ręki), sobie też napełniłem szkło.

– Za mistrza – wzniosłem toast i wypiłem kieliszek.

Jabol przyssał się do pojemnika, aż mu się policzki zapadły. Leżał na barze, usiłując dwoma palcami podnieść z blatu kroplę wódki, ale miał kłopoty ze zogniskowaniem wzroku.

– Nie bierzesz się za nie? – spytałem, mając na myśli kurwy, choć wiedziałem, że dziewczyny są już dawno poza jego zasięgiem. Potrzebował chwili, by skupić na mnie wzrok.

– Jasne… zaraz – wybełkotał. – Wszystkie je będę posuwał naraz, aż mi guma… pęknie w gaciach. – Przełknął ślinę, spojrzał na mnie trochę trzeźwiej. – Czy ty myślisz, że ja jakiś automat jestem? Widzę dupę i mi staje? A gdzie uczucie, miłość, bliskość z samicą? Mam być zaprogramowany jak robot kuchenny? Guzik – stuknął palcem w blat baru – chuj stoi, guzik i opada. Kobieta równa się sterczący fiut, cóż za równanie. Jak dzban, uderzasz młotkiem i się rozbija. – Huknął pięścią o blat i podniósł ją nad głowę. – Jak dzwon! O! Uderzasz w dzwon i jest dźwięk. Gong! O! W podstawówce musiałem, na apelu… – Nagle wrzasnął: – Hej, na trwogę dzwonią dzwony – bełkotliwie recytował fragment wiersza – jakiż dziki świat alarmu wróży nam ich jęk wzburzony – czknął – śród groźnego nocy cienia, jakże wyją z przerażenia…

Odchylił się do tyłu i padł jak długi na podłogę. Kilka głów się odwróciło, lecz nikt nie zareagował. Jabol na glebie – standard, pewnie nie

pierwszy raz tego dnia. Pomogłem mu wstać, podtrzymując go pod pachami.

– Chodź, przewietrzymy się. – Poprowadziłem go w kierunku drzwi.

Na zewnątrz trochę wytrzeźwiał, przez ogród szedł już sam, chwyciłem go tylko za ramię, żeby trzymał pion, i sterowałem nim, by zmierzał w odpowiednim kierunku. Był cichy czerwcowy wieczór, połówka księżyca na niebie konkurowała ze słabym światłem latarni przy drodze. Gdy zamknęła się za nami bramka Koksa, wyjąłem telefon, chcąc zamówić taksówkę.

– Tu niedaleko jest postój – nad podziw trzeźwo stwierdził Jabol.

Ruszyliśmy niezdarnie w stronę postoju taksówek, odprowadzani uważnym wzrokiem ochroniarza. Kluczyliśmy między zaparkowanymi autami, szukając wyjścia, z poczuciem, że ktoś złośliwie zabarykadował nam drogę. Musieliśmy przejść jakieś pięćset metrów przez parking i osiedle, ale uznałem, że Jabolowi dobrze zrobi spacer. Mimo dość wczesnej pory ulice były puste, minął nas jakiś zbłąkany przechodzień, unikając kontaktu wzrokowego i patrząc pod nogi. Po kilku krokach usłyszałem, że ktoś woła:

– Proszę pana, proszę pana!

Obejrzałem się przez ramię. Chłopak, który parę chwil temu nas minął, szedł w naszym kierunku z wyciągniętą ręką.

– Panowie chyba portfel zgubili. – Wręczył mi zgubę i szybko się oddalił; może wystraszył się mojej miny, bo gapiłem się na niego jak na dziwoląga. Moje zdziwienie jeszcze się powiększyło, gdy zajrzałem do środka. Obejrzałem się, ale ulica za nami była pusta. Za to w portfelu było kilkaset złotych i dokumenty Jabola. Trafił nam się chyba ostatni sprawiedliwy.

Jabol nie zauważył ani chłopaka, ani braku pieniędzy i dokumentów.

– Zygmuś, kurwa, czarodziej jesteś, normalnie Copperfield. – Klepnął się po kieszeni, gdy podałem mu portfel. – Wyczaruj jeszcze połówkę, to ci normalnie laskę zrobię.

Gdy weszliśmy między bloki, zaczęły się kłopoty. Pośród atrakcji na placu zabaw uwagę Jabola przykuł konik. Huśtawka była zamocowana na solidnej sprężynie i dostosowana oczywiście do wagi dzieci, a nie dorosłego napastnika superligi. Ten wgramolił się na zabawkę niczym na dorosłego mustanga i udawał, że wywija lassem. Darł się przy tym

niemiłosiernie jak rasowy kowboj. Sprężyna pod ciężarem Jabola gięła się na boki jak drzewo na wietrze, usiłując zrzucić intruza, a ten bawił się w najlepsze, podskakując jak na rodeo i z rechotem odbijając się od ziemi, raz z jednej strony, raz z drugiej.

– Centrum to jest potęga, Centrum najlepsze jest, Centrum trzeba szanować, centrum CZPS! – ryczał na całe gardło, a echo wzmacniało jego głos.

– Jabol, zamknij się. – Usiłowałem zatkać mu usta, gdy nie zareagował na prośbę, ale tylko odwrócił głowę i się szarpnął, nie przestając śpiewać.

– Zamknąć mordy, pedały! – nie wytrzymał jeden z mieszkańców osiedla, wychylając się przez okno.

– Sam jesteś pedał, geju ty sflaczały. Zejdź na dół, zobaczymy, kto tu jest parówą! – zaryczał bojowo Jabol i spadł z konika, wzbijając tuman kurzu.

Światła zapaliły się w jeszcze kilku oknach. Jabol usiłował przyjąć pozycję pionową, ale szło mu to bardzo opornie, chwiał się na wszystkie strony. Pomogłem mu wstać, złapałem go za ramię i ruszyliśmy dalej. Przyspieszyłem kroku, rozglądając się na boki, czy ktoś nas nie ściga.

Jabolowi bardzo spodobały się występy wokalne, wrócił mu rumieniec i uśmiech na twarzy, poczuł wenę i zaczął wyśpiewywać wszystkie piosenki, jakie znał. Wyciągałem nogi, żeby jak najszybciej dotrzeć do postoju taksówek. Na nic zdały się moje usilne starania, żeby go uciszyć; wyrywał mi się tylko i wydzierał jeszcze głośniej.

– Hej, do ślubu dzwonią dzwony! – ryczał, przypomniawszy sobie fragment wiersza. – Jakiż świat uszczęśliwiony wróżą nam ich słodkie tony!

Długo nie musieliśmy czekać na reakcję któregoś z mieszkańców. Gdy wyszliśmy spomiędzy bloków, już z daleka zobaczyłem jadący radiowóz. Chwyciłem Jabola za ramię, aby sprowadzić go z chodnika i schować się między pobliskimi budynkami, ale akurat przyssał się do latarni, usiłując odtańczyć z nią sobie tylko znany taniec. Szarpnąłem go kilka razy, ale nie miał zamiaru przerwać zabawy.

Gdy suka zaczęła zwalniać, zostawiłem go, czmychnąłem za róg bloku i obserwowałem wszystko z bezpiecznej perspektywy. Zakratowany van zatrzymał się tuż obok przyklejonego do słupa Jabola, który zdążył się lekko obsunąć i kompletnie nie wiedział, co się wokół dzieje. Popatrzył do góry na mundurowych, spróbował się niezdarnie podnieść. Gdy mu się to udało, zasalutował im, co nie zakończyło się upadkiem tylko dzięki

wsparciu latarni. Nie słyszałem, co mówili, ale nagle zaczął szczekać na funkcjonariuszy. Warczał na nich, ujadał, szczerząc zęby i kłapiąc szczęką jak pies przywiązany do słupa przez właściciela, który na chwilę wstąpił do sklepu. Policjanci nie reagowali, odsunęli się tylko poza zasięg paszczy Jabola. Stracili cierpliwość, dopiero gdy obrzygał jednego z nich; nie spodobało się to im do tego stopnia, że wyciągnęli pały, zdzielili go kilka razy przez plecy, zapakowali do suki i odjechali.

– Chodź, musisz to zobaczyć – stwierdził George, gdy tylko otworzyłem drzwi pokoju operacyjnego. Siedział przy biurku, skubiąc resztki poręczy fotela, i szczerzył się do mnie uśmiechnięty. Biła od niego aura samozadowolenia i niecierpliwości, jakby nie mógł się doczekać chwili, gdy podzieli się ze mną nowiną.

Spacer powrotny do Koksa pozwolił mi trochę wytrzeźwieć. Po odjeździe policyjnej suki już bez żadnych śpiewów i ekscesów wróciłem do klubu.

– Patrz. – George odtworzył zarejestrowane nagranie.

Znowu ujrzałem Kaczkę i Rose w pokoju zbliżeń. Kaczka siedział na krześle pod ścianą, a kobieta ponownie usiłowała go podniecić. Usiadła mu na kolanach, ale zerwał się gwałtownie i zaczął chodzić nerwowo po pokoju.

– Wszyscy tylko o ruchaniu – starał się uniknąć wzroku Rose, która obserwowała go zdziwiona – a ja chcę tylko porozmawiać… A poza tym… jestem wierny żonie… nie zdradzam jej.

George spojrzał na mnie z uśmiechem, a ja zmarszczyłem brwi, zastanawiając się, o co chodzi, bo wiedziałem, że Kaczka to kawaler.

– Niezłe, co? Kaczka-żeniaczka. Prawie jak *Złotopolscy* albo *Klan*. Czeka, zaraz będzie jeszcze ciekawie. – George nie przestawał się cieszyć, kręcąc się niecierpliwie na krześle.

Rose się cofnęła, usiadła na łóżku i zaczęła się śmiać. Patrzyła na zdezorientowanego Kaczorka i rechotała coraz głośniej.

– Ty… gej. – Chichotała w najlepsze. – Piłkarz gej.

Nie przestawała zanosić się głośnym śmiechem.

– Ja? – Kaczorek próbował robić dobrą minę do złej gry. – W życiu.

– Gej! – Rose zaśmiała się jeszcze głośniej.

– Ciszej, kurwa. Nie jestem żadnym gejem. – Podniósł się zaniepokojony i spojrzał na drzwi.

– Nie? A koledzy wiedzą?

Dziewczyna ruszyła do drzwi. Kaczka błyskawicznie do niej doskoczył.

– Siadaj i milcz. – Wskazał palcem łóżko. – Jestem gejem. I co? To takie przestępstwo?

George łypnął na mnie triumfalnie.

– To się zakamuflował, pedałek jeden… – Dopiero docierało do mnie, że mamy go na widelcu. Nie mogłem powstrzymać szerokiego uśmiechu.

– Mam wibrator – drążyła temat Rose. – Wsadzić go gdzieś?

– Nie, dziękuję – obruszył się Kaczka.

– To będzie kosztować pięćset. – Dziewczyna spoważniała, postanowiła zarobić dodatkowe pieniądze. – Po co tu przyszedł?

Kaczka szybko spojrzał na drzwi.

– Już mówiłem, chcę tylko pogadać. Aż takie to dziwne? Zapłacę ci podwójną stawkę. Tylko ani słowa, okej? – Wyjął portfel z kieszeni.

– Tadam! – krzyknął George i wystawił rękę, klepnąłem wystawioną dłoń.

– Przez tyle lat się bunkrował. – Pokręciłem głową z niedowierzaniem. Dopiero teraz dostrzegłem, że było w nim coś ewidentnie kobiecego, jakiś nieuchwytny element. Zaśmiałem się. – Ciekawe, co by zrobił Rogal, gdyby się dowiedział?

Obaj byliśmy świadomi, że gdyby Kaczka się ujawnił, musiałby zmienić zawód. Rogal z Pieskiem mieliby nowy cel do ataków i byłyby one znacznie grubszego kalibru niż te, których ofiarą padał George. Rogal mawiał: „Zwyrodnialców trzeba tępić, i to najlepiej tępym narzędziem, bo to skuteczniejsze”. Jak wyglądałby wspólny prysznic piłkarzy z gejem? Zobaczyłem w myślach Kaczkę i Rogala razem pod natryskiem, jak wzajemnie mydlą sobie plecy i szorują się gąbkami, i był to tak surrealny obrazek, że prychnąłem śmiechem. Na masaże do Wojtka przychodziłaby publiczność obstawiająca zakłady, czy Kaczce stanął w trakcie i w której minucie, a także co na to Wojtek. Masaż ud nabrałby diametralnie innego znaczenia, nie mówiąc już o półdupkach zakwaszonych po treningach na śniegu (na śliskiej powierzchni, tylko zimą, rzadko używany mięsień nagle zaczyna doskwierać). Na zgrupowaniach, gdy piłkarze mają dużo wolnego czasu i się nudzą, wszystkie ich twórcze zdolności zogniskowaliby na jednym celu: chcieliby się dobrać do pedalstwa Kaczki. Akurat na tym polu możliwości chłopaków są ogromne; gdyby pojawiła się szansa, by drzeć łacha z piłkarza pedała, to inwencja twórcza w zakresie prześności

i wulgarności wzniosłaby się na wyżyny. To nie przypadek, że wśród aktywnych zawodników coming out właściwie się nie zdarza.

A może się mylę? W końcu nie było jeszcze takiej konfrontacji w szatni. W gębie zawsze wszyscy są mocni. Kilkakrotnie leciały na chodniku wulgarne teksty za mijanym chłopakiem sprawiającym wrażenie homo, ale chodnik to nie szatnia. Może zetknięcie bezpośrednio z problemem zmieniłoby podejście niektórych? Może Rogal zaakceptowałby odmienność Kaczki, Piesek zrozumiałby dylematy rozdartego geja, który chciałby być w zgodzie ze sobą i jednocześnie nie stracić kontaktu z grupą, zachować akceptację zespołu? Nie wiem, mogę wymyślić kilka scenariuszy, lecz trudno mi sobie wyobrazić Rogala w takiej tolerancyjnej roli, zdecydowanie łatwiej byłoby mu zagrać psychopatę. Jedno jest pewne – Kaczka nie będzie chciał zostać prekursorem, przecierać innym homoseksualistom szlaku. Zamiast eksperymentowania i sprawdzania reakcji heteryków piłkarskich wybierze absencję w jednym meczu. Byłem o tym przekonany.

– Czekaj, to koniec nie jest jeszcze.

George znowu kliknął myszką i na ekranie pojawili się Kate i Piesek. Dwa ciała splecione w odwrotnej pozycji niż Rogal wcześniej, głowami do kamery. Piłkarz leżał między rozłożonymi nogami Murzynki, wykonując rytmiczne ruchy. Sapał przy tym do akompaniamentu jęczenia i stękania kobiety. Spojrzałem na ręce dziewczyny na plecach Pieska. Jedna dłoń leżała płasko, druga była ułożona nienaturalnie na żebrach chłopaka. W pewnej chwili obie zsunęły się na pośladki i zniknęły z pola widzenia kamery, a Piesek nagle wstrzymał ruch bioder i skrzywił się, ale Kate chwyciła go mocno za półdupki, przyciągnęła do siebie, zmuszając do gwałtowniejszych ruchów.

– Tadam! – krzyknął George ponownie. – Trafiony, udupiony. Chce więcej zobaczyć? Się nie skończyło na tym raz. Piesek poprawił Kate, a później jeszcze zabawiał się z dwoma. Jemu to można było i sześć tabletek w dupę wsadzić.

Ponownie przybiliśmy sobie piątkę, śmiejąc się głośno.

– George’usiu, kocham cię. – Poklepałem go po policzku. – Trzech mamy z głowy. A już myślałem, że będzie totalna kompromitacja.

Dobry trener musi mieć jednak szczęście – pomyślałem. Jak widać czasem opłaca się zagrać we własnym polu karnym ręką. Przeciwnik przecież też może się pomylić i nie wykorzystać karnego.

– Trzech? – zdziwił się George.

– Jabola zwinęła policja. Zakłócał spokój nocny zacnym mieszkańcom stolicy, więc zabrali go na wytrzeźwiałkę. Wystarczy teraz dać cynk mediom.

George się zaśmiał.

– Jesteś geniusz zła.

Uznałem, że czas zabrać się do pracy.

– To akurat szczęśliwy przypadek. Ale nie czas na lizanie się po fiutach, na razie jeszcze nic nie osiągnęliśmy. Wyślij maila do Kaczki z fragmentem filmu, tylko z anonimowego adresu, żeby cię nie wyśledził, ja dzwonię do prasy i na doping. – George pochylił się nad klawiaturą.

– Czekaj – zmieniłem zdanie – sam napiszę maila, bo ciebie to od razu rozpozna. Przygotuj tylko film i znajdź jednorazówkę mailową. Mają tu telefon stacjonarny?

– Za barem. Nie wiem, czy działa.

Na sali zabawa trwała w najlepsze. Tuż przede mną przebiegła dziewczyna z cyckami na wierzchu, jakiś mężczyzna w rozpiętej koszuli i z szalonym wzrokiem usiłował złapać ją za majtki. Chłopaków nie było widać, nasz boks zajęła już inna grupa. Barman wskazał mi aparat na zapleczu. Zatkałem jedno ucho, by odciąć się od hałasu sali. Wybrałem numer pogotowia antydopingowego. Wcześniej ze strony internetowej dowiedziałem się, że odbierają dwadzieścia cztery godziny na dobę. Usłyszałem w słuchawce kobiecy głos:

– Tak?

– Witam. Chcę zgłosić przypadek użycia substancji dopingowej.

– Słucham?

– Robert Piesecki, piłkarz Centrum Warszawa. Widziałem, jak przyjmował substancję dopingową. Grają w sobotę ostatni mecz ligowy, o mistrza, pewnie dlatego się szprycuje.

– Proszę podać imię i nazwisko.

– Nie podam. Macie szansę złapać naprawdę grubą rybę, i to w piłce, gdzie rzadko takie coś się dzieje, więc nie spieprzcie tego.

Rozłączyłem się.

– Załatwione – odpowiedziałem na pytające spojrzenie George’a, gdy wróciłem do pokoju.

– Zdążą?

– Jak dostaną szmal, to wyniki mogą być nawet na jutro. Sprawdziłem, da się zrobić. Już?

Spojrzałem na ekran monitora; otwarty mail z jakiegoś bezsensownego adresu, w załączniku plik wideo. George wpuścił mnie przed klawiaturę, dopisałem kilka zdań od serca do Kaczki, coś w rodzaju: jeśli zagrasz ze Sternikiem, pedale jebany, to wszyscy się dowiedzą. Życzyłem mu miłego oglądania i kliknąłem w przycisk „wyślij”.

– Jeszcze tylko info do mediów o Jabolu i możemy się brać do dwóch pozostałych.

Strona internetowa „Kuriera Sportowego” przywitała mnie wielką reklamą Nike. Znalazłem zakładkę „kontakt” z adresem mailowym, skleciłem kilka zdań, żeby broń Boże nie przeoczyli newsa o Jabolu, i wstałem od komputera. Zachwiałem się lekko, ale szybko odzyskałem równowagę. Poczułem się mocno zmęczony, alkohol zrobił swoje.

– Zostaw mi dla dziewczyn szmal – przypomniał George. – Umówiłem, że jutro dam.

Zajrzałem do portfela.

– Masz tu tysiąc, tylko tyle mi zostało, banki już pozamykane – stwierdziłem. – W końcu tylko Piesek został spenetrowany. Resztę ty dołóż dziewczynom. Też coś zainwestuj, na razie tylko ja pompuję kasę.

Spojrzał na mnie spode łba, ale nic nie powiedział.

– Możemy uciekać. Podrzucisz mnie – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

George większość wieczoru spędził przed monitorem, więc nawet nie miał okazji się napić. Chłopakom wciskałem kit, że posuwa laski na zapleczu, i jakoś nie byli zaskoczeni, nie przejawiali też wielkiej tęsknoty za George’em – w końcu mieli obok siebie czarne piękności.

W aucie nie odzywaliśmy się do siebie, gapiłem się bezmyślnie na opustoszałe ulice. Miasto bez ludzi wyglądało jakoś subtelniej, dostojniej. Panowały w nim smutny spokój, cisza i bezruch. Nie miałem żadnych wyrzutów sumienia, nie roztrząsałem konsekwencji naszych czynów, moje myśli kierowały się już raczej ku Babce i Rogalowi. Mieliśmy trzy dni na pozbycie się ich ze składu.

W domu rozebrałem się po cichu i wsunąłem do łóżka. Zza ściany dobiegało ciche, rytmiczne pukanie, jakby drewniana kulka odbijała się coraz szybciej od podłogi. Po nim następował dźwięk ciągły, potem chwila

ciszy i wszystko zaczynało się od nowa. Odgłos był monotonny jak metronom i zadziałał na mnie uspokajająco.

Maria leżała na swojej połowie na wznak, z jej lekko rozchylonych ust dochodził świst powietrza. Mimo zmęczenia nie mogłem zasnąć, przyglądałem się jej we śnie. Jedną rękę zarzuciła za głowę, druga sterczała za łóżko. Spod kołdry wystawało zgięte kolano lewej nogi. Wyglądała jak baletnica zastygła w trakcie piruetu. Pierś się unosiła, poruszana lekkim oddechem, który spowodował, że ramiączko koszuli nocnej się zsunęło, odsłaniając sutek. Dotknąłem go delikatnie; dłoń wystająca poza łóżko drgnęła. Pod wpływem mego dotyku Maria zmieniła pozycję. Zamknąłem oczy, udając, że śpię. Gdy znieruchomiała, leżąc na boku, odwrócona do mnie tyłem, wtuliłem się w nią z bolesną myślą, że jestem najbliżej Marii właśnie w tej chwili, że zbliżam się do niej, gdy jej nie ma.

5

George przyjechał po mnie o dziesiątej. Wstałem z bólem głowy, zmęczony kolejnym bezsensownym meczem, który mi się przyśnił. Nie przestała mnie boleć po śniadaniu, a podczas jazdy na trening czułem, jak pulsuje mi cały mózg. Była środa, miałem nadzieję, że Wrzaskun przetrawił już stratę punktów z Białą i przestanie się na nas mścić, więc trening będzie luźniejszy i jakoś go przeżyję. Musieliśmy się przecież zająć jeszcze Babką i Rogalem.

– Bądź dziś czujny, nie możemy przeoczyć okazji, musimy się ich pozbyć, lepiej nie zostawiać niczego na ostatnią chwilę.

– Czego? – spytał George, spoglądając na mnie z ukosa.

Wyglądał świeżo i rześko, czułem się przy nim jak wygnieciona szmata. Nie doszedłem do siebie po ostatnim meczu, wahadło i pijaństwo spowodowały, że ledwo zipałem, a i kolano nie dawało o sobie zapomnieć.

– Musimy ich wyciąć. Walka na treningu, niewinny wślizg i przypadkowa kontuzja. Rozumiesz?

– Rozumie, rozumie. Czego nie rozumieć? – Zahamował gwałtownie na światłach, aż kiwnęliśmy głowami jak na dzień dobry.

– Kurwa! – Mózg chciał mi wyskoczyć z głowy.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Obudzić cię trzeba.

Z zamkniętymi oczami zacząłem masować sobie skronie.

– Pamiętaj tylko, żeby to nie wyglądało na polowanie – instruowałem go. – Nie możemy co dwie minuty napierdalać gości bez piłki, bo będzie to co najmniej dziwne. Ostre, zdecydowane wejście, najlepiej raz a dobrze, znaczy tak, by nie wstał. Jasne?

George zaparkował auto pod klubem. Kilkadziesiąt metrów dalej na środku drogi zatrzymał się czarny mercedes. Hooyot trącił mnie łokciem. Drzwi po obu stronach samochodu się otworzyły i z auta wysiadł Rogal, a po stronie pasażera pojawiła się Grażyna – drobna, ładna brunetka, żona naszego bramkarza. Wyglądała jak jego córka, była od niego o połowę mniejsza, krótko ostrzyżona, dzięki czemu można było odnieść wrażenie, jakby dopiero co skończyła liceum. Obeszła auto, zamierzając usiąść za kółkiem. Rogal jej pomachał i skierował się w stronę klubu. Stanęła przy

drzwiach w pozie zdradzającej naburmuszenie. Rogal grzecznie zawrócił, podszedł do żony i pocałował ją w policzek. Dopiero wówczas wsiadła do samochodu.

– Grzeczny Rogalik – zauważył ironicznie George. – Idziemy?

Gdy wysiadłem, głowa zaczęła mi pulsować jeszcze bardziej. Szliśmy do bramy, a imadło w mojej czaszce rytmicznie ściskało mi mózg. George musiał to zauważyć, bo spytał:

– Chce lekarstwo?

Nie czekając na odpowiedź, wyjął z kieszeni listek, wycisnął białą tabletkę i mi ją podał.

Zrobił to tak szybko, że nawet nie dostrzegłem, z jakiego opakowania pochodzi lek. Spojrzałem na lek, na George'a, udałem, że połykam, i ukradkiem upuściłem tabletkę na ulicę za sobą.

– Ibuprom – stwierdził George, jakby czytał mi w myślach. – Chce popić?

– Nie, dzięki.

Po ostatniej nocy wolałem nie ryzykować kontaktu z żadnymi tabletkami, a zresztą każda chemia to świństwo. George chyba nic nie zauważył.

Niby czemu miałem mu ufać? A sobie ufam? Siebie nie oszukuję? Czy nie składam swojego obrazu z wygodnych dla siebie fragmentów przeszłości, zapominając o innych? Może to mechanizm, bez którego wszyscy by siebie znienawidzili, umiejętność konieczna do życia? Gdy wracam myślami do nieszczęsnego meczu z Włochami na igrzyskach, też czasem się zastanawiam, co tak naprawdę spowodowało, że zrobiłem to, co zrobiłem. Jaki był mój prawdziwy motyw? Czy aby na pewno go znam? Czy nie wierzę w najprzyjemniejszą, najłatwiej akceptowalną wersję? Jak spojrzeć na siebie w prawdzie? Czy można w ogóle zaufać swojej wizji siebie?

Szatnia wyglądała tak jak zawsze, od wczorajszego wieczoru nic się nie zmieniło. Ziemia się nie rozstąpiła, piekło nie wyciągnęło po mnie ręki, policja nie zajechała pod stadion z wyjącymi syrenami. Chłopaki normalnie przygotowywały się do treningu, z telewizora dobiegał standardowy jazgot disco polo, zakłócany przez hałas butów uderzających o podłogę. Jurek usiłował wytrzepać wczorajsze błoto z korków, Krzysiek syczał, zaklejając plastrem poobcierane pięty, tylko miejsce Jabola było puste. Piesek

z Kaczką też wyglądali normalnie, nie zgadłbym, że wczoraj do późna imprezowali; spojrzeli na mnie ukradkowo i szybko odwrócili wzrok. Obok stał Rogal, tyłem do mnie, i zawzięcie gestykulując, opowiadał coś Babce. Gdy Babka spojrzał na mnie, Rogal przerwał wywód, odwrócił się i ruszył zdecydowanym krokiem w moją stronę. Usiadłem i spokojnie zacząłem się rozbierać. Musiałem nad sobą zapanować, choć nie miałem pojęcia, co ten dzikus zrobi. Bramkarz był wyraźnie wzburzony. Zatrzymał się, górując nade mną, i rzucił mi „Kurier Sportowy” na kolana.

– Widziałeś?

Na pierwszej stronie gazety zobaczyłem zdjęcie Jabola z jakiegoś meczu i krzykliwy tytuł: *Gwiazda w rynsztoku*. Szybko przebiegłem wzrokiem po tekście.

– Nie dość, że najebany, to jeszcze wpierdolił psom – streścił artykuł Rogal.

– Wpierdolił? – zdziwiłem się, patrząc w gazetę. – Ledwo stał na nogach.

– On jebnął policjanta, a gdzie ty był? – zapytał Rogal.

W szatni zapanowała cisza, wszyscy umilkli i spoglądali na nas. Nie byłem przygotowany na tak otwarty atak, do tego na forum publicznym. Skoncentrowana na mnie uwaga wszystkich powodowała, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Pięknieś się nim zaopiekował, nie ma co.

– Wydzierał się na całą dzielnicę – otrząsnąłem się w końcu – co miałem zrobić? Dać się zapuszkować razem z nim?

– Może wystarczyło piznąć go w twarz, kazać się zamknąć i wsadzić do taksówki? Tera ma pęknięte trzy żebra i wstrząs mózgu. Psy się wkurwiły.

– Obrzygał ich, tyle widziałem, złapał się latarni i nie dałem rady go odciągnąć, taki był najebany. – Spojrzałem po twarzach chłopaków, szukając wsparcia. – Nie mogłem nic zrobić.

– Nie możesz to osrać za krótkiej koszuli – warknął Rogal.

Wrócił na swoje miejsce i wymownie patrzył w moim kierunku. Miałem wrażenie, że każdy w szatni gapi się na mnie jak na pieprzonego przestępcę, a przecież to Jabol, a nie ja, się ochlał i rzucił z pięściami na stróża prawa. Czułem jednak, że zespół ma do mnie pretensje; nikt nic głośno nie powiedział, ale dało się zauważyć, że Rogal był wyrazicielem poglądu pozostałych piłkarzy.

I wprost w tę napiętą atmosferę wszedł Wrzaskun. Widać było, że jest podminowany, prawie wbiegł do szatni i zatrzymał się na środku. Zapadła

cisza, nikt nawet nie drgnął. Trener powiódł wzrokiem po zawodnikach, jakby szukał winnych. Modliłem się, aby nie dostrzegł na mojej twarzy oznak nocnej balangi. Spuściłem wzrok, gapiłem się w podłogę, udawałem, że wiążę buty. Czekałem na efekt przeglądu z duszą na ramieniu. Z wściekłym Wrzaskunem nie ma żartów, był znany ze zdecydowanych decyzji, nieważne, czy było się kapitanem, gwiazdą, czy juniorem wchodzącym do drużyny – każdego potrafił zmieszać z błotem i wyrzucić do rezerw albo ukarać finansowo.

– Pewnie już wiecie o Jabłońskim – zaczął spokojnym głosem. – Będziemy musieli poradzić sobie w sobotę bez niego. Że może się upić, wiedziałem, ale żeby lać policję? Co mu odjebało? Ktoś coś wie?

Ponownie rozejrzał się po twarzach; wszyscy się pochylili, wbili wzrok w podłogę. W szatni zapadła bezwzględna cisza.

– Kapitanie? – odezwał się do mnie.

Zakląłem w duchu, ale ze spokojną miną spojrzałem mu w oczy. Wiedziałem, że nie mogę okazać wahania ani strachu, bo jeśli Wrzaskun wyczuje coś dziwnego, na pewno się mnie uczepi i może być nieprzyjemnie.

– Wiesz coś? Ktoś z nim był? Sam pił? – dopytywał.

– Nie mam pojęcia – gładko skłamałem z niewinną miną. – Nie widziałem się z nim wczoraj po treningu.

Trener przez chwilę nie odrywał ode mnie wzroku.

– Jak można być takim debilem? Na kilka dni przed ostatnim, najważniejszym meczem!

Odetchnąłem z ulgą, gdy Huczny odwrócił wzrok.

– Nie mógł, kurwa, wytrzymać? Po sobocie mógł chlać aż do usranej śmierci, to nie… – Trener nakręcał się, krążąc po szatni. Podniósł głos: – Kto jeszcze się napierdolił? Jeśli nie chcecie zdobyć mistrza, to mówcie. Śmiało! Będą grali ci, co chcą. Nikogo, kurwa, nie zmuszam.

Wzburzony rozglądał się wokół, niesforny kosmyk włosów zsunął mu się na skroń, lecz nie zwrócił na niego uwagi. Ciszy nie zakłócił nawet głębszy oddech, wszyscy z pochylonymi głowami gapili się w podłogę, a trener jak drapieżnik wypatrywał ofiary.

– Chcesz grać? – wrzasnął tuż nad głową Kaczki.

Biedny Piotruś aż podskoczył ze strachu.

– Tak – odpowiedział cicho, nie podnosząc głowy.

– Co?! – ryknął trener. – Mów głośniej, nie słyszę, co tam mamroczesz, może też piłeś z Jabolem?

– Nie, znaczy tak… – plątał się. – Nie piłem, chcę grać.

Blady Kaczka spocił się już przed treningiem, a teraz patrzył na mnie błagalnie, jakbym mógł go uratować.

– Przez tych kilka dni do meczu macie być jak dziewice panny – perorował trener, przechodząc wzdłuż ławek. – Nie chcę żadnych afer, nie chcę słyszeć, że coś robiliście, gdzieś byliście. Ma was nie być dla świata. Nigdzie nie wychodzicie, siedzicie na dupach w domu i nigdzie indziej, zrozumiano? Ostrzegam, będę sprawdzał wieczorem obecność. Nie żartuję. Tylko boisko się teraz liczy! Później róbcie, kurwa, co chcecie, ale dopiero po meczu. Sobota to najważniejszy dzień waszego życia. Zrozumiano?

Wszyscy pokiwali głowami.

– Wychodzimy.

Odetchnęliśmy z ulgą.

– Marian – Wrzaskun spojrzał na asystenta – rozgrzewka szybkościowa, postartujemy trochę w połączeniu z treningiem strzeleckim. Przyłóżcie się do rozgrzewki, żeby mi tu kontuzji mięśniowych jakichś nie przybyło. Idziemy.

Atmosfera od razu się oczyściła, jakby ktoś wpuścił powietrze do szatni. Trener z asystentem wyszli, rozległy się przytłumione śmiechy.

– Chcesz grać, kurwa? – Babka naśladował trenera, pochylając się nad Kaczką. – Jak chcesz rzygać albo zmienić majtki, to masz, kurwa, ostatnią szansę, a teraz, kurwa, zapierdalaj, dziecko, z dzienniczkiem po rodziców.

Chwycił Kaczkę za ucho i lekko pociągnął, ten wyrwał mu się i z naburmuszoną miną wyszedł, odprowadzany śmiechem piłkarzy.

Na zewnątrz przywitał nas taki upał, że wystarczyło chwilę postać na słońcu, by być odpowiednio spoconym do zakończenia treningu. Równo ścięta trawa gdzieniegdzie zaczynała tracić zielony kolor z powodu braku wody i palącego słońca. Witek podszedł do mnie, trzymając piłkę pod pachą. Pociągnął kilka razy nosem, wąchając mnie.

– Gorzelnia, że ho, ho. Przeżyjesz? Czemu nic nie wiedziałem o balandze?

Machnąłem ręką.

– Taka spontaniczna akcja, drobiazg. Przyszedłbyś?

– Pewnie nie, ale miło by było dostać zaproszenie.

Rzucił piłkę na trawę i kopnął do bramki.

Obracałem w ręku futbolówkę z wytartym napisem Terrestra, kiedyś niebieskim, wzór już dawno stracił kolor. Zakręciłem, trzymając ją między dwoma palcami, jajowaty kształt zaczął falować. *Made in Pakistan*, czegóż wymagać? Jakość sprzętu adekwatna do jakości ligi. Uderzyłem piłką oburącz o murawę, odbiła się wysoko, rotacja spowodowała, że skręciła w bok i robiąc mniejsze kozły, wpadła do bramki.

Marian zafundował nam swoją rozgrzewkę numer cztery, czyli szybkościową, ostatnią z repertuaru. Trzy pierwsze wyglądały następująco: ogólna – wariant stosowany prawie codziennie, nie wiadomo jaka i przygotowująca do nie wiadomo czego; infantylna – czyli zabawa cyferkami dla przedszkolaków albo kretynów; i dziadek – jak sama nazwa wskazuje: dla zaawansowanych wiekowo albo chcących sobie postać na boisku. Gdy już wykonaliśmy mnóstwo krótkich startów i Marian uznał, że jesteśmy gotowi, przystąpiliśmy do treningu strzeleckiego. Wrzutki, akcje skrzydłami, dośrodkowania kończone strzałem, akcje w dwójkach i trójkach. Po kilkunastu minutach Huczny zawołał nas na drugą połowę. Otoczyliśmy go spoconym, sapiącym kołem na czterdziestym metrze od bramki.

– Znacie to ćwiczenie, robiliśmy je już – objaśniał trener. – Startujecie w parach, zagrywam piłkę w stronę bramki, kto pierwszy przy piłce, jest napastnikiem, drugi obrońcą. Jasne? Jest nas nieparzyście – dodał, rozglądając się. – George, startujesz sam na końcu.

Patrząc na mnie, George kiwnął głową w stronę Babickiego.

Mój plan odnośnie do Babki na środowym treningu miał być prosty, ale skuteczny. Chciałem, żebyśmy albo ja, albo George po prostu „wycięli” Babkę, najlepiej od razu za pierwszym podejściem, ale jeśli się nie uda, mieliśmy się do niego „przyklejać” przy każdej nadarzającej się okazji i wyrąbać go bezwzględnie. Problem polegał na tym, że tych prób nie mogło być zbyt dużo, by nie wzbudzić podejrzeń. Nie była to zbyt wyrafinowana taktyka, lecz po chaosie taktycznym w Koksie wolałem maksymalnie uprościć założenia, licząc na większą skuteczność.

Analizując grę przeciwnika, dobry trener szybko zauważy jego najsilniejsze punkty, które wymagają neutralizacji. Gdy drużyna rywala jest groźna nie dzięki współpracy, organizacji gry, lecz dzięki wybitnym indywidualnościom, które decydują o jakości zespołu, to dobry strateg musi umieć je dostrzec i znaleźć sposób na wyłączenie ich z rozgrywki. Plaster to sposób na kluczowych zawodników przeciwnika. Nie jest to może

najnowocześniejsza taktyka, ale kiedyś stosowano ją nagminnie, a co najważniejsze – była bardzo skuteczna.

– No chodź, Babuniu, sprawdzimy twoją słynną przereklamowaną szybkość – prowokowałem Babkę, by startować z nim w parze. Poklepałem go po plecach. – Jesteś gotowy na porażkę?

– Mam się z dziadkiem ścigać? – zaśmiał się, ale widziałem, że połknął haczyk. – Starszym panom ustępuje się miejsca.

Babicki był bardzo szybkim piłkarzem, nie wiem, czy nie najszybszym skrzydłowym w lidze. Ja wolny też nie byłem, ale miałem małe szanse na wygranie z nim wyścigu, chyba że lepiej wstrzeliłbym się w start.

– No chodź, pokaż. Takich jak ty wciągam nosem.

Stanęliśmy po obu stronach trenera, gotowi do startu, w rozkroku, pochyleni lekko do przodu, kątem oka obserwując Hucznego i czekając na sygnał. Nie czułem się najlepiej, kac ciągle dawał o sobie znać, ale w takich momentach potrafiłem się skupić tylko na celu.

Wrzaskun słyszał, jak się przekomarzamy, i też się dobrze bawił; próbował nas zmylić, markując kopnięcie piłki. W końcu zagrał. Futbolówka potoczyła się w kierunku bramki. Wystartowaliśmy, od początku Babka miał lekką przewagę, ale trzymałem się go blisko. Gdy dogoniliśmy toczącą się gałę, chcąc zniwelować przewagę Babki, a jednocześnie go sfaulować, rozpędzony położyłem się do wślizgu. Przejechałem na tyłku dobrych kilka metrów z wyciągniętą nogą, wycelowaną jak kopia na turniejach rycerskich, lecz Babka dziobnął sobie piłkę szpicem buta, zgrabnie przeskoczył nade mną i popędził naprzód. Zostałem na murawie, z daleka obserwując, jak kładzie Rogala zwodem i przy aplauzie kolegów wprowadza piłkę do pustej bramki.

– Trawę z dupy wyjmij – nabijał się ze mnie Babka, gdy wracał na środek boiska.

– Poczekaj, cwaniaczku, zaraz rewanż. – Uśmiechałem się, ale aż trząsłem się ze złości.

Przypomniał mi się Robert Lipiec. Aż mnie zmroziło na wspomnienie tej sytuacji. Schyliłem się i pomasowałem sobie kolano.

Przyjaźniłem się z Robertem, razem weszliśmy w wielki futbol, tworzyliśmy prawie nierozłączną parę: wspólne wypady na dyskotekę, na obozach zawsze razem w pokoju, na treningu jeden obok drugiego. Jego mama często zapraszała mnie na obiady, martwiąc się, że sam w obcym mieście pewnie przymieram głodem. Jeśli w tamtym okresie mogłem

o kimś powiedzieć, że jest moim przyjacielem, to na miano to zasługiwał tylko Robert.

Po roku, gdy nie udało mu się przebić do pierwszego składu Centrum, został wypożyczony do Wandy Kraków, a jesienią spotkaliśmy się na boisku jako zawodnicy przeciwnych drużyn. Pamiętam ciężkie, skłębione chmury, mokre boisko po deszczu, idealne do wślizgów. Stadionik to był mały, obskurny skansen z czasów socjalistycznych, w niezmienionym od lat stanie. Mecz też nie przyciągnął jakichś wielkich tłumów. Grałem wtedy eksperymentalnie na defensywnym pomocniku. Robert występował na bocznej obronie, bo trener lekko go przekwalifikował.

Podczas tej feralnej akcji w pierwszej połowie meczu Robert włączył się do ataku na skrzydle, na pełnej szybkości prowadził piłkę w bocznej strefie. Ja zszedłem na asekurację do boku, Robert potknął się na nierówności, piłka odskoczyła mu na kilka metrów i potoczyła się w moim kierunku. Pędziliśmy naprzeciw siebie jak dwie sapiące lokomotywy.

Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy: ja, rozpędzony, wszedłem wślizgiem, jedna noga wyprostowana, druga zgięta w kolanie jak przy siadzie płotkarskim. Z naprzeciwka Robert chciał wysuniętą do przodu nogą dziobnąć piłkę, by mnie uprzedzić. Wyciągnął stopę do przodu, całym ciężarem stanął na tej nodze i w tym momencie cała moja prawie osiemdziesięciokilowa masa wpadła na niego z impetem. Było mokro, miał długie kołki w butach, więc zakotwiczył obciążoną nogę doskonale, a do tego ustawił ją pod tak nieszczęśliwym kątem, że nawet nie miała szansy zamortyzować uderzenia.

Rozległ się głośny trzask. W pierwszej chwili pomyślałem, że pękł mu ochraniacz, ale wycie, które rozległo się chwilę później, uświadomiło mi, że stało się coś dużo gorszego. Spojrzałem w dół. Noga Roberta był zgięta pod nienaturalnym kątem, on patrzył na nią i upiornie zawodził z bólu. Zrobiło mi się słabo, czas stanął w miejscu. Nie wiedziałem, jak mu pomóc. Na boisko błyskawicznie wjechała karetka. Gdy go opatrywali, stałem bezradnie obok, z trybun leciały wyzwiska, kibice nie przepuścili takiej okazji, a Robert non stop krzyczał, nie przestawał zawodzić i jęczeć. Nie mogłem tego słuchać, dźwięk świdrował mi w głowie, chciałem go zakneblować, dać mu coś, cokolwiek, byleby przestał się wydzierać.

Trafiłem go kolanem mojej zgiętej nogi, siły się zsumowały, jego noga została zaklinowana i obydwie kości, piszczel i strzałka, pękły jak zapałki. Patrzyłem później na modele kości piszczelowej i zastanawiałem się, jak

można złamać taką grubą pałę. Gdybym chciał, tobym nie umiał tego zrobić, a tu obydwie trzasnęły jak suche gałązki. Gdybym był choć trochę szybszy, gdybym ustawił się o metr bliżej, gdyby Robertowi piłka odskoczyła na mniejszą odległość, do całej sytuacji by nie doszło, a on może dalej grałby w piłkę. Głupie kilkanaście centymetrów, długość korków – nie zakotwiczyłby się; nawet pogoda – gdyby nie deszcz, nie dojechałbym wślizgiem; inny kąt ustawienia nogi – siły inaczej by się rozłożyły i może nic by się nie stało!

Zgruchotałem kość piszczelową i strzałkową najlepszemu koledze.

Za to Babicki szedł cały i zdrowy. Przyglądałem mu się, jak z dumnie wypiętą piersią i uśmiechem prowadzi piłkę w stronę trenera.

Jak człowiek nie chce, to najlepszemu przyjacielowi złamie karierę, a jak chce przypierdolić takiej łajzie jak Babka, to nie może go trafić!

Przesunąłem się na bok, by zrobić miejsce następnym startującym piłkarzom. Odkleiłem mokrą koszulkę od pleców. Kolano znowu zaczęło mnie boleć. Jeszcze tylko tego brakowało, pomyślałem, żebym sobie więzadło do reszty rozpieprzył. Poprawiłem getry, sprawdziłem lekko obtarty bok uda.

Przeleciała obok mnie piłka, za którą pędzili Kaczka i Mirek. Minęli mnie w pędzie, nagle Kaczka wyprostował się, zwolnił, kuśtykając, i chwycił się z tyłu za udo, krzywiąc się z bólu. Podszedłem do niego.

– Co się stało?

– Ukłuło mnie. Chyba naciągnąłem mięsień. – Pochylony, macał się po tylnej części uda.

– Dasz radę?

– Boli jak diabli. Nie wiem. – Pokręcił głową.

– Nie możesz odpuścić, jeden mecz został – ciągnąłem dalej tę komedię. – Teraz chcesz się poddać?

– Sam nie wiem. Nie chcę go urwać, kłuje mnie.

– Każdego coś kłuje, mnie czasem w chuju strzyka. – Podniósł wzrok, nie wierząc w to, co słyszy. – Żartuję, nie ma co ryzykować, zrobisz sobie jeszcze większą krzywdę.

Poklepałem go po plecach. Spojrzał na mnie dziwnie, nie wiem, może wyczuł drwinę, bo się odsunął.

Wcześniej w okresie przygotowawczym modliliśmy się, by trener nie dawał mu zegarka z pulsometrem, bo gdy narzucał tempo, reszta grupy umierała. W czasach, gdy elektronika dopiero wkraczała w trening,

mieliśmy tylko trzy zegarki i czujniki tętna. Po badaniach wydolnościowych trenerzy dzielili zespół na trzy grupy pod kątem wytrzymałości i każda grupa używała jednego zegarka, a na każdym treningu kto inny zakładał pulsometr.

Biegaliśmy na przykład osiem razy po osiemset metrów, z przerwą po każdej „osiemsetce”, by tętno spadło nam poniżej stu pięćdziesięciu uderzeń na minutę. Gdy Kaczka miał zegarek, to zapieprzał osiemset metrów prawie na pełen gaz, a tętno ledwo przekraczało mu sto pięćdziesiąt, kiedy zaś się zatrzymywał, po kilku sekundach zegarek piszczał, że czas biec następne okrążenia.

Biegałem z pieprzonym Kaczką kilka razy i były to najgorsze treningi w moim życiu. Osiem razy osiemset metrów trzeba było zrobić ciurkiem, praktycznie bez przerw; przed oczami miałem mgłę, płuca paliły mnie ogniem, miałem wrażenie, że poruszam się w zwolnionym tempie, a ważę kilka razy więcej niż normalnie. Biegłem jak automat, usiłując wyłączyć głowę, żeby o niczym nie myśleć, bo bezmyślność pozwalała w takich chwilach dotrzeć do mety. Grupa się rozciągała, a Kaczka dostawał tyle jobów, wyzwisk i przekleństw, że po treningu uciekał do szatni, by go nikt nie zlinczował. Uciekał? Raczej biegł lekkim truchtem, jakby był przed treningiem, a nie po, i niby się usprawiedliwiając, pokazywał ciągle piszczący zegarek. A my na miękkich nogach, potwornie zmęczeni, człapaliśmy pod prysznic. Był niezniszczalny.

Podbiegł do nas Wojtek z walizką medyczną i zaczął „leczyć” symulkę Kaczki, a ja wróciłem do grupy zawodników czekających na swoją kolej. Właśnie wystartował do piłki George, jako ostatni był bez rywala, więc po prostu popędził na bramkę. Tuż przed Rogalem zrobił zwód, że niby uderza, bramkarz usiadł na tyłku, a George chciał przelobować go podcinką. Rogal jednak nie dał się oszukać i złapał futbolówkę w ekwilibrystycznej pozie. Następnie, rozjuszony, zerwał się szybko i potężnym kopnięciem wyekspediował ją w trybuny na drugim końcu boiska.

– Śladem. – Wskazał George’owi kierunek. – Lobować to możesz młodego, nie mnie.

– No jakże ja mógł pana piłkarza lobować?

George potulnie potruchtał szukać piłki. Gdy mijał kuśtykającego do szatni Kaczorka, poklepał go po plecach i rzucił coś w przelocie, na co Kaczka przystanął i odwrócił głowę, spoglądając za nim.

Babka stał za trenerem i uśmiechał się do mnie ironicznie. Wypiął pośladek, dotknął go palcem i syknął. Patrzyłem na niego, ale myślałem o Lipcu i jego złamanej nodze, o trzasku pękających kości, o krzyku Roberta, i zastanawiałem się, co ja właściwie robię.

Ponownie stanęliśmy po dwóch stronach trenera. Kopnął piłkę. Wystartowaliśmy. Muszę przyznać, że był naprawdę szybki, spiąłem się na maksa, wycisnąłem z siebie, ile fabryka dała, a i tak znowu był pierwszy przy piłce, choć wyprzedził mnie jedynie o włos. Byłem o kilkanaście centymetrów za nim. Ponownie dziobnął piłkę szpicem buta i chciał przeskoczyć nad moim wślizgiem, jak poprzednio, ale tym razem byłem celny. Co prawda piłki nie trafiłem, ale piznąłem Babkę tak, że przekoziołkował przez plecy i z wrzaskiem złapał się za nogę. Natychmiast, nie zważając na ból, poderwał się gotowy do bójki.

– Zwariowałeś? – zaperzył się.

– Przepraszam, Babciu, nie chciałem. – Usiłowałem jednocześnie ukryć satysfakcję, niezadowolenie, że jednak wstał, i ulgę, że nie złamałem mu obydwu kości.

Babka pochylił się, macając staw skokowy. Trafiłem go tuż nad kostką, duże zaczerwienione obtarcie wyglądało spod getry. Może trochę spuchnie, ale wiedziałem, że to nic poważnego. Siedziałem, trzymając się za kolano, które coraz bardziej mi doskwierało, martwiąc się, czy wytrzyma kolejne próby. Ciąg dalszy polowania na Babkę musiał nastąpić.

– To tylko trening, kurwa. Pojebało cię?

– Przestań marudzić, żyjesz – bagatelizowałem temat. – Chciałem trafić piłkę.

– Piłkę? Była dwa metry dalej! – Pokręcił głową i poprawił getrę.

Obydwaj wróciliśmy do grupy, utykając. Już nie było nam tak wesoło. Obrzuciliśmy się ponurymi spojrzeniami i stanęliśmy z dwóch stron piłki.

– Panowie, ostrożniej, bo się pozabijacie – skwitował lekko zaniepokojony trener. – Jak kolano, Roman? George, przebiegnij się w parze z Michałem.

Babka uśmiechnął się do George’a i posłał mu całusa, cmokając.

– Będzie dobrze – rzucił Huczny do asystenta. – Energia ich rozpiera przed meczem.

George spojrzał na mnie i stanął w kolejce. Liczyłem, że ma świadomość, iż to jedna z ostatnich szans na wyeliminowanie Babki,

a w kolejce czekał jeszcze Rogal. Gdy stanęli na starcie, pomyślałem, że może zwiększę szanse George’a na trafienie, jeśli podpuszczę Babkę.

– Widzę, że trener synka traktuje ulgowo. Następnym razem z maserem się będziesz ścigał?

– Dzwonek, o co ci chodzi?

– O to, że trenując szybkość, trzeba biegać na maksa, a nie wlec się na luzie. Na tle żółwia to i krowa jest szybkościowcem. Może jakieś fory mu chociaż daj – stwierdziłem i pomyślałem, że przy okazji warto podpompować George’a.

Ten spojrzał na mnie urażony.

– Sam żółw ty.

Był dobrze wyszkolony technicznie, piłka mu nie przeszkadzała, miał obydwie nogi „ułożone”, czy to z prawej, czy z lewej grał dokładnie „na nos”, ale szybkość nie należała do jego mocnych stron. Wiedziałem, że Babka na pięciu metrach zyska dwumetrową przewagę. Jeśli nic nie zrobię, to George nie będzie miał nawet szansy, by go kopnąć.

– Zrób obrót wokół osi i wtedy go złap. Dasz radę? Taki szybki cwaniak jesteś? – prowokowałem.

Babka popatrzył na George’a, jakby szacował jego możliwości. Uśmiechnął się lekceważąco i zaserwował mi spojrzenie pod tytułem „mówisz i masz, frajerze”.

– Zabiegnij mu drogę – szepnąłem George’owi, przechodząc obok.

Ustawili się po dwóch stronach trenera. Huczny kopnął piłkę, George pobiegł od razu w lewo, żeby Babka, wyprzedzając go, musiał zrobić jeszcze większy łuk w drodze do piłki. Tuż po starcie Babicki obrócił się błyskawicznie wokół osi, co dało George’owi metr, może dwa przewagi. Po kilku krokach pomyślałem, że może George ma szansę wygrać wyścig, ale dotarło do mnie, że przecież ma Babkę wyciąć, a nie wyprzedzić. Gdy Babicki skończył piruet i przyspieszył, straciłem złudzenia. Dystans między nimi zmniejszył się w ułamku sekundy, nawet ta wydłużona droga do celu i obrót nie przeszkodziły Babce wyjść na prowadzenie. Dopadł do piłki z przewagą metra i podprowadził ją do szesnastki, lecz zrobił jeden mały błąd: zwolnił tuż przed strzałem, podejmując decyzję, gdzie uderzy. Składając się do kopnięcia, dał czas George’owi na dobiegnięcie i zrobienie wślizgu z wyprostowaną nogą… Rozpędzony prawie siedemdziesięciokilogramowy piłkarz wjechał „sankami” w Babickiego.

Rozległ się okrzyk bólu. Babka zrobił salto i upadł na murawę, trzymając się za nogę.

George szybko wstał i przyglądał się zwijającemu się z bólu Babickiemu. Babka wystawił mu się idealnie, Hooyot miał nieruchomy cel. I ta czarna pierdoła nie trafiła! Znaczy, trafiła, ale nie w nogę postawną (wtedy na sto procent by go wyeliminował), tylko w tę, która miała kopnąć piłkę. Właściwie to Babka sam przypierniczył mu z całej siły w piszczel, zamiast piłkę kopnął wyprostowaną nogę George'a. Wrzasnął i padł, trzymając się za kostkę. Stłukł pewnie podbicie, ale już z daleka widziałem, że wstanie i nic mu nie będzie. Z bramki wypadł Rogal, wymachując rękami i wrzeszcząc, chwycił George'a za szyję i prawie go podniósł.

– Pojebało cię, czarnuchu? Chcesz mu nogę złamać? – wrzeszczał.

Wszyscy rzucili się w ich stronę. Pierwszy dopadłem Rogala, chwyciłem go od tyłu, zablokowałem mu ramiona i zacząłem odciągać od wierzgającego George'a. Dobiegł Witek i wepchnął się między Hooyota a Rogala. Ten ostatni znieruchomiał w moich objęciach.

– Puszczaj. Jestem spokojny… – warknął. Stał bez ruchu, a kiedy go wypuściłem, odwrócił się wolno do mnie.

– Nie musisz go tak chronić, Zygmunt – wycedził.

– Przed tobą muszę, jak widać. Staszka mi się nie udało, może chociaż George'a.

Spojrzał na mnie, zaskoczony, że wspomniałem o Staszku.

– A kto Babkę ochroni przed wami? – Rogal patrzył na mnie kątem oka, uważnie, chłodno, jakby cała wściekłość, która jeszcze przed chwilą w nim buzowała, nagle gdzieś zniknęła. Stał i po prostu się we mnie wpatrywał. Taki bezruch widziałem u Rogala pierwszy raz, zazwyczaj wybuchał, emocje buzowały w nim jak para w czajniku. Wystraszył mnie.

– Chujowy, co ty odpierdalasz? – włączył się w całą awanturę trener. – Co to jest? Koniec na dzisiaj, bo mi pół składu wypadnie z gry.

Zdejmując rękawice, Rogal cały czas mnie obserwował. Podniósł piłkę i kopnął ją z prostego podbicia w kierunku szatni. Maser obejrzał stopę Babickiego i zrobił mu okład z lodu.

– Stłuczenie, nic ci nie będzie – zawyrokował.

Babka podniósł się i ruszył w stronę budynku, lekko utykając, z jednym butem w ręku.

– Piesek! – wrzasnął Wojtek. – Masz darmowe piwo, kontrola antydopingowa, czekają w gabinecie.

Chociaż jedna dobra wiadomość, pomyślałem, łapczywie pijąc wodę. Resztkę wylałem sobie na głowę, żeby się ochłodzić. Gdy robiłem brzuszki, podszedł do mnie Witek. Padł ciężko na trawę; leżał na plecach ze zgiętymi nogami, lekko nimi potrząsał, by rozluźnić mięśnie.

– Nie mogę dojść do siebie po tych wahadłach, ledwo żyję. – Spojrzał na mnie i się uśmiechnął. – Ciebie, jak widzę, energia rozpiera.

– Chyba żartujesz? – fuknąłem, nie przerywając ćwiczenia. – Kolano napieprza mnie przy każdym kroku.

– Wkurwiający ten Babicki, nie? – Patrzył na Rogala i Babkę, którzy zmierzali wspólnie do szatni.

Nic nie odpowiedziałem, na zmianę unosząc i opuszczając tułów.

– Kilka lat temu z Podwalem graliśmy z Odrą, grałem na Poddębskiego. Pamiętasz go? – Przyłożył dłoń do czoła, by lepiej widzieć.

– Jego nie da się nie pamiętać – stwierdziłem.

– Ten to był dopiero wkurwiający, Babka to przy nim bobasek. W pierwszej akcji, blokując piłkę, wsadził mi palca w oko, później przy moim wślizgu z premedytacją stanął mi kołkami na łydce, opluł mnie ze trzy razy w pierwszych dziesięciu minutach meczu. Znasz mnie, raczej trudno mnie wyprowadzić z równowagi, ale po kwadransie miałem bielmo na oczach, pianę na ustach i widziałem tylko numer dziesięć na boisku. Nie odstępowałem go na krok, za wszelką cenę chciałem mu przypierniczyć, szarpaliśmy się co kilka minut. Wiesz, jak to się skończyło?

Spojrzał na mnie, mrużąc oczy, i krzywo się uśmiechnął.

– Przegraliśmy trzy zero, Poddębski zdobył dwie bramki, został wybrany zawodnikiem meczu. Ja w trzydziestej piątej minucie zobaczyłem asa kier i powędrowałem do szatni. Sprowokował mnie tak, że po jednej akcji nie wytrzymałem i sprzedałem mu kopa w dupę. Tak normalnie, z prostego podbicia, w pośladek, aż podskoczył. A potem ja w podskokach popędziłem pod prysznic, przy akompaniamencie jobów z trybun. Piękna historia, no nie?

Spojrzałem na niego przez ramię. Zastanawiałem się, czemu służyła ta opowieść. Aż tak rzucało się w oczy nasze polowanie na Babkę?

Podnieśliśmy się i wolno zmierzaliśmy do szatni. Kolano doskwierało mi jak diabli, przy każdym kroku czułem ból, ale bardziej martwiłem się tym, że zostały nam tylko dwa treningi na wyeliminowanie Babki i Rogala. Nie łudziłem się, że kontuzja Babickiego okaże się poważniejsza, no i pozostawał jeszcze Rogal.

Wszystkie dotychczas planowane posunięcia wymknęły mi się spod kontroli, sytuacja za każdym razem przebiegała w diametralnie inny sposób, niż zakładałem. Nie umieliśmy nawet wyciąć gościa, i to we dwóch, to jak mam myśleć o kierowaniu drużyną? Jak mam zmusić grupę ludzi do działania jako trener, gdy nie mogę osiągnąć czegoś tak prostego? Nie da się być jednocześnie piłkarzem i trenerem, nie można być twórcą i tworzywem.

Piłkarzom się wydaje, że wiedzą wszystko o pracy szkoleniowca, tymczasem prawda jest taka, że ich wiedza o trenerce obejmuje zaledwie jakieś pięć procent wszystkich zadań człowieka prowadzącego drużynę. Są aktywni zawodowo tylko przez kilka godzin dziennie, podczas gdy w byciu trenerem nie ma chwili przerwy, nawet gdy jest się złym szkoleniowcem. Zawodnicy przychodzą na trening, dostają sprzęt od magazyniera, trenerzy mówią im, co, jak i kiedy mają zrobić, maser ich pogłaszcze po nogach, wykąpią się i idą do domu. Uważają, że wiedzą wszystko o prowadzeniu drużyny, że jak powąchali piłkarskiej szatni, to już są gotowi do roli trenera. A przecież piłkarz ma nos tylko w swoich butach. Natomiast trener musi czuć smród każdego buta w szatni i skomponować z tego przyjemne perfumy dla tysięcy ludzi.

Prosto z boiska wszedłem do gabinetu lekarskiego i padłem na leżankę.

– *Doktore*, można coś zrobić z moim kolanem?

Spojrzał na mnie znad gazety, zdjął okulary.

– Zawsze coś można, czasem amputować, a czasem wyleczyć.

Do środka zajrzał Piesek.

– Śpieszę się, mo… mo… mogę na chwilę? – Spojrzał na mnie błagalnie.

– Nasikałeś już do słoiczka? – spytał doktor.

– Tak, już po… pojechali.

Kiwnąłem głową w odpowiedzi na pytający wzrok lekarza i rozłożyłem się wygodnie na drugiej leżance.

Maser na widok piłkarza ze zniecierpliwieniem przewrócił oczami.

– Znowu? – Piesecki go zignorował.

– Mógłby pan zerknąć, coś m… m… mnie pobolewa. Nie wiem, o tu – wskazał na pachwinę – p… przywodziciel czy może p… przyczep mięśni brzucha, ciągnie mnie. A może to… przepuklina?

– Przecież trenowałeś – stwierdził Wojtek. – Nie bolało?

– No… no… no nie, ale jak szedłem do szatni, to takie dziwne uczucie m… mnie naszło, wolę na zimne dmuchać.

– Może przestań ruchać – zaśmiał się Wojtek – samo przejdzie.

– He, he, bardzo śmieszne.

– Pokaż. – Lekarz spojrzał porozumiewawczo na zdziwionego Wojtka.

Zadowolony Piesek usiadł na drugiej leżance, uśmiechnął się do mnie.

– Nie siadaj, wyprostuj się – doktor chwycił go za łokieć, zmuszając do wstania – ściągnij spodenki.

Pieskowi zrzedła mina, ale posłusznie opuścił gacie do kolan. Doktor się odwrócił, wyjął z szuflady lateksowe rękawiczki i je założył, strzelając głośno z gumy. Piesek niepewnie chrząknął, jakby wyczuwając, że wpakował się w kabałę.

– Muszę coś sprawdzić – uśmiechnął się uspokajająco doktor – to takie nietypowe badanie, trochę krępujące, ale da mi odpowiedź, skąd ten ból.

Piesek popatrzył na lekarza z lekką paniką i przełknął nerwowo ślinę. Wojtek odwrócił się tyłem do nich i widziałem, że próbuje ukryć uśmiech. Doktor delikatnie chwycił Pieska za jądro.

– Powiedz, kiedy zaboli.

Pociągnął lekko w dół, Piesek zacisnął zęby, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku, tylko oczy zrobiły mu się trochę większe.

– Boli? – niewinnie spytał lekarz.

Piłkarz pokręcił głową na wstrzymanym oddechu.

– A teraz? – Pociągnął go za drugie jądro.

– No… no… no nie – sapnął Piesek, stojąc napięty jak struna.

– Rozluźnij się, bez napinki. To standardowe badanie. Kaszlnij – polecił doktor, cały czas ciągnąc Pieska za jajco. – A teraz boli? – ponownie spytał, gdy pokój wypełnił kaszel Pieska.

Uchylone dotąd drzwi otworzyły się na całą szerokość, do środka wpadła stłoczona grupa piłkarzy z Babką na czele. Wszyscy zataczali się ze śmiechu.

– Doktorze, mleka z tego nie będzie. Co za, kurwa, dzwony! – krzyczał Babicki. – Dojenie pieseczka? Też mogę spróbować? Może Rogal? On wychowany na wsi, zna się.

– No, teraz będziesz musiał je podwiązywać, żeby ci się nie majtały między nogami.

Ryknęliśmy śmiechem, razem z Babką, doktorem i chłopakami.

– Spierdalaj p… pedale – rzucił Piesek do Babki i szybko podciągnął spodenki.

– Czekaj, jeszcze nie skończyłem. – Doktor, krztusząc się, bezskutecznie usiłował zachować powagę. – Odwróć się, pochyl i rozstaw nogi.

Pokój ponownie wypełniły nasze ryki. Wojtek leżał przewieszony przez kozetkę i uderzał w nią z całej siły, dusząc się ze śmiechu. Babka prawie płakał, oparty o framugę drzwi trzymał się za brzuch. Piesek popatrzył tylko na nas z wyrazem pogardy, czerwony na twarzy odepchnął Babkę i wyszedł.

– Koniec przedstawienia, wynocha – stwierdził doktor, rechocząc, i zamknął drzwi gabinetu za roześmianym towarzystwem. – Roman, już zabieram się do ciebie, tak serio.

Uśmiechnąłem się.

– Bylebym nie musiał ściągać gaci.

Lekarz zdjął rękawiczki, umył ręce i pochylił się nad moim kolanem. Gdy mnie badał, zza zamkniętych drzwi docierały do nas odgłosy rozbawienia z szatni. Babka w dalszym ciągu darł łacha z Pieska, nazywając go wielkim jajem i wiszącym worem.

– Nie powinieneś grać – stwierdził po kilku chwilach doktor, trzymając mnie jedną ręką za staw skokowy, drugą przy kolanie. Lekko poruszał moją nogą w różnych kierunkach. Leżałem wczepiony dłońmi w krawędź łóżka, myśląc tylko o tym, żeby już skończył. Przy kilku jego ruchach mało nie spadłem z kozetki, sycząc z bólu. Lekarz przysiadł obok, poklepał mnie po udzie.

– Nadajesz się do operacji. Zapomnij o grze.

– Doktorze, ja muszę zagrać w tym meczu – powiedziałem z naciskiem. – Aż tak nie boli, wytrzymam.

– Jeśli będziesz grał, to sytuacja może się mocno skomplikować.

– Został jeden mecz. Dziewięćdziesiąt minut. Zastrzyk przeciwbólowy i będzie okej. – Podniosłem się i spuściłem nogi na podłogę. – Przecież już nieraz tak było. Nie ma tragedii, aż tak nie boli. Po meczu kładę się na stół. Obiecuję.

Doktor pokręcił głową i przyglądał mi się z uwagą, mrużąc oczy.

– Wiesz, czym ryzykujesz? – Odkręcił wodę i wsunął ręce pod strumień.

– W końcu kto zna lepiej mój staw niż ja? – Usiłowałem obrócić sytuację w żart, lecz lekarz nawet się nie uśmiechnął.

– Później całe kolano może być do wymiany. Na znieczuleniu zrobisz ze stawu miazgę. Chcesz tego?

– Nic mi nie będzie.

Popatrzył na mnie uważnie, wycierając dłonie ręcznikiem.

– Mistrzostwo za kolano? Warto?

Gdyby wiedział, za co byłem gotowy ofiarować swoje kolano, chyba by się mocno zdziwił. Nie zamierzałem zostać kaleką, nieraz grałem na blokadzie i jakoś to przeżyłem bez większych szkód, więc i tym razem bagatelizowałem problem, licząc, że jakoś to będzie. Tyle razy się udawało, więc dlaczego teraz miałoby być inaczej?

– Robisz to na własną odpowiedzialność. Zgadzam się tylko dlatego, że jesteś doświadczonym piłkarzem i wiem, że się nie podpalisz. Okej? Pamiętaj, ostrzegałem cię.

– Dam radę. – Uśmiechnąłem się i zeskoczyłem na podłogę.

– Zaraz, gdzie uciekasz? Jeszcze płyn ci muszę ze stawu ściągnąć.

Wróciłem na leżankę, a doktor podszedł do mnie ze strzykawką.

– Jeszcze chwila i poczujesz ulgę. – Skupiony wbijał mi igłę w kolano. – I pamiętaj o stabilizatorze. Zawsze coś.

Szatnia była prawie pusta, jedynie grudki ziemi i kałuże wody naniesionej spod prysznica na kafelkach podłogi informowały, że odbył się trening. George z telefonem przy uchu zasygnalizował gestem, że poczeka na zewnątrz, i zniknął w drzwiach. Przed lustrem stał w samych slipach Babicki i nacierał twarz kremem. Po dobrym humorze sprzed kilku minut nie było śladu. Z poważną miną tarł skórę, metodycznie i dokładnie, wpatrując się z uwagą w swoją twarz. Zostaliśmy sami. Odprowadził mnie wzrokiem, gdy przechodziłem za jego plecami. Poklepał się po policzkach i usiadł na swoim miejscu.

– Zobacz. – Wyciągnął nogę i wskazał dwie krwistoczerwone pręgi. – Piękne, kurwa, szlaczki, nie?

– Zdarza się. – Wzruszyłem ramionami, poprawiając koszulkę. – Piłka to gra kontaktowa.

– Dobrze, kurwa, że mam trochę gazu, nie wiem, jak by się to skończyło, gdybym nie był tak szybki.

– Ach, szybki, skromny, wspaniały.

– No co? Nieprawda? Dzięki temu stoję tu, kurwa, cały, a nie leżę w szpitalu – nacierał.

– Zaraz przyniosę chusteczkę, żebyś sobie popłakał.

– Dzwonek, kurwa – rzekł z wyrzutem Babicki. – Naprawdę nie chcę się kłócić, ale najpierw napierdalasz wślizgami bez sensu, a teraz drwisz

i nawet przeprosić nie umiesz. Takie to trudne?

Świadomość, że poucza mnie ktoś taki jak Babicki, podniosła mi ciśnienie w ułamku sekundy.

– A wy Staszka przeprosiliście? – wypaliłem bez namysłu. – Zajebaliście mu bez skrupułów oszczędności życia. I co? Przeprosiliście?

Speszył się lekko, spuścił wzrok i usiadł.

– Zwrócimy mu szmal, nie martw się, jak tylko prezes coś wypłaci albo wygramy w poksa. A poza tym do niczego go nie zmuszaliśmy. – Wzruszył ramionami. – Sam chciał.

– O, rozumiem, że na siłę wam wepchnął szmal, a wy broniliście się przed nim rękami i nogami.

– Dzwonek, czego ty, kurwa, chcesz? To takie dziwne? Wydawało się, że trafiła się nam okazja, „dawcy", kurwa, ruscy frajerzy. Łatwy szmal, nie skorzystałbyś? – Spojrzał na mnie z nadzieją, że potwierdzę.

– Nie.

– Pierdolisz – przeszedł do kontrataku. – Myślisz, że co, wszyscy są ślepi i głupi? Grasz takiego świętoszka i zamydlisz wszystkim oczy?

– O czym ty gadasz?

– O olimpiadzie, kurwa, tak ni stąd, ni zowąd sobie niby kopnąłeś? I mam w to uwierzyć? Kogo chcesz oszukać?

Zaniemówiłem. Siedziałem i gapiłem się na niego, nie wierząc w to, co słyszę.

– A to volvo muzealne to za co kupiłeś? W klubie nie płacili od lat, te zabytki są przecież dwa razy droższe od nowych. Spadek? Babcia umarła? Ustawiłeś zakład u buka przed meczem o brąz i jeszcze ci, kurwa, fair play dali.

– To było ponad dziesięć lat temu! – wydukałem. – Auto mam trzy…

– Ale ja nie mam o to pretensji. Normalne – kontynuował jakby nigdy nic. – Zobaczyłeś szansę, skorzystałeś i już. Trochę szmalu wpadło. Koniec, kropka. Każdy by tak zrobił. My też tak chcieliśmy.

Wstałem i zrobiłem dwa kroki w jego kierunku z zaciśniętymi w pięści dłońmi. Babka także się podniósł, gotowy do konfrontacji. Gotowało się we mnie, ale się opanowałem. Zatrzymałem się na środku szatni.

– Nie mierz wszystkich swoją miarką – wycedziłem zimno. – Nie każdy jest tak zaradny jak ty.

Odwróciłem się i szybko wyszedłem z szatni. George czekał w otwartych drzwiach auta; przyglądał mi się, gdy energicznie zmierzałem w jego

kierunku.

– Co się stało? – spytał, kiedy wsiadłem do samochodu.

– Nic – warknąłem.

– Przecież widzi. Co z Rogalem i Babką?

– Słucham cię – odwarknąłem ze złością. – Jestem otwarty na propozycje.

– Trzeba ich się pozbyć – stwierdził rozbrajająco.

– O dzięki, cóż za odkrywczy pomysł. Rozwiąże wszystkie nasze problemy. Podwieziesz mnie – bardziej stwierdziłem, niż spytałem.

– Jak zapłaci za benzynę – rzekł, szczerząc się, George.

– Masz diesla – odgryzłem się. Wyciągnąłem telefon z kieszeni. – Poczekaj, nie zapalaj.

Wybrałem numer do Niebińskiego.

– Otwórz okna, bo się tu ugotujemy… Witam, tu Roman – odezwałem się do słuchawki.

– Dochodzą mnie ciekawe wieści – usłyszałem radość w jego głosie. – Wiedziałem, że będzie ciekawie, ale nie przypuszczałem, że aż tak.

– Trzeba przyspieszyć antydoping, byli w klubie, pobrali próbki, teraz to tylko kwestia badań.

– W czym problem?

– Normalnie trwa to długo, nie wyrobią się do meczu, ale jest pewien skuteczny sposób.

– Jaki? – dopytywał się Niebiński.

– Pieniądze, jak zawsze, przyspieszone badanie kosztuje drożej, trzeba zapłacić i wyniki będą choćby jutro.

– Więc proszę zapłacić – oznajmił, jakby to było oczywiste, że to ja mam sięgnąć po portfel.

– Ja? – Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszę. – Kolega z drużyny płaci za przyspieszone badania? Zwariował pan? A poza tym czemu tylko ja inwestuję? A pan?

– Panie Romanie, to pana biznes, więc pana inwestycja.

Przed klubem zatrzymał się granatowy jeep. Obserwowaliśmy z George’em przez okno, jak Michał Babicki wychodzi z budynku, wsiada do auta i odjeżdża wraz z żoną i dzieckiem.

– Zrobimy tak: w drodze wyjątku Sternik przyspieszy badanie, oczywiście Gobet wyłoży pieniądze. Będzie naturalne, że właściciel rywala

chce grać czysto. Ale to dodatkowy koszt i dzielicie go między siebie. Załatwię to.

I się rozłączył.

– Kutwa jedna. Jedź – warknąłem.

– Co z Rogalem i Babką? – dopytywał się George. – Czasu coraz mniej jest.

– Trzeba było Babkę trafić, to mielibyśmy go więcej – wyładowałem złość na George'u. – Co się gapisz? Jedź. Zajmę się tym gnojem. Ty myśl, co zrobić z Rogalem. Tym skurwysynem Babką ja się zaopiekuję, choćbym miał mu nogi upierdolić.

George uruchomił auto i ruszył z piskiem opon. Na drogach właśnie zaczęły się godziny szczytu. Mimo wpadającego przez otwarte okna powietrza czułem się oblepiony upałem i zgiełkiem. A może to nie temperatura powodowała to uczucie brudu i lepkości?

Przez całą drogę do domu nie odezwałem się ani słowem.

6

Dobry trener wie, że bicie głową w mur nie przynosi efektów, tym bardziej że może to być niebezpieczne dla głowy. Uparte forsowanie zwartego bloku obronnego przeciwnika powoduje zazwyczaj tylko frustrację, drużyna traci wiarę w zwycięstwo i zaczyna zachowywać się nerwowo.

Krążenie wokół barykady przeciwnika pod bramką i czekanie na błąd jest jakimś wyjściem, ale wymaga dużo czasu i cierpliwości. Z jednej strony jest się w posiadaniu piłki, ale z drugiej nie przynosi to żadnych efektów w postaci choćby sytuacji strzeleckich, a można się nadziać na kontrę przeciwnika. Najlepszym sposobem na znalezienie dziury w systemie obronnym rywala jest przeniesienie gry w taką strefę boiska, w której wróg nie spodziewa się starcia i gdzie nie zdążył zbudować zasieków. Kluczową cechą jest tu szybkość ataku i element zaskoczenia, rywal nie może się domyślać albo nie może zdążyć dostosować się do skutecznego manewru taktycznego, jakim jest przeniesienie działań w nieoczekiwane miejsce.

I dokładnie tak postanowiłem postąpić.

Wiedziałem, że nie ma na co czekać, zbliżały się decydujące dla całej operacji chwile, a ja musiałem się określić, czy jestem odpowiednio zdeterminowany. Czy mam w sobie dość mocy i zdecydowania, by zrealizować cel? Luke Skywalker przebijał się frontalnie przez system obrony Gwiazdy Śmierci, lecz on znał lukę w jej zabezpieczeniach, wiedział, gdzie jest tunel wentylacyjny, no a poza tym miał za sobą zespół, który odwracał uwagę wroga; tymczasem ja byłem sam i miałem ograniczone informacje, więc musiałem działać trochę po omacku.

George podwiózł mnie do domu. Marii ani Emila jeszcze nie było, więc szybko, by się z nimi nie spotkać, przebrałem się, wygrzebałem z dna szafy rzeczy, w których albo wcale nie chodziłem, albo nie miałem ich na sobie od bardzo dawna. Idąc wzdłuż bloku, zobaczyłem znajomą zgarbioną sylwetkę sąsiada. Tym razem nie trzymał rąk w kieszeniach – dźwigał dwie wielki czarne torby, sprawiające wrażenie bardzo ciężkich. Zamek jednej z nich nie był domknięty, ze środka wystawała foliowa torebka z czymś żółtym w środku. Z daleka nie byłem w stanie dostrzec, co to, więc

zawróciłem. Zobaczywszy mnie, sąsiad zaczął biec w kierunku bloku, sapał ciężko i kołysał się jak kaczka, ale nie zwalniał. Plecami energicznie pchnął drzwi i zniknął we wnętrzu klatki schodowej. Gdy wpadłem do środka, usłyszałem tupot na jednym z wyższych pięter. Wbiegałem po kilka stopni, huk zamykanych drzwi uzmysłowił mi, że kolejny raz się spóźniłem.

Na osiedle pojechałem autobusem dziesiątką. Siedziałem w środku z wielką torbą na kolanach, modląc się, bym nie trafił na nikogo znajomego. Czapkę z daszkiem nasunąłem na oczy i pochyliłem głowę. W środku było sporo ludzi, jak to w porze powrotów z pracy, siedzące miejsca pozajmowane, kilka osób stało. Na jednym z przystanków wsiadł młody rudowłosy chłopak w dżinsach i niebieskiej koszulce, z plecakiem w ręku. Energicznie wskoczył do środka, akurat zwolniło się miejsce i wykorzystał sytuację, zajmując fotel. Rozejrzał się po twarzach, poprawiając duże niebieskie okulary na nosie, i zatrzymał wzrok na mnie. Pochyliłem głowę jeszcze bardziej i przesunąłem się tak, by ukryć się za stojącymi. Kątem oka dostrzegłem, że wychyla się zza pasażerów raz z jednej, raz z drugiej strony, by mi się przyjrzeć. Gdy został mi ostatni przystanek, okularnik zaczął grzebać w plecaku; zauważyłem, że wyciągnął długopis, i dalej czegoś szuka. Wstałem i ruszyłem w przeciwną część autobusu, by znaleźć się jak najdalej od niego. Obejrzałem się. Stał z długopisem i zeszytem w ręku, lekko zdezorientowany, gdy zobaczył na moim miejscu kogoś innego. Podniósł wzrok, a ja dostrzegłem błysk rozpoznania w jego oczach, gdy zaczął się przedzierać w moją stronę. Przyspieszyłem, od ostatnich drzwi w autobusie dzieliło mnie kilka metrów, klnąc w duchu na kierowcę, żeby jechał szybciej, dotarłem do tylnej szyby. Drzwi się otworzyły, przepchnąłem się przez oburzonych pasażerów, wyskoczyłem na zewnątrz. Nie zatrzymując się, szybkim krokiem oddaliłem się od autobusu. Gdy odwróciłem głowę, na przystanku nie było już ani pojazdu, ani pasażerów.

Uciekałem przed własnym kibicem, kolekcjonerem autografów! Poniosły mnie nerwy. Jeśli dalej będę tak dygotał i panikował, to nic nie osiągnę – pomyślałem. Wziąłem się w garść.

Od bloku Babickiego dzieliło mnie jakieś pięćset metrów. Nie chciałem iść przez osiedle, wybrałem dłuższą drogę, przez park, by nie spacerować pod oknami. Wjazd do garażu podziemnego znajdował się od strony parku, klatki umiejscowione były wzdłuż drogi dojazdowej do bloku. Stróżówka ochroniarska znajdowała się na szczęście przy wyjeździe z garażu, po

drugiej stronie budynku. Z czapką nasuniętą na oczy podszedłem do klatki, nacisnąłem piątkę w domofonie. Rozległo się pikanie.

– Tak?

Prawie podskoczyłem, gdy usłyszałem głos Babickiego. Biegiem oddaliłem się od drzwi i skierowałem do parku. Tam usiadłem na ławce, z której miałem dobry widok na cały blok. Zająłem miejsce w niedużej odległości od wjazdu, ale też widziałem, jakie auta opuszczają garaż. Była piękna słoneczna pogoda, dwadzieścia kilka stopni. Co chwila mijali mnie spacerowicze z psami, a ja udawałem, że czytam gazetę, którą wyciągnąłem z torby, czapkę dalej miałem nasuniętą na twarz najniżej jak się dało.

Po dwugodzinnej obserwacji wiedziałem, że ochroniarz pojawia się na obchodzie mniej więcej co trzydzieści minut, przechodzi spacerowym krokiem wzdłuż klatek schodowych i znika w garażu. Prawdopodobnie pokonuje całą długość bloku garażem, wstępuje do dyżurki i po półgodzinie ponownie przemierza całą trasę. Gość koło pięćdziesiątki, łysina, brzuch rozpychający czarny mundur. Podejrzewam, że mógłby paść na zawał, gdyby ktoś zmusił go do przebieżki dłuższej niż dwadzieścia metrów. Drugi, który pojawiał się na zmianę na obchodzie, był młodszy; szczupła sylwetka i energiczny krok sugerowały raczej kogoś sprawnego fizycznie. Zresztą pokonanie całej trasy zajmowało mu dużo mniej czasu, co mnie trochę martwiło, bo nie mogłem dokładnie określić, kiedy się pojawi.

Czas wlókł się niemiłosiernie. Zacząłem się bawić kamieniem, kopiąc go między stopami, ale zainteresował się nim jakiś kundel, więc przestałem. Właścicielka psa zaczęła coś szczebiotać, ale gdy usłyszała moje mruknięcie, szybko zamilkła i oddaliła się naburmuszona. Głębiej nasunąłem czapkę na twarz i dalej obserwowałem wyjazd z garażu. Prawa noga drgała mi niemiłosiernie, podskakiwała w górę i w dół, znieruchomiała dopiero, gdy położyłem na niej rękę i się rozluźniłem. Uświadomiłem sobie, że drga tak samo jak kolano Rogala przed meczem. Około dwudziestej, kiedy zacząłem się niecierpliwić, zauważyłem wyjeżdżającego z garażu jeepa Babki. Auto wolno potoczyło się osiedlową uliczką, błysnęło światłami i ruszyło w stronę głównej drogi. Wydawało mi się, że widziałem trzy osoby w środku.

Rozejrzałem się dookoła, w pobliżu nikogo nie było. Westchnąłem ciężko, wyjąłem z torby czerwoną bluzę. Ręce mi drżały, gdy zakładałem ją na siebie. Nasunąłem kaptur na głowę. Momentalnie zrobiło mi się gorąco. Zastanawiałem się, co ja tu robię, ale wspomnienie Staszka siedzącego jak

zbity pies przy barze i zadowolonej miny Babki przed lustrem w szatni spowodowało, że wziąłem się w garść. Odczekałem, aż ochroniarz, ten młodszy, zniknie w garażu. Spojrzałem na zegarek, by zapamiętać godzinę. Po kilku minutach przed wjazdem zatrzymał się seat, brama zaczęła się otwierać, więc szybkim krokiem ruszyłem w stronę bloku, tak by nie pojawić się w lusterkach auta. Gdy samochód zniknął w środku i drzwi zaczęły się zamykać, ruszyłem na miękkich nogach w stronę budynku. Wślizgnąłem się niepostrzeżenie do środka i przykucnąłem między autami. Serce waliło mi jak młotem, miałem wrażenie, że słychać je w całym garażu. Wnętrze było słabo oświetlone, panował półmrok. Seat zaparkował niedaleko, kobieta, szybko stukając obcasami, zniknęła w drzwiach prowadzących do klatki.

Nasłuchiwałem chwilę, ale panowała całkowita cisza, przerywana tylko odgłosami spływającej rurami wody. Pomieszczenie wyglądało jak standardowy, ponury garaż podziemny. Szare, obskurne ściany, betonowa podłoga z białymi liniami wytyczającymi miejsca parkingowe – skojarzyło mi się to z policyjnymi obrysami zwłok po morderstwach. Idealne otoczenie dla scen pełnych przemocy i strachu.

Znałem to wnętrze, wiedziałem, gdzie Babka trzyma samochód i które drzwi prowadzą do jego klatki. Kilka miesięcy wcześniej miesięcznik „Sport” wymyślił sobie cykl *Jak mieszkają piłkarze*, uparli się na mnie i Babickiego. Chodziło o dwa wywiady w mieszkaniach, u Babki i u mnie, ale powiedziałem, że nie wpuszczę ich do siebie, więc zrobiliśmy łączoną pogawędkę o mieszkaniu Babickiego, z moimi wypowiedziami i poglądami na temat wystroju wnętrz. Dobrze, że nie kazali nam gadać o zdrowym żywieniu, dietach i samoświadomości, dążeniu do celu i dbaniu o każdy szczegół. „To są te detale” – hasło przewodnie miesięcznika wnętrzarskiego brzmiące jak sugestia trenera analityka. Jedyny użyteczny efekt tego wywiadu był taki, że poznałem rozkład garażu Babki, choć wtedy nawet nie przypuszczałem, że ta wiedza mi się do czegoś przyda.

Szybko pokonałem odległość dzielącą mnie od drzwi do klatki, upewniłem się, że nikogo tam nie ma, i torbą zbiłem gołą żarówkę nad drzwiami. Odgłos pękającego szkła zabrzmiał jak wystrzał i poniósł się echem w pustej przestrzeni garażu. Nasłuchiwałem chwilę, nerwowo się rozglądając, gotowy przy najmniejszym hałasie schować się między autami, po czym nogą pozgarniałem większe kawałki rozbitego szkła pod ścianę. Zająłem pozycję kilka metrów od pustego miejsca postojowego Babki, tuż

obok wnęki w ścianie prowadzącej do komórek lokatorskich. Na betonowej podłodze widniał wielki namalowany numer – 1001. Usiadłem, opierając się o ścianę. Jak bardzo byłem spięty, zauważyłem dopiero teraz, gdy się rozluźniłem.

Spojrzałem na zegarek. Do przemarszu ochroniarza pozostało mi jeszcze kilka minut. Wyjąłem z torby kij bejsbolowy. Niezły miecz świetlny! – pomyślałem. Kupiłem go razem z torbą i czerwoną bluzą w sklepie sportowym; kolor nie był przypadkowy, chciałem skierować podejrzenia na kibiców Sternika, gdyby ktoś jednak mnie dostrzegł. Pustą torbę przełożyłem przez ramię i przesunąłem na plecy, by nie krępowała mi ruchów.

Usłyszałem trzaśnięcie drzwi i zbliżające się kroki. Zachrzęściło szkło, na moment zrobiło się cicho. Przylgnąłem płasko do podłogi między ścianą a maską samochodu. Znów rozbrzmiały kroki, wcisnąłem się prawie pod koła, leżąc w poprzek auta. Pisnął klakson i błysnęły światła samochodu, pod którym leżałem. Aż drgnąłem i uderzyłem plecami w rejestrację. Gdy trzasnęły drzwi i uruchomił się silnik, szybko przeczołgałem się za sąsiedni wóz. Było bardzo ciasno, odległości między autami niewielkie, kierowca zaczął cofać, lecz nagle się zatrzymał, w połowie wysunięty z miejsca parkingowego, pod kątem, tak że reflektory oświetlały ścianę tuż koło mnie. Zamarłem. Zobaczył mnie – pomyślałem. Trzasnęły otwierane drzwi. Zrobiłem się jeszcze mniejszy, skurczyłem się, nasłuchując, wciśnięty pod wysoką terenówkę.

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór – odpowiedział drugi głos, starszego mężczyzny.

– Panie Marku, żarówka chyba wybuchła, wszędzie pełno szkła. Nie ma pan na zmianę? Ciemno choć oko wykol.

– Zaraz posprzątam. Sprawdzę w stróżówce, czy mamy zapas. A jak nie, to jutro konserwatorowi zgłoszę.

– Dziękuję. Dobranoc. – Drzwi trzasnęły i auto powoli potoczyło się w kierunku wyjazdu.

Kroki starszego ochroniarza także zaczęły się oddalać. Ostrożnie się podniosłem; koszulkę miałem mokrą na plecach, po twarzy spływały mi strużki potu. Zdrętwiałą ręką, na której leżałem, przetarłem twarz. Bluza okazała się nie najlepszym pomysłem na tę porę roku. Miałem nadzieję, że nie znajdą zapasowej żarówki. Przesunąłem się o kilka miejsc, by oddalić się, na wypadek gdyby ochroniarzowi zachciało się sprzątać. Po kilku

minutach starszy pan pojawił się z pojemnikiem na długiej rączce i zmiotką w ręku. Nucąc melodię pod nosem, pozmiatał większe kawałki szkła, rozejrzał się i poszedł z powrotem.

Znów spojrzałem na zegarek. Nie byłem pewny, czy sprzątanie nie zakłóci planowanego obchodu za mniej więcej dwadzieścia pięć minut; tym razem powinien się pojawić młodszy strażnik. Wróciłem do miejsca postojowego 1001.

Wczoraj na parkingu przed klubem Babka wygadał się, że odwiezie rodzinę do teściów, nie wiedziałem, gdzie mieszkają i ile czasu zajmie mu dojazd. Jego żona była z Warszawy, więc liczyłem, że nie będę musiał czatować pod miską olejową do rana. Po rozmowie ochroniarza z kierowcą wolałem się zabezpieczyć i założyłem kominiarkę; oczywiście zrobiło mi się jeszcze cieplej, ale uznałem, że wytrzymam, choć sapałem prawie jak Darth Vader. Nie było mi zbyt wygodnie.

Babicki to gnida, która zasługuje na karę, jest skurwysynem, który okradł biednego chłopaka, notorycznie handlował punktami, kantował własnych kolegów – usprawiedliwiałem w myślach to, co chciałem zrobić, ale niewiele to dawało. Sam czułem się w potrzasku, wciśnięty w kąt, zagoniony w pułapkę jak dzikie zwierzę, przestraszony i znerwicowany. Bardziej jak ofiara niż sprawca.

Wbrew moim obawom jeep Babki pojawił się dosłownie po kilkunastu minutach. Schowany za stojącą kilka aut dalej skodą obserwowałem, jak ostrożnie wjeżdża na swoje miejsce parkingowe.

Z drugiej strony auta wysiadła żona Babickiego. Podeszła do tylnych drzwi i trzymając za rękę syna, pomogła mu zeskoczyć na ziemię. Zakląłem w myślach. Miał być przecież sam! Dlaczego nic nie może pójść tak jak trzeba?! Czy zawsze muszą pojawić się komplikacje, zmiany w ostatniej chwili?

– Następnym razem każ jej zadzwonić – warczał wyraźnie wkurzony Babka. – Zapieprzamy bez sensu przez całe miasto.

Trzasnęły drzwi i załączył się alarm.

– Wiesz, jakie ma podejście do elektroniki – usprawiedliwiała matkę żona. – Komórka to dla niej szatański wynalazek.

Trzymała pięciolatka za rękę i szła przed mężem w kierunku drzwi prowadzących na klatkę schodową.

Miałem kilka sekund na podjęcie decyzji. Gorączkowo zastanawiałem się, co robić. Jeśli zrezygnuję, nie będę miał czasu na wyeliminowanie

Babki i Rogala; zostanie mi tylko czwartek i piątkowy rozruch, na którym już nic nie zdziałam. Musiałem podjąć decyzję. Prawie jak na boisku: ułamek sekundy na przyjęcie piłki, ocenę sytuacji i dokonanie wyboru. Zwód, strzał, podanie czy wślizg? Trafisz albo nie. Wygrasz albo przegrasz.

Babka został z tyłu, dwa kroki za żoną, zbliżali się coraz bardziej. Jeśli znikną w drzwiach, będzie pozamiatane – myślałem – ale są jeszcze dwa treningi, coś wymyślę, muszę to przełożyć, przecież nie przypierdolę mu przy świadkach!

Zachrzęściło rozbite szkło.

– Ciemno jak w dupie u George'a – mruknął Babka.

Nie wiem, co zadecydowało, może to nawiązanie do Hooyota, a może świadomość uciekającej szansy, w każdym razie naciągnąłem kaptur na głowę, wstałem i po cichu, z bejsbolem w ręku, pochylony obszedłem samochód. Długim, płynnym krokiem ruszyłem w kierunku kolegi z drużyny, jego żony i dziecka.

Gdy dzieliło mnie od nich tylko kilka metrów, rozległa się donośna melodyjka, Babicki zatrzymał się i wyjął z kieszeni telefon. Błyskawicznie przykucnąłem za pobliskim autem. Skuliłem się dosłownie o dwa metry od niego, gdybym wyciągnął rękę z kijem, mógłbym go dotknąć. Spojrzał na wyświetlacz i przy akompaniamencie upiornie głośnej, zniekształconej przez prymitywny głośnik melodyjki Nokii powiedział do żony:

– Idź, zaraz dojdę.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, odebrał połączenie.

– Pogięło cię, kurwa, Wafel? – zaczął bez wstępu. – Chcesz, żeby się do nas ktoś dojebał? Nie dzwoń, kurwa, do mnie, pogadamy, jak się spotkamy przed meczem. – Zamilkł ze słuchawką przy uchu.

Siedziałem, schowany tak blisko, że bałem się oddychać. Dolatywał do mnie nawet szmer słów Wafla, ale były zbyt niewyraźne, abym mógł je zrozumieć. A zaczynało się robić jeszcze ciekawiej. Wafel, czyli Mirosław Walewski, był wielokrotnym reprezentantem Polski, najlepszym kumplem Babki, z którym na zgrupowaniach kadry spał w pokoju, a co najważniejsze – kapitanem Sternika Łódź.

– O czym? – spytał Babka. – Jak to wiem? Kurwa, nie mam… – Ponownie zamilkł i nerwowo rozejrzał się wokół. – Przestań, nawet nie próbuj. Nie po to zapieprzamy przez cały rok… – Przerwał, a potem podniósł głos: – Mówię jasno. Czego nie rozumiesz? Nie ma mowy. Gramy o mistrza, nie wykręcę takiego numeru. To byłoby najgorsze świństwo,

a poza tym… – Nagle zamilkł. – Ile? – spytał z niedowierzaniem i przez kilka chwil tylko słuchał. – Nie, nie w Warszawie, znasz Zajazd Na Rogu? Za Mszczonowem skręć w prawo i z pięć kilometrów dalej. Jutro o siódmej.

Rozłączył się, schował telefon do kieszeni i zniknął w drzwiach prowadzących na klatkę schodową.

Siedziałem oparty o koło samochodu i trawiłem to, co udało mi się podsłuchać. Pojawił się nowy gracz, a właściwie dwóch. Wafel i Babka w nowej roli, bo było dla mnie jasne, w jakim celu mieli się jutro spotkać. Pytanie tylko: skąd Wafel w tej grze? Czy Niebo wie o jego udziale? Czy może próbuje mnie wykiwać i zapewnia sobie drugą opcję rozwiązania problemu? A może to oddolna inicjatywa piłkarzy Sternika, którzy postanowili spróbować utrzymać się w lidze najlepiej, jak umieli, czyli za pomocą zrzutki w szatni?

Podniosłem się z podłogi i ruszyłem w stronę wyjazdu z garażu, zadając sobie w myślach pytanie, co mam z tą wiedzą zrobić. Gdy wszedłem w zasięg świecącej żarówki, rozległ się głośny okrzyk:

– Stój!

Obejrzałem się. Daleko z tyłu stał bez ruchu młodszy z ochroniarzy. Z tego wszystkiego zapomniałem o kominiarce i kiju, więc zobaczył faceta w kapturze, z twarzą zasłoniętą kominiarką i do tego z kijem bejsbolowym w ręku. Zaczął biec.

Wystartowałem z pełną prędkością w przeciwnym kierunku. Miałem dużą przewagę, pędziłem do drzwi wyjazdowych w przeciwnej części budynku. Do pokonania zostało mi jakieś sto metrów. Biegłem skoncentrowany na osiągnięciu jak największej prędkości, długimi susami, z równowagi wytrącał mnie tylko kij, którego nie wypuściłem z ręki. Myślałem, że może mi się jeszcze przydać, poza tym nie chciałem zostawiać śladów. Obejrzałem się, mężczyzna nie zwalniał, a dystans między nami się nie zmienił. Przyspieszyłem jeszcze bardziej. Dopadłem do bramy, nacisnąłem guzik ze strzałką w górę.

Jeszcze nigdy żadna brama nie otwierała się tak wolno, miałem wrażenie, że trwa to całą wieczność. Najpierw zapaliła się pomarańczowa lampa, błysnęła kilka razy. Obejrzałem się, podparty rękami na kolanach, ciężko dysząc. Ochroniarz był coraz bliżej. Gdy lampka wreszcie zgasła, zaszumiał mechanizm silnika. Pierwsze segmenty bramy drgnęły w ślimaczym tempie, dopiero po kilku sekundach. Słyszałem już tupot

kamaszy na podłodze garażu. Ochroniarz, nie zatrzymując się, wyciągnął zza paska krótkofalówkę i coś do niej krzyczał. Widziałem już wyraźnie całą jego sylwetkę. Uklęknąłem, położyłem się płasko na betonowej nawierzchni, nie spuszczając wzroku z biegnącego mężczyzny, który dyszał i sapał, ale jeszcze przyspieszył, gdy zorientował się, co robię.

Przeturlałem się pod wolno unoszącą się bramą. Usłyszałem metaliczny stuk, krótkofalówka odbiła się od krawędzi bramy i przeleciała obok mnie. Z drzwi stróżówki wybiegł starszy ochroniarz.

– Stój! – krzyknął.

Złapał mnie za bluzę, gdy zdążyłem się już podnieść. Usiłowałem się wyrwać, ale chwycił mocno i drugą ręką, w której trzymał długą metalową latarkę, uderzył mnie w głowę. Nie był to mocny cios, ale bolesny. Odwróciłem się i odruchowo, z półobrotu zdzieliłem go bejsbolem w twarz. Usłyszałem chrzęst przestawianego nosa, starszy pan upadł z krzykiem, spod palców pociekła mu strużka krwi. Popędziłem na pełnej szybkości w kierunku pobliskich drzew. Słyszałem odgłos kroków, ale stawał się coraz cichszy, nie oglądałem się za siebie, biegłem. Zsunął mi się kaptur z głowy, wypadłem z osiedla, żwir alejki chrzęścił mi pod stopami, a ja gnałem, jakbym uciekał przed osaczającymi mnie zewsząd drzewami, w stronę zapraszającej, bezpiecznej ciemności.

Zatrzymałem się między drzewami dopiero na drugim krańcu parku. Wokół żywego ducha, ciemno, jedyna świecąca latarnia stała daleko przy ulicy. Szybko zdjąłem kominiarkę i bluzę. Razem z kijem schowałem je do torby i szybkim krokiem, dysząc, ruszyłem w kierunku domu. Nagle usłyszałem trzask pękającego drewna i duży kawałek gałęzi upadł niedaleko mnie. Zatrzymałem się, nasłuchując, i czujnie rozejrzałem się wokół. Kątem oka zauważyłem ruch między drzewami, gwałtownie się odwróciłem, ale nikogo nie dostrzegłem. Przyspieszyłem kroku, ponownie gdzieś trzasnęła gałązka, zacząłem biec, w panice pędziłem przed siebie, w ciemności wymijając drzewa.

Zatrzymałem się dopiero na pustej ulicy, gdy zobaczyłem kilku przechodniów. Włosy miałem mokre i zlepione jak po kąpieli, z boku głowy wymacałem potężnego guza i przeciętą skórę. Szedłem wpatrzony w chodnik pod stopami, spoglądając ukradkiem na nielicznych mijających mnie ludzi. Gdzieś w oddali wyjąca syrena policyjna sprawiła, że tętno ponownie mi podskoczyło. Zatrzymałem się, gdy zaczęła cichnąć, ruszyłem dalej. Na następnym osiedlu podszedłem do śmietnika. Bramkę zamknięto

na klucz, ale pod daszkiem było wystarczająco dużo miejsca, by zmieściła się torba. Wrzuciłem ją do pojemnika i szybko się oddaliłem.

Nie wsiadłem do autobusu, nie wezwałem taksówki, całą drogę do domu przebyłem piechotą, mimo że wcale nie miałem blisko. Szedłem w totalnym otępieniu. Dotarło do mnie, co zamierzałem i czego się dopuściłem. I już nie mogłem tego zmienić. Poszło, stało się, zrobiłem to. Szedłem i narastało we mnie obrzydzenie, do siebie, do środowiska, do kolegów, drużyny, sędziów, wszystkich szmat, za sprawą których piłka prezentowała się niczym dziwka z dobrodusznie rozłożonymi nogami, między które wjeżdżał każdy najgorszy chuj. Ruchali ją wszyscy – ci, co mieli pieniądze, by nakraść na zapas, i golasy bez grosza przy duszy, które liczyły, że się obłowią.

Po co się taplam w tym gównie?

Zacząłem gwałtownie kaszleć, oparłem się o siatkę, wnętrzności ścisnął mi odruch wymiotny. Stałem zgięty wpół, szarpany skurczem mięśni. Przechodnie omijali mnie szerokim łukiem, biorąc za pijanego. Po chwili wytarłem usta koszulką i ruszyłem dalej.

Dotarło do mnie, że mam dość. Nie znoszę sportu! Nie cierpię adrenaliny, nienawidzę rywalizacji, nie podoba mi się stres – nie wywołuje we mnie podniecenia, tylko sraczkę. Każdy mecz, gra o punkty generują wyłącznie negatywne emocje. Sedno to zwycięstwo? Bez niego sport traci sens? Bzdura. Więc o co chodzi? Robię coś, czego nienawidzę, i czasem na koniec okazuje się, że nie było tak źle i mnie podrzucają, bo wygrałem? Trochę późno to spostrzegłem: piłkarz u schyłku kariery dowiaduje się, że nie znosi piłki nożnej!

Robiłem całe życie to, co ktoś kazał mi robić; najpierw ojciec ciągnął mnie na treningi, potem każdy kolejny trener, prezes mówił mi, co i jak mam robić. A ja, jak marionetka, bezrefleksyjnie spełniałem polecenia i oczekiwania. Było mi wygodnie, nie musiałem myśleć, podejmować decyzji, pieniądze płynęły szerokim strumieniem. Nawet nie pytałem sam siebie, czy lubię to, co robię.

Z biegiem lat to się jednak zmieniło. Najpierw pojawiła się rutyna, lekkie znudzenie, potem wymagania wobec dojrzałego zawodnika – skończyła się taryfa ulgowa młodości, zaczęła krytyka po każdym słabszym występie i pretensje do głównego dowodzącego po porażkach. I nie wiadomo kiedy zacząłem odczuwać wstręt na myśl o zbliżającym się meczu.

Wytrzymałość, siła, szybkość, technika, taktyka – codzienna praca, zmęczenie. Wtedy następuje rozwój, kształtowanie, formowanie sportowca. Dziesiątki powtórzonych ćwiczeń, zmagania z elementami znanymi, by je doskonalić, poprawianie, skupienie na detalu. Mecz to święto, i to w złym tego słowa znaczeniu, patos, nadęcie i blichtr, a to, co najważniejsze, umyka. Bo co? Bo liczy się wynik! Cyfry decydują, czy byłeś dobry, czy zły! Procent posiadania piłki, liczba strat, celnych podań, przebiegniętych kilometrów. Wszystkie oczy wpatrzone w ciebie, kibice oceniają, analizują, oglądają cię jak małpę w zoo, jak bakterię pod mikroskopem – wszystko byłoby pięknie, gdyby nie te pieprzone mecze.

O ile byłoby przyjemniej, gdyby uprawianie piłki nożnej kończyło się na treningu, gdyby najważniejsze było doskonalenie się, a nie rezultat meczu.

Czy fakt, że nie dostrzegłem wtedy, dokąd prowadzą mnie moje czyny, spowodowany był tym, że zaślepił mnie cel? Czy wynik przysłonił mi zdrowy rozsądek? Tak bardzo chciałem go osiągnąć, że przestałem widzieć efekty moich działań i kierunek, w którym zmierzam.

Gdy chodziłem do ogólniaka, jeszcze w Borowcu, moim najbliższym kumplem z klasy był Jacek Repek. Mieszkaliśmy obok siebie, w sąsiednich blokach. Repo był ładnym, chudym blondynem, który miał rodzinę w USA, w związku z czym wyróżniał się na tle szaro ubranych rówieśników eleganckim strojem prosto zza oceanu. Przekładało się to bezpośrednio na zainteresowanie ze strony nastoletnich koleżanek. Gdy ja zapieprzałem na treningi i uganiałem się za piłką, to za Repkiem uganiało się stado ślicznych dziewcząt. Kiedyś poprosił mnie o pomoc przy rozwiązaniu problemu, który miała jego aktualna wybranka. Jedna z jej koleżanek, dużo mniej urodziwa, usiłowała za wszelką cenę uprzykrzyć jej życie. Podkładała jej świnie, donosiła nauczycielce, buntowała przeciwko niej inne koleżanki. Repo poprosił mnie, żeby mu potowarzyszyć, gdy będzie przeprowadzał rozmowę wychowawczą.

Akcja odbyła się zimą, Borowiec pod wieczór wyglądał jak wyludniony, wokół żywego ducha, gdzieniegdzie świecące latarnie i śnieg na chodnikach. Czekaliśmy na dziewczynę na osiedlu, pod blokiem, który wyglądał jak ponura pocztówka komunistyczna. Gdy dziewczyna się pojawiła, nie doszło do żadnych rozmów, na nasz widok podniosła wrzask na całe osiedle i zaczęła uciekać. Repo krzyknął: „Goń ją”, więc puściłem się za nią biegiem, nie wiem po co. Dziewczyna wydzierała się, ile miała sił w płucach, echo niosło ten upiorny krzyk na całe osiedle, oglądała się co

chwila przez ramię. Po kilku sekundach ją dogoniłem, Repo był kilka metrów za mną. Krzyk Beaty przeszedł w piskliwe zawodzenie, potknęła się i upadła na chodnik, usiłowała niezdarnie wstać, gdy do niej dobiegłem i zatrzymałem się, nie wiedząc, co zrobić.

– Nie bij, proszę – skomlała dziewczyna.

Przybiegł Repo i też stanął zdezorientowany. Dziewczyna wrzasnęła ponownie i pobiegła między bloki. Nie goniliśmy jej.

– Pamiętaj, następnym razem skończy się inaczej, jeśli nie odczepisz się od Jolki! – krzyknął za nią Repo.

Byliśmy dzieciakami, to prawda, a ja po prostu pomagałem koledze. Pamiętam, że przez cały czas trwania tej akcji nie miałem najmniejszej świadomości, że robię coś złego. Wydawało mi się, że jestem solidarny, nie zostawiam kumpla w potrzebie, temperuję zło w dziewczynie, która jest głupia i upierdliwa.

Aż do następnego dnia żyłem w błogiej nieświadomości.

Borowiec to mała mieścina, bardzo mała. Gdy szedłem z matką po zakupy, podbiegła do nas starsza, wzburzona kobieta. Zwyzywała mnie od bandytów, straszyła milicją, moja matka się wściekła, spurpurowiała ze wstydu, a najgorsze było to, że musiałem iść i przeprosić Beatkę. Jak dziś pamiętam swoje ogromne zdumienie i zaskoczenie faktem, że zrobiłem coś złego, wstyd spowodowany w dużej mierze nie tym, co zrobiłem, ale brakiem świadomości popełniania złego uczynku.

Dziś, wiele lat później, nie mam usprawiedliwienia, choć też byłoby mi bardzo wygodnie wytłumaczyć się zaćmą umysłową.

Repek po skończeniu szkoły wyjechał do rodziny w USA bałamucić tamtejszą emigrację. Nie wiem, czy męczyły go dylematy moralne, kontakt między nami się urwał. Po kilku latach, gdy przyjechałem do Borowca w odwiedziny do rodziców, mama poinformowała mnie, że Repek nie żyje. Źle znosił emigrację, podobno zaczął pić, usnął z papierosem w ręce po zabawie sylwestrowej, zaprószył ogień. Już się nie obudził.

Gdy dotarłem pod swój blok, zaczął mnie boleć żołądek. Poprosiłem jakiegoś przechodnia o papierosa, ale gdy się zaciągnąłem, złapał mnie atak kaszlu. Usiadłem na krawężniku, tuż przy moim zdewastowanym aucie. Rozprostowałem bolące kolano, dopiero teraz sobie o nim przypomniałem – adrenalina działa cuda! Dłoń z papierosem lekko mi drżała, pomacałem sobie głowę; guz zrobił się dwa razy większy, na szczęście rozcięcie nie krwawiło. Nie chciałem jeszcze wchodzić do domu.

Musiałem się uspokoić i doprowadzić myśli do jako takiego ładu. Sztachnąłem się głęboko, aż mi się zakręciło w głowie.

Jakiś starszy pan w szarym garniturze zatrzymał się obok mnie.

– Dobrze się pan czuje?

– Tak, tak, nic mi nie jest. – Uśmiechnąłem się z trudem.

– Na pewno? – Musiałem wyglądać nieszczególnie, skoro ponowił pytanie.

– Na pewno, dziękuję – uspokoiłem go.

– Bo wie pan, jeśli trzeba… – Przerwał na chwilę. – Teraz wszyscy w pędzie, to i jak tu komuś pomóc? To jak skok do rozpędzonego pociągu! No ale widzę, że pan sobie poradzi, tak?

– Tak, nic mi nie jest. Dzięki.

– Bo wie pan, czasem to człowiek nawet nie wie, że coś mu jest, a coś mu właśnie jest. Takie przeziębienie, katar też zaczyna się od takiego dziwnego poczucia, kichania ani smarków jeszcze nie ma, ale już coś jest…

– Dziękuję, naprawdę wszystko jest okej – przerwałem mu.

Odszedł, ale jeszcze kilka razy oglądał się, sprawdzając, czy się nie pomylił w ocenie sytuacji, czy może jednak do mnie wrócić. Wyrzuciłem papierosa, w ustach pozostał mi niesmak i gorycz.

Po cichu wszedłem do mieszkania, zajrzałem do pokoju Emilka. Na jego biurku zobaczyłem kilka książek przygniecionych przez worek z butami na zmianę. Spał już, leżał na boku z rozrzuconymi nogami, jakby był w trakcie biegu, zmiętoloną kołdrę zepchnął pod ścianę. Światło padające przez szparę drzwi, których nie domknąłem, oświetlało tłumok pościeli. Mój syn oddychał wolno i spokojnie. Przyglądałem mu się, zastanawiając się, na kogo patrzę. Kim będzie w przyszłości? Jakich wyborów dokona i w jakim stopniu będę miał na niego wpływ?

Skrzypnęły zawiasy, smuga światła się powiększyła, do pokoju zajrzała Maria. Odwróciłem się; stała w drzwiach ubrana w obcisłe dresy, światło z tyłu podkreślało zgrabny kontur jej ciała. Przyglądała mi się uważnie. Minąłem ją, w kuchni wyciągnąłem z lodówki butelkę piwa. Przyszła za mną.

– Gdzie byłeś?

– Grzebałem się przy aucie, czeka mnie mnóstwo roboty.

Pociągnęła nosem.

– Śmierdzisz papierosami.

Otworzyłem butelkę i poszedłem do salonu. Nie miałem ochoty na poważną rozmowę, a na to się zanosiło. Padłem na fotel, wziąłem pilota i zacząłem bezmyślnie skakać po kanałach. Maria usiadła na kanapie obok, przodem do mnie. Odłożyłem pilota.

– Wczoraj wróciłeś nad ranem, dziś po ciemku dłubiesz w zniszczonym samochodzie. Piwo, fajki. To trochę dziwne na kilka dni przed najważniejszym meczem w sezonie.

– Tak sądzisz? – Nie odrywałem wzroku od ekranu, popijając piwo.

Pochyliła się, wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć mojej głowy, odsunąłem się.

– Masz krew na włosach. Co się stało?

Dotknąłem głowy, na palcach został zasychający czerwony ślad.

– A, to… Uderzyłem się o maskę volvika. Ciemno tam jak w dupie.

Westchnęła.

– Roman, martwię się. Nie wiem, co się dzieje, nie rozmawiasz ze mną. Odgradzasz się.

– Jak zawsze.

– Nie zawsze. Pamiętasz nasze rozmowy na dachu, pod kocem? Kiedyś mogliśmy gadać o wszystkim. Nawet jak milczałeś, to wiedziałam, co mówisz, gdy nie mówisz. A teraz? Mów do mnie, Roman!

– Chcę się po prostu napić piwa. To tak wiele? Nie ma o czym gadać, zrozum. – Ponownie sięgnąłem po pilota.

– Chyba jest. Nie jestem ślepa. Najważniejszy mecz…

– To nie jest mój najważniejszy mecz w życiu. – Odruchowo spojrzałem na wiszące na ścianie zdjęcie, na którym ściskaliśmy się z Karczewem. Nie umknęło to jej uwadze.

– Co może być ważniejszego…? – Urwała w pół zdania, powędrowała za moim spojrzeniem, na jej twarzy pojawiło się zrozumienie. – Nie grzeb w trupach. Byłeś młody i głupi. Dawno i nieprawda. Zapomnij.

– Przestań…

– Skąd miałeś wiedzieć, że Włosi to cwaniaki i symulanci? Wykorzystali twoją…

– Dość! – Uderzyłem butelką w stół, aż buchnęła piana. – Skąd ty to wszystko wiesz? Kto co zrobił, czego nie zrobił? Byłaś tam?

Starłem dłonią piwo ze stołu.

– Nie, ale widzę, że ciągle wałkujesz ten mecz, jakby po nim już nic ważnego się nie zdarzyło. Uczepiłeś się go…

– Ja się uczepiłem? Wszyscy wiecznie mi go przypominają…

– Zapomną, wyjedźmy z kraju…

– Znowu zaczynasz?

– Zrób mistrza, zagraj dobrze. Propozycje się pojawią. Nawet do niższej ligi. Za granicą nikt nie będzie ci niczego wypominał, spokojne granie, inne otoczenie, inny świat. Lepszy świat!

Przyglądałem się jej w milczeniu. Każdy kryzys usiłowała przekuć na realizację swojego planu wyjazdowego, ja się nie liczyłem, chyba że jako bilet do lepszego, zachodniego życia. Nie mam kolana, nie mam nawet propozycji z klubu zagranicznego, emerytura przed nosem, a ona ciągnie mnie na obczyznę.

– Tego chcesz? Jechać za granicę? Proszę bardzo, pakuj się i jedź, droga wolna, do tego twojego eldorado, krainy obfitości. Myślisz, że tam jest inaczej? Mniej złodziei i skurwysynów? Do wybiegów bliżej, tak?

Wstałem i z butelką w ręku poszedłem do sypialni. Zamknąłem drzwi i padłszy na łóżko, zagapiłem się w sufit. Nie docierało do niej, że każdy z nas, piłkarzy, jest sam z tym, co się wydarzyło w czasie meczu. Nie ma się osób towarzyszących, asystentów, rodziny – jest tylko mecz i piłkarz, nikogo więcej.

Zza ściany dobiegał przejmujący, głośny odgłos drapania po kartonie, jakby sąsiad chciał pazurami rozerwać więżące go pudło. Ciarki przebiegły mi po plecach.

Pierdolony mecz z Włochami! Pierdolone igrzyska!

CZĘŚĆ TRZECIA

1

Zawsze myślałem, że sam udział w najważniejszej imprezie sportowej będę traktował jako osiągnięcie, że za trofeum będę uważał już identyfikator olimpijczyka, że powieszę go sobie na ścianie i będę się gapił, wspominając te wspaniałe, podniosłe chwile: uroczystość otwarcia, walkę o punkty, zmagania z najlepszymi sportowcami świata. Zrobię sobie ołtarzyk z relikwii turniejowych i będę opowiadał i objaśniał wszystkim gościom kto, co i dlaczego. Swoją drogą, co za paradoks – Nowy Jork, symbol kapitalizmu, jako arena igrzysk olimpijskich, bezinteresownej, szlachetnej rywalizacji, podczas gdy w tle płyną miliony dolarów. Współczesna wersja idei olimpijskiej: na wierzchu idee barona de Coubertina, a pod podszewką biznes reklamowy i fortuna wędrująca z kieszeni do kieszeni.

Ilu kapitalnych piłkarzy, dużo lepszych ode mnie, nigdy nie wystąpiło na igrzyskach? A ja tam byłem, nawet zagrałem kilka razy i odcisnąłem swoje piętno… Albo odwrotnie – to igrzyska napiętnowały mnie.

Karczew został trenerem reprezentacji olimpijskiej po roku pracy w Centrum. Z przeciętną drużyną nieoczekiwanie wywalczył czwarte miejsce, dające awans do europejskich pucharów. Zespół grał ofensywną, atrakcyjną dla oka piłkę, więc ktoś z centrali uznał, że trener dostanie szansę z kadrą olimpijską. Jego zespół przeszedł przez eliminacje jak burza, stracił ledwie jeden punkt. Znał mnie dobrze ze swego rocznego pobytu w Centrum, więc wiedział, na co mnie stać. Zdecydował się włączyć mnie do turniejowej ekipy, mnie – gówniarza, który zanotował świetny sezon w lidze, mimo że po zmianie trenera drużynie wiodło się średnio. Nie byłem wprawdzie podstawowym zawodnikiem w jego reprezentacji, grzałem ławę aż miło i wskakiwałem na kilka minut w końcówkach meczów, ale i tak byłem mu wdzięczny za powołania i szansę występu na igrzyskach.

Wszystkie mecze rozegraliśmy w Nowym Jorku, przyjechaliśmy tydzień wcześniej, by się zaaklimatyzować. Mieszkaliśmy skoszarowani w wiosce olimpijskiej, odizolowani ze względów bezpieczeństwa od miasta, więc wieczorami nie było szans, żeby wspólnie wyskoczyć na piwo. Poza tym przypominało to standardowe zgrupowanie przedmeczowe z treningami, odprawami i tak dalej. Po ograniu Słowaków byliśmy w dobrych nastrojach

i z rozpędu w kapitalnym stylu pokonaliśmy Szwedów 3:0. Tak naprawdę po tym meczu uwierzyliśmy, że jest szansa na odniesienie sukcesu na turnieju. Ostatni mecz zremisowaliśmy z gospodarzami igrzysk i z pierwszego miejsca w grupie weszliśmy do ćwierćfinału. Podobno w Polsce już zaczynało się szaleństwo kibicowskie, ale do nas docierały jakieś skrawki informacji, więc spokojnie przygotowywaliśmy się do dalszych meczów.

Zakwaterowali nas w dużych, stumetrowych apartamentach, a tak naprawdę lokalach w blokach, które po igrzyskach miały zostać zasiedlone. Białe, sterylne, świeżo pomalowane ściany tworzyły przygnębiającą atmosferę. Mieliśmy do dyspozycji normalne toalety, kuchnie i sypialnie. Proste, funkcjonalne meble, bez żadnych luksusów, nawet klimy nie było i gorąco dawało nam się we znaki. Może dlatego mieszkający nad nami zapaśnicy i bokserzy usiłowali nas non stop chłodzić, wiadrami wylewając nam wodę na łby. Każde mieszkanie miało duży taras, im wyżej, tym mniejszy, więc z górnych pięter było doskonale widać, co dzieje się na dole. W innych okolicznościach byśmy coś z tym zrobili (pewnie zadzwonili albo weszli z drzwiami do mieszkania wyżej), ale z przedstawicielami sportów walki raczej nie chcieliśmy zadzierać.

Wioska olimpijska była oddzielnym, odizolowanym miastem. Można było się do niej dostać tylko poprzez specjalne punkty, których pilnowała policja. Bramki z wykrywaczem metalu, sprawdzanie identyfikatorów, rewizje. Była to strefa całkowicie samowystarczalna, na jej terenie znajdowały się sklepy, ogromna kilkupoziomowa stołówka, pizzerie, salony gier komputerowych, fryzjer i tak dalej. Mieliśmy nawet własną, oddzielną plażę. Na terenie wioski olimpijskiej nie było tylko dwóch rzeczy, nieodzownych dla poprawnego funkcjonowania statystycznego piłkarza: alkoholu i kurew. Byliśmy tam do końca igrzysk, czyli prawie miesiąc, więc ten brak z czasem zaczął nam doskwierać coraz bardziej.

Pobyt w wiosce to było najdziwniejsze zgrupowanie w moim życiu. Niby mieszkaliśmy razem, ale sztab szkoleniowy i medyczny widziałem tylko na treningu, czyli raz dziennie. Posiłki jadaliśmy oddzielnie, każdy sam wybierał, gdzie i co będzie jadł. Nawet kolegów z drużyny widywałem sporadycznie, przez dwie godziny na boisku, a resztę dnia spędzałem w samotności. Bardzo mi to pasowało. Rano śniadanie na stołówce, sam albo z przypadkowo spotkanym kolegą, a później salon gier komputerowych; trzeba było się tylko wstrzelić w wolne stanowisko, bo

w klimatyzowanym pomieszczeniu roiło się od chętnych. Obiad również jadłem sam, następnie szedłem na trening, po którym czytałem, i doba olimpijska mijała nie wiadomo kiedy. W dniu meczowym dochodziła jeszcze odprawa, ale Karczew często robił ją już w szatni.

Na alkohol i kurwy chłopaki wychodziły poza wioskę. Ja też, ale tylko towarzysko i na piwo, bo byłem już wtedy zauroczony Marią i nie chciałem słyszeć o innych kobietach. Chłopaki wbijały się do pierwszej knajpy poza wioską, w której były wolne miejsca, i wlewały w siebie morze piwa – oczywiście głównie po meczu, kiedy do następnego było dużo czasu.

Kurwy znaleźliśmy dużo dalej od wioski, na ulicy, bo gdzież by indziej. Chodziło o szybki, rozluźniający numerek, a wyszło nerwowe spięcie. Do akcji włączyła się policja amerykańska, która z uwagi na bezpieczeństwo uczestników igrzysk zwiększyła liczbę patroli. Jeden z nich zajechał na długich światłach w zaułek, gdzie Andrzejowi pani lekkich obyczajów robiła akurat laskę, a reszta piłkarzy czekała na swoją kolej. Kurwa klęczała, Andrzej stał, a tu nagle pisk opon i jasny snop reflektorów. Wysiadło dwóch policjantów w mundurach i kamizelkach kuloodpornych, jeden splunął przez ramię, usłyszeliśmy szczęk przeładowanej broni długiej. Ekipa ulotniła się błyskawicznie, nikt nie czekał na dalszy ciąg. Policja puściła Andrzeja z upomnieniem, zostały mu tylko ślady zębów na siusiaku i wątpliwość, którą starał się rozwiać: czy złapał HIV?

W wiosce też staraliśmy się urozmaicić sobie pobyt. Mieliśmy dużo wolnego czasu, byliśmy młodzi i się nudziliśmy, więc nie trzeba było długo czekać na jakiś debilny pomysł. Przed biurem polskiej misji olimpijskiej stała duża tablica informacyjna, za pośrednictwem której sztab informował nas o sprawach organizacyjnych. Grzesiek Tłuczkowski, rezerwowy napastnik, powiesił na niej notkę o takiej mniej więcej treści: „Mister Friedman, menedżer Chicago Fire, bardzo prosi pana Piotra Piórko (naszego bramkarza) o jak najszybszy kontakt telefoniczny”; tu następował ciąg liczb. W całą sprawę zupełnym przypadkiem włączył się szef naszej ekipy, siwy, stateczny działacz związkowy, którego nikt nie podejrzewał o śladowe poczucie humoru. Uprawdopodobnił akcję w oczach Piotra, bo dostrzegł notkę na tablicy i przyniósł ją piłkarzowi. Wieczorem, gdy Piter poszedł do budki telefonicznej, miał dużą, acz dyskretną publiczność. Pół drużyny obserwowało go z balkonów, drugie pół rozproszyło się po najbliższej okolicy w zasięgu wzroku i słuchu. Numer podany na kartce był

rzeczywistym numerem z książki telefonicznej, nawet nazwisko się zgadzało.

– Halo, mister Friedman? Tu Peter Piórko. Friedman… jes… aj em polisz futbol plejer… Aj łont plej in Chicago Fire… Łot? Piórko… Aj plej tumoroł semifajnal bat after mecz aj kud go in… Łot? Spanisz?… Halo? Łot łrong namber? Mister Friedman… Hallo!

Później wmówiliśmy mu, że to jakaś pomyłka, biedny Friedman musiał zrobić błąd, gdy zapisywał numer, i dlatego nic nie wyszło z transferu. Piotr do końca igrzysk nie był świadomy, ile uciechy dostarczył kolegom z drużyny. Myślał, że życiowa szansa uciekła mu sprzed nosa przez głupią pomyłkę. Żeby było śmieszniej, los raz jeszcze, dużo później, postawił na jego drodze menedżera Friedmana, tym razem prawdziwego. Piotrek wyjechał już za granicę i trafił do klubu w Austrii, gdzie trenerem był właśnie Klaus Friedman. Okazał się katem, zwolennikiem tak morderczych obciążeń treningowych, że Pióro zerwał achillesa i zakończył grę w piłkę. Może więc dobrze, że na igrzyskach się do niego nie dodzwonił.

Chciałbym jednak mieć tylko takie wspomnienia z tych igrzysk!

Po wyjściu z grupy ograliśmy wysoko Norwegię, mecz przypominał trening strzelecki naszych napastników, przejechaliśmy się po rywalach jak walcem. W kraju podobno wybuchła euforia, zapanowało masowe wariactwo na naszym punkcie, ale nie byliśmy tego świadomi. W półfinale przegraliśmy z Hiszpanami po zaciętym, dramatycznym meczu 2:3. Decydującą bramkę straciliśmy w dziewięćdziesiątej minucie. To było dobre, ciekawe spotkanie, zakończone depresyjną porażką. W meczu pocieszenia, o trzecie miejsce, spotkaliśmy się z Włochami.

Wioska już opustoszała, tłumy, które przetaczały się chodnikami na początku igrzysk, zniknęły. Dzień po naszym ostatnim meczu miał się odbyć finał, potem już tylko ceremonia zamknięcia. Na wyludnionym osiedlu zapanowały cisza i spokój. Większość lokalów usługowych została zamknięta. Na stołówce echo wzmacniało brzęk sztućców i odgłosy z kuchni.

W dotychczasowych meczach zagrałem sporo, praktycznie w każdym spotkaniu pojawiałem się na boisku, by utrzymać wynik i uszczelnić obronę, ale w pierwszym składzie nie wyszedłem ani razu. W naszym pożegnalnym meczu miałem wystąpić od pierwszej minuty. Tomek Wysocki, podstawowy prawy obrońca, który grał wszystko od początku do

końca, w meczu z Hiszpanami złapał następną żółtą kartkę, więc musiał pauzować. Z graczy defensywnych został jeszcze tylko Adamek, ale to ja byłem naturalnym zmiennikiem Wysockiego.

Trema mnie zjadała, byłem zdenerwowany jak diabli, choć starałem się to ukryć. W końcu wszyscy byliśmy wtedy gówniarzami, nie miałem żadnego doświadczenia ani obycia na tak dużych i ważnych imprezach. W autokarze jadącym na Yankee Stadium siedziałem wciśnięty w szybę i szarpałem nerwowo za górną wargę.

Zajęliśmy szatnię przeznaczoną dla drużyny przyjezdnej, za to Włosi rozgościli się w tej gospodarzy. Pomieszczenie było ogromne, cztery razy większe od naszej szatni w Centrum: niebieskie szafki wzdłuż białych ścian, niebieska wylewka na podłodze, na środku dwa łóżka do masażu, pod ścianą wielkie kufry ze sprzętem meczowym. Żartowaliśmy, że gdyby nie te leżanki, moglibyśmy spokojnie pograć w środku w dziadka. Jakby tego było mało, tuż za ścianą znajdowała się salka gimnastyczna, w której rozciągaliśmy się jeszcze przed wyjściem na boisko na rozgrzewkę.

Przygotowywałem się do meczu standardowo i choć niby wszystko przebiegało tak samo, to dało się wyczuć bardziej napiętą atmosferę. W tamtym okresie namiętnie paliłem papierosy. Na półtorej godziny przed meczem brałem fajki w kieszeń i żeby się odstresować, szedłem do toalety poza szatnią, zamykałem się w kabinie i jarałem, siedząc na kiblu, a przy okazji starając się pozbyć balastu, by być lżejszym na boisku.

W szatni Karczew przechadzał się pomiędzy nami w służbowym zielonym garniturze. Za duża marynarka z szerokimi barami sięgała za pośladki, luźne, szerokie spodnie zwężały się gwałtownie dopiero od kolan – krzyk ówczesnej mody. Spokojnym, pewnym tonem udzielał nam ostatnich wskazówek. Podchodził do każdego i indywidualnie starał się wesprzeć w tych nerwowych minutach. Pochylał się, przykucał, spoglądał w oczy, klepał po plecach, żartował, ale wszystko w takiej stonowanej, trochę nienaturalnej jak na niego pozie.

Wreszcie przysiadł obok mnie. Spojrzał na moje dłonie, które nerwowo pocierałem.

– Romek, wszystkie decyzje, które podejmiesz na boisku, będą słuszne, ja za nie ręczę, wystawiając cię do składu. Pamiętaj, jestem za nie odpowiedzialny, skup się na samych decyzjach, działaj, nie myśl o skutkach. – Zrobił pauzę. – Nie bój się włączyć do ofensywy. Jak ruszysz,

idź za akcją do końca, nie wycofuj się w połowie. Rozumiesz? Mówiliśmy już o tym. Luz i elastyczność.

Klepnął mnie w ramię z uśmiechem i poszedł dalej.

Gdy wyszliśmy na rozgrzewkę, trybuny ponad pięćdziesięciotysięcznego stadionu wypełnione były w połowie. Na boisku co prawda widać było gdzieniegdzie ślady linii świadczące o tym, że na co dzień płyta była wykorzystywana w innej dyscyplinie sportowej, ale krótko, jak pod linijkę przystrzyżona trawa zachęcała do „klepania". Gdy rozległ się gwizdek rozpoczynający spotkanie, na widowni nie było już wolnego miejsca, ryk tłumu zagłuszał jakiekolwiek próby komunikacji. Trybuny falowały jak jeden głodny organizm za wszelką cenę domagający się goli.

Mecz nie był porywającym widowiskiem, obie drużyny wydawały się sparaliżowane stawką i celem. Włosi jak to Włosi, skupili się przede wszystkim na obronie, organizacji gry, my też nie chcieliśmy się odkryć, więc do przerwy kibice podziwiali raczej piłkarskie szachy niż płynne akcje rozgrywane z polotem i sytuacje podbramkowe. Grałem dobrze, nie popełniałem błędów, zresztą cała drużyna funkcjonowała jak w zegarku, przeciwnik nie miał żadnej sytuacji strzeleckiej – my co prawda też nie, ale była jeszcze druga połowa. Po przerwie, jak zawsze, zrobiło się trochę więcej miejsca na boisku. Obydwie drużyny były już zmęczone, odległości pomiędzy formacjami się powiększyły, więc łatwiej było konstruować akcje ofensywne…

W tej feralnej siedemdziesiątej piątej minucie zdecydowałem się zaryzykować. Wyszedłem wysoko za swoim napastnikiem, którego kryłem, mniej więcej na czterdziesty metr naszej połowy. Włosi prowadzili akurat atak pozycyjny, więc rozstawili się szeroko. Ich stoper zagrał prostopadłą piłkę do mojego napastnika, a ten gamoń zamiast do niej ruszyć poczekał, co dało mi czas na doskok. Chciał odejść w bok ze zwodem, ale wiedziałem dużo wcześniej, że to zrobi, i wślizgiem zabrałem mu piłkę. Włoch przewrócił się o moje nogi i uderzył obojczykiem w murawę, wrzeszcząc z bólu. Gdy tak leżał, zawahałem się na ułamek sekundy, ale popędziłem z piłką w kierunku bramki przeciwnika. Stoper zaczął gestykulować, po czym mnie zaatakował, próbując odebrać piłkę wejściem na raz. Zagrałem klepkę z Marcinem Kępą, który odegrał mi prostopadłą piłkę, wyrwałem się z rąk próbującego mnie zatrzymać Włocha i miałem już przed sobą tylko golkipera przeciwnika. Nie słyszałem tumultu na trybunach, choć musiał być ogromny, pędziłem z piłką przy nodze wprost na bramkę Włochów.

Bramkarz też początkowo stał na linii szesnastki i machał rękami, wskazywał coś za moimi plecami. Gdy się zbliżyłem, dalej gestykulował i wyciągniętą ręką wskazywał coś na drugiej połowie. Nagle rzucił mi się pod nogi, ale byłem na to przygotowany, kopnąłem piłkę w prawo, sam z lewej obiegłem leżącego piłkarza. Przed sobą miałem już tylko pustą przestrzeń szesnastki i bramkę. Obejrzałem się za siebie, nikt mnie nie gonił, na końcu pola karnego podnosił się bramkarz, pozostali Włosi stali z uniesionymi rękami i wskazywali na drugą połowę, na leżącą sylwetkę włoskiego napastnika. Sędzia patrzył na mnie w napięciu.

Trybuny zamilkły. Cały stadion milczał w osłupieniu, a ja w tej ciszy powoli wracałem na swoją połowę. Wydawało mi się, że słyszę szelest trawy, skrzypienie skórzanych butów, świst przyspieszonego oddechu, ale tak naprawdę nic do mnie nie docierało.

Chwilę wcześniej wykopnąłem piłkę obok słupka, poza boisko, specjalnie, z premedytacją… I już.

Czy zachowałem się jak idiota? Wtedy tak nie myślałem. Wiedziałem, co się stało, słyszałem wrzask Włocha, krzyczał jak Robert, gdy strzaskałem mu piszczel i strzałkę. Powinienem wybić piłkę tuż po wślizgu i całej sytuacji by nie było. Ale nie, włączył mi się tryb łowcy bramek, zachciało mi się aplauzu, braw i gola, głównej roli w tej scenie…

Z trybun dochodził szum, kibice otrząsnęli się ze stanu, w jaki ich wprawiłem, ale dalej byli zdezorientowani. Nie dziwię się, pewnie pierwszy raz zetknęli się z czymś takim i byli tak zaskoczeni, że nie wiedzieli, jak zareagować.

Dziś nie jestem pewny, czy rozumiem siebie z tamtego meczu. Czy rozumiem tego dwudziestoletniego gówniarza, naszprycowanego szczytnymi ideami Pierre’a de Coubertina, wierzącego w honorową walkę, szacunek dla przeciwnika, pojedynek zasad i uczciwości. Strzelić gola i spijać śmietankę dzięki temu, że strzaskałem obojczyk jakiemuś chłopakowi? Przed każdym meczem, gdy sędziowie wyprowadzali drużyny na boisko, dzieci wnosiły przed nami żółtą flagę z dużym napisem „fair play”, dostaliśmy koszulki z tym tekstem, na każdym monitorze na stadionie non stop leciał filmik promujący uczciwą grę, w telewizji wychwalał ją co drugi spot reklamowy…

Gdy wróciłem na swoją połowę, Włocha na noszach pakowali na meleksa; już nie krzyczał, uśmiechnął się do mnie i puścił oko, zanim

wózek cichutko odjechał za boczną linię. Koledzy nie patrzyli na mnie, nie chcę myśleć, co działo się na ławce czy przed telewizorami w kraju.

Później dowiedziałem się o latających butelkach przy naszej ławce rezerwowych. Karczew zastygł w pozie, w jakiej wyskoczył z ławki, myśląc, że padnie bramka, i stał tak dobrych kilka minut, nawet gdy sędzia już wznowił grę, w samej koszuli, z wielkimi plamami potu pod pachami. Potem bez słowa wrócił na ławkę, mimo upału założył marynarkę i siedział już do końca meczu. Nie skakał przy linii, jak to miał w zwyczaju, tylko oglądał spotkanie w bezruchu, prawie jak Łobanowski.

W regulaminowym czasie wynik pozostał bezbramkowy. Po dogrywce, także bezbramkowej, mecz rozstrzygnęły karne. Trener nie wyznaczył mnie do strzelania. Przegraliśmy. Zajęliśmy czwarte miejsce.

W szatni panowała grobowa atmosfera, nikt się nie odzywał, Michał Kolski trzasnął drzwiami tak, że echo poniosło się po całym korytarzu. Zdjął buty i z całej siły cisnął nimi o ziemię.

– Dziękujemy. Dziękujemy, że nie będziemy mieli medalu, dziękujemy, że nie będziemy mieli emerytury olimpijskiej. Dziękujemy, kurwa mać!

Nikt nawet na mnie nie spojrzał. Świadomość straconej szansy na bezpieczną emeryturę spowodowała, że atmosfera w szatni niemalże miażdżyła. Czy mogę mieć pretensje do kolegów? Do każdego z nich właśnie docierało, ile będzie go kosztowało to moje jedno kopnięcie piłki w ziemniaki.

Dodatkowo doskwierała im świadomość, że nie mogą podzielić się złością na mnie z opinią publiczną. Drużyna to jedność! Jeden za wszystkich, wszyscy za… Niepisana zasada szatni to rozwiązywanie problemów wewnątrz niej, bez angażowania mediów. Dodatkowo sytuację komplikował fakt, że organizatorzy przyznali mi nagrodę fair play. Na szczęście dotarła kilka tygodni później. Większość gotowała się wewnętrznie, nie mogąc wylać z siebie złości. Gdy wracaliśmy do kraju, widziałem w spojrzeniu każdego z chłopaków, jak im ciężko, jak bardzo chcieliby wyrzucić to z siebie, podzielić się z kimś swoim cierpieniem. Na lotniskach unikałem kontaktu z kimkolwiek, najchętniej zapadłbym się pod ziemię. Przemykałem chyłkiem między halą, odprawą a samolotem, z nikim nie zamieniając słowa, nawet z Marią, już w Polsce. Odebrała mnie z lotniska i zawiozła do domu jak walizkę. Zapatrzona przed siebie, na drogę, paplająca coś bez sensu o jakichś bzdetach, jakby nic się nie zdarzyło.

Jeszcze przez jakiś czas dziennikarze usiłowali dobić się do mnie, wyciągnąć jakiś komentarz, chcieli, bym naświetlił sytuację, ale odgrodziłem się od mediów. Zero wywiadów, a w szczególności ani słowa o meczu z Włochami.

Wtedy zagrałem w reprezentacji po raz ostatni.

Po igrzyskach zostałem zmuszony do wyjazdu z Centrum. Pomiędzy mną a kadrowiczami dochodziło do ciągłych spięć w szatni, byłem szykanowany, więc zarząd uznał, że najlepszym wyjściem będzie wypożyczenie mnie do Zorzy Poznań. Po dwóch latach wróciłem do Centrum, ale etykiety idealisty już się nie pozbyłem.

Karczew mówił: „Nie ma jakości za darmo, za jakość trzeba zapłacić pracą”. Uświadomiłem sobie, że gdy fair play przestaje być jedynie sloganem, również ma swoją cenę.

2

Usiadłem gwałtownie na łóżku. Zza drzwi docierały odgłosy telewizora, widocznie Maria dalej siedziała w salonie. Wyciągnąłem z kieszeni telefon i wybrałem numer Niebińskiego.

– Tak? – usłyszałem w słuchawce.

– Koniec. Nie ma i nie będzie żadnej umowy – wypaliłem bez wstępu. – Myślisz, że masz do czynienia z idiotą, że nie widzę, co robisz za moimi plecami? Nie dam się robić w chuja. Pozdrów Wafla. Chcesz rozrywki? Będziesz ją miał. Przyjdź i obejrzyj mecz, dopilnuję, żeby był rozegrany czysto. Sprawię, że Sternik spierdoli się z hukiem. Rozumiesz?

W słuchawce zapadła cisza, po czym rozległ się głośny śmiech. Niebiński chichotał przez chwilę wysokim głosem, po czym się rozłączył.

Pociągnąłem ostatni łyk piwa, smakowało jakoś inaczej. Miałem poczucie, że wreszcie podjąłem słuszną decyzję, że zaczynam się budzić. Położyłem się i patrzyłem w sufit, aż zmorzył mnie sen.

Obudziłem się, leżąc w poprzek łóżka, tak jak padłem wieczorem, w przepoconych ciuchach. Obok łóżka leżała pusta butelka po piwie. Zza ściany dobiegało głośne trzeszczenie rozwijanej taśmy, chyba sąsiad przyklejał ją do podłogi. Stęknąłem głośno, usiłując się podnieść, przewróciłem się na brzuch i dopiero wtedy udało mi się wyprostować. Marii nie było, musiała spać u Emilka. Czułem się potwornie zmęczony, bolał mnie każdy mięsień. Znowu grałem swój mecz we śnie, ten sam męczący, nużący seans. Z zamkniętymi oczami poczłapałem do kuchni.

Spojrzałem na zegarek – godzina do treningu. W domu panowała upiorna cisza, nawet zza ściany, od sąsiada, nie dochodził żaden odgłos. Świdrujący bezdźwięk, wysoki, kłujący pisk w uszach.

Przebrałem się szybko; gdy zakładałem buty, usłyszałem odgłos otwieranego zamka. Maria rzuciła torebkę na stolik w przedpokoju, rzuciła szybkie: „Cześć, już wychodzisz?”, ale na mnie nie spojrzała. Stanąłem, chciałem coś powiedzieć, załagodzić mój wczorajszy wybuch, ale nie potrafiłem nic z siebie wydusić. Wystarczyłoby pewnie jedno słowo, cokolwiek, może by się zatrzymała, może byśmy porozmawiali, atmosfera by się oczyściła, kilka zdań, nić porozumienia i wszystko potoczyłoby się

inaczej… Maria mnie minęła i poszła do kuchni. Wyszedłem z domu bez słowa.

Gdy dotarłem do klubu, w szatni było jeszcze pusto. Zabrałem sprzęt z magazynu, założyłem spodenki treningowe, Bolek, magazynier, znowu dał mi za małe; mówiłem mu już kilka razy, że nie cierpię obcisłych gaci, że nic nie może krępować mi ruchów na boisku. Zająłem leżankę w gabinecie, czekając na lekarza, bo miał mi wstrzyknąć w kolano jakiś lek regenerujący. Gdy zacząłem odpływać w sen, wszedł doktor.

– O, jesteś. Daj mi chwilę i działamy. – Zaczął się krzątać w gabinecie.

Do środka zajrzał Babicki. Na mój widok zmarszczył brwi.

– Następny na badanie? – spytał doktor.

Babka się roześmiał.

– Jeden z worem do kolan w drużynie wystarczy. Jest Wojtek?

Doktor kiwnął głową.

– Jest, gdzieś się kręci.

Zdezynfekował mi kolano i uciskał je palcami, szukając miejsca do wkłucia. Babka usiadł na drugiej leżance.

– Ale, kurwa, mieliśmy wczoraj aferę w bloku, ochroniarze ganiali się ze złodziejem samochodów. I prawie go, kurwa, złapali, musi nad szybkością popracować. – Uśmiechnął się do lekarza, omijając mnie wzrokiem. – Na sto procent moje chciał zapierdolić, żarówkę stłukł, ale ochroniarz go spłoszył.

– Tak? – mruknął doktor, koncentrując się na mojej nodze.

– Złapał go stary, kurwa, dziadek, już go miał, powalił na ziemię i chciał, kurwa, zakładać kajdanki, ale okazało się, że złodziej nie jest sam, drugi, kurwa, przypierdolił dziadkowi bejsbolem i uciekli, sąsiad mi, kurwa, wszystko opowiedział – relacjonował podniecony i wyraźnie wstrząśnięty Babka. – We własnym garażu cię, kurwa, obrobią.

Nie odrywałem wzroku od swojego kolana.

– Niezły, kurwa, numer, co? – podsumował Babka. – Podobno mają nagranie z monitoringu, kurwa, nie wiem po co, i tak nigdy ich nie łapią. – W końcu zmienił temat: – Gdzie ten Wojtek? Wcierkę chcę.

– Uważaj. – Doktor wkłuł mi się w kolano i zaczął wolno podawać lek. Poczułem nieprzyjemne rozpieranie w stawie, skrzywiłem się, ale nie wydałem z siebie dźwięku. Wyjął igłę i przykleił wacik plastrem. Po chwili wstałem, zrobiłem lekki przysiad.

– Dzięki.

– Powinno trochę pomóc, ale cudów nie oczekuj. Blokadę zrobimy przed meczem.

W szatni panował standardowy harmider, piłkarze przygotowywali się do treningu, półgłosem komentowali rewelacje z prasy. Rogal opierdalał zawzięcie jednego z młodych – stał nad nim i wymachiwał rękami, mówiąc podniesionym głosem. Napotkałem pytające spojrzenie Hooyota. Wszedłem do toalety, tuż za mną wsunął się George.

– Mogę się odlać bez asysty? – spytałem.

– Co jest? Babka przyszedł.

– Zamknij się – przerwałem mu gwałtownie i sprawdziłem wszystkie kabiny. – Wycofuję się – stwierdziłem.

– Nie pierdol… Roman, dziś czwartek…

– Wycofuję się – powtórzyłem głośniej. – Nie ma tematu.

George otworzył usta.

– Jak? A szmal? Przecież dziewczynom zapłacił ja, a Piesek ma w dupie… Nie może tak… – Rozłożył ręce.

– Mogę.

Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Wpatrywał się we mnie, czekając na znak, że żartuję.

– A Staszek? Zostawi go bez kasy?

– Poradzi sobie, dostał nauczkę… Wszyscy dostaliśmy, ty też.

– O czym ty do mnie gada? Tyle szmalu ucieka… – Urwał wzburzony.

Drzwi toalety się otworzyły i wszedł Rogal. W niebiesko--czarnej bluzie i spodniach bramkarskich wyglądał na jeszcze większego, niż był. Wzmocniony gąbką materiał na łokciach, kolanach i barkach powodował, że nasz golkiper wydawał się jeszcze potężniejszy. Włosy związał w standardowy kucyk z tyłu głowy. Na nasz widok zatrzymał się zaskoczony. Widziałem w postawie i ruchach, że jest pobudzony, gotowy do kłótni, że szuka pretekstu. Przestępował z nogi na nogę, przenosząc ciężar ciała na boki. Kilka razy widziałem go w takiej sytuacji, więc łatwo rozpoznałem symptomy. Podszedł bliżej i położył dłonie na biodrach.

– O, mam was, spiskowcy.

Odkręciłem kran i wsunąłem ręce pod strumień wody.

– Przerwałem wam? Proszę. – Rogal zrobił zapraszający gest ręką.

– Andrzejku, przestań – odpowiedziałem z lekceważącą miną.

– Powiem wam, że coś mi tu śmierdzi – zaczął niezręcznie Rogal.

– W kiblu jesteś. – George zachichotał, stojąc w wyzywającej pozie, oparty plecami o umywalkę.

– Stul pysk, swołocz, bo ci jebnę! – Rogal nie bawił się w dyplomację i zrobił krok w stronę George’a.

Zakręciłem wodę.

– Uspokój się. – Spojrzałem w lustro. – Czego chcesz?

– Mam być spokojny? Jabola odprowadzał ty do domu tak, że wylądował w pierdlu z połamanymi żebrami, na Babkę polowali wy na treningu, cudem przeżył. Przypadek? Żelazny Kaczorek pierwszy raz w życiu naciąga mięsień. Codziennie ktoś wypada ze składu. Mam być spokojny? Czy szukać spisku? Może czas sprawdzać spis połączeń w telefonach?

– Co ty bredzisz? – odpowiedziałem. – O co nas oskarżasz?

George się zaśmiał.

– Spiskowa teoria Rogalowa.

Rogal błyskawicznym ruchem złapał George’a za jaja. Ten stęknął głośno i chwycił przedramię bramkarza, usiłując się uwolnić. Gdy bramkarz wzmocnił uścisk, George krzyknął z bólu.

– To praktyka, nie teoria.

– Zostaw go!

Skoczyłem George’owi na pomoc. Próbowałem odepchnąć Rogala, ale opędził się ode mnie jak od uciążliwej muchy. Naparł na mnie całą masą, nie wypuszczając George’a z uścisku, przedramieniem wolnej ręki uderzył mnie w klatkę piersiową. Straciłem równowagę, impet ciosu wepchnął mnie do kabiny, usiadłem na klozecie, przytrzymując się drzwi.

– Posłuchajcie, karakany. Koniec z pierdoleniem o dupie Maryni. Jeśli coś się zdarzy, coś nieoczekiwanego… urwę wam jaja. Obiecuję. Zmiażdżę je. Z przyjemnością.

Puścił George’a, który złapał się dwoma rękami za krocze i przysiadł skulony na podłodze.

– Jeszcze raz mnie dotknie, ty…

– To co mi zrobisz? – prychnął Rogal.

– Nawet nie wiesz co…

Stanąłem między nimi.

– Zamknij się, George – przerwałem mu.

– Co? Pałką mi pogrozisz? – Rogal się zaśmiał. – Wyjmiesz tego wielkiego kutasa i będziesz mnie nim bił?

– Nie. Tylko jeszcze raz zerżnę ci żonę, ty, ty… – szukał słowa George.

Rogal znieruchomiał.

Hooyot poczuł się bezpiecznie schowany za mną i nieświadomy niebezpieczeństwa, nie zamierzał przestać. Podskakiwał, krzycząc piskliwym głosem:

– Co, zdziwiony? Sama przyszła, pieprzył ja trzy razy, ty tylko za jaja umie ciągnąć, ona robiła to dużo lepiej. Sprawdź, w telefonie ma filmik. Zrób jej ładniejszy *tattoo*, ten motylek to…

Rogal szarpnął mnie tak, że poleciałem w drugi koniec toalety. Czerwony na twarzy, z szaleństwem w oczach, ruszył w kierunku Hooyota. Pierwszy cios pięścią zrzucił George'a z umywalki na podłogę, Rogal podszedł i kopnął leżącego prosto w twarz, z prostego podbicia, z woleja. Głowa George'a uderzyła w ścianę, zostawiając czerwony ślad. Bramkarz nie zamierzał przestać, czerwony na twarzy, z nabrzmiałymi żyłami na szyi podniósł półprzytomnego George'a jak szmacianą lalkę i rzucił w stronę zlewów.

Wszystko to odbyło się w sekundę. Jak rozjuszony niedźwiedź szedł już ponownie w kierunku zakrwawionego George'a, który zwijał się na podłodze. Widziałem furię w jego ruchach, Rogal szedł go zabić, hamulce puściły. Doskoczyłem do niego od tyłu. Miałem świadomość, że ryzykuję życiem, Rogal w szale był przeciwnikiem, którego należało omijać szerokim łukiem, ale i tak byłem w lepszej sytuacji niż George. Z rozpędu kopnąłem go w brzuch, stęknął i zgiął się wpół, poprawiłem ciosem w twarz, aż podparł się rękami o podłogę. Zamroczyło go na chwilę, ale zaraz wstał i charcząc, ruszył w moją stronę. Odskoczyłem w bok i chwyciłem go od tyłu, chcąc unieruchomić mu ręce. Próbowałem utrzymać w objęciach stukilowego, wkurwionego niedźwiedzia z pianą na pysku! Zrobił kilka energicznych kroków w tył, wpadliśmy razem do kabiny, pchnął mnie na ścianę i zapierając się nogami o kibel, próbował przydusić. Udało mu się wyrwać ramiona z mojego uścisku, poczułem potężne uderzenie łokciem w policzek, potem cios w okolice ucha i zrobiło mi się ciemno przed oczami.

Na szczęście dla mnie hałasy w kiblu ściągnęły resztę drużyny. Do pomieszczenia wbiegło kilku chłopaków i rzuciło się nas rozdzielać. Widziałem jak przez mgłę. Na bramkarzu wisiało trzech piłkarzy, a i tak wciąż posuwał się w moim kierunku, dopiero pojawienie się Wrzaskuna spowodowało, że sytuacja się uspokoiła.

– Czy was tu wszystkich już do reszty popierdoliło?! – wydzierał się trener. – Jak mamy zdobyć mistrzostwo?! Lejąc się między sobą? Co to, kurwa, jest?!

Wojtek przyniósł dwa okłady z lodu, jeden dał Rogalowi, drugi mnie. Tylko my dwaj siedzieliśmy, reszta w ciszy przysłuchiwała się przemowie Hucznego.

– To, co wyrabiacie, to jakiś absurd, paranoja. Ring? Bijatyka? Nie wierzę. – Pokręcił głową. – Marian, zabieraj resztę na boisko, wy dwaj doprowadźcie się do porządku i czekam na was w gabinecie.

Wojtek zaprowadził George’a do lekarza; potem okazało się, że Hooyot musiał pojechać do szpitala ze złamanym nosem i podejrzeniem wstrząsu mózgu.

Gdy spojrzałem w lustro w łazience, zobaczyłem świeżego fioletowego siniaka na pół twarzy. Trochę szumiało mi w głowie, ale pomyślałem, że George będzie wyglądał zdecydowanie gorzej. Wszedłem do pustej szatni, rozejrzałem się niepewnie. Na szczęście Rogala już nie było.

Usiadłem na ławce. W głowie mi huczało. Spojrzałem na leżące obok rzeczy George’a. Nie mogłem uwierzyć, że ten mały, czarny chuj dymał żonę naszego bramkarza. I jakby tego było mało, był jeszcze na tyle głupi, że go o tym poinformował. O rozmiarach przyrodzenia George’a w całym okolicznym światku piłkarskim krążyły legendy. Żony piłkarzy także się z niego naśmiewały po pijaku przy okazji imprez drużynowych, ale do tej pory wydawał się egzotyczną atrakcją lokalną. Największy fiut i najmniejsza żona! Grażyna była śliczną, drobniutką, filigranową brunetką. Do dziś nie przypuszczałem, że któraś z szacownych małżonek może uznać pałkę George’a za atut, wart praktycznego sprawdzenia, a przede wszystkim ryzyka. Choć z drugiej strony, jeśli piłkarze non stop ryzykowali w burdelach, to dlaczego żony miałyby być inne? Chłopaki mało nie zwariowały na widok egzotycznych Kate, Jane, Rose. Dlaczego żony miałyby nie skorzystać z okazji? Legendarny czarny fiut. Kto mu się oprze?

Żony? Przypadkowo użyłem liczby mnogiej?

Rogal czekał już na mnie pod drzwiami pokoju trenera. Obrzucił mnie tylko ponurym spojrzeniem, które mogło zabić, i bez słowa zapukał. Wszedł do środka, nie oglądając się na mnie, jakby chciał mieć to szybko za sobą. Wsunąłem się do pomieszczenia tuż za nim. Huczny był sam, siedział przy biurku z rozłożoną gazetą w rękach. Uważnie popatrzył znad prasy na nasze

poobijane twarze i ruchem głowy zaprosił nas do środka. Usiedliśmy na krzesłach przed biurkiem.

Trener zwinął gazetę, wstał i trzymając rulon jak pałkę, obszedł biurko.

– Miał być święty spokój, tak? – spytał, siadając półdupkiem na blacie. – Rozjebane pół sracza, czarnuch w szpitalu, zbiorowa jatka… To jest spokój? To jest wyciszenie i koncentracja przed meczem? Czego nie zrozumieliście? Wytłumaczcie mi.

Zaczął chodzić przed nami tam i z powrotem.

– Skład nam się sypie, kontuzje, pijaństwo i na koniec bijatyka w szatni. Co będzie jutro? Spójrzcie, jak wyglądacie. Widzieliście się w lustrze? Gęby jak po sieczkarni. Chciałeś go zabić?

– Wyruchał mi żonę… – zaczął Rogal, ale Huczny nie dał mu skończyć i ryknął:

– Cisza! – Zatrzymał się i wskazał go gazetą. – Co z tego? Wymydli się, zabraknie tobie? Zgwałcił ją czy sama chciała? Załatw z żoną, żeby przestała się puszczać, a nie mordujesz mi ludzi w szatni!

Wrzaskun machał rulonem przed twarzą Rogala. Ten nie wytrzymał, szybkim ruchem wyrwał gazetę z dłoni trenera i rzucił ją w kąt. Widać było, że z trudem nad sobą panuje. Huczny cofnął się zaskoczony i przestraszony, dopiero teraz się zorientował, że za chwilę sytuacja może mu się wymknąć spod kontroli. Wrócił na bezpieczną odległość, za biurko.

– To już piąty twój popis w przeciągu dwóch miesięcy, miarka się przebrała – obwieścił spokojnym głosem. – Zawieszam cię. Będziesz miał czas przeanalizować swoje zachowanie. Trenujesz z drugą drużyną.

– Ale trenerze, ostatni mecz… – Rogal nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Dość, wynoś się. Obydwaj wpłacicie po pięć tysięcy kary. Koniec rozmowy.

W czasie całej tej tyrady siedziałem cicho, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Czekałem na werdykt trenera. Zastanawiałem się tylko, co jest lepsze dla drużyny i dla mnie. Z jednej strony Rogal to dobry bramkarz, ale jeśli zostałby w składzie, Niebo na pewno wykonałby podejście. W końcu mieli już okazję współpracować. Z dwojga złego wolałem chyba uczciwego człowieka w klatce, nawet jeśli będzie gorszy piłkarsko od Rogala; w końcu mierzyliśmy się ze słabym zespołem, to i może pracy w bramce nie będzie dużo, jeśli zagramy poprawnie w obronie.

Gdy Rogal wstał, ja także podniosłem się z krzesła.

– Zaczekaj – wstrzymał mnie trener. Milczał, dopóki za Rogalem nie zamknęły się drzwi. – Kurwa, Roman, i ty? Wszystkiego bym się spodziewał… ale ty? Co się z tobą dzieje? Masz być moim ramieniem w szatni, głosem rozsądku. A ty co? – Czekał na moją reakcję, a gdy się nie poruszyłem, ciągle siedząc ze spuszczoną głową, podjął: – Masz ostatnie ostrzeżenie, jesteś kapitanem, ale nie będę cię inaczej traktował. Masz dawać przykład, a nie napierdalać się z kolegami. Rozumiesz?

Kiwnąłem głową. Konsekwentnie grałem skruszonego grzesznika.

– Przepraszam – bąknąłem.

– A, i powiedz tej czarnej wszy, żeby mi się nie pokazywał na oczy. Jebaka pierdolony.

Na trening dotarłem z kilkunastominutowym opóźnieniem, mimo dość wczesnej pory żar aż zatykał. Na błękitnym niebie nie było choćby chmurki. Spoceni piłkarze, rozciągając się, przyglądali mi się z ciekawością.

Huczny zdecydował się wreszcie zmniejszyć nam obciążenia, w końcu był czwartek, do meczu zostały dwa treningi. Zrobił nam lekki, taktyczny rozruch, czterdzieści pięć minut spacerowania po boisku, ustawiania się w odpowiedni sposób, w grupie, w stosunku do przeciwnika przy piłce. Bułka z masłem, idealna jednostka szkoleniowa, bym mógł dojść do siebie. Żadnych zwarć, gry w kontakcie. Widać nie chciał ryzykować, żeby i tak mocno przetrzebiony skład jeszcze bardziej się nie wykruszył.

Po treningu szybko się wykąpałem, spakowałem buty i ubranie George’a do torby i pojechałem autobusem do szpitala.

Znalazłem go pod drzwiami pracowni tomografii. Siedział samotnie na krześle w długim, pustym korytarzu, sam wśród zgniłej zieleni obskurnych płytek. Wielki biały opatrunek na nosie kontrastował z jego ciemną skórą i zasłaniał mu pół opuchniętej twarzy. Ubrany był w strój treningowy, oddychał przez lekko rozchylone usta. Plecy wygiął w pałąk, wzrok wbił w podłogę. Usiadłem obok, podałem mu reklamówkę z rzeczami, zajrzał do środka. Milczał chwilę.

– Dalej wycofać się chce? – spytał. – Odpuści takiej kanalii?

– Trener zawiesił Rogala.

– Czyli zrealizowany plan jest. Zgarną Pieska jutro za doping i wygrał ty… Znaczy, trzeba jeszcze przegrać, by wygrać. I ty rezygnuje, gdy wszystko zrobione?

– Zapomniałeś o Babickim. Ale tak, rezygnuję.

– Tylko jeden został, Roman, nie rozumiem. Szmalu tyle, kilka skurwysynów, na tacy wszystko, a ty…

Była w jego głosie jakaś nuta, której wcześniej u niego nie słyszałem. George nie był zdenerwowany ani wściekły na mnie, tylko spokojny i pogodzony z losem. W ten sposób mówili zawodnicy, którzy właśnie przegrali mecz.

– Rozmawiałem z Niebińskim, powiedziałem mu.

– Czyli po balu. – Zwiesił głowę.

– Trzeba przypilnować, żeby Niebo nie podszedł do innych, na pewno będzie próbował. Wafel już rozmawiał z Babickim.

– Czyli za darmo robota nam się trafiła? Tyle szmalu… – George nie mógł przeboleć straty pieniędzy.

– Zrozum. Wiem, że ja też byłem… – Urwałem, zbierając myśli. – Po prostu nie chcę być taką szmatą jak oni. Nie będę walczył z nimi ich bronią, bo są w tym zdecydowanie lepsi, mają większe doświadczenie, ale mogę spróbować zagrać uczciwy mecz, tylko to umiem robić. Jestem piłkarzem, więc będę grał w piłkę najlepiej, jak potrafię, proste. Chodź, w nagrodę, że byłeś takim zajebistym workiem treningowym, postawię ci obiad.

Prychnął tylko, wstał i z reklamówką poszedł w kierunku toalety. Zatrzymał się w drzwiach.

– Mogę jeszcze parę rzeczy robić, nie być tylko workiem.

– Wiem. Powiedz mi… – Zawahałem się. – Grażyna była jedyna?

Spojrzał na mnie pobłażliwie, pokręcił głową. Nie wiem, czy zaprzeczył, czy był to wyraz politowania. Zniknął w drzwiach toalety.

Zadzwoniłem do Marii, poprosiłem, żeby przyjechała z Emilkiem do Obory na obiad. Dopytywała się z jakiej okazji, więc oznajmiłem zgodnie z prawdą, że z powodu głodu. Witek w końcu odebrał i od razu zaczął przepraszać, ale standardowo nie mógł się wyrwać: Remik miał gorączkę, Gabika trzeba było odebrać z przedszkola, pozostałą dwójkę nakarmić, gdy wrócą ze szkoły, a Ania w pracy.

Gdy George, przebrany już w cywilne ciuchy, wyszedł z toalety i odebrał opis badania, wsiedliśmy w taksówkę i pojechaliśmy do restauracji. Całą drogę milczeliśmy, nie odpowiadaliśmy na rozpaczliwe próby nawiązania rozmowy przez kierowcę, ze sobą też nie chciało nam się gadać. Klimatyzacja w aucie nie działała, a powietrze wpadające przez okno było tak gorące, że nie dawało ochłody. Już po chwili pot spływał po nas

strumieniem. Ze szpitala na Kabaty było jakieś piętnaście minut jazdy, Maria miała zdecydowanie bliżej, więc gdy weszliśmy do restauracji, siedziała już z Emilem przy stoliku.

– Boże, z tygrysem walczyliście czy co? – skwitowała nasz wygląd.

– Gorzej – stwierdził George i z ponurą miną zajął miejsce za stołem. Mimo siniaków na twarzy i szumu w głowie byłem w dobrym nastroju. Czułem w sobie energię i wiarę, że wszystko pójdzie po mojej myśli. Bijatyka w szatni utwierdziła mnie w przekonaniu, że w nocy podjąłem słuszną decyzję i teraz muszę tylko dopilnować zwycięstwa ze Sternikiem. Niemalże nie mogłem doczekać się meczu, żeby doprowadzić sprawę do końca. Widok Marii jeszcze bardziej poprawił mi humor.

W przeciwieństwie do nas wyglądała olśniewająco, w cienkiej białej sukience w kwiaty, która odsłaniała opalone ramiona i dekolt. George gapił się na nią, nie mogąc oderwać wzroku; widziałem, że stara się to ukryć, ale już przyzwyczaiłem się do tego, jak mężczyźni reagowali na Marię. Doborem stroju i dodatków umiała wywrzeć wrażenie ulotności i świeżości. W tym upale, kiedy wszyscy kleili się i pocili, sam jej widok dawał poczucie orzeźwienia. W knajpie klimatyzacja działała na pół gwizdka, ale i tak było dużo chłodniej niż na zewnątrz, więc po krótkim przywitaniu z ulgą zajęliśmy miejsca przy jedynym wolnym stoliku.

Wnętrze miało imitować klimat wiejsko-prząśny, na wyłożonych drewnem ścianach co kilka metrów wisiały duże framugi okienne z sielskim pejzażem, normalne okna znajdowały się tylko na jednej ze ścian. Na półkach rozłożono narzędzia rodem z wiejskiej kuchni: wałki, moździerze, tace, drewniane sztućce, chochle, gary zajmowały każdy centymetr wolnej powierzchni. Całości dopełniały wierszyki i cytaty w ramkach, dotyczące oczywiście życia na wsi, wiszące między framugami i półkami z ekwipunkiem kuchennym. Kelnerka w ludowym stroju podała nam menu. Na szybko zamówiłem najlepsze wino i gdy przyniosła butelkę, rozlałem je do kieliszków.

– Chciałem was przeprosić – powiedziałem, biorąc kieliszek do ręki. – Ostatnio wiele się działo i byłem jakiś nieswojo nerwowy, jak nie ja.

Spojrzeli na mnie zdziwieni, tylko Emil nie przerwał zabawy łyżeczką, kręcąc nią jak bączkiem. Maria z George’em wymienili spojrzenia.

– Mam nadzieję, że najgorsze już za mną. Wiem, byłem nieznośny. Wybaczcie mi moje wybuchy, chyba miałem za dużo stresów, do tego to

bolące kolano, Wrzaskun i Książę… Sami rozumiecie. Starość nie radość, ale zrzędliwość – usiłowałem żartować.

Maria zrobiła ruch, jakby chciała położyć dłoń na moim ręku, ale wstrzymała się i zamiast tego podniosła kieliszek. Miałem wrażenie, że myślami jest gdzieś daleko. Poruszyła się w sposób, który wydał mi się znajomy, spojrzała na mnie i znieruchomiała. George siedział wpatrzony w talerz. Zsunął się na krześle, prawie leżał, ale nie było w tej pozie luzu, raczej napięcie. Było coś groteskowego w tej sytuacji, ale nie wiedziałem, o co chodzi, choć wszystkie zmysły mówiły mi, że dzieje się coś dziwnego.

– Halo! – podniosłem głos, obydwoje drgnęli. – Nie śpimy.

Zdziwiony Emil podniósł głowę znad blatu.

– Napijmy się. – Wzniosłem kieliszek w kierunku Marii. – Za szczęście i przyjaźń – stuknąłem kieliszek George’a – no i oczywiście za mistrza.

Podnieśliśmy wino do ust, Emil także z poważną miną uniósł szklankę z sokiem pomarańczowym.

– Wujku, czemu masz plaster na nosie?

George spojrzał na mnie, zastanawiając się chwilę.

– Tygrys mnie zły zjeść chciał. – Podniósł ręce, imitując pazury, i zawarczał.

– Odgryzł ci nos? W zoo? Był głodny? – drążył Emil.

– To niegrzecznie tak wypytywać – wtrąciła się Maria. – Jak wujek będzie chciał, sam opowie.

George zrobił gest mówiący, że bardzo chętnie podzieli się tą wiedzą.

– Nie, nie, spoko. – Zwrócił się do chłopaka: – Wściekły był, wściekły bardzo i ogromny.

– Czemu? Wsadziłeś mu palec w oko? – spytał Emil.

Spojrzeliśmy z George’em na siebie, myśląc chyba o tym samym.

– W oko? Nie, nie, opowiedziałem historię mu tak straszną, że rzucił na mnie z pazurami.

Uśmiechnąłem się.

– Widzisz, synu? Tym kończy się wymyślanie bajek.

– O czym? – dopytywał podekscytowany Emil, nie odrywając wzroku od George’a.

– O złej królowej i dobrym księżu, który… jej pomógł i został za to pobity – improwizował George.

– E tam. – Na twarzy dziecka, które oczekiwało raczej krwistej historii, odmalowało się rozczarowanie. – Wczoraj nasza pani też chciała pomóc

Frankowi w klasie i aż się popłakała, jak Franek do niej krzyknął… tak brzydko, tylko… chyba nie… – Emil z wahaniem spojrzał na mnie. – Mogę powiedzieć?

Nie zdążyłem zareagować, gdy George potwierdził.

– Możesz, wal.

– Spier… jeb… ku… – powiedział Emil, połykając końcówki wyrazów. – Naprawdę, pani bardzo się zdenerwowała i dzisiaj Franka nie było na lekcjach.

George parsknął śmiechem i aż syknął z bólu. Poprawił opatrunek na nosie.

– Nawet nie waż się tego powtarzać – oburzyła się Maria i z wyrzutem spojrzała na George'a. – Masz zakaz zabaw z Frankiem.

Zawstydzony Emil spuścił głowę.

– Musisz ostrożniej dobierać kolegów – dodałem.

– Właśnie, to bardzo ważne – rzekł George. – Gdybym nie miał twego taty kolegą, to pewnie nie nos tylko miałbym rozbity.

– Wyjaśnicie tę bijatykę? – spytała Maria.

George nie dał się zbić z pantałyku i kontynuował opowieść:

– Tata zatrzymał tego tygrysa, chwycił go od tyłu, chciał go gryźć, tygrys zdążył żebra tylko mi złamać dwa i nos. Twój tata to superbohater.

– Dowiem się wreszcie, co się stało? – dopytywała Maria.

– Nieważne. – Usiłowałem zbagatelizować sprawę. – Rogal pozazdrościł George'owi, stracił panowanie nad sobą, standard. Za dużo testosteronu szkodzi.

– Mi nie – powiedział George, wstając. – Idę do toalety.

Maria odprowadziła go wzrokiem. Gdy zniknął za załomem korytarza, uznała, że to jeszcze nie koniec przesłuchania.

– Wygląda jak Rocky Balboa po walce. Co tam się wydarzyło?

– Oj, nie drąż, to wewnętrzne sprawy szatni. – Usiłowałem schować się za kieliszkiem. – Możesz przejść nad tym do porządku dziennego?

Maria tylko prychnęła.

– O co naprawdę poszło?

Spojrzałem na nią uważnie.

– Rogal uznał, że Grażyna przespała się z George'em.

Maria uniosła brwi.

– O fuck! No to rzeczywiście dobrze, że przeżył – dodała. – Faceci.

Pokręciła głową, zarzuciła torebkę na ramię.

– Zaraz wrócę – wstała i poszła w stronę toalet.

Kilka męskich głów obejrzało się za nią, gdy przemierzała salę, kołysząc biodrami. Kwiaty na sukience falowały w rytm jej kroków.

Nie chcesz wiedzieć, czy to prawda? – pomyślałem. Z zadumy wytrącił mnie głos Emila.

– Bardzo boli wujka? – spytał.

– Nie, nos tylko krwawi mocno, a prawie wcale nie boli. Drobna kontuzja, do wesela się zagoi.

Obejrzałem się w stronę korytarza prowadzącego do toalet, ale ani George'a, ani Marii nie było widać. Usłyszałem parsknięcie i kaszel syna. Gdy się odwróciłem, pół obrusu i cała koszulka chłopaka były mokre od soku pomarańczowego, a on patrzył na mnie przestraszonym wzrokiem. Zachlipał.

– Przepraszam, tato, zakrztusiłem się, nie chciałem.

Trzymał bezradnie nad stołem ręce, z których kapał na obrus sok.

– Nic się nie stało – pocieszyłem go, wstając.

Wytarłem mu dłonie serwetkami, z koszulką tak łatwo już nie poszło.

– Chodź, zmyjemy to wodą.

Wziąłem małego za rękę i poszliśmy do toalety.

Białe kafelki przywitały nas lśniącą czystością wielkiej łazienki, z rzędem zamkniętych kabin. Jakbyśmy weszli do innego świata – na sali przaśna wiejskość, w toalecie szpitalna sterylność.

Sok nijak nie chciał puścić, mimo że uparcie szorowałem koszulkę zmoczonym ręcznikiem. W końcu uznałem, że bardziej nie da się już jej doczyścić. Uruchomiłem suszarkę elektryczną i kazałem stać pod nią Emilowi, aż koszulka wyschnie. Sam wszedłem do kabiny. Gdy suszarka ucichła, krzyknąłem do Emila, żeby poczekał na mnie przy stoliku. Wyszedłem, umyłem ręce, zawołałem:

– George?!

Odpowiedziała mi cisza, zacząłem sprawdzać po kolei kabiny, ale w toalecie nie było nikogo.

Gdy wróciłem na salę, przy stoliku siedział samotnie Emil, bawiąc się łyżeczką. Usiadłem. Spojrzałem na zegarek, minęło już kilka minut od ich wyjścia. Składałem i rozkładałem chusteczkę, co chwila oglądając się przez plecy. W końcu nie wytrzymałem. Wstałem, chcąc zajrzeć do damskiej toalety, ale wtedy w korytarzu pojawił się George. Już z daleka świecił białym opatrunkiem na czarnej twarzy. Usiadłem z powrotem na krześle.

– W damskim kiblu byłeś? – rzuciłem.

Zaniemówił na chwilę, otworzył usta i zastygł, ale szybko się opanował.

– Co? Zwariował ty? Przez telefon na zewnątrz rozmawiałem. – Spojrzał na mnie ze zmarszczonymi brwiami, gdy udało mu się odzyskać głos.

– Mówiłeś, że idziesz do kibla.

– Byłem. O co tobie chodzi?

Za chwilę pojawiła się Maria, idąc, chowała telefon do torebki. Obserwowałem ją uważnie, usiłując odczytać ze sposobu poruszania się i mimiki, co przed chwilą robiła. Wyglądała na totalnie rozluźnioną i w dobrym humorze.

– Przyjemne te toalety tu mają, takie czyściutkie i duże. A ty? – powiedziała na widok koszulki Emila. – Zdążyłeś się już uświnić? Zjedzmy coś na szybko i jedziemy do domu, przecież nie będziesz tu taki siedział. Wyglądasz jak bezdomny z ulicy.

– A bezdomny może być z domu? – błysnął humorem George.

Nie był to posiłek spożyty w ciepłej i sielskiej atmosferze. Podejrzliwie przyglądałem się nieudolnym próbom rozładowania atmosfery podejmowanym przez Hooyota. Raczył nas mało śmiesznymi żartami, lecz po kilku chwilach także zrezygnował, widząc ich bezskuteczność. Uważnie obserwowałem George’a i Marię, starałem się dostrzec jakieś symptomy, coś, co pozwoli mi potwierdzić moje podejrzenia. Zachowywali się sztucznie, ale nie wiedziałem, czy to nie przeze mnie. Zjedliśmy w milczeniu, pożegnaliśmy się szybko z George’em i pojechaliśmy do domu.

Po moim dobrym samopoczuciu nie został nawet ślad.

Całą drogę powrotną Maria wykorzystała na wykład o szkodliwości kontaktów z Frankiem i ich destrukcyjnym wpływie na Emila.

– Rozumiesz? – Spoglądała w lusterku wstecznym na syna. – Kogoś w życiu trzeba słuchać i takim autorytetem są właśnie rodzice, nauczyciele. Oni ci powiedzą, co jest dobre, a co złe, nie koledzy, bo sami tego nie wiedzą. Bo i skąd? Potrzeba lat doświadczenia, żeby to ocenić.

Spojrzała na mnie. Kiwnąłem potwierdzająco głową.

– Mama ma rację, słuchaj starszych.

– Pana Niemcewicza też?

– Tak… – Kiwnęła głową Maria, ale szybko się poprawiła: – Nie! Pan Niemcewicz jest wyjątkiem. Jego masz nie słuchać. Stary osioł – mruknęła pod nosem.

Pedagog, który kilkukrotnie zastępował wychowawczynię klasy Emila, słynął z nietypowego podejścia do nauczania, bezkompromisowości, drylu wojskowego na lekcjach i kar cielesnych. Rodzice hurtowo pisali petycje do dyrekcji szkoły, żeby odsunąć matematyka od prowadzenia zajęć. Rozpętali całą kampanię, na razie bezskutecznie.

Po chwili milczenia Emil zapytał:

– Czy Franek jest… Babcia mówiła, że…

– Nie, poczekaj – przerwałem mu i odwróciłem się tyłem do kierunku jazdy. – Czasem dorosłym też trudno jest ocenić pewne sprawy i też się mylą. Franek to nie jest zły chłopak… Pogubił się, popełnił błąd. – Dostrzegłem zdziwione spojrzenie Marii. – Czasem niektórzy tak reagują, strach wyzwala agresję.

– To znaczy gdy ktoś się boi, to popełnia błędy?

– Czasem tak.

– Dobrze, że jestem odważny – stwierdził z poważną miną, zapatrzył się w okno. Nagle zmienił temat: – Zagramy w *FIFĘ*?

– Znowu? – odparłem i wróciłem do normalnej pozycji. – No dobra. – Z zadowoleniem obserwowałem zdziwioną minę Marii. Emil wydał okrzyk radości i zaklaskał dłońmi.

Gdy tylko weszliśmy do mieszkania, Emil zniknął w swoim pokoju. Po chwili zapukałem i wszedłem, obejrzał się, siedząc przed komputerem w nowej koszulce z wielkim symbolem Supermana. Rozejrzałem się; w pomieszczeniu panował standardowy dziecięcy bałagan, na łóżku zmiętolona, brudna koszulka z resztką soku pomarańczowego, obok monitora pusty karton po napoju, przewrócony pojemnik po jogurcie z łyżką w środku na stercie zeszytów i książek. Na ścianie wielki plakat Batmana i David Beckham w sportowym stroju.

– Tato, lepiej być napastnikiem czy obrońcą?

– Napastnikiem – odpowiedziałem bez wahania.

– Ale przecież jesteś obrońcą, prawda? Czemu? – Poprawił się na krześle.

– Napastnik może cały mecz grać źle, tracić piłki, nie wykorzystywać sytuacji bramkowych, ale wystarczy, że raz kopnie celnie, zdobędzie bramkę i wszyscy będą go nosić na rękach. Jego błędy nie mają najczęściej konsekwencji. Nic się nie dzieje, bo cała drużyna je naprawia, zdarzają się daleko od naszej bramki. Obrońcom jest z kolei dużo trudniej. Mogą grać kapitalnie, odbierać piłki, wyśmienicie rozgrywać, a raz jeden kopną źle

i drużyna straci gola, przegra. Obrońca z miejsca staje się kozłem ofiarnym. Nikt już wtedy nie pamięta jego dobrych zagrań, choćby nie wiem ile ich było, wtedy liczy się tylko ten jeden babol.

– Czyli ty nie możesz popełnić ani jednego błędu, tak? – Spoglądał na mnie z uwagą. – To chyba trudne, no nie?

– Tak. Gotowy? Gramy? – spytałem.

– Jasne.

Zastanawiałem się przez moment, jaką naukę wyciągnie z tej rozmowy Emil. Czy zdecyduje się unikać odpowiedzialności, czy raczej nie popełniać błędów?

Podsunął drugie krzesło do biurka, trajkocząc, którą drużyną chciałby grać i dlaczego, jakby zapomniał, o czym przed chwilą gadaliśmy. Uchyliły się drzwi, Maria wsunęła głowę do pokoju.

– Wychodzę – stwierdziła.

– Ja też, za godzinę.

– Zamknij Emila. Ja niedługo wrócę, chwilę posiedzi sam, nic mu nie będzie. Prawda? – Emil kiwnął głową, ucieszony, że będzie mógł dłużej posiedzieć przy komputerze.

Zlał mnie w grze bezlitośnie, 9:0 to i tak był łagodny wymiar kary, mimo że starałem się, jak tylko mogłem. W rewanżu udało mi się zdobyć cztery bramki, ale i tak przegrałem 4:8. Niewiele miało to wspólnego z rzeczywistą grą w piłkę. Emil siedział napięty, z wypiekami na twarzy. Trochę mnie wkurzało, że nie mogę nawiązać z nim walki. Nawet bawiąc się z własnym synem, nie umiałem przegrywać. Kusiło mnie, by wyjąć wtyczkę z gniazdka, ale się powstrzymałem. Zamiast tego powiedziałem:

– Poddaję się, mistrzuniu – podniosłem ręce – koniec tej demolki. Jesteś mistrzem świata.

– Jak chcesz, mogę dać ci wygrać – stwierdził z rozbrajającą szczerością. – Ale tylko raz.

– Nie daje się nikomu wygrać. Nigdy. Zapamiętaj to. – Pogroziłem mu palcem i wstałem. – Wystarczy na dziś, muszę jakoś dojść do siebie. Myślisz, że to takie hop-siup? Po porażkach nie jest łatwo, nie przegrywasz, to nie wiesz. Ale jeszcze cię pokonam, zobaczysz.

– E tam. – Machnął ręką z niedowierzaniem. – A może pobawimy się figurkami? Opowiesz mi o nich? – spytał, zeskakując z krzesła.

Zaskoczony, spojrzałem na syna. Do tej pory nie przejawiał najmniejszego zainteresowania postaciami z *Gwiezdnych wojen*.

Pomyślałem, że coś kombinuje albo chce się podlizać, by zrealizować sobie tylko znany plan, ale z wymalowaną na twarzy nadzieją wpatrywał się we mnie bez ruchu.

– Świetny pomysł. Cieszę się. Ale wiesz – spojrzałem na zegarek: była piąta – muszę zaraz wychodzić. Jutro piątek… – zastanawiałem się. – Po meczu nadrobimy. *FIFA* i *Gwiezdne wojny*, okej?

– Dobra. – Odwrócił się ze smutkiem, ukrywając rozczarowanie.

– Obiecuję, na milion procent, po meczu. Pa! – I wyszedłem.

Zabrałem z szafy mały aparat fotograficzny Canona, który przywiozłem wiele lat temu ze zgrupowania z młodzieżówką w Dubaju. Zadzwoniłem do George'a. Odczekałem kilka sygnałów, ale nie odebrał, co mnie zdziwiło, bo zazwyczaj nosił telefon przy tyłku. Ponownie wybrałem numer, tym razem po kilku sekundach usłyszałem niepewny głos George'a.

– Tak?

– Potrzebuję pożyczyć auto na kilka godzin, za parę minut będę u ciebie. Okej?

– Nie, nie – nerwowo zaprzeczył. – Nie ma mnie w domu, ale zaraz ja wracał będę, to ciebie podjadę.

– Gdzie jesteś?

W słuchawce panowała cisza.

– Ja… w sklepie, za dziesięć minut będę… A i tak niedaleko mam, spoko – mamrotał George. – Koniec, płacę.

Po kilkunastu minutach podjechał pod blok tym swoim zdezelowanym rzęchem. Miałem nadzieję, że auto przeżyje tę krótką podróż ze mną. George wyskoczył z samochodu, jakby go ktoś gonił, szybko dał mi kluczyki z dokumentami i uciekł, mówiąc, że jest tu niedaleko umówiony.

– Pod klubem auto jutro zostaw, kluczyki u ochrony, niepotrzebny mi dziś – rzucił, odchodząc.

Stałem i zdziwiony gapiłem się na oddalającego się kolegę.

Do Mszczonowa dotarłem szybko i bez problemów, jakimś cudem nie wpakowałem się w korki i płynnie wyjechałem z Warszawy. Opel George'a nie rozsypał się na części, jedynie brak klimy dawał mi się we znaki; czułem, jak mimo otwartego okna przyklejam się przez mokrą koszulkę do fotela. Gorzej poszło mi z odnalezieniem Zajazdu Na Rogu, zdezorientowany kręciłem się po opustoszałym miasteczku i dopiero kilku zapytanych przechodniów naprowadziło mnie na właściwą drogę. Po kilku

minutach jazdy zobaczyłem jednopiętrowy budynek otoczony szpalerem tui. Stał samotnie w szczerym polu, oddalony kilka kilometrów od trasy Warszawa – Łódź, na totalnym zadupiu. Pewnie dlatego Babicki wybrał go na spotkanie.

Przyjechałem sporo przed czasem, wysiadłem z auta i rozejrzałem się wokół. Kiedyś pewnie biały, dziś brudnoszary budynek dogorywał przy parkingu wyłożonym dziurawymi płytami betonowymi. Chwasty rosnące bujnie między płytami świadczyły, że ruch na parkingu nie jest zbyt duży. Kilka aut stało przy wejściu do restauracji, wokół żywego ducha. Knajpa dni świetności dawno miała za sobą, a i wtedy do pięknych nie należała. Kanciasta bryła budynku z dostawionymi kolumnami, na których opierał się taras, na parterze duże witryny, nad wejściem neon „Zajazd Na Rogu”. Ze ścian odłaził płatami tynk, przez brudne szyby trudno było dostrzec wnętrze – całość sprawiała ponure wrażenie socjalizmu w pełnym rozkwicie.

Zostawiłem samochód z drugiej strony parkingu, prawie wjechałem między tuje, żeby go ukryć. Było wpół do siódmej, nie widziałem auta Babki, więc wszedłem do knajpy, żeby się rozejrzeć. Wnętrze było utrzymane w tym samym komunistycznym klimacie: brązowa farba olejna na ścianie, stęchłe powietrze, linoleum na podłodze i kilkanaście stolików z krzesłami jak ze szkolnej stołówki. Na sali pusto. Za wysokim drewnianym barem także nikogo nie było. Przez otwarte drzwi z kuchni dolatywał gwar rozmowy, świadczący, że lokal jednak funkcjonuje. Cicho wyszedłem z powrotem na parking i schowałem się w aucie, czekając na piłkarzy.

Był pochmurny, ale parny wieczór, zbierało się na burzę. Otworzyłem okna, z daleka dolatywał przytłumiony warkot pracującego w polu ciągnika, monotonny jak brzęczenie muchy.

Nie dawała mi spokoju ta dziwna rozmowa telefoniczna z George’em i nietypowe zachowanie przed blokiem. Zazwyczaj gęba mu się nie zamykała, często musiałem się opędzać od jego paplaniny, a tu ledwie parę słów i dziwny pośpiech gościa, który zawsze się spóźnia, który generalnie ma w dupie wszelkie ustalone terminy. Ponownie naszło mnie dziwne poczucie odsunięcia na boczny tor, wrażenie, że coś mnie omija, dzieje się tuż poza moim kątem widzenia. Rozłożyłem fotel, oparcie z głośnym chrobotem gwałtownie opuściło się do poziomu. Podniosłem je na tyle, żeby nie stracić z oczu parkingu, i wygodnie się położyłem.

Pierwszy przyjechał Wafel. Zaparkował swojego błyszczącego mercedesa tuż przy wejściu. Wysiadł, podciągnął krótkie niebieskie szorty, odkleił hawajską koszulkę od pleców i rozejrzał się uważnie wokół. Gdy szedł do środka, zrobiłem mu fotkę, razem z szyldem knajpy. Przy drzwiach zatrzymał się, wytrząsnął kamyk z klapka, jeszcze raz spojrzał na parking i zniknął w środku.

Jeep Babickiego pojawił się po dziesięciu minutach, Babka zaparkował obok mercedesa. Na szczęście dla mnie nie rozglądał się wokół, w czapce z daszkiem nasuniętej na czoło i w ciemnych okularach szybkim krokiem wszedł do knajpy. Ledwo zdążyłem zrobić mu zdjęcie.

Odczekałem pięć minut, by poczuli się bezpiecznie, chwyciłem aparat fotograficzny i dzisiejszy „Kurier", który specjalnie kupiłem wcześniej, i ruszyłem do restauracji, chowając się za krzewami. Siedzieli w głębi, w najdalszym kącie sali, Wafel, odwrócony do mnie plecami, pochylony nad stołem, zawzięcie gestykulował, wyliczał coś na palcach jednej ręki, a Babicki słuchał go, popijając colę. Gdy mnie dostrzegł, w pierwszej chwili chciał się odwrócić bokiem i zasłonić twarz dłonią przyłożoną do czoła, ale gdy złapaliśmy kontakt wzrokowy, usiadł normalnie, wyprostował się i zdjął okulary. Wafel przestał mówić, obejrzał się do tyłu, zmarszczył brwi i spojrzał pytająco na Babkę, który nie odrywał ode mnie wzroku. Podszedłem bliżej.

– Cześć, chłopaki, omawiacie strategię na Bośnię? Na takim zadupiu?

Rzuciłem gazetę na stół obok filiżanki Wafla, tytułową stroną do góry. Tuż obok daty widoczny był duży nagłówek: *„Pianista" Polańskiego ze Złotą Palmą w Cannes!*.

– Rozumiem, że trzeba utrzymać w tajemnicy przed przeciwnikiem najważniejsze założenia meczowe – patrzyli na mnie jak na wariata, nie rozumiejąc, o co mi chodzi – ale żeby chować się aż tu? Przeceniacie ich możliwości analityczne.

Zrobiłem dwa kroki do tyłu, przyłożyłem aparat do oka i nacisnąłem spust migawki. Błysnęła lampa.

– Co ty odpierdalasz, Dzwonek? – nie wytrzymał Babka.

– Dacie mi autograf? Jak wydrukuję, to powieszę sobie na ścianie. Najdroższa pamiątka sportowa. Warta mistrzostwa? Cenna? Jak myślisz, Wafel, ile jest warta? Powiedz mi, bo nie wiem, za ile wystawić na Allegro.

– Co to jest? – Wafel nic nie rozumiał. – Szantaż? Chcesz szmalu?

– Za co? – udawałem głupka. – Jest was czym szantażować?

– Spadaj, Zygmunt. Napić się, kurwa, kawy wspólnie nie można? Czego chcesz? – spytał wyzywająco Babicki.

– Ja chcę tylko zagrać mecz, uczciwie.

– To se, kurwa, graj, my pijemy kawę. – Podniósł butelkę coli w geście toastu.

– Problem w tym, że nie jestem pewny, czy wy też tego chcecie – dokończyłem myśl.

– Tworzysz problem, gdzie go nie ma – odezwał się Wafel. – Pijemy sobie kawę.

– To se pijcie, pa. – Uśmiechnąłem się i wskazałem na aparat. – Bez względu na wynik w sobotę będzie dużo warte.

Gdyby wzrok umiał zabijać, w drodze do auta kilka razy padłbym trupem. Wsiadłem, odpaliłem silnik i pojechałem do domu, żałując, że nie zrobiłem więcej zbliżeń ich zaskoczonych min.

Moim celem nie było zdobycie dowodów na handel punktami ani złapanie przestępców na gorącym uczynku. Chciałem po prostu w jakimś stopniu zabezpieczyć się przed ich machlojkami, sprawić, by wiedzieli, że ktoś ich podejrzewa, przygląda się im uważnie, by bali się, że jeśli im się uda, to ktoś będzie miał podstawy, by wysunąć przeciwko nim oskarżenie. Nawet jeśli trudno byłoby im cokolwiek udowodnić, to smród i śledztwo mediów mogłyby im poważnie zaszkodzić. Sądząc po ich minach, osiągnąłem swój cel.

Drogę powrotną do Warszawy pokonałem z uśmiechem na twarzy. Mokre ulice powoli pustoszały, krótkotrwała ulewa oczyściła powietrze. Asfalt lekko parował, ciepłe światło zachodzącego słońca przebiło się przez chmury i sprawiło, że świat zrobił się inny, piękniejszy, choć istniał tylko na godzinę przed ciemną nocą. Wjechałem weń zdezelowanym autem George’a.

3

Gdy zaparkowałem pod blokiem, zapadł już zmrok. Nad otwartymi drzwiami klatki nie świeciła żarówka, ledwo zauważyłem opartego o ścianę sąsiada; jego twarz upiornie podświetlał tylko kilkucentymetrowy żar z papierosa. Zaciągał się łapczywie i wydmuchiwał dym, śpiesząc się nie wiadomo czemu. Przyglądał mi się ze standardowo ponurą miną. Przy krawężniku stała biała furgonetka, mocno obciążona, sądząc po kołach schowanych w błotnikach.

– Dobry wieczór – rzuciłem ze sztucznym uśmiechem.

W odpowiedzi mężczyzna gwałtownie wydmuchał dym. Patrzył na mnie z politowaniem, jakby takich jak ja widział już tysiące.

Nie dawałem za wygraną:

– Piękna pogoda, mogliby wymienić żarówkę, ciemno tu.

Ponownie się zaciągnął, jarząca końcówka jeszcze się wydłużyła i dmuchnął prosto we mnie dymem.

Na piętrze nie mogłem się powstrzymać, nacisnąłem klamkę blaszanych drzwi. Ku mojemu zaskoczeniu się otworzyły. Spojrzałem w dół schodów, nasłuchując kroków, ale było cicho. Powolutku uchyliłem drzwi i wsunąłem się do środka z nadzieją, że zagadka się wreszcie wyjaśni. Przez pozbawione firanek okna wpadało światło pobliskich latarni. Mieszkanie było puste, na białych ścianach pozostały zarysy ram i mebli, które wyniesiono, na podłodze pokrytej kłębami kurzu walało się kilka kartek. Schyliłem się, na dole czystej strony znajdowało się kilka wydrukowanych słów w nieznanym mi języku. Rozejrzałem się w poszukiwaniu śladów, które podsuną mi jakikolwiek trop, sugestię. Co on tu, do diabła, robił?!

Zgniotłem kartkę i wyszedłem po cichu.

Otworzyłem drzwi naszego mieszkania, słyszałem dochodzący z kuchni brzęk naczyń i szum wody. Schowałem aparat w szafce w sypialni i wróciłem do kuchni. Stojąc przy zlewie, Maria spojrzała na mnie przez ramię, lecz nie przerwała mycia naczyń. Przyglądałem się jej chwilę, próbując zwalczyć wizje podsuwane mi przez wyobraźnię, po czym pod wpływem impulsu przyciągnąłem ją do siebie. Powąchałem kark, szukając obcych zapachów, przylgnąłem do niej biodrami. Wyswobodziła się i zerknęła na mnie zdziwiona.

– Co robisz? – fuknęła.

– Przytulam się. Gdzie byłaś?

– Mówiłam już, słuchaj mnie. U Małgosi, obiecałam jej spotkanie już dawno.

Ponownie przyciągnąłem ją do siebie, tak naprawdę nie wiem czemu. Poczułem przypływ podniecenia spotęgowanego zagrożeniem, ale było w tym coś jeszcze. Jakbym chciał postawić stempel, zaznaczyć swoją własność. Widziałem zachowujących się tak mężczyzn, gdy czuli, że ich kobieta jest obserwowana, że komuś się podoba. Nagle zaczynali manifestować swoje uczucie, czułości, przytulanie na pokaz były jasnym sygnałem wszystkim wokół: to jest moja samica. Znaczenie terenu.

– Przestań, widzisz, co robię – odepchnęła mnie.

Wyjąłem piwo z lodówki i poszedłem do pokoju. Przez następne pół godziny siedziałem na kanapie, bezmyślnie gapiłem się na jakiś mecz w telewizji. Nie widziałem go, nie wiem, jaki był wynik ani nawet kto grał. Na ekranie dwudziestu dwóch piłkarzy uganiało się za piłką, a ja opędzałem się od obsesyjnie powracającej wizji. Sama myśl nie byłaby taka najgorsza – nie mogłem znieść obrazów, które pojawiały się w głowie tuż po niej. Uświadomiłem sobie, że najbardziej porusza mnie nie sam widok mojej żony kopulującej z jakimś fagasem! Dostałem szczękościsku i zaczęły mi drżeć ręce, gdy wyobraźnia podsunęła mi obraz przyjemności, ekstazy na jej twarzy. Ten delikatny uśmiech, przyspieszony oddech, który wielokrotnie czułem na swojej szyi, to charakterystyczne westchnienie połączone z chrząknięciem, z którego wielokrotnie żartowaliśmy po seksie. I oczywiście mózg podsuwał mi ten obraz w zbliżeniu, z detalami, jak na koncercie życzeń… W konkursie na najbardziej doprowadzający mnie do szewskiej pasji obraz zawsze wygrywa moja wyobraźnia, jest bezkonkurencyjna.

Emil grał zamknięty w swoim pokoju. Maria krzątała się w kuchni, od czasu do czasu wpadała do salonu, tak naprawdę nie wiem po co – może żeby skontrolować, co robię? Wyglądała seksownie nawet jako kura domowa, czyszcząc zlew czy myjąc naczynia. Obcisłe czarne legginsy, biała koszulka bez rękawów, zarzucony na wierzch kusy fartuszek kuchenny – prosty domowy strój eksponował piękno jej sylwetki. Myślę, że nawet w pokutnym worku wyglądałaby podniecająco.

Po trzecim piwie poczułem się wyjątkowo nietrzeźwy jak na taką ilość alkoholu. Odgłosy dochodzące z kuchni ucichły, Maria z telefonem w ręku,

już bez fartuszka, usiadła obok mnie. Skończyła pisać, odłożyła aparat na stół, spojrzała na telewizor, a potem na butelkę piwa.

– George jest przystojny? – wypaliłem z ciężkiej artylerii.

Zmarszczyła brwi, przyglądając się uważnie mojej twarzy.

– Słucham?

– Pytam, czy George jest przystojny.

Skrzywiła się.

– Mały, zwinny, niewywrotny, ale czy przystojny? Nie. Czemu pytasz? – Nie doczekała się odpowiedzi, więc wzruszyła ramionami i wstała. – Chcesz herbaty? – rzuciła, idąc do kuchni.

– Nie. – Szybko wstałem i chwyciwszy ją za biodra, przyciągnąłem do siebie.

– Roman, nawąchałeś się czegoś? Puść, herbaty chcę.

Nie sprawiłem jej przyjemności, opędzała się ode mnie jak od nachalnej muchy. Stała bez ruchu, sztywna i wyprężona, czekając, aż ją puszczę. Nawet się do mnie nie odwróciła. Gdy się odsunąłem, wyszła z pokoju szybkim krokiem, a ja klapnąłem na fotel.

Chwilę później na stole zawibrował wyciszony telefon Marii. Spojrzałem w stronę kuchni i się pochyliłem. Na wyświetlaczu pojawiła się ikonka nowego esemesa z imieniem Robert. Gdy wziąłem aparat do ręki, do pokoju wbiegła Maria, wyrwała mi telefon i wskazując mnie palcem, wycedziła:

– Nigdy nie waż się grzebać w moim telefonie. Jest mój i tylko mój.

Uśmiechnąłem się półgębkiem.

– Masz wiele tylko swoich rzeczy.

– Ty nie masz?

– Ja nie mam nic do ukrycia, w przeciwieństwie do ciebie.

– Na pewno? Widziałam volviaka, a raczej to, co z niego zostało. Masz mnie za idiotkę?

– Kto to jest Robert? – Uśmiech zniknął z mojej twarzy.

– Ktoś, kto nie grzebie mi w telefonie.

– A w czym? Myślisz, że jestem ślepy, że nie widzę?

Wstałem, bo zaczęła denerwować mnie ta konwersacja.

– Czego? – spytała. Nie cofnęła się, tylko patrzyła na mnie zmrużonymi oczami, wyzywająco.

– Nieważne! – Odwróciłem się.

Zastąpiła mi drogę.

– Zacząłeś, to wyduś to z siebie. Co tak przenikliwie dostrzegasz?

– Zdradzasz mnie? – wyrzuciłem z siebie.

Nie wściekła się, jak się spodziewałem; popatrzyła na mnie, pokiwała głową z politowaniem i spokojnym tonem, jakby nic się nie stało, rzekła:

– Pytasz mnie? Czy stwierdzasz fakt?

– A jak sądzisz?

Jej spokój i opanowanie jeszcze bardziej mnie wkurzyły; zareagowała, jakbym spytał ją, która godzina, a ona zbeształa mnie, że nie noszę zegarka. Ta jej stonowana reakcja uzmysłowiła mi, że tak drażliwy dla mnie temat nie wzbudza w niej żadnych emocji, że jej to w ogóle nie rusza, jakby gadała o związku, którego już dawno nie ma.

– Oskarżam cię o zdradę… O zdradę! A ty nawet nie zaprzeczasz? „Tak, jestem kurwą, mój mężu” – przedrzeźniałem jej ton, choć wcale nie było mi do śmiechu.

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Widziałem, że ją zaskoczyłem, ale nie wybuchła.

– Słyszysz siebie? Słyszysz, co mówisz? – spytała. – Kiedy stałeś się takim…

– No kim? Dokończ… Albo nie kończ, tylko idź do tego swojego fagasa, Robercika, może zabierze cię na Zachód.

– Może. On przynajmniej nie sra w gacie na samą myśl o wyjeździe za granicę. Nie jest takim tchórzem jak ty.

Puściły mi hamulce, straciłem panowanie nad sobą. Chwyciłem ją za szyję i ścisnąłem mocno jedną ręką, drugą zamierzyłem się do ciosu, ale widok przerażenia na jej twarzy szybko mnie ostudził. Puściłem ją, wydukałem przeprosiny. Potknęła się o fotel, wybiegła do pokoju Emila.

Stałem jeszcze chwilę nieruchomo, rozważając konsekwencje swojej furii, po czym powlokłem się do sypialni. Pierwszy raz przekroczyłem granicę. Znowu zrobiłem coś, czego nie da się naprawić, co bezpowrotnie zmieniło rzeczywistość.

Czemu niektóre nasze czyny są ważne, a inne nie? Co powoduje, że konsekwencje naszych zachowań są różne: odwracalne, nieodwracalne, błahe, nieistotne, poważne, niezauważalne? Czy tylko stosunek uczestników wydarzenia decyduje o wadze danego czynu? Konsekwencje zależą od tego, jak o nim myśli jedna i druga strona? Wystarczy więc myśleć o danym zdarzeniu w określony sposób i spowodować – co jest trudniejsze – by druga strona też tak myślała?

Na stoliku przy łóżku stało kilka figurek *Star Wars*, miałem wrażenie, że gapią się na mnie z wyrzutem. Jednym ruchem ramienia zrzuciłem je wszystkie, to samo zrobiłem ze stojącą na półkach regału resztą armii. Zacząłem metodycznie je deptać, jakby to one były odpowiedzialne za to, co się dzieje. Chrzęściły mi pod butami, pękały, wyginały się – unicestwiłem całą swoją armię, zniszczyłem wszystkie postacie, począwszy od szeregowców, a skończywszy na generałach i bohaterach, bez wyjątków.

Poszedłem spać w towarzystwie całej masy zwłok rebeliantów, żołnierzy Imperium i innych frakcji.

Nie chciałem się budzić – jakby powiedział jeden z moich kolegów: wstałem rano, obejrzałem *Teleexpress* – ale dochodziła dwunasta. Długo leżałem w łóżku, bałem się podnieść. Nie wiedziałem, co zastanę na jawie, chciałem jak najdłużej odwlec tę chwilę. Nasłuchiwałem odgłosów z mieszkania. Był piątek, trening mieliśmy po południu i jechaliśmy na zgrupowanie do hotelu przed jutrzejszym meczem ze Sternikiem, więc mogłem jeszcze odwlec moment konfrontacji z rzeczywistością. Odtworzyłem sobie przebieg wieczornej rozmowy. Oczywiście po emocjach nie było już śladu, po alkoholu także.

Zastanawiałem się, co mi strzeliło do łba. Co miałem zamiar osiągnąć? Jaki był cel mojego zachowania? Chciałem siłą wycisnąć z niej wyznanie? Czy wyegzekwować wierność duszeniem? Co mogę tak naprawdę zrobić z uczuciami innych? Jak je kontrolować? Czy da się nimi sterować? Bzdura. W pijackim widzie uroiłem sobie, że będę kształtował czyjeś uczucia! Jak bardzo trzeba się schlać, by w to uwierzyć?

No i co mam zrobić z własną żoną, która się puszcza?

Gdy wszedłem w końcu do kuchni, Maria znowu zmywała naczynia. Stała tyłem do mnie. Zerknęła tylko przez ramię i ponownie skupiła się na wykonywanej czynności, ale czułem napięcie w jej pozie. Zajrzałem do lodówki, wyjąłem jogurt i bez słowa usiadłem przy stole. Jadłem w ciszy zakłóconej jedynie szumem wody w zlewie. Zastanawiałem się, co mam jej powiedzieć. Czego tak naprawdę od niej chcę?

Zakręciła wodę, wytarła ręce w ścierkę i skierowała się w stronę drzwi.

– Jadę na zgrupowanie – rzuciłem szybko. Nie odwróciła się do mnie. – Chciałbym, żebyśmy porozmawiali po powrocie.

Kiwnęła głową na znak, że przyjęła to do wiadomości, i wyszła z kuchni. Skończyłem jeść, spakowałem kosmetyczkę, dorzuciłem do torby książkę,

choć nie sądziłem, że będę w stanie skupić się na lekturze w hotelu. Wyszedłem z mieszkania. Zatrzymałem się na klatce schodowej, echo moich kroków zanikło w spirali schodów. Miałem nieodparte uczucie nieuchronności tego, co nadchodzi, choć nie wiedziałem, co to będzie. Ogarnęło mnie wrażenie, że coś się już w zasadzie zdarzyło, że klamka zapadła i nie ma odwrotu, że jedyne, co mogę zrobić, to obejrzeć się wstecz i patrzeć. Tak naprawdę wtedy pierwszy raz poczułem niepokój, który z czasem miał przerodzić się w strach.

Zawróciłem. Wbiegłem na górę, biorąc po kilka schodków naraz. W kuchni było pusto, w salonie też. W sypialni na łóżku leżała otwarta walizka. Maria stała przy szafie i spoglądała na mnie ze strachem.

– Co ty robisz? – zadałem pytanie, choć doskonale znałem na nie odpowiedź.

Dalej bez słowa patrzyła na mnie oczami przestraszonej sarny. Spojrzałem na zegarek; powinienem już wychodzić, nie miałem czasu na dyskusje.

– Posłuchaj, nie rób nerwowych ruchów. – Uniosłem ręce w uspokajającym geście. – Teraz muszę jechać na zgrupowanie, obiecuję, że po powrocie spokojnie porozmawiamy i wszystko sobie wyjaśnimy. Wiem, że wczoraj… emocje, nerwy… wiem… ale daj sobie chwilę na uspokojenie, porozmawiamy, okej? Potrzebuję trochę czasu… chwilę, dwa dni.

Zrobiłem krok w jej stronę, cofnęła się. Patrzyła na mnie wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. W jeden wieczór zrobiłem z pewnej siebie kobiety spanikowanego, struchlałego zająca, gotowego w każdej chwili do ucieczki. Poczułem ucisk w piersi, sparaliżował mnie namacalny strach bliskiej osoby. Zdałem sobie sprawę, że to ja jestem jego źródłem.

Wyszedłem z domu i pojechałem oplem George’a do klubu; czułem się jak pieczeń w rozgrzanym piekarniku, fotel parzył, słońce dawało się we znaki. Kluczyki zostawiłem w stróżówce przy bramie, wraz z informacją, do kogo należy wóz.

W pustej szatni przebierało się tylko kilku zestresowanych juniorów. Wielu z nich widziałem po raz pierwszy. Sam się do tego przyczyniłem. Trener uzupełniał na bieżąco braki personalne chłopakami z drugiej drużyny, którzy normalnie z nami nie trenowali. Efektem ubocznym mojej wcześniejszej działalności była szansa debiutu w superlidze piłkarzy z niższej klasy. George nie trenował ze względu na rozkwaszony nos, Witka

jeszcze nie było, zresztą czułem się tak przygnębiony sytuacją w domu, że nie chciałem z nikim gadać.

Wziąłem komórkę i wyszedłem do kibla. Po kilku bezowocnych próbach połączenia się z Marią zrezygnowany położyłem się na wolnej leżance u doktora. Na drugiej leżał na brzuchu Sapik, wczepiony w krawędź łóżka. Lekarz ze strzykawką w dłoni aplikował mu lekarstwo w ścięgno achillesa.

– Będzie się ślizgał jak penis w pochwie po dwugodzinnej grze wstępnej – wymamrotał doktor, wyjmując igłę.

Wróciłem do szatni; powoli się zapełniała, brakowało tylko kontuzjowanych zawodników. Szymek, trzydziestosześcioletni weteran ligowych boisk, robił swój popisowy numer, który już nieraz widzieliśmy, ale powtarzał go, ilekroć pojawiała się nowa widownia: stał bez koszulki i prezentował młodym chłopakom z drugiej drużyny swoje trofea.

– Śruba. – Odchylał getrę, pokazując staw skokowy. – Sztuczne więzadła. – Pukał się w kolano. – Dwie śruby. – Dotykał obojczyka. – A tu siatka. – Wskazywał krocze. – Myślisz, że na jajka? Na brzuch, mięśnie brzucha.

Odwrócił się tyłem, pokazując szramę na plecach.

– A ta blizna też z boiska? – spytał jeden z młodych.

– Nie, to dupa. – Wszyscy, którzy już wielokrotnie słyszeli tę pointę, wybuchnęli śmiechem.

Babka unikał mego wzroku, bez słowa przebierał się w kącie, małomówny jak nigdy.

– Panowie, posłuchajcie chwilę! – krzyknąłem.

Zapadła cisza, wszystkie głowy zwróciły się w moim kierunku. Babicki znieruchomiał.

– Dostałem informację, że będzie próba podejścia pod jutrzejszy mecz – wypaliłem bez ogródek.

– Co? – Piłkarze zaczęli patrzeć na siebie zdziwieni. Babka twardo gapił się w podłogę, czekając na dalszy ciąg.

– Skąd wiesz? – dopytywał się Bizak.

– Dostałem cynk od naszego kibica, który pracuje dla Gobetu. Nie wiem, ile w tym prawdy. Może chcą nas wewnętrznie skłócić? Podobno Gobet przeznaczył sporą sumę na załatwienie bezpiecznego wyniku.

Zapadło pełne konsternacji milczenie.

Stanek się roześmiał.

– To jakaś bzdura, prowokacja szyta grubymi nićmi. Co niby mamy z tym zrobić? Spalić kogoś na stosie?

– Mówię, co wiem – stwierdziłem. – Wolę, żebyście też mieli tego świadomość. Diabli wiedzą, co im przyjdzie do głowy. A, i jeszcze jedno. Jeśli to jest prawda i jeśli nie wyjdzie im podejście do nas, wiecie, co zrobią z wolną kasą? Podeprą sędziów. Jutro spodziewajmy się więc najgorszego, będzie kręcenie wora na żywca.

Jakby na potwierdzenie mojej teorii usłyszeliśmy wrzaski dobiegające z pokoju medycznego. Zza drzwi wybiegł wzburzony Piesek, krzycząc w stronę otwartego gabinetu:

– Czytacie u… ulotki leków? Szprycujecie nas ch… ch… chuj wie czym i co? Ja mam za to cierpieć? – Trzasnął z całej siły drzwiami. – Jebać to!

Szybkim krokiem podszedł do swojego miejsca, chwycił torbę i skierował się w stronę drzwi.

– Co się dzieje? – zapytał Kaczorek, który przyjechał na zabiegi fizykoterapii.

– Ch… chuj wie, ale nie zdziwcie się, jak wam cycki urosną albo ci… cipa – wycedził i szybkim krokiem wyszedł z szatni, głośno przeklinając.

Wszyscy spoglądali na siebie zdezorientowani, włącznie ze mną, mimo że czekałem na tę akcję od kilku dni. Uświadomiłem sobie, że gdzieś tam w tle, po cichu, niezauważenie Niebiński dalej działa i pociąga za sznurki. Siła sprawcza superligi, nieuchronna jak wyrok Sądu Najwyższego. Musiał opłacić przyspieszone badania próbek. Nie odpuścił tematu po tym, jak zmieniłem zdanie.

Wszedł Huczny. Posępna mina i morderczy wzrok nie wróżyły najlepiej. Ku mojemu osłupieniu tuż za nim w szatni pojawił się Rogal. Ze stosem sprzętu w ręku szybko zajął swoje miejsce i zaczął się przebierać. Mijając mnie, uśmiechnął się krzywo. Zapadła cisza, trener bez żadnych wstępów przeszedł do rzeczy.

– Mam dwie wiadomości. Zła jest taka, że u Pieseckiego wykryto doping, jest zawieszony i nie może grać do wyjaśnienia. Nie umiem tego zrozumieć i nawet nie będę na to tracił czasu ani uwagi – mówił szybko, nie robiąc pauz. – Jutro mamy mecz i tylko to się teraz liczy. Najważniejsze spotkanie w sezonie. Seriami spadają na nas nieszczęścia, ale właśnie w takich momentach musimy pokazać charakter, w takich trudnych chwilach wykuwają się silne drużyny. Teraz macie okazję pokazać wszystkim, że macie jaja i byle gówno nas nie złamie. Jutro… – zrobił

pauzę i cicho dodał: – możemy być mistrzami Polski, najlepszą drużyną w kraju. Rozumiecie to? I tylko od nas to zależy. – Rozejrzał się po twarzach, jakby sprawdzając, czy ta informacja dotarła do każdego. – Tylko odsuńcie od siebie wszystko, co może zaprzątać waszą uwagę, nic nie powinno was rozpraszać, żadne niesnaski czy kłótnie. – Spojrzał na mnie i Rogala. – Skoncentrujcie się wyłącznie na jednym: na grze w piłkę.

Stojąc przy tablicy, wziął w rękę kredę, jakby chciał nam wyjaśnić kolejny wariant taktyczny. Zawahał się, po czym odłożył ją i wytarł dłoń o dłoń. Spojrzał na nas.

– Dobra wiadomość jest taka, że w jutrzejszym meczu postanowiłem dać okazję do odkupienia win Rogalowi. Potraktuję to jako ostatnią szansę i dodatkową motywację. Wygramy, odwieszę go na stałe. Możecie mu pomóc. Tylko jako jedność odniesiemy zwycięstwo. – Znowu spojrzał na mnie.

Słuchałem tego wywodu, wpatrując się w podłogę między butami, jak Babicki przed chwilą, i zastanawiałem się, co ta decyzja dla mnie oznacza. To dobrze czy źle? Niebo zadziałał? Uruchomił swoje macki, by przywrócić pupila, który odpierdoli jutro ze dwa numery, tak że będziemy płakać za utraconym mistrzostwem? Kurwa, nawet Hucznego kontroluje? Nie, to niemożliwe!

Z tych rozmyślań wyrwał mnie głos trenera:

– Roman, słyszałeś? Rogal? – Kiwnęliśmy głowami. – Podajcie sobie ręce, chcę to zobaczyć.

Wstaliśmy i podaliśmy sobie dłonie na środku szatni, mierząc się wzrokiem, w którym nie było ani jedności, ani zrozumienia. Przypominało to raczej chłodną obserwację dwóch rywali, a nie porozumienie współpracowników dążących do wspólnego celu.

Trener klasnął w dłonie.

– Załatwione. A teraz do roboty. Bramkarze oddzielnie, reszta rozruch, tylko ostrożnie, bez kontuzji. Dosyć już kataklizmów jak na jeden mecz – mruknął do siebie. – Po treningu pakujcie się w biegu, chcę szybko wyjechać na zgrupowanie! – krzyknął jeszcze, gdy zaczęliśmy wychodzić na boisko.

Mimo kiepskiej kondycji finansowej klubu Huczny wymógł na prezesie zgrupowania przedmeczowe. Argumentował, że dług jest i rośnie tak czy owak, a łatwiej będzie go spłacić, gdy będziemy mistrzami Polski.

Upał nie odpuszczał, po minucie rozgrzewki pot lał się z nas strumieniami. Krążyliśmy truchtem wokół boiska, wzdłuż linii bocznych. Na trybunie siedziało dwóch młodych chłopaków ubranych na niebiesko. Trening nie był otwarty dla publiczności, więc pewnie przeskoczyli średnio pilnowane ogrodzenie i spokojnie przyglądali się rozgrzewce. Podszedł do nich jeden z porządkowych, wielki jak szafa starszy pan w jaskrawej kamizelce, i zaczął coś mówić. Akurat zatrzymaliśmy się niedaleko i przeszliśmy do ćwiczeń rozciągających. Kibice w ogóle nie zwracali uwagi na ochroniarza, więc ten zaczął tracić cierpliwość i podniósł głos. Chłopcy rzucili kilka słów w odpowiedzi, ale nie ruszyli się z miejsca. Ochroniarz nagle wyprowadził cios, wielką jak bochen chleba dłonią trzasnął w twarz bliższej siedzącego chłopaka. Ten spadł z krzesełka, ale zaraz obydwaj się zerwali i zaatakowali porządkowego. Starszy pan wymachiwał rękami, próbując się obronić, a dwaj młodzi mężczyźni okładali go pięściami z dwóch stron.

Przerwaliśmy rozciąganie; wszyscy gapiliśmy się na tę abstrakcyjną scenę rozgrywającą się na trybunie. Ochroniarz uklęknął, trafiony w tył głowy, podparł się jedną ręką, drugą złapał chłopaka za koszulę i przyciągnął do siebie.

Witek w ułamku sekundy znalazł się przy ogrodzeniu, przeskoczył je w dwóch susach i wpadł pomiędzy walczące postacie. Odepchnął jednego z kibiców i rozdzielił sczepione sylwetki. Starszy pan ciężko oddychał, pochylony, z rękami na kolanach. Chłopcy puścili jeszcze pod jego adresem wiązankę epitetów i wolno zeszli z trybuny.

Reszta drużyny, włącznie z trenerem, stała jak wmurowana; nikt nie skoczył, żeby pomóc Witkowi. Wszyscy gapili się, jakby trybuny to był jakiś inny świat.

Może zresztą tak właśnie było? Na pewno kibice nie żyją w tym samym uniwersum co piłkarze. I nie zmienią tego nieudolne próby ukrycia tego faktu: całowanie herbu na koszulce, deklaracje, podlizywanie się trybunom. Te dwa światy łączy strach, świadomość nieuchronności konfliktu i sporadycznie wdzięczność. Tak wyglądała ta relacja od strony boiska, przynajmniej w oczach większości zawodników. Jedynie Witek postrzegał ją inaczej, może normalnie. Może był po prostu jedynym normalnym gościem w drużynie?

Dalsza część treningu przebiegła już bez żadnych spektakularnych wydarzeń – gra na utrzymanie, dwa schematy taktyczne, kilka startów. Co

jakiś czas spoglądałem na drugą połowę, gdzie bawili się bramkarze; widok potężnej sylwetki Rogala napełniał mnie niepokojem. Zresztą Babce też nie ufałem, nie byłem pewny, czy mimo naszego spotkania nie podejmie ryzyka. Diabli wiedzą, jak bardzo był zmotywowany, czyli ile dostałby za przekręt. Miałem też pewność, że Niebiński ciągle knuje, zastawia sieci i spróbuje się zabawić w ostatniej kolejce.

Wykąpałem się i nie mogłem usiedzieć w miejscu, więc z torbą w ręku pobiegłem na parking. Wrzuciłem rzeczy do autokaru i spacerowałem między zaparkowanymi autami jak tygrys w klatce. Próbowałem się dodzwonić do Marii, lecz odzywała się tylko poczta głosowa.

– Panie Romanie, mogę autograf?

Jakiś kibic podsunął mi kartkę pod nos, więc przywołałem na twarz grymas imitujący uśmiech i złożyłem podpis. Chłopak kiwnął głową i podziękował. Jego twarz wydała mi się znajoma, przyjrzałem mu się uważniej. Uświadomiłem sobie, że widziałem go już wcześniej, uciekałem przed nim w autobusie, gdy jechałem do Babickiego: ta sama ruda czupryna i niebieskie okulary. Odwrócił się bokiem, wpatrując się w kartkę z podpisem jak w relikwię, i odszedł kilka kroków.

Ponownie zadzwoniłem do Marii, znowu bez efektu. Załamany usiadłem w autokarze, kompletnie nie wiedząc, co zrobić. Jak spowodować, by zechciała ze mną być, by dostrzegła we mnie przyzwoitego faceta?

Potężna, rozkołysana sylwetka bramkarza zmierzała przez parking w stronę autokaru. Zacząłem się zastanawiać, jak wykluczyć Rogala. Przecież nie mogłem pójść do trenera i go podpierdolić. Po naszej bijatyce i tak mi nie uwierzy, będzie myślał, że chcę się odegrać. Czy rezerwowy bramkarz, Maciek, jest dużo słabszy od Rogala? Nie ma doświadczenia, niewiele dotąd grał, ale zostawi na boisku zdrowie, wypluje płuca, głowę wsadzi tam, gdzie inny bałby się nogę dostawić. Ale nie, trener musi mieć w klatce sprawdzonego człowieka, choćby miał nim być neandertalczyk z żyłką do handlowania. Jakim trzeba być ślepcem, żeby nie widzieć, kogo ma w bramce czy w polu, żeby nie dostrzegać, że usiłuje wytrenować drużynę sprzedawczyków.

Chyba że bierze od nich działkę… Zastanawiałem się, czy to możliwe. „Wszystko może zdarzyć się”, zabrzmiały mi w głowie słowa Niebińskiego. Czym by ryzykował? Przegrałby jeden mecz z ogórkami: wypadek przy pracy, każdemu się zdarza. Skasowałby kupę szmalu, a w następnych spotkaniach pracowałby, jakby nigdy nic.

Co mam teraz zrobić? Jak odwrócić sytuację? Przecież nie rzucę się do gardła Rogalowi. Patrzyłem, jak wchodzi uśmiechnięty do autokaru, rzucając seksistowski, sprośny żarcik do Maćka, który żegnał się ze swoją dziewczyną. Dotarło do mnie, że jutro może rozegram swój ostatni mecz. I co mogłem zrobić? Patrzeć? Obserwować rozwój wydarzeń, nie mając na nic wpływu? Zresztą czy to takie ważne? Prawda była taka, że bez względu na to, co się wydarzy w czasie meczu, pojutrze miałem wylądować na aucie. Kulawy, z niesprawnym kolanem, bez klubu i bez żony, bez dziecka i rodziny. Z brakami w wykształceniu, z perspektywą biedy – nie miałem przyszłości! Byłem trzydziestodwuletnim dinozaurem. Wymierałem.

Jebać to!

Pojechaliśmy autokarem do Wenus, małego, obskurnego hotelu, który wyglądał jak tani burdel. Jedynym jego atutem były lokalizacja i cena: blisko, na uboczu i prawie za darmo. Zazwyczaj na zgrupowaniach przedmeczowych nocowałem z George’em, o ile oczywiście załapał się do osiemnastki, tym razem wrzucili mi do pokoju młodego chłopaka z drugiej drużyny, nawet nie wiem, jak miał na imię. Lepsze to niż towarzystwo Rogala; nocleg z nim w jednym pokoju mógłby być nie lada przeżyciem, bo pomijając nasze napięte stosunki, bramkarz cierpiał też na jakąś odmianę lunatyzmu. Potrafił w środku nocy wstać, otworzyć balkon na całą szerokość i na przykład wyrzucić kołdrę i poduszki albo ni stąd, ni zowąd zaczynał strzelać kapslami przez okno. Otwierasz oczy i widzisz wielkiego, gołego faceta z kucykiem, który po ciemku pstryka co kilka sekund kapslem.

Na szczęście tuż przed meczem ze Sternikiem ominęły mnie te atrakcje. Po kolacji szybko uciekłem do równie obciachowego jak cały hotel pokoju z wielkim jaskrawym aktem na ścianie. Zwinąłem się w kłębek pod kołdrą i odpłynąłem w sen.

4

Znowu śnił mi się ten bezsensowny, katorżniczy mecz; prowadziłem piłkę, dryblowałem, robiłem zwody, non stop w pędzie. Brakowało mi tlenu, otwierałem szeroko usta, usiłowałem zaczerpnąć powietrza, ale nie mogłem, chwytałem za koszulkę na piersi, rozciągałem ją, wszyscy na boisku z uwagą mi się przyglądali. Z oddali zaczął dobiegać dźwięk karetki na sygnale, poczułem ulgę, że ktoś zareagował, zaraz przyjedzie lekarz i mnie uratuje.

Obudziłem się, leżąc na brzuchu, z twarzą w poduszce. Było cicho, zza firanki wpadało do pokoju światło, tworząc z i tak abstrakcyjnego aktu na ścianie jeszcze dziwniejszy obraz. Na łóżku obok pochrapywał młody. Wyjrzałem przez okno. Tuż przy wejściu do hotelu stała karetka pogotowia z włączonym kogutem, wokół nie było nikogo, fioletowo-białe-niebieskie światło błyskało w tej ciszy i spokoju. Postałem chwilę przy oknie, ale nikt nie pojawił się przy pojeździe, więc wróciłem do łóżka.

Na śniadaniu byłem trzydzieści minut przed czasem. Restauracja przywitała mnie mdląco różowymi ścianami i tandetnymi plastikowymi meblami. Obudziłem się zmęczony, sporo przed godziną, na którą nastawiłem budzik, ale wolałem posiedzieć przy kawie niż gapić się, jak młody chrapie w najlepsze. Wziąłem tabletkę, by złagodzić ból głowy, a także w nadziei, że dzięki temu łatwiej mi będzie rozruszać kolano, bo pierwsze kroki po opuszczeniu łóżka przypominały przemieszczanie się robota z nienaoliwionymi trybami. Mój nastrój idealnie pasował do wystroju wnętrza, w którym niepodzielnie panowały beznadzieja, sztuczność i imitacja. Wszystko w odcieniach różu – ściany, szachownica na podłodze, obrusy, zastawa, nawet sztuczne kwiaty na stołach. I nie był to radosny kolor. Kierownik idealnie wybrał miejsce zgrupowania: do hotelu, który nie jest hotelem, tylko go udaje, przyjeżdża drużyna, która nie jest drużyną, tylko ją udaje.

Wybrałem numer do Marii, znowu włączyła się poczta głosowa. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Miałem nadzieję na załagodzenie sytuacji, ale wiedziałem, że nie będzie to łatwe.

Gdy przyszedł młody, sala restauracyjna była już częściowo wypełniona piłkarzami ubranymi w niebieskie dresy. Widziałem u niego niepewność,

wahanie, ale nie zamierzałem niczego mu ułatwiać. W końcu zebrał się na odwagę.

– Mogę?

– Jak musisz. Tylko skocz mi po kawę, białą z cukrem, dwie łyżeczki.

Wypiłem już chyba trzy, ale te śniadaniówki łykałem hurtowo, żeby cokolwiek poczuć. Gdy wrócił z filiżanką, kelnerka zdążyła już podsunąć mu pod nos talerz z zestawem śniadaniowym.

– Jajecznica czy parówki? – spytała.

– Parówy – odpowiedział z uśmiechem. – Paliwo potrzebne na mecz.

– Na ławę też? – zadrwiłem.

– Coś czuję, że dziś zadebiutuję. Kiedy będzie łatwiej? Słyszałeś o Rogalu?

Podniosłem głowę znad telefonu; młody przyglądał mi się, czekając na odpowiedź, z widelcem w ręku.

– Czekasz, aż się ukłonię? Mów.

– Dostał jakiegoś ataku w nocy. Pogotowie go zabrało, podobno darł się tak, że było go słychać na recepcji.

Zastygłem z filiżanką w ręku. Pomyślałem, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Może wreszcie zasłużyłem na trochę szczęścia w tej całej historii? Mówią, że dobro powraca. Zło też? Jak widać – owszem, czasem nawet pod postacią skrętu kiszek albo innego ścierwa żołądkowego. Może jednak uda się wygrać?

Wytarłem usta serwetką i poszedłem szukać kierownika, żeby zasięgnąć informacji z pierwszej ręki. Spotkałem go przy recepcji, wykłócał się o coś z kelnerem. Okazało się, że pogotowie zabrało Rogala z silnymi bólami brzucha, z podejrzeniem zatrucia pokarmowego. Kierownik opowiedział mi o tym obrazowo:

– Nawpierdalał się jakiejś kaszanki z bigosem albo innego ścierwa w barze przy drodze. A tyle razy mówiłem, żeby nie żreć byle gówna… No i masz… Za piętnaście minut odprawa w konferencyjnej – dorzucił.

Odszedłem na bok i zadzwoniłem do Marii. Sygnał brzmiał mi w uchu niemal bez końca. Nie odebrała. Powtórnie wybrałem numer i sytuacja się powtórzyła. Napisałem esemesa: „Zadzwoń, chcę tylko porozmawiać. Przepraszam. Wybacz mi” i niecierpliwie zerkałem na wyświetlacz w oczekiwaniu na odpowiedź. Chodziłem wzdłuż recepcji, tam i z powrotem, co chwila gapiąc się na telefon, ale odpowiedzi nie było. Piłkarze wchodzący do sali konferencyjnej patrzyli na mnie dziwnie.

– Dawaj, Roman, wszyscy już są.

Kierownik otworzył drzwi przed trenerem. Wszedłem za nimi i usiadłem w ostatnim rzędzie, pod ścianą. Wygląd sali konferencyjnej mnie nie zaskoczył; była oczywiście różowa, z kilkoma rzędami krzeseł i białą tablicą na trójnogu. Cała drużyna już siedziała i czekała na przemowę trenera.

– Nawet nie pytajcie mnie o Rogala – zaczął Huczny. – Nie ma tematu. Zabrało go pogotowie, jest pod dobrą opieką. My mamy mecz do rozegrania. – Zrobił pauzę, rozejrzał się po sali i uderzył w patetyczny ton: – Panowie, dziś jest ten dzień. Ostatni dzień sezonu. Dzień, w którym wszystko się wyjaśni. Dzień, który pokaże, czy jesteście piłkarzami, czy przestraszonymi kopaczami piłki. Dziś nie ma jutra, nie trzeba oszczędzać sił ani oglądać się za siebie, nie ma po co kalkulować. Być albo nie być. Każde inne miejsce niż pierwsze będzie naszą porażką. Zasłużyliśmy na tytuł dobrą grą przez cały sezon, tylko trzeba to dziś potwierdzić. Postawić kropkę nad i.

Przestałem go słuchać. Gapiłem się jak sroka w gnat w wygaszony wyświetlacz, czekając na odpowiedź Marii. Zastanawiałem się, gdzie uderzy Niebiński, skoro nie ma Rogala. Wróci do Babki? Czy skupi się na sędziach? W tle brzęczał uniesiony głos trenera.

– Drugiej takiej szansy możecie już nie mieć. Prawda jest taka, że gracie o przyszłość swoją, klubu, swoich rodzin. Od tego, ile zdrowia zostawicie na boisku, zależy dobrobyt waszych dzieci i żon. Jeżeli uczciwie się z tego zadania wywiążecie, w przyszłym sezonie zyskamy szanse na zbudowanie silnej drużyny. Sponsor będzie, pieniądze będą, ale potrzebne jest jeszcze jedno: zwycięstwo.

Przyszły sezon jakoś mało mnie obchodził, więc skupiłem się na końcówce aktualnego. Wysłałem esemesa do George’a: „Jedź do hotelu i obserwuj hol, Niebo na pewno się pojawi, spróbuje podeprzeć mecz, czuję to”.

– Nie chcę widzieć strachu, niepewności, nerwów – kontynuował trener. – Wyjdźcie na boisko jak jeden organizm i z pełnym zaangażowaniem i determinacją pokażcie to, co potraficie najlepiej. Bądźcie kolektywem, drużyną, wspierajcie się, a trzy punkty będą nasze.

Prawie podskoczyłem, gdy w ręce zawibrował mi telefon. Miałem nadzieję, że to odpowiedź od Marii, lecz była to wiadomość wysłana przez

George’a: „Tam mam jak chuj w holu sterczeć? A jak zobaczy kto mnie?”. Sapnąłem głośno, aż się kierownik obejrzał.

– Jesteście dobrze przygotowani motorycznie i mentalnie. Musimy wygrać ten mecz, a wygramy go tylko wtedy, gdy będziemy na boisku jednością. Jesteście najlepsi, jesteście mistrzami, postawą przez cały sezon zasłużyliście na ten tytuł, uwierzcie w to! Pokażcie mi na boisku, jak wygląda prawdziwy zespół.

Wysłałem esemesa do George’a: „No proszę! Zakop się, kurwa, w doniczce, nikt cię nie zobaczy! Pisz, jak coś zauważysz”. Huczny podszedł do tablicy i zaczął mazakiem wypisywać nazwiska.

– Gramy w takim składzie: w klatce Maciek Winer, obrona od prawej: Dzwonecki, Jurczak, Kowalski, Klewik, prawa pomoc Stanek, w środku Bizak, Babicki, Kaliński, z lewej Szpak, z przodu Sapik. Stałe fragmenty i ostatnie uwagi przekażę w szatni.

Patrzył chwilę na nas, jakby szacował, jaki skutek odniosła jego przemowa. Wygładził pogniecioną koszulę.

– Zamiast rozruchu wychodzimy na spacer.

W sali rozległ się pomruk zadowolenia i wszyscy podnieśli się z miejsc.

– Obiad o drugiej! – krzyknął kierownik.

Wyszliśmy z Witkiem przed hotel. Witek wsadził ręce w kieszenie i popatrzył w niebo.

– Napompuje nas tak, że będziemy latać jak te obłoki na niebie.

– To źle? – spytałem.

Spojrzał na mnie zdziwiony, jakbym pytał o oczywistość.

– Żartujesz? Przecież to tylko piłka. Jakie tak naprawdę znaczenie ma wynik meczu, jeśli zestawisz go na przykład z chorobą dziecka, już nie wspominając o śmierci? Szum i pył błyszczący. Zabawa i rozrywka, a nie bitwa o życie.

– Powiedz to tym wrzeszczącym tysiącom na stadionie. – Skrzywiłem się, gdy poczułem ukłucie w kolanie.

– Oni to wiedzą. Tylko zapominają, gdy wchodzą w tłum na stadionie. Jak to było? Kiedy wchodzisz między wrony, śpiewaj jak słowik napierdolony. – Uśmiechnął się. – Piłkarza wśród piłkarzy też to dotyczy. – Spojrzał na mnie. – To znaczy, żeby nie zachowywać się jak wszyscy w tłumie, nie płynąć z prądem, nie małpować… A raczej działać wprost przeciwnie. Menago mi powtarzał: „Posłuchaj, co mówi szatnia, a potem rób wszystko odwrotnie”.

– Zrozumiałem, nie musisz mi tego tłumaczyć jak jakiemuś idiocie.

Przez cały czas pozostały do meczu nie rozstawałem się z telefonem – na przemian czekałem na wiadomość od George’a i próbowałem skontaktować się z Marią, za każdym razem bezskutecznie. Nie mogłem usiedzieć w miejscu; młody leżał bez przerwy na łóżku, więc zacząłem krążyć po całym hotelu niczym kot z pęcherzem. Posiedziałem chwilę w kawiarni, ale irytował mnie gwar rozmów, przeniosłem się na fotele przy recepcji, ale tam też nie było lepiej, wreszcie wylądowałem na klatce schodowej. Krzesła stojące na półpiętrze nie były zbyt wygodne, gdy ktoś przechodził, udawałem, że piszę esemesa. Nie mogłem opędzić się od myśli, że coś przeoczyłem i Niebiński nas wydyma, że zostawiłem jakąś furtkę, przez którą się prześlizgnie. Przez obiad przebrnąłem w ponurym milczeniu, nie wiem, co jadłem, nie odezwałem się ani słowem i dopiero w drodze na stadion oswoiłem się z myślą, że to już: że pozostaje tylko rozegrać mecz i pogodzić się z tym, co wydarzy się na boisku.

Szatnia zadziałała na mnie uspokajająco, zacząłem przygotowywać się do gry. Zastosowałem mój comeczowy rytuał. Byłem przesądny, podobnie jak duża część piłkarzy – większość rzeczy musiała wyglądać jak przed ostatnim wygranym meczem. Zawsze siadałem na tym samym miejscu w autokarze. Torba czy kosmetyczka zawsze ta sama, doszło do tego, że ciągnąłem ze sobą na mecz starą, prującą się w kilku miejscach torbę, tak że chłopaki nabijały się ze mnie, że jadę na targ z towarem. W szatni wszystko musiało przebiegać w odpowiedniej kolejności: wizyta w kiblu, by być lżejszym, u masera plastry i wiązanie stawów skokowych, później lekka rozgrzewka w małej salce gimnastycznej przylegającej do szatni.

Nie lubiłem dnia meczowego, czas zawsze mi się dłużył; ale o ile w hotelu było nie do zniesienia, o tyle w szatni udawało się go chociaż zagospodarować różnymi zastępczymi działaniami. Zazwyczaj gdy już wykonałem podstawowe czynności, siadałem na swoim miejscu i obserwowałem kolegów, powtarzając w myślach swoje piłkarskie przykazania:

1. Nic w miejscu, zawsze w ruchu.
2. Blisko przeciwnika, agresywnie; nie muszę odebrać mu piłki, sam mi ją odda.
3. Nigdy nie atakuj na raz.
4. Bez wślizgu, stój do końca.

5. Zagraj i wyjdź na gaz.

6. Bądź w kontakcie z drugim obrońcą.

7. Skracaj pole gry, wyganiaj wszystkich jak najdalej od bramki.

8. Przy kryciu – tyłem do bramki (w szesnastce łatwiej kontrolować przeciwnika i piłkę w drugim końcu pola karnego), nie bokiem, bo w tył najtrudniej ruszyć, a przy akcji przeciwnika ze skrzydła dostawnym krokiem szybciej można korygować ustawienie.

W szatni panował harmider. Ktoś gdzieś szedł, skądś wracał, ktoś żonglował, ktoś inny odbijał piłkę o ścianę. Tak naprawdę każdy z nas w godzinach przed meczem starał się jakoś odciąć od stresu, poradzić sobie z nim, oswoić go, a jednocześnie ukryć przed kolegami. Wszyscy usiłowali być totalnie wyluzowani, jakby stres to było coś koszmarnie kompromitującego i wstydliwego. Napięcie przedmeczowe objawiało się w najróżniejszy sposób. Kaczka biegał kilkakrotnie do kibla i okupował toaletę aż do momentu, gdy ktoś pytał, czy potrzebuje nożyczek, by się odciąć. Rogalowi jedna noga zaczynała żyć własnym życiem; siedział na swoim miejscu z szeroko rozstawionymi stopami, a kolano podskakiwało mu jak maszyna do szycia. Piesek dostawał ataku nerwowego kaszlu, co chwila chrząkał, pomrukiwał, charczał, suchy kaszel szarpał nim aż do odruchów wymiotnych. Paradoksalnie, przyglądając się młodym chłopakom, którzy wskoczyli do składu za starych wyjadaczy, nie dostrzegałem oznak tremy; albo świetnie ją maskowali, albo nie wiedzieli, w co się pakują. Choć z drugiej strony, czego taki debiutant ma się bać? Nawet jak zagra źle, będzie usprawiedliwiony młodością i brakiem doświadczenia.

Co to jest stres? Strach przed błędem, porażką, kompromitacją? Brak pewności siebie, wiary w swoje możliwości? Presja otoczenia, skupienie na celu, a nie na środkach do jego osiągnięcia? Faktem jest, że zawsze przed meczem, jakimkolwiek, czułem się inaczej niż przed grą kontrolną na treningu. I nawet w szczytowej dyspozycji, kiedy wiedziałem, że jestem w gazie i wszystko mi wychodzi, i tak czułem stres, a nawet sam go w sobie wywoływałem. Wiedziałem, jakiego stanu umysłu potrzebuję, by grać jak najlepiej.

Przed pojedynkiem ze Sternikiem nie umiałem – a chyba też nie chciałem – odpowiednio przygotować się do spotkania. Bo i dla kogo miałem to zrobić? Dla klubu, który wywala mnie na zbity pysk po tylu latach gry? Dla kibiców rozpieprzających mi auto? Mam grać dla premii,

której Książę i tak mi nie wypłaci? Dla rodziny, która właśnie mi się rozpadała? Nic więc dziwnego, że miałem kiepską motywację – przecież jutro miałem wylądować na bruku. Najbardziej mobilizowała mnie świadomość, że gdzieś tam w cieniu czai się Niebiński ze swoją zarzuconą wędką i pokaźną sumą na haczyku. Wiedziałem, że o branie nie musi się martwić.

Przygotowany do rozgrzewki, w spodenkach meczowych i koszulce, położyłem się na leżance w gabinecie lekarskim, czekając na zastrzyk. Doktor obmacał mi kolano, przetarł gazikiem ze spirytusem miejsce wkłucia i sięgnął po strzykawkę.

Na kilka minut przed wyjściem na rozgrzewkę w szatni pojawił się ksiądz Mieczysław – niski, korpulentny pięćdziesięciolatek z okrągłymi policzkami i siwymi włosami. Ubrany w czarną sutannę, stał w kącie, uśmiechając się dobrotliwie, i czekał, aż piłkarze się zbiorą i wyciszą. Lubili go wszyscy, bez względu na wyznanie, nie tylko dlatego, że załatwiał zaświadczenia z parafii, dzięki którym można było odpisać sobie darowiznę od podatku. Zawsze lepiej wspomóc parafialną drużynę piłki nożnej datkiem niż wrzucać pieniądze w studnię finansów państwowych, i nieważne, że wpłata ta wynosiła tylko jakieś dziesięć procent kwoty widniejącej na zaświadczeniu z Kościoła. Był po prostu dobrym księdzem, ciepłym, zawsze uśmiechniętym, ze względu na niski głos nazywaliśmy go Buką, od tej postaci z bajki o Muminkach. Kręcił się przy drużynie przez cały sezon, odprawiał swoim tubalnym głosem mszę otwierającą rozgrywki, a potem pojawiał się regularnie przed każdym meczem u nas, czasem też na bliższych wyjazdach.

– Modlitwa! – wrzasnąłem.

Wszyscy, łącznie ze sztabem trenerskim, ustawiali się wokół stojącego na środku szatni kapłana.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen – zabuczał ksiądz Miecio, robiąc znak krzyża i patrząc na pochylone głowy. – Panie Boże wszechmogący, Ty, który spoglądasz z góry, otocz nas swoją łaską, daj nam w zdrowiu skończyć dzisiejszy mecz i spraw, by było to godne widowisko. Niech wygra lepszy. Bardzo cię, Panie Boże, o to prosimy. Ojcze nasz, któryś jest…

Po modlitwie zakończonej chóralnym „Amen” krzyknąłem:

– Za pięć minut wychodzimy!

Jako kapitan miałem za zadanie rozgrzać drużynę, Huczny ufał mi na tyle, że nie angażował w to asystenta.

Gdy wybiegliśmy z tunelu prowadzącego na murawę, stanęliśmy zaskoczeni. Na naszej ulubionej połowie, na której zawsze się rozgrzewaliśmy, poruszały się sylwetki piłkarzy ubranych na czerwono. Wszystkie drużyny przyjeżdżające na nasz stadion wiedziały, że prawa połowa boiska, przy trybunie naszych fanatyków, jest zarezerwowana dla nas; było to niepisane prawo, które szanowali wszyscy przesądni sportowcy. Piłkarze Sternika mieli to głęboko gdzieś, z premedytacją chcieli wytrącić nas z równowagi już przed meczem. Wcześniej wyszli na boisko i jakby nigdy nic, wymieniali podania na naszej połowie. Stałem chwilę zdezorientowany, po czym poprowadziłem drużynę na tę samą część boiska.

Podbiegłem do Wafla.

– Co wy odpierdalacie?

– O co ci chodzi? – udawał głupka. – Byliśmy pierwsi. Co to, rezerwację zrobiliście? – Wzruszył ramionami i odwrócił się do mnie tyłem.

Nie zamierzaliśmy ustąpić, więc dwie drużyny w tłoku wymieniały podania na jednej połowie. Było bardzo ciasno, ale przez kilka minut udawało się nam jakimś cudem omijać i nie dochodziło do starć. Gdy jednak przeszliśmy do dłuższych podań, Sapik nie wytrzymał. Specjalnie walnął piłką z trzech metrów w plecy Wafla. Zakotłowało się, doskoczyliśmy do siebie, wywiązała się szarpanina, pojawili się porządkowi, próbując rozdzielić zwaśnione strony, z trybun poleciały zapalniczki, monety i inne drobne przedmioty. Kilku kibiców wskoczyło na ogrodzenie, szarpiąc za siatkę i wyzywając łodzian. Z trybun poniosło się gromkie:

– Wypierdalać! Wypierdalać!

Po chwili sytuacja się uspokoiła. Wafel najwyraźniej przestraszył się wizji kibiców na boisku i nakazał swojej drużynie przenieść się na drugą stronę. Wróciliśmy do standardowej rozgrzewki na swojej połowie.

Biegaliśmy wszerz boiska, od jednej linii bocznej do drugiej. Do meczu było jeszcze około czterdziestu pięciu minut. Po każdym nawrocie z jednej trybuny rozlegał się krzyk: „ROMAN!”, z powtórzenia na powtórzenie coraz głośniejszy. Nie reagowałem, w końcu byliśmy zajęci rozgrzewką. Wymachy ramion – a z trybuny wciąż ten wrzask, podskoki, skip,

przekładanka – z trybuny: „ROMAN!”, po startach to samo. W końcu przy następnym nawrocie rozległo się coś więcej niż moje imię.

– Roman, wiesz, jaką masz u nas ksywę? Głuchy.

Nie reagowałem na zaczepki z trybun, bo i po co? Powinienem wchodzić w dyskusję z kibicami? Mieliśmy wymienić poglądy, prognozy na dzisiejszy mecz? Gadać o pogodzie? Moje machnięcie ręką ma taką wartość, że zadowoli kibica na trybunie? My, piłkarze, mamy dobrze grać w piłkę czy mizdrzyć się do trybun? Od czego jesteśmy? Od zadowalania kibiców? Po co im jakiś mój bohomaz na kartce? Wydawało mi się to absurdalne, chciałem tylko dobrze grać w piłkę, nic więcej. Miałem wrażenie, że to mój zamknięty, wewnętrzny świat, a okazało się, że wcale nie jestem w nim sam. Przypomniały mi się słowa Tarpana: „Nie żyjesz na świecie, na którym myślisz, że żyjesz”.

Dziś tak bardzo nie żałowałbym ludziom pamiątek i symboli, bo tym był dla nich mój gest czy podpis. Bolesna była lekcja, dzięki której to zrozumiałem.

Po rozgrzewce wróciliśmy na kilka minut do szatni, założyliśmy stroje meczowe – maksymalnie odchudzone ochraniacze na piszczel, pod getry, czasem same szmatki bez wzmocnień, żeby tylko sędzia się nie czepiał. Panowała już pełna skupienia cisza, nikt nie gadał, każdy odprawiał swój przedmeczowy rytuał. Czuło się napięcie: ukradkowe spojrzenia, nerwowe ruchy, pokasływania, stukot korków na kafelkach i ani jednego słowa. Gdy zakładałem opaskę kapitańską, usłyszeliśmy wzywający nas do wyjścia gwizdek sędziego.

Trener stanął na środku szatni. Miał na sobie swój dyżurny szary garnitur, ten sam co przed każdym meczem. Pumpiaste spodnie i o dwa numery za duża sztruksowa marynarka zarzucona na białą koszulę z plamami pod pachami – nie był to najnowszy krzyk mody. Wrzaskun przebiegł wzrokiem po twarzach swoich zawodników, na czole błyszczały mu kropelki potu.

– Nie będę was tu pompował jak w hollywoodzkim filmie. Nie gadanie, ale to, co pokażecie na boisku, zadecyduje o wyniku. To, co wypracowaliśmy na treningu, jest kluczem do zwycięstwa w dzisiejszym meczu. – Zrobił pauzę, rozejrzał się wokół. – Pokażcie mi to… Chcę to zobaczyć na boisku – mówił coraz głośniej, aż w końcu wrzasnął: – Jesteście gotowi?! Na nich!

Wszyscy zerwali się z miejsc z krzykiem, klaszcząc w dłonie. Huczny wyciągnął do mnie rękę, złapałem go za nadgarstek, reszta piłkarzy stanęła wokół, kładąc dłonie na naszych. Spoglądaliśmy na siebie, byliśmy tam wszyscy razem, nagle złączeni. Może to było złudzenie, ale w tym momencie czułem, że jesteśmy jednością.

– Czego chcemy?! – krzyknąłem.

– Zwycięstwa! – odpowiedzieli inni jednym głosem.

– Kto wygra mecz?!

– Centrum! – wrzasnęli w odpowiedzi.

Wyszliśmy do tunelu, Sternik w czerwonych strojach już na nas czekał, razem z sędziami. Piłkarze z Łodzi przestępowali z nogi na nogę, wpatrując się z podniesionymi głowami w światło na końcu tunelu. Udawali pewnych siebie, mimo że wiedzieli, kto jest zdecydowanym faworytem meczu. Każdy, kto przyjeżdżał na ten stadion, bał się nas, bo wiedział, jak ciężko gra się na naszym terenie.

Z trybun docierał do nas tumult. Podałem rękę trójce sędziowskiej, próbując wyczytać z min arbitrów, jak są nastawieni – żaden nawet się nie uśmiechnął. Zawody prowadził Rafał Trzebalski, arbiter międzynarodowy; może nie tej klasy przekręt co Spodek, ale też miał sporo za uszami – w końcu jakoś trzeba było zapracować na status międzynarodowego.

Wafel spojrzał tylko ponuro, gdy się witaliśmy, i odwrócił głowę, jakby nie mógł znieść mego widoku. Asystenci przeszli wzdłuż rzędów, sprawdzając obuwie i ochraniacze.

– Zapraszam – powiedział główny sędzia i odwrócił się w stronę boiska.

– Na nich, kurwów! – wrzasnąłem i walnąłem pięścią w drzwi. Echo wzmocniło okrzyk, z tyłu chłopaki też zaczęły krzyczeć i uderzać w ściany. Weszliśmy w światło, przed nami roztaczała się wielka, pusta, jasna przestrzeń, a dalej wianek drgających trybun, błyskających fleszami, powiewających niebieskimi chorągiewkami. Na boisku przywitała nas ogłuszająca wrzawa, kibice zaczęli śpiewać na nasz widok, zatrzymaliśmy się na środku, przodem do głównej trybuny. Niezależnie od wszystkiego ten moment zawsze działał: namacalnie odczuwalne uniesienie, ryk tysięcy gardeł, wejście prosto w rozedrgany, głośny kocioł. Machnęliśmy ręką w stronę trybun, pozdrawiając fanów, po czym piłkarze rozbiegli się na swoje pozycje, a ja zostałem sam z sędziami i Waflem. Tym razem obyło się bez zgrzytów; wygrałem losowanie, mieliśmy zacząć na naszej ulubionej połowie.

– Życzę udanego meczu i proszę o szacunek dla siebie nawzajem i dla nas – podsumował arbiter.

Rozległ się gwizdek rozpoczynający mecz i… całe napięcie znikło. Razem z nim, niestety, wszystko, o czym mówiliśmy w szatni, także to, co niby wytrenowaliśmy w tygodniu, co mieliśmy zaprezentować na boisku. Popełnialiśmy błąd za błędem, można było to dostrzec w czasie pierwszych kilku minut spotkania. Sternik nas zaskoczył; zaatakował wysokim pressingiem, a my jak te spanikowane pierdoły oddawaliśmy im za darmo piłkę. Zaczęliśmy spotkanie od serii kilku głupich strat w środkowej strefie, przez moment myślałem, że sprzedali mecz wszyscy oprócz mnie. Całe szczęście, że graliśmy z ogórkami, bo każda inna drużyna już po dziesięciu minutach prowadziłaby dwiema bramkami. Ryczałem na kolegów co kilka minut, miałem ochotę zadusić Jurczaka, gdy rywale przechwycili jego poprzeczne podanie i wyszli z kontrą trzech na dwóch. Uratowałem sytuację jakimś rozpaczliwym wślizgiem, za co otrzymałem owację na stojąco. „Dzwonek! Dzwonek! Dzwonek!” – rozległo się z trybun.

Otrząsnęliśmy się i zaczęliśmy lepiej panować nad sytuacją. Tak było jednak tylko do dwudziestej minuty, gdy Pączek, defensywny pomocnik łodzian, który zazwyczaj nie przekraczał połówki i który do tej pory nie strzelił w sezonie żadnego gola, dość przypadkowo znalazł się w odległości trzydziestu metrów od naszej bramki, a że nie wiedział, co ma zrobić z piłką, to zamknął oczy i kopnął z całej siły. Piznął po samych widłach i Maciek musiał wyciągać piłkę z siatki. Wyciągnął się na całą długość, ale był tak samo zaskoczony jak wszyscy, zresztą strzał był nie do obrony.

Na stadionie zapadła cisza, nikt nie spodziewał się takiego obrotu spraw. To miał być spacerek, łatwy mecz pieczętujący zdobycie przez nas mistrzostwa kraju. Broniący się przed spadkiem Sternik miał być tylko tłem dla świętującego nowego mistrza Polski. Jeszcze dwa dni wcześniej pewnie cieszyłbym się w duchu z takiego scenariusza. Teraz nie było mi do śmiechu.

Rzuciliśmy się do odrabiania strat, ale nic nam nie wychodziło, nie był to nasz dzień. Kilka nieskładnych akcji, dużo szarpaniny i walki w środku pola. Tak wyglądał ten mecz aż do tego feralnego stałego fragmentu gry z około trzydziestu pięciu metrów. Sędzia gwizdnął faul z kapelusza, ale w bezpiecznym dla nas miejscu, więc nie protestowaliśmy. Nic nie zapowiadało kłopotów, byliśmy ustawieni w obronie całym blokiem. Mieliśmy dużo czasu na ustawienie krycia, bez presji, zaskoczenia, bo

przecież był czas, by się wszystkiemu przyjrzeć i odpowiednio ocenić. Teoretycznie wszystko było pod kontrolą, przynajmniej do momentu, gdy futbolówka została kopnięta.

Mówi się, że bramki padają zawsze po błędach, po jednym lub całej sekwencji większych czy mniejszych baboli, ale najśmieszniejsze jest to, że gole są też strzelane po błędzie zawodnika drużyny atakującej. To niemal norma, że czasem strzał na bramkę zmienia się w rzut z autu albo że piłka ląduje za koroną stadionu. Lecz gdy niecelne zagranie do jednego partnera okazuje się przepięknym otwierającym podaniem tworzącym sytuację sam na sam z bramkarzem albo dośrodkowanie staje się centrostrzałem, po którym piłka ląduje w okienku bramki, zawsze czuję niesmak, bo wiem, że właśnie wypromował się jakiś nieudacznik.

Tak też było w tej sytuacji. Piłkarz Sternika źle wykonał stały fragment, uderzył piłkę zbyt blisko pierwszego słupka, poza zasięgiem któregokolwiek piłkarza swojej drużyny. Później, gdy się odwróciłem, zobaczyłem, że nikt za moimi plecami nie zrobił nawet kilku kroków, by powalczyć o gola, bo wszyscy od razu ocenili szanse na zerowe.

Stałem w okolicy szesnastki na tak zwanym przecięciu, na wysokości bliższego słupka, od strony, z której wykonywany był rzut wolny. Byłem pierwszym zawodnikiem Centrum, reszta drużyny znajdowała się za moimi plecami, miałem za zadanie wybić piłkę, gdyby przeciwnik chciał wrzucić ją płasko w światło bramki. Futbolówka leciała na wysokości głowy, nie wiedziałem, co się dzieje za moimi plecami; odruchowo zrobiłem kilka kroków w stronę bramki i chciałem głową wybić piłkę poza szesnastkę. Usłyszałem krzyk: „Moja!”… Dam sobie rękę uciąć, że go słyszałem, trybuny były głośne, ale nie na tyle, żeby go zagłuszyć. A gdy bramkarz krzyczy „Moja!”, to choćby się waliło i paliło, obrońca musi puścić piłkę, mimo że nie kontroluje sytuacji, nie widzi, co się dzieje z tyłu. To kwestia odpowiedzialności i zaufania w relacji z bramkarzem, jako defensor musisz ufać gościowi, który stoi za twoimi plecami. To warunek gry w piłkę: ufaj koledze, a w szczególności bramkarzowi. Bez zaufania piłka staje się dyscypliną indywidualną!

Uchyliłem się. Musiałem puścić tę piłkę! Skoro bramkarz krzyknął: „Moja!”, musiałem to zrobić!

Chyba że nie krzyknął…

Na trybunach zapadła cisza. Gdy się obejrzałem, zobaczyłem Maćka, który stał przy dalszym słupku z ramionami bezradnie opuszczonymi

wzdłuż ciała. Patrzył na mnie z wyrzutem. Piłka wylądowała w siatce i znieruchomiała za linią bramkową. Zawodnicy Sternika podskakiwali radośnie, nie wiedząc, komu gratulować zdobytej bramki. Napotkałem nieruchomy wzrok Witka, patrzył na mnie z niemym wyrzutem, ale zaraz opuścił głowę.

– Dawaj. Gramy. Nic się nie stało. Mamy jeszcze dużo czasu – powiedział i klepnął mnie w plecy.

Czułem tylko bezradność. Gdy popełniasz błąd, masz jeszcze szansę, by go naprawić, jesteś w akcji, napędza cię strach, panika, świadomość tego, co się może za chwilę zdarzyć. Działasz, reagujesz, walczysz, przynajmniej starasz się zapobiec skutkom tego, co zrobiłeś. W przypadku takiej bramki, jaką właśnie straciliśmy, po prostu stoisz i się gapisz, spuszczasz głowę i czujesz to ssanie w środku. Po chwili pojawia się złość i bezradność, frustrujący wkurw na siebie, na partnera, który mógł pomóc, a stał i się gapił, na sędziego, że gwizdnął albo nie gwizdnął, na przeciwnika, że akurat trafił i zagrał tam, gdzie zagrał.

Do przerwy nic więcej się nie zdarzyło, przegrywaliśmy 0:2, u siebie, z frajerami, z jedną z najsłabszych drużyn w lidze.

Niebiński musiał zacierać ręce.

Żegnały nas gwizdy i buczenie. Gdy schodziłem do szatni, na kratach ogrodzenia wisiało kilku kibiców z niebieskimi szalikami. Z pianą na ustach i szaleństwem w oczach szarpali za balustradę.

– Dzwonek, ty sprzedawczyku jebany. Ile ci zapłacili, złodzieju? Wypierdalaj z boiska!

Do wyzwisk od kibiców przeciwnika byłem przyzwyczajony, wiązanka od swoich zawsze zostawiała ślady na psychice. Nie reagowałem, z kamienną twarzą szedłem do szatni w strumieniu wyzwisk, lecz wszystko się we mnie gotowało. Co miałem zrobić? Przekonywać o swojej niewinności? Czy może odpłacić im tym samym? Wyrzucić z siebie podobny rzyg epitetów, jak zrobiło to kilku moich kolegów, którzy w ten sposób zdobyli sobie szacunek i uznanie w oczach kiboli? Tuż za wrzeszczącymi na mnie małpami zauważyłem Tarpana, który odprowadzał mnie kamiennym wzrokiem. Pochyliłem głowę, zacisnąłem zęby i przyspieszyłem kroku. Gdy doszedłem do szatni, wściekłość przysłaniała mi wzrok, rosła we mnie karmiona okrzykami z trybun i w pomieszczeniu osiągnęła taki poziom, że nie zatrzymując się, nie zważając na trenera, ruszyłem w kierunku Maćka. Widząc to, młody wstał.

– Co ty odpierdalasz, gówniarzu? – Uderzyłem go rękoma w pierś, aż usiadł, ale momentalnie się podniósł i naparł na mnie, aż się cofnąłem.

– Odwal się, masz piłkę na głowie, to ją wywal.

Ponownie chwyciłem go za koszulkę, zrewanżował się tym samym i zaczęliśmy się szarpać. Naparł, usiłując odepchnąć mnie od siebie.

– Krzyczałeś: „Moja!”.

– Nic nie krzyczałem.

– Dość! Cisza! – ryknął trener, aż echo poniosło się po korytarzu.

Wszyscy zastygli.

– Rozliczymy się po meczu, teraz siadać i słuchać.

Wróciliśmy z Maćkiem na swoje miejsca, młody unikał mojego wzroku, za to ja nie odrywałem od niego spojrzenia.

– Co wy, kurwa, odpierdalacie? – Trener nie przebierał w słowach. – Chcecie wygrać ten mecz czy nie? Będziecie się przyglądać, jak oni biegają, czy coś z tym zrobicie? To jest krycie w środku pola? Kali, jak możesz dawać tyle miejsca Pączkowi? Nie wpuszczajcie ich na dwudziesty metr, bo widzicie, co się dzieje. Biegacie tam jak Żyd po pustym sklepie. Nie wystarczy sterczeć jak fiut i się gapić. Musicie wejść w kontakt z przeciwnikiem, agresywnie, wjebcie się jednemu czy drugiemu, niech poczują, gdzie grają. Mają się was bać, a wy drepczecie przy nich jak panienki!

Przez kilka minut wyżywał się na nas, później przeszedł do konkretnych zaleceń i rad, a zakończył krótkim stwierdzeniem:

– Wchodzi Modest za Dzwoneckiego.

Zaskoczony podniosłem głowę, ale trener już szedł w stronę drzwi. Nie zamierzał się tłumaczyć. Wyprostowałem się i wzrokiem śledziłem oddalającą się postać, jakby licząc na zmianę decyzji. Poczułem się, jakby dał mi w mordę. Zmienił mnie, najsolidniejszego obrońcę w zespole, choć wybroniłem mu tyle meczów, potraktował mnie jak gówniarza wchodzącego do składu. Raz źle kopnąłeś, to spadaj do szatni. Nie jestem świętą krową, też uważam, że słabe ogniwa trzeba wymieniać, ale popełniłem jeden błąd w przeciągu połowy meczu. Błąd? Przecież to nie był nawet mój błąd!

Z jednej strony czułem złość, ale z drugiej ulgę, że już nie będę musiał uczestniczyć w tej kompromitacji i słuchać dalszego ciągu bluzgów lecących z trybun.

Chociaż jeden pozytyw.

Zostałem w szatni sam, przez ciszę, która zapadła, przedzierał się lekki pomruk z trybun. Rzuciłem mokrą koszulkę na podłogę, włączyłem telewizor, komentator właśnie obwieścił rozpoczęcie drugiej połowy. Ciekawe, czy Maria oglądała mecz?

Wszedłem pod prysznic, lekko utykając, bo kolano nie dawało o sobie zapomnieć. Strumień gorącej wody na szyi i plecach nie poprawił mi nastroju. Co wtedy myślałem, jak się czułem? Po co mam to opisywać? Wszystkich interesuje tylko zwycięzca. Przegranych nie ma! Są, ale jakby ich nie było. Znikają i sami nie chcą istnieć.

Kibice wielbią zwycięzców, bez względu na to, jacy są. Przegranego można zgnoić, zdeptać w momencie, kiedy jest najsłabszy fizycznie i psychicznie. To trochę tak, jakby spotkać na ulicy człowieka, który nagle zasłabł, jeszcze go skopać i z premedytacją poddusić. Stadion daje możliwość bezkarnego wyrzucenia z siebie całej nagromadzonej w ciągu tygodnia frustracji, do tego przy ogólnej aprobacie. Nikogo nie interesuje ten, kto przegrywa.

Gwałtownie przekręciłem baterię prysznicową, silny lodowaty bicz zadziałał oczyszczająco, zacząłem dygotać z zimna, ale nie zmieniłem ustawienia kurka. Przez szum strumienia wody przedarł się tumult trybun, wyjrzałem do szatni w porę, by usłyszeć komentatora:

– Wspaniała dwójkowa akcja, Sapik pięknym zwodem oszukał bramkarza i umieścił piłkę w siatce. Mamy bramkę kontaktową! Tak, proszę państwa, czekają nas tu jeszcze dziś emocje. Centrum – Sternik jeden do dwóch.

Gdy się ubierałem, głos z odbiornika dalej jazgotał, jakby to było radio, a nie medium operujące obrazem.

– Teraz, uwaga, głupia strata piłki w środku, szybka kontra łodzian. Będzie groźna sytuacja, składa się do strzału, trzydziesty metr, uderza… Wspaniała robinsonada Winera, młody bramkarz po raz kolejny wykazuje się sprawnością i zwinnością… Strzał stadiony świata. Gdyby nie bramkarz, Sternik powiększyłby swoją przewagę bramkową.

Rozległ się dźwięk sygnalizujący nadejście esemesa, sięgnąłem do kieszeni. Gdy odczytywałem wiadomość od George’a, komentator ponownie zachwycał się interwencją Maćka, porównywał go do cyrkowca w ekwilibrystycznym spektaklu, cokolwiek to miało znaczyć. Szybko dokończyłem ubieranie i chyłkiem wymknąłem się ze stadionu; nie było to

trudne, wszyscy koncentrowali się na meczu. Gdy byłem już za bramą, rozległ się ogłuszający wrzask. Domyśliłem się, że padł wyrównujący gol.

W nocy widziany z zewnątrz stadion oświetlony jupiterami to jasna plama pośród ciemności, warcząca i wyjąca. Ten widok zawsze kojarzył mi się z czymś wybitnym, z wielkim wydarzeniem, happeningiem. Jest w nim coś podniosłego, wzbudzającego szacunek i powagę. Przypominającego majestat sądu. Cztery pochylone słupy, niczym śledzący wydarzenia boiskowe wnikliwi obserwatorzy, których zadaniem jest wychwycenie wszelkich nieprawidłowości. Silne snopy światła, przed którymi nic się nie ukryje, wszystko widoczne jak na tacy, każdy ruch, każdy krok poddany ocenie.

Złudzenie. Ślepota. Milczenie.

Przedstawienie w przedstawieniu.

Wybrałem numer do George’a i skierowałem się na pobliski postój taksówek.

– Goryl z hotelu pojechał do knajpy, ja za nim – triumfalnym głosem oznajmił George. – Nie zgadnie, z kim je kolację ochroniarz Nieba.

– Z kimś z rodziny Winera? – strzeliłem.

– Skąd wie? – zdziwił się George. – Jasnowidziec? Z Maćka dziewczyną aktualną i czeka walizka pod stołem.

– Niebo znalazł tańszą opcję. Gnój ledwo postawił stopę na boisku i za handel się bierze, w debiucie – wściekałem się. – My wykonaliśmy czarną robotę, a Maciuś zliże śmietankę. Taki chuj, gdzie jesteś?

– Orzeł i Przyjaciele. Ale czekaj, coś tu nie gra… – George miał wątpliwości.

– Będę za dziesięć minut.

Rozłączyłem się.

Wsiadłem do taksówki, niebieskiego golfa, i podałem adres.

– Najszybciej, jak się da – poprosiłem.

W aucie śmierdziało papierosami. Taksówkarz z bujną czupryną, która długo nie miała kontaktu z szamponem, zerknął na mnie przez ramię, wrzucił bieg i włączył się do ruchu. Z głośnika wydobywał się podniecony głos komentatora sportowego.

– Prawie mamy mistrza – kierowca spojrzał w lusterko wsteczne – słyszał pan? Zorza remisuje, mamy tytuł.

Nie odpowiedziałem. Nie miałem ochoty na pogawędkę z podjaranym kibicem, a tytuł też już mi zwisał i powiewał. Wpatrywałem się

w przesuwającą się za oknem Warszawę. Zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle na wprost całującej się pary, dziewczyna wpiła się chłopakowi w usta, trzymając go obydwoma dłońmi za twarz.

– Karny! Karny! – krzyknął piskliwie sprawozdawca, gdy mijaliśmy aleję Niepodległości. – Jurczak fauluje Walewskiego, Sternik przed ogromną szansą, by wygrać ten mecz.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu satysfakcji. Cała piłka: gonisz, opanowujesz sytuację kryzysową, odrabiasz straty i w końcówce, gdy wydaje się, że udało ci się zrealizować cel… taki numer. Starałem się zachować powagę. Niebo wyprzedził rzeczywistość. Ale Jurczak? – zastanawiałem się.

– To się nie dzieje – taksówkarz zdjął nogę z gazu – to jakiś żart. Co za debil pieprzony, kurwa! – Uderzył ręką w kierownicę. – Przejebali mistrza, skurwysyny!

– Dwa do dwóch, dziewięćdziesiąta minuta meczu, do piłki podchodzi sam poszkodowany. Nie wiem, czy sędzia wznowi jeszcze grę.

Taksówkarz prawie stanął na środku drogi, pochylony i wpatrzony w radio z napiętą miną.

– Wafel podbiega, zwalnia, strzela… gol… Nie, nie ma, broni, broni! – wydzierał się komentator. – Winer ratuje Centrum, parada stulecia, coś nieprawdopodobnego, pofrunął niczym orzeł! Nie wiem, jak to możliwe, potężny strzał, wydawałoby się, że nie do obrony. Jak on to wyjął? Jak zdołał sięgnąć piłki? To jest, proszę państwa, niewyobrażalne. Koniec meczu, przy remisie Zorzy Centrum zostaje mistrzem Polski, szaleństwo, widzę kibiców, którzy wbiegli na boisko, niosą na rękach bohatera, herosa. Maciek Winer nie mógł wymarzyć sobie lepszego debiutu. Proszę państwa, jak tu nie kochać tej dyscypliny? Tyle emocji, zaskakujących zmian, dziś byliśmy świadkami walki Dawida z Goliatem i obydwaj zwyciężyli: Dawid utrzymał się w lidze, Goliat został mistrzem Polski, takie cuda tylko w superlidze!

Kierowca wydzierał się prawie tak samo jak sprawozdawca, uderzał w klakson raz za razem jak oszalały, wybijając rytm stadionowej piosenki.

– A nie mówiłem? Trzeba wierzyć do końca! – Spojrzał na mnie w lusterku. – Skąd on się wziął, ten Winer? Taki wspaniały dzieciak!

Taksówkarz z niedowierzaniem kręcił głową. Milczałem, z zaciętą miną wpatrując się w ciemne ulice za oknem. Z całej siły zaciskałem szczęki, bo wiedziałem, że jeśli coś powiem, to wybuchnę.

Maciuś! Niewinna złota polska młodzież! Rogal nieświadomie podsunął mu pomysł na treningu bramkarskim, a ten bez skrupułów go wykorzystał. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że karny też był ustawiony. Gnojek nie dość, że nas oszukał, to zarobił kupę szmalu i na dodatek jeszcze wyrobił sobie nazwisko, moim kosztem. Oj nie, tak łatwo to nie przejdzie.

Gdy dojeżdżaliśmy na miejsce, strzelałem nerwowo z palców. W końcu przerwałem peany kierowcy:

– Niech pan się zatrzyma tutaj, dalej dojdę.

Wysiadłem kilkadziesiąt metrów przed restauracją. Okolica wyglądała dosyć ponuro. Pustą ulicę oświetlało zaledwie kilka latarni, gdzieniegdzie stały auta zaparkowane wzdłuż krawężnika. Rozejrzałem się, George'a nigdzie nie było widać. Poszedłem w stronę jasno oświetlonego wejścia do stylizowanej na polski dworek restauracji. Ściany otynkowano na biało, wejście między dwoma kolumnami wieńczył trójkątny daszek z szyldem „Orzeł i Przyjaciele" i rysunkiem drapieżnego ptaka.

Mimo późnej pory było bardzo ciepło, lekki wiatr dawał odrobinę ochłody. Jadąc do knajpy, tak naprawdę nie wiedziałem, co zrobię. Byłem wściekły, nabuzowany emocjami, wiedziałem tylko, że nie mogę tego tak zostawić, że muszę działać. Nie mogłem znieść myśli, że wszystko układa się dokładnie tak, jak chcieli Niebo i Maciek. Dostali nawet bonus w postaci remisu Zorzy. Niepojęte! Mój wkurw osiągnął apogeum, gdy dotarło do mnie, że tak naprawdę wszyscy wygrali: Maciek został bohaterem meczu, Niebo utrzymał Sternika, kibice i prezes dostali to, czego chcieli – tytuł.

Przegrałem tylko ja!

Szybkim krokiem ruszyłem w stronę knajpy. Gdy kilka metrów przede mną zahamował samochód, nie od razu zorientowałem się, o co chodzi. Wyskoczyło z niego kilku młodych chłopaków ubranych na niebiesko. Obejrzałem się, gdy z piskiem stanęło za mną drugie auto. Z beemki wysiadł Tarpan w towarzystwie kija bejsbolowego i swoich kumpli. Otoczyli mnie luźnym kręgiem. Wypatrzyłem kilka łysych głów, ale reszta wyglądała na normalnych, przeciętnych młodych ludzi, na których w tramwaju nie zwróciłbym uwagi. Odwróciłem się do Tarpana. Nie bałem się, wiedziałem, że tym razem także nie dojdzie do konfrontacji, że są mocni tylko w gębie. Przecież nie pobiliby ikony swego klubu, piłkarza,

który rozegrał najwięcej meczów w historii w barwach Centrum. Umieją tylko rozpieprzać auta pod nieobecność właściciela. Wsadziłem ręce w kieszenie, udając luzaka.

– Będziecie mnie napierdalać? – spytałem spokojnym głosem. – Mnie?

– A czemu nie? – odpowiedział pytaniem Tarpan. – Jesteś z innej gliny?

Reszta tylko wpatrywała się we mnie zimnym wzrokiem.

Ilu z was było tu czternaście lat temu, gdy zaczynałem grać w Centrum? Ilu? – pomyślałem. Kto wam wmówił, że macie jakiekolwiek prawo identyfikować się z tym klubem? Kto? On? Prawdziwy kibic nie biega z bejsbolem za kapitanem swojej drużyny, prawdziwy kibic cieszy się teraz na stadionie, świętuje zdobycie mistrzostwa. Tam jest miejsce tych, którzy kochają Centrum. Tam są ci, którzy tworzą klub. Wy? Siejecie tylko strach, kalacie czysty sport, piękną dyscyplinę, zastępujecie rywalizację jej wynaturzoną wersją. Ukrywacie swoje narkotykowe machloje pod przykrywką patriotyzmu, chowacie się za fasadą dobroczynności i pomocy domom dziecka, a tak naprawdę uprawiacie werbunek bezwolnych dzieciaków do swoich bojówek. To nowotwór na ciele piłki, który zżera zdrowe komórki, odstrasza normalnych kibiców. Z niedowierzaniem pokręciłem głową.

– Czternaście lat. Tyle dla was grałem. Wypruwałem żyły, zapieprzałem po górach i lasach, wylewałem wiadra potu, łamałem kości, urywałem mięśnie. Dla takich jak wy!

Miałem nadzieję, że też będą patrzeć, jak ten ich ukochany miraż się rozwiewa. Sami do tego doprowadzą! Będą się bezradnie przyglądać, jak znika. Zostaną sami ze swoją frustracją, rozglądając się z niepewnością i strachem wokół, nie wiedząc, co zrobić, pozbawieni sensu i celu. Jak ja.

Spojrzałem na zimne twarze wokół. Wciąż stali w milczeniu. Ruszyłem, usiłując przepchnąć się między nimi.

– Czternaście lat dla was…

Tarpan nie dał mi skończyć.

– Dwanaście – rzekł i z krótkiego zamachu grzmotnął mnie bejsbolem w rzepkę.

Pierwsze uderzenie kija zmiażdżyło mi kolano i spowodowało, że upadłem z krzykiem na chodnik. Usłyszałem chrzęst gruchotanego stawu, złapałem się za nogę. Potworny ból zamroczył mnie na chwilę. Posypały się kolejne razy, zwinąłem się w kłębek, usiłując osłonić głowę. Czułem kopniaki na plecach, pięści na głowie, po kilku uderzeniach kijem

musiałem stracić przytomność. Ocknąłem się, gdy Tarpan pochylał się nade mną; jedno oko miałem spuchnięte, ale drugim widziałem go bardzo dokładnie.

– W tym kolorze jest ci bardziej do twarzy. – Charknął i poczułem, że coś spadło mi na włosy. – Już ci mówiłem: nie żyjesz na świecie, na którym myślisz, że żyjesz. – Wyprostował się. – Idziemy.

Jak przez mgłę usłyszałem oddalające się kroki.

Chodnik był ciepły.

Gdy usiłowałem usiąść, o mało nie zawyłem z bólu. Oparłem się o ścianę budynku, ciężko dysząc, i starłem z twarzy krew spływającą z rozcięcia na głowie. Ręce mi się trzęsły, gdy sprawdzałem wielkość rany. Rozejrzałem się: ulica była całkowicie pusta, nikt nic nie widział ani nie słyszał. Spróbowałem się podnieść, ale z okrzykiem bólu ponownie usiadłem na chodniku. Druga próba była skuteczniejsza, przeniosłem ciężar na zdrową nogę i podpierając się o ścianę, wstałem. Głupawo uśmiechnięty Roger Waters na plakacie zachęcał do przyjścia na koncert na stadionie Gwardii. Położyłem rękę na jego czole. Zrobiłem krok, kolano uciekło mi na bok, zamroczyło mnie, stęknąłem głośno, gdy uderzyłem biodrem o chodnik, a z oczu popłynęły mi łzy.

Usłyszałem czyjeś szybkie kroki.

– O Jezu! – dobiegł mnie głos George’a. Musiałem wyglądać nieszczególnie. – Nie rusza się, dzwonię po pogotowie.

– Nigdzie nie dzwonisz, pomóż mi wstać. – Miałem mdłości i szumiało mi w głowie, ale nie zamierzałem się poddać. – Oni nadal są w knajpie.

– Co? – George chwycił mnie za ramię. – Nie zrobisz nawet kroka, idę po auto, jedziemy do szpitala.

Przytrzymując się ściany, zrobiłem ostrożnie jeden krok, prawie nie obciążając chorej nogi. Wrzasnąłem z bólu. George zasłonił mi usta ręką, po czym cofnął się, jakby zszokowany tym, co zrobił. Gapił się na mnie z niedowierzaniem, gdy pokracznie człapałem do wejścia do restauracji. Wodząc rękami po ścianie, pozdzierałem skórę do krwi, ale po kilku krokach opracowałem sposób poruszania, przy którym ból był do zniesienia.

Nie wiem, co sobie myślałem. Wspominając ten dzień, widzę, że prawie cały czas improwizowałem, nie miałem żadnego planu, poszedłem na żywioł, byleby działać. No bo co niby mogłem osiągnąć w knajpie –

kulejący, zakrwawiony, z szumem w głowie i mdłościami? Jak miałem ich zdemaskować? Mimo to pełzłem w kierunku wejścia, jakby od tego zależało moje życie.

Wtoczyłem się do środka i zaraz wpadłem na ścianę naprzeciwko wejścia. Musiałem wyglądać strasznie, bo szum rozmów ucichł gwałtownie. Całą długość sali wzdłuż okien zajmowały drewniane boksy, stolik i dwie ławy zakończone wysokim oparciem z wyrzeźbionym orłem. Nad każdym ze stołów wisiała lampa, ale w pomieszczeniu panował półmrok.

Młody kelner na mój widok stanął jak wryty.

– O Jezu, panie Romanie… – zaczął, ale powstrzymałem go gestem dłoni.

Gdy tylko pojawiłem się w drzwiach, od stołu, przy którym siedziała dziewczyna Maćka, podniosła się znajoma postać i szybkim krokiem wyszła przez przeciwległe drzwi. Ochroniarz dostrzegł niebezpieczeństwo i opuścił zagrożoną strefę. Wywiązał się z umowy i teraz zwiewał z podkulonym ogonem.

Szedłem, a raczej sunąłem wzdłuż boksów, opierając się o kolejne stoły i powłócząc prawie bezwładną nogą. Ludzie odsuwali się ode mnie pod okna, jakbym mógł ich czymś zarazić, nie spoglądali nawet w moim kierunku. Upadłem raczej, niż usiadłem na ławkę przy stoliku, naprzeciw zaskoczonej kobiety.

Winer miał gust, to trzeba przyznać. Na wprost mnie siedziała śliczna młoda dziewczyna w eleganckiej ciemnej sukience z dużym dekoltem. Jej i tak duże oczy zrobiły się jeszcze większe, gdy pochyliłem się ku niej, roztrącając stojące na stole brudne naczynia. Obydwie dłonie miała obwieszone bransoletami, na jej palcach błyszczały pierścionki, na szyi granatowy naszyjnik z wielkim błyszczącym kamieniem pośrodku. Rodzice chyba nie żałowali jej kieszonkowego.

– Czego pan chce? To miejsce jest zajęte, proszę odejść. – Nie rozpoznała mnie, widzieliśmy się tylko kilka razy, a tego dnia dodatkowo byłem ukryty pod warstwą krwi i opuchlizny.

– Przysyła mnie Maciek – zagaiłem i złapałem ją za rękę. Nawet nie udawała, że uwierzyła; usiłowała wyrwać się z mojego uścisku, ale trzymałem ją mocno. – Potrzebna mi walizka – stwierdziłem.

Odruchowo spojrzała w bok, na leżący na siedzisku nieduży neseser. Wychyliłem się przez stół, chcąc złapać walizkę, jednak dziewczyna była

równie szybka. Jednocześnie chwyciliśmy za rączkę, szarpnąłem do siebie, ale ona nie puściła. Jedna ze szklanek z głośnym brzękiem upadła na talerz.

– Puszczaj i ciesz się, że to się tylko tak skończy. Maciek i tak jest już skończony, ty masz szansę – syknąłem przez zaciśnięte zęby. – Chcesz być zamieszana w korupcję?

Widziałem, że dziewczyna gorączkowo zastanawia się, co zrobić. Rozejrzała się z wahaniem po sali, a ja ponownie mocno szarpnąłem za walizkę, chcąc kuć żelazo póki gorące.

– Proszę państwa – krzyknąłem – jesteście państwo świadkami korup…

– Pomocy! Złodziej! – Wstała z krzykiem i spróbowała wyrwać mi walizkę. Chwyciłem drugą ręką za jej dłoń, by rozprostować jej palce, a dziewczyna złapała za karafkę stojącą na stole.

W innych okolicznościach pewnie zdążyłbym się uchylić, zablokować uderzenie albo zrobić wiele innych rzeczy, żeby nie wylądować z nosem w sałatce. Ten wieczór był jednak wyjątkowy. Przyjąłem cios na twarz, ze wszystkimi jego konsekwencjami. Zrobiło mi się ciemno przed oczyma.

5

Leżałem w miękkim łóżku, z opatrunkiem na nodze i głowie, z bandażem na żebrach, każdy ruch powodował ukłucie bólu. Nie mogłem głębiej odetchnąć ani nawet się zaśmiać, choć była to ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę. Sala była całkiem schludna, niedawno wyremontowana: białe ściany, zielonkawa wykładzina na podłodze i cztery łóżka, z czego dwa wolne. Mój jedyny współlokator, ponury młody chłopak z rozwalonym łokciem, akurat wyszedł.

Do szpitala przywiózł mnie kelner Krzysiek, który okazał się kibicem Centrum. Ironia losu – kibole rozwalili mi kolano, inny kibic uratował mnie z opresji, gdy straciłem przytomność i leżałem jak kłoda na stole. Dziewczyna Maćka – zrelacjonował mi przebieg zdarzeń – nie chciała wzywać policji, składać zeznań. Udała, że bagatelizuje całe zajście, machnęła ręką i szybko opuściła restaurację. Wcale jej się nie dziwię; mając walizkę wypełnioną szmalem, też raczej unikałbym glin. Krzysiek ocucił mnie i zaprowadził na zaplecze. Menedżerowi restauracji też nie było na rękę nagłaśnianie pobicia, więc pomógł wyciszyć sprawę. Kelner wezwał taksówkę i przyjechał ze mną na pogotowie, w rejestracji opowiedział historyjkę o napadzie na tle rabunkowym i wrócił do knajpy. Odwiedził mnie już po zabiegu, przywiózł „Kurier Sportowy” i płytę z monitoringu, uspokajając, że po zajściu w knajpie nie ma śladu.

Kolano zoperowali mi następnego dnia, później na obchodzie lekarz bez owijania w bawełnę stwierdził, żebym zapomniał o profesjonalnej grze w piłkę. Cóż, spodziewałem się takiej diagnozy.

Gdy następnego dnia do sali wszedł Staszek, po raz enty czytałem relację z meczu w „Kurierze”, wypełnioną zachwytami nad grą Winera, poziomem meczu i tytułem Centrum. Na samym dole drugiej strony była też wzmianka o tym, że zostałem pobity; informacja jakoś jednak dotarła do mediów.

– Cześć, zobacz, co ci przyniosłem. – Staszek rzucił kule na podłogę, podniecony wyjął z kieszeni medal i wręczył mi go z zachwytem i czcią na twarzy. – Piękny, co? Uprosiłem Witka, żeby pozwolił mi przynieść ci go.

Oprócz Witka Staszek był jedyną osobą związaną z klubem, która odwiedziła mnie w szpitalu. Zjawił się pierwszego dnia po ukazaniu się

notki w gazecie i przychodził codziennie, przynosząc mi prasę i drobiazgi, o które prosiłem.

Podniosłem okrągły kawałek metalu na biało-czerwonej taśmie. Pozłacany krążek wyglądał jak z odpustu: z jednej strony dwaj piłkarze walczący o piłkę otoczeni wiankiem z liści, z drugiej suchy, informacyjny tekst na całkowicie płaskiej powierzchni bez ozdobników. Nie było to dzieło sztuki, medal przypominał raczej blaszaną odznakę ze straganu niż jedno z ważniejszych trofeów piłkarskich, mimo to poczułem się jak prawdziwy mistrz Polski. Zaraz jednak przypomniałem sobie okoliczności meczu o tytuł i wrażenie to minęło.

Zostałem mistrzem Polski. Czy mistrz musi być bez skazy? Ile jest drużyn, które nie przegrały ani jednego meczu w sezonie? Prawie nie ma, więc też mogę się czuć jak prawdziwy czempion. Zasłużyłem na ten tytuł bardziej niż reszta: Książę, kibole i koledzy z zespołu.

Staszek nie mógł zrozumieć, skąd moja ponura mina.

– Nie cieszysz się?

– Cieszę, tylko kolano mnie boli jak diabli – mruknąłem.

– A właśnie… – Schylił się i podniósł kule. – Oswajaj się, to twoi najbliżsi przyjaciele na długi czas. Zajebiście się na nich lata, jak chcesz, to sprzedam ci parę patentów, przydadzą ci się teraz i jeszcze górę wzmocnisz.

Dał krótki popis swoich umiejętności, przeszedł o kulach do najbliższego łóżka, prawie lecąc w powietrzu.

– W końcu ma się doświadczenie. Nie obciążaj bicepsów, bo długo nie pociągniesz, po kilku krokach ręce wysiadają, zwieszaj się na barkach, zablokuj w łokciach na prostych rękach i huśtawka. – Zabujał całym ciałem, opierając ciężar na kulach. – Uważaj tylko na śliską nawierzchnię, bo można zaliczyć glebę.

Miał doskonały humor, w przeciwieństwie do mnie. Spoważniał i usadowił się na wolnym łóżku.

– I co teraz?

– Nic. Co ma być? Już po wszystkim.

– Jak to po wszystkim? Zawsze byłeś przywódcą. Przecież nie każdy zostaje kapitanem, drużyna czuje, kto ma siłę i moc. Przed tobą wielka kariera trenerska.

Spojrzałem na kolano; miałem wrażenie, że pod opatrunkiem mam drugie serce, które usiłuje wyrwać się na wolność. Ból się nasilał. Cały staw pulsował.

– Mam dość piłki.

– Jak to dość? Przecież to jasne dla wszystkich: jesteś urodzonym trenerem. – Spojrzał na mnie zbulwersowany. – Tyle mi opowiadałeś o konsekwencji i co? Ciebie to nie dotyczy?

– Staszek, nie każdy piłkarz zostaje trenerem.

– Ale każdy kapitan powinien. To takie trudne? Huczny jest trenerem, to każdy może.

– Przestań – skwitowałem. Usiłowałem poprawić się na łóżku i aż syknąłem z bólu.

– Przecież taką drużynę jak wasza to i ja mógłbym poprowadzić. Samograj.

Pokręciłem głową z politowaniem.

– Z daleka widok jest piękny – odparłem.

– Co? Nie rozumiem.

– Nieważne.

Oparłem głowę o poduszkę i spojrzałem w sufit. Staszek chwilę mi się przyglądał, zastanawiając się, o co mi chodzi, po czym zmienił temat:

– A słyszałeś, że Maćka chce jakiś klub z Premier League? Jeden mecz! Nie uwierzyłbym.

– Ja też – skwitowałem ponuro, z drwiną w głosie, której Staszek nie wychwycił. – Ma chłopak talent.

– Talent? Szczęście jak sto pięćdziesiąt, zagrał dziewięćdziesiąt minut w lidze i może pojedzie za granicę! To megafart! Jak trafienie w loterii. – Przerwał, gdy zobaczył moją skwaszoną minę. – Co, nie mam racji?

– Masz, Staszku, masz. Niech chłopak sobie jedzie jak najdalej za granicę i najlepiej nie wraca.

Staszek zmarszczył brwi, podrapał się po głowie.

– Ja wiem, że to on zawalił tę drugą bramkę, nie ty – stwierdził, myśląc, że stąd wzięła się moja niechęć do Maćka.

– Nieważne, już dawno po meczu, nie grzebmy w trupach.

Spojrzał na zegarek i zeskoczył z łóżka.

– Lecę do pracy, jak coś ci potrzeba, to dzwoń. I głowa do góry – zakończył.

Witek zajrzał godzinę później. W krótkich spodenkach, zielonej koszulce polo z postawionym kołnierzykiem i czapce z daszkiem wyglądał jak chłopek-roztropek. Uśmiechał się od ucha do ucha, jak zwykle.

– Witam mistrza Polski! – rozdarł się od drzwi. – Jak zdrowie? Widzę, że coraz lepiej.

Spojrzałem na niego z kwaśną miną i wskazałem na nogę.

– Jak widać.

Witek nie przejął się moją odpowiedzią, podszedł do wolnego łóżka i wyciągnął się na nim jak długi. Splótł dłonie za głową.

– Kiedy do gry?

– Nigdy.

– Ale farciarz. Ja się jeszcze muszę kilka lat pomęczyć.

Spojrzałem na niego z politowaniem.

– Odpuść. Nie wychodzi ci pocieszanie. Zakończyłem rozdział pod tytułem profesjonalne uprawianie piłki. Koniec z grą, treningiem.

– No i co z tego? – Prychnął. – Przestań się mazać. Dwie ręce masz? Dwie nogi? Głowę na karku? To i tak dużo więcej od tego, czym dysponuje większość ludzi. Więc ciesz się, zamiast zrzędzić. Masz mnóstwo możliwości. A do tego jesteś mistrzem Polski! Wiesz, co to znaczy?

– Myślę, że Maciek sprzedał mecz – powiedziałem, jakbym go w ogóle nie słuchał.

Witek gwałtownie usiadł na łóżku.

– Co ty pieprzysz? Bo nie wyłapał dośrodkowania?

– Bo krzyczał: „Moja”, a potem się schował, a jego dziewczyna siedziała w knajpie z walizką pieniędzy – wyrzuciłem z siebie jednym tchem, by wreszcie się pozbyć tego balastu.

Zmarszczył czoło. Trzymał się krawędzi łóżka, jakby chciał się wybić do skoku. Patrzył na mnie z otwartymi ustami.

– Skąd to wiesz?

– George ją obserwował.

– A skąd on wiedział?

Nie odrywał ode mnie wzroku.

– Próbowali do nas podejść. – Spuściłem oczy. – Odmówiliśmy. George pojechał do hotelu… śledził goryla, przyjechała dziewczyna.

Witek energicznie zeskoczył na podłogę. Nerwowo zaczął spacerować tam i z powrotem wzdłuż ściany. Zatrzymał się, spojrzał na mnie z przekrzywioną głową i ponownie ruszył.

– Impreza we wtorek… Wycinka na treningu… miała osłabić zespół… Bijatyka w kiblu… I jeszcze doping Pieska i kontuzja Kaczki – wymieniał. – Dużo tego, śmierdzi konspiracją i dywersją.

Stanął przy łóżku, obserwowałem, jak dodaje dwa do dwóch, łączy zdarzenia. Składa wszystkie klocki w jedną całość.

– Jabola specjalnie wystawiłeś…

Gdy obraz stał się kompletny, na jego twarzy odmalowało się zdumienie i obrzydzenie, czysta wizualizacja wstrętu.

– Warto było? – spytał.

– Przecież… – Urwałem w pół słowa i kontynuowałem spokojnym głosem: – Prezes wywalił mnie na zbity pysk, nasi kibice rozpieprzyli mi auto, koledzy okradli Staszka… Wiem, wpierdoliłem się w maliny, ale co, nie miałem powodu? Pogubiłem się, ale w ostatniej chwili się wycofałem… Wiem, jakie to świństwo…

– Przestań. Nie tłumacz się, nasłuchałem się wystarczająco dużo prawd objawionych wygłaszanych przez imbecyli, którzy byli wybitnymi piłkarzami. Oszczędzaj siły.

Patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby obserwował kawałek gówna.

– Krzyknął?

– Co? Kto? – Nie od razu zrozumiałem. – Kurwa, krzyczał: „Moja”, uwierz mi…. Nie byłem z nim w zmowie, wydymał nas wszystkich jak…

– Dość.

– Naprawdę jestem uczciwy. Postaw się na moim miejscu. Spójrz na sytuację moimi oczami…

– Dość! – prawie krzyknął Witek. – Nie chcę patrzeć twoimi oczami, bo znienawidziłbym i piłkę, i siebie. Mam patrzeć na uczciwość twoimi oczami, na piłkę oczami Wrzaskuna, na seks oczami Rogala i Pieska? Myślisz, że oni wiedzą, co tracą, mechanicznie ruchając dupy jak zaprogramowane roboty? Myślisz, że wiedzą, co to miłość i jak to uczucie zmienia seks? Myślisz, że ty wiesz, co to uczciwość? Znacie tylko przepis, teorię, która w zderzeniu z rzeczywistością i waszą wygodą zawsze przegrywa. Żal mi was, zaspokojonych byle gównem, zadowolonych świństwem i protezą uczuć. – Zdjął czapkę, przeczesał ręką włosy, jakby chciał zrobić sobie masaż mózgu. – Wiesz, Romek… ja po prostu się nie spodziewałem, że będziesz krakał tak jak wrony… – Pokręcił głową, odwrócił się i zgarbiony, jakby przygnieciony wielkim ciężarem, poczłapał w stronę drzwi.

Widzieliśmy się wtedy ostatni raz. Nie odbierał ode mnie telefonów, nie odpowiadał na maile, choć wielokrotnie próbowałem się z nim skontaktować. Zachowywał się tak, jakbym przestał dla niego istnieć.

Zawsze budował sobie świat, jakim chciał go widzieć, i eliminował elementy zakłócające ten obraz. Po prostu.

Gdy wyszedł, wezwałem pielęgniarkę. Po chwili pojawiła się w drzwiach pulchna kobieta w śnieżnobiałym kitlu, z uśmiechem na ustach. Poprosiłem o środek przeciwbólowy. Podłączyła strzykawkę do końcówki plastikowej rurki, której drugi koniec znikał gdzieś w moim kręgosłupie. Zaczęło mi się robić błogo i przyjemnie. Zapomniałem o Witku, o Marii. Nie usłyszałem już odpowiedzi na moje pytanie, kiedy wyjmą mi to ustrojstwo z pleców. Zapadłem w sen.

6

Gdy otworzyłem drzwi sklepu, zadźwięczał dzwonek; siedzący za ladą starszy mężczyzna w okularach podniósł głowę, przyjrzał mi się badawczo, po czym wstał z uśmiechem.

– Dzień dobry. Czym mogę służyć?

Utykając, podszedłem do przeszklonej lady i położyłem na niej medal.

– Ile dostanę za to coś? – spytałem.

Przyjrzał się uważnie okrągłemu kawałkowi metalu, odwrócił go, przetarł ścierką. Uśmiechnął się i zsunął okulary.

– Byłem na tym meczu, niezła karuzela, z zero dwa do dwa do dwóch, przy karnym chciałem linczować sędziego, naprawdę się działo. Zasłużyliście na tego mistrza, panie Romanie.

Zdziwiony podniosłem wzrok; odzwyczaiłem się już od tego, że jestem rozpoznawalny. W ostatnim okresie raczej unikałem ludzi, a i przybyło mi kilka kilo, rzadziej się goliłem, więc miałem świadomość, że wyglądam inaczej niż za czasów, gdy grałem w piłkę. Sprzedawca dostrzegł moją zaskoczoną minę.

– Ulicę dalej jest stadion, mieszkam tu, miałbym nie rozpoznać ikony mojego klubu?

– Dzięki temu dostanę kilka złotych więcej? – spytałem z nadzieją.

Roześmiał się. Wyjął z szuflady album i położył na ladzie.

– Proszę, na każdym meczu wyjazdowym byłem. – Wskazał palcem zdjęcie. – Tu Wrocław, psy trzymały nas trzy godziny w wagonie, stłoczonych jak sardynki, trzydzieści pięć stopni w cieniu. Ale warto było, rozjechaliście zielonych na miazgę, nie byli w stanie pierdnąć. – Spojrzał na mnie z namysłem. – Za te wszystkie lata spędzone w Centrum powinni panu pomnik wystawić, i to nie za to, ile pan grał, ale jak pan grał, mój chłopak nie chce biegać z innym numerem na plecach niż z czwórką.

Schował album do szuflady, wyjął inny tom, duży, z kolorowym zdjęciem na okładce.

– Wydrukowaliśmy z grupą przyjaciół książkę. Historię naszych wyjazdów na mecze, wszystkie są tu szczegółowo opisane. Co, kiedy, gdzie… – Zaczął przewracać kartki. – O, tu wyjazd do Mielca. Do dziś pamiętam pana wślizg w polu karnym w końcówce meczu, przegralibyśmy,

gdyby nie sięgnął pan piłki. A tu, o, Zabrze, ależ wtedy było gorąco… A tu, niech pan czyta. – Podsunął mi książkę i wskazał palcem tekst: „Centrum skończyło się dla mnie, gdy odszedł Roman Dzwonecki…”. – Widzi pan?

Westchnął ciężko, a mnie zaszkliły się oczy. Zapomniałem już, że w tej mojej grze w piłkę nie byłem sam.

Pochyliłem głowę, żeby ukryć łzy.

– To były czasy. Zrobimy tak: dam panu tysiąc, więcej nie mogę, bo sam nie mam, ale obiecuję, że będzie tu na pana czekał. – Wskazał medal. – Nieważne ile. Będzie tu, kiedykolwiek zdecyduje się pan po niego przyjść, okej?

– Dziękuję. – Nic więcej nie byłem w stanie z siebie wydusić.

Wyjął z szuflady portfel i zaczął liczyć.

– Proszę. – Położył pieniądze na szkle.

Schowałem banknoty do kieszeni, czując się bardzo niezręcznie, jak żebrak, który prosi o jałmużnę. Wstyd powodował, że chciałem jak najszybciej stamtąd uciec. Odwróciłem się do drzwi.

– Jakby spotkał pan kogoś z kolegów, szczególnie z dawniejszych lat, którzy skończyli już grać, proszę ich poprosić, żeby wskoczyli do mnie na chwilę. Zbieram autografy w tej księdze. – Wyciągnął ponownie album i otworzył na stronie wypełnionej odręcznymi podpisami. – O tu, widzi pan – wskazał jeden z nich – ostatnia zdobycz, George Hooyot.

– Mieszkał niedaleko – wtrąciłem.

– Dwa dni temu był u mnie, przyniósł naszyjnik, to wykorzystałem okazję. O, tu leży. – Postukał palcem w szklany blat. – Nie pograł u nas za wiele.

Pochyliłem się nad gablotą, w środku leżał granatowy naszyjnik. Identyczny jak ten, który miała na sobie dziewczyna Maćka; ten sam charakterystyczny kształt i kolor, bez cienia wątpliwości.

– Pamiątka rodzinna. Nie wiedziałem, że tak dobrze gada po polsku.

Nie mogłem oderwać wzroku od naszyjnika. Wreszcie odwróciłem się i wolno wyszedłem z lombardu.

– Do widzenia, panie Romanie, medal będzie czekał na mur-beton! – krzyczał za mną sprzedawca, gdy zamykałem drzwi.

Szedłem wpatrzony w płyty chodnikowe, wystukując na nich nierówny rytm. Mimo bólu w kolanie wydłużałem krok, jakbym chciał uciec od tego, czego się właśnie dowiedziałem.

Powinienem już wcześniej się domyślić. Właściwie dlaczego jestem zaskoczony? Standardowe piłkarskie zachowanie, przeciwnik popełnia błąd, a ty go wykorzystujesz. Daje ci sytuację do pustaka – strzelasz. Skoro wziął naszyjnik, pieniędzmi pewnie też nie pogardził, bo przecież nie dała mu go w prezencie. Panienka z walizą kasy, do tego nielegalnej, nikomu niczego nie zgłosi, jest sama, bezbronna i aż prosi się o kłopoty. Wystarczy wiedzieć. Naszyjnik wyglądał na cenny, co się miał zmarnować, skoro lombard był pod ręką.

Zwolniłem kroku, bo przechodnie zaczęli na mnie dziwnie patrzeć. Zatrzymałem się. Usiadłem na pierwszej z brzegu ławce. Przyglądałem się przejeżdżającym samochodom, autobusom wypełnionym ludźmi, przechodniom szybkim krokiem zmierzającym do sobie tylko znanego celu. Przecież wszyscy tak funkcjonują: kombinują skoncentrowani na pieniądzach i zapewnieniu dobrobytu rodzinie i sobie. To źle? Piłkarze niczym nie różnią się od sąsiadów, polityków, biznesmenów – odnajdują się w cywilizacji złodziei i wyzyskiwaczy. Wszyscy przecież chcemy tylko przeżyć i staramy się nie dopuszczać do siebie świadomości upodlenia, by zbyt często się z nią nie konfrontować. Funkcjonujemy na granicy rozpaczy, w strachu przed biedą i w strachu przed brakiem bogactwa, nie widząc między nimi różnicy. Skupieni na następnym kroku, patrzymy pod nogi, tracąc z pola widzenia przyszłość i konsekwencje obecnych czynów. Skoncentrowani na teraźniejszości, nie mamy szerszej perspektywy. Człapiemy przed siebie, grzęznąc coraz bardziej w paraliżującej spirali zachłanności. To norma – moja, twoja, ich. Sami ją tworzymy.

Nagle zastygłem. Obok przejechała znajoma biała furgonetka, z otwartych okien słychać było głośną rockową muzykę. Nie wiem, czy miałem halucynacje, ale wydawało mi się, że rozpoznaję za kierownicą łysą postać sąsiada. Przejeżdżał obok, uśmiechał się, patrząc na mnie, a może przeze mnie; nie wiem, czy mnie widział. Usta rozciągnięte w sztucznym uśmiechu, ale oczom daleko było do wesołości, jakby dolna połowa twarzy usiłowała się śmiać, ale górna pozostawała czujna i bacznie, zimno obserwowała otoczenie.

Kilkadziesiąt metrów dalej auto zatrzymało się z lewej strony, kierowca wysiadł, zostawił otwarte drzwi i podbiegł do kamiennego śmietnika. Szybko wrzucił coś żółtego do kosza, rozejrzał się i wrócił do auta. Ruszył z piskiem.

Wtedy po raz ostatni widziałem tego sąsiada.

Podszedłem do pojemnika – na szczęście nie był pełen – i zacząłem rozgarniać papiery. Na dnie leżała rozerwana foliowa torebka, częściowo wypełniona żółtym proszkiem. Wyglądał jak piasek, ale o bardziej intensywnym kolorze. Dotknąłem, roztarłem między kciukiem a palcem wskazującym, zbliżyłem do nosa – nie miał zapachu. Przechodząca obok starsza pani z siatką w ręku spojrzała na mnie z dezaprobatą.

Wrzuciłem torebkę z powrotem do kubła, wytarłem dłonie o spodnie. Spojrzałem w kierunku, w którym odjechał sąsiad, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi. Ale czy wszystko musi być jasne?

Maria nie zostawiła żadnego listu pożegnalnego, żadnej informacji, czegokolwiek. Jakbyśmy nigdy się nie znali, jakby nic nas nie łączyło. Mieszkanie wydaje mi się obce, choć zanadto się nie zmieniło. Zabrała walizkę, w którą zmieściła całe nasze wspólne życie. Nie potrzebowała do tego nawet wielkiego neseseru. Czy liczba walizek, w jaką spakowała się, odchodząc, świadczy o jakości naszego związku? Dwie walizki – był kiepski, pięć – nie było tak źle, osiem – jak mogło w ogóle dojść do rozstania? A może odwrotnie? Im więcej rzeczy, tym gorszy związek? Zarzucona zbędnymi gadżetami przestrzeń między bliskimi sobie ludźmi. Barykada, która w końcu przysłania widok na innego człowieka.

Gdyby dało się spakować wspomnienia, uczucia, słowa, które padły, i zabrać je ze sobą, odchodząc, przynajmniej jedna strona nie miałaby świadomości straty; Maria zwija dywan, roluje przeszłość i zabiera ją ze sobą jak zawartość jeszcze jednej szuflady, a ja zostaję bez bólu i bagażu wspomnień. Świadomość nędzy emocjonalnej jest dla mnie chyba smutniejsza od zapaści finansowej, w jakiej się znalazłem. Maria nie odbierała ode mnie telefonów, nie mogłem się z nią w jakikolwiek sposób skontaktować, zachowywała się tak, jakbym nigdy dla niej nie istniał. Czyste, gładkie cięcie. Po miesiącu przyszło pierwsze pismo z sądu… Nie otworzyłem koperty, podobnie jak następnych. Nie musiałem do nich zaglądać, żeby wiedzieć, co w nich jest.

Nie wiedziałem, gdzie mieszka, odcięła się ode mnie całkowicie. Godzinami sterczałem pod mieszkaniem jej rodziców, licząc, że ich odwiedzi. W czasie jednej z tych nasiadówek, gdy w chłodny jesienny wieczór kuliłem się z zimna na ławce, z daleka rozpoznałem jej sylwetkę w dobrze mi znanym długim czarnym płaszczu z futrzaną lamówką. Gdy

podeszła bliżej, wstałem i zdjąłem kaptur. Wciągnęła głęboko powietrze i przyspieszyła kroku.

– Poczekaj, chcę porozmawiać.

– Nie mamy o czym.

– Wysłuchaj mnie.

Próbowałem przytrzymać ją za łokieć. Szarpnęła rękę i przyspieszyła.

– Zostaw mnie!

– Daj mi minutę. – Podążałem tuż za nią. – Zatrzymaj się!

Ponownie chwyciłem ją za łokieć. Wyszarpnęła rękę i zaczęła biec.

– Nie zbliżaj się do mnie, nie ma mnie, dla ciebie nie istnieję! – zaczęła krzyczeć, rozglądając się wokół w poszukiwaniu pomocy.

Dogoniłem ją i złapałem za ramiona.

– A Emil? Mamy dziecko – wycedziłem, potrząsając nią.

– Ratunku! – wrzasnęła, wyrywając mi się. Upadła na chodnik. Niezdarnie usiłowała się podnieść, w końcu plącząc się w połach płaszcza, pobiegła w stronę klatki, nerwowo oglądając się za siebie.

Patrzyłem tępo, jak kobieta mojego życia ucieka przede mną w panice.

Nie spodziewałem się, że tak źle zniosę samotność. Nie mając świadków, całkowicie się rozkleiłem. Nie chciałem pić, raz spróbowałem, ale pijacki smutek był jeszcze gorszy od tego na trzeźwo. Najpierw snułem teorie, jak ją odzyskać, przekonać, co jej powiedzieć. Usiłowałem zrozumieć Marię, odtworzyć jej sposób myślenia, by wykorzystać tę wiedzę i wykuć argument, który przekonałby ją do powrotu. Potem zacząłem układać scenariusze, teorie obrazujące, co się stało, co było przyczyną kryzysu, kto był winny i dlaczego. Tworzyłem łańcuchy zależności między przeszłymi i przyszłymi zdarzeniami, szukałem rozwiązania problemu i wyjaśnienia wszystkich naszych nieporozumień.

Nie odbierałem telefonów, a w zasadzie odbierałem je z nadzieją, tylko po to, żeby po chwili bez słowa zerwać połączenie. Prawie nic nie jadłem, siedziałem i myślałem, gapiąc się w ciszy na ścianę. Siedziałem sztywno z rękoma na kolanach i patrzyłem w jeden punkt, jak katatonik. Wbijałem wzrok w niewielką plamkę, powstałą, gdy Emil oparł się o ścianę brudną ręką. Metr od drzwi do pokoju, na wysokości oczu siedzącego na wersalce człowieka – ślad syna. Na ścianie.

Denerwowały mnie radio i telewizja, nie mogłem słuchać szczebiocących postaci w serialach i radosnych małżeństw reklamujących margarynę. Gdy

już nie byłem w stanie wytrzymać bezruchu, zaczynałem sprzątać chałupę. Nic innego nie robiłem. Pokoje i kuchnia lśniły czystością, podłogi były odkurzone, w blaszanym zlewie można się było przeglądać, kuchenka gazowa skrzyła się odbitym światłem. Wyszorowałem nawet fugi w łazience szczoteczką do zębów. Nie robiłem tego, by czystością olśnić wracającą Marię. Robiłem to, by nie płakać.

Przez dzieciństwo, lata młodzieńcze i potem dorosłość tworzyłem dwa obrazy siebie: jeden na pokaz i drugi wewnętrzny, prawdziwy, tylko dla mnie. Uzmysłowiłem sobie właśnie, że w którymś momencie mojego życia te dwa wizerunki się ze sobą zlały, przekształciły w jedną zdeformowaną postać, w której prawda mieszała się z obłudą, życzenia z rzeczywistością. Stałem się zlepkiem prawd i półprawd, kłamstw i fałszu. Z czasem ta warstwa stała się tak gruba, że całkowicie ukryła – nawet przede mną – dzieciaka, który przyjechał kiedyś do Warszawy. Myślałem, że jestem silny, niezłomny, że wszystko kontroluję, że świat należy do mnie i sam dam sobie radę.

A potem zdarza się coś takiego, co powoduje, że zaczynasz dostrzegać tego ulepionego przez siebie bałwana. Widzisz cały ten zgromadzony szajs, zbędny koszmarny balast. Zaczynają odpadać fragmenty, pęka z chrzęstem skorupa nagromadzonego ścierwa. To bardzo bolesny proces, ale dzięki niemu spod tej warstwy fałszu wyłania się ktoś diametralnie inny. Postać, którą lepiłem przez lata i która napawała mnie dumą i radością, znikła, rozpadła się. Zobaczyłem samego siebie – kogoś przestraszonego i bezbronnego, schowanego w kącie, bojącego się wyjść na zewnątrz. Z wyidealizowanego obrazu pozostała tylko porysowana rama, ból, strach i bezradność.

Zadzwonił Paweł.

– Cześć, braciszku – zaczął standardowo wesołym głosem. – I co, zastanowiłeś się? Mówię ci, robimy interes życia – trajkotał. – Wchodzisz w to? Bezpieczny biznes, rozwojowy, przejmiemy rynek i będziemy kosić kasiorę.

W pierwszej chwili chciałem bez słowa odłożyć słuchawkę. Wahałem się, milcząc.

– Jesteś tam?

– Sytuacja się skomplikowała – zacząłem.

– Co się stało?

– Paweł… Nie wejdę w żaden interes. Maria… Zresztą nieważne. Potrzebuję pieniędzy, chciałbym, żebyś zwrócił mi pożyczkę.

W słuchawce zapadła cisza.

– Jak to? Czemu?

– Nie chcę o tym rozmawiać. Możesz po prostu oddać mi pieniądze?

– Ale Roman, są zainwestowane… Rozkręcamy nowy biznes…

– Umawialiśmy się, że w każdej chwili mogę je wycofać, tak?

– No tak, ale akurat nie teraz, mam zamrożone wszystkie środki, a jak nie znajdę finansowania, to partnerzy pójdą do kogoś innego, okazja spierdoli…

– Paweł, chcę moje pieniądze z powrotem…

– Romek, kurwa, zamykasz mi drogę rozwoju, to zablokuje mi jakiekolwiek ruchy… Nie mam…

– Jesteś moim bratem, zaufałem ci, masz mi zwrócić pieniądze.

– Co mi, kurwa, z pokrewieństwem wyjeżdżasz? To biznes, nie rodzinny obiadek. O tym, kiedy i ile ci oddam, to ja, kurwa, będę decydował! – wykrzyczał.

Wpatrywałem się tępo w podłogę. Odłożyłem telefon. Wróciłem na swoje miejsce na wersalce.

Nigdy nie okazywałem uczuć, miałem wrażenie, że to takie niezręczne i sztuczne. Myślałem też, że nie umiem płakać, a jednak płakałem i wychodziło mi to doskonale. Każde wspomnienie powodowało spazmy wstrząsające ciałem. Wyłem w poduszkę, choć w oczach innych uchodziłem za uosobienie opanowania i braku emocji.

Po kilku miesiącach widziałem już tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Ostateczne.

Byłem gotowy.

Miałem sznur i hak w suficie. I całkowitą pewność. Miałem świadomość, że nie jest to jedyna rzecz, którą mogę zrobić, ale wiedziałem też, że tylko wtedy przestanę cierpieć.

Zadzwonił dzwonek. Ruszyłem się dopiero po dziesięciu minutach, kiedy zorientowałem się, że intruz nie odpuści. Otworzyłem drzwi. W progu stała moja matka, Zofia Dzwonecka. Przyglądała mi się uważnie niczym inspektor na przeglądzie pracowniczym. Miała na sobie swój słynny ciemnogranatowy płaszcz w kratę i skórzaną torebkę w ręku. Włosy po

ondulacji przypominały czapkę. Lekko przyciemnione duże okulary nadawały jej twarzy urzędniczy rys.

– Co się dzieje? – zapytała podejrzliwie. Już na wejściu zorientowała się, że coś jest nie tak. Nie było o to trudno; jej synek był zarośnięty i śmierdzący niczym menel, a mieszkanie lśniąco czyste, wręcz sterylne.

Weszła do przedpokoju, powiesiła płaszcz na wieszaku.

– Gdzie Maria?

Nie odpowiedziałem. Zrezygnowany poszedłem do pokoju i zająłem miejsce okupowane od miesięcy. Matka rozejrzała się po mieszkaniu, po czym skierowała się do kuchni; jej nienaturalna czystość aż biła po oczach, widać było, że od dawna nikt tam nie urzędował. W sypialni mama pootwierała szafy, w których nie znalazła żadnej rzeczy Marii, na koniec zajrzała do pustego pokoju Emilka.

– Co się stało? Gdzie Maria i Emil?

– Nie ma. – Z trudem panowałem nad sobą, warga mi drżała.

Usiadła koło mnie. Widziałem, że jest spięta i bardzo intensywnie myśli, co powiedzieć. Bała się palnąć coś głupiego, co mogłoby jeszcze pogorszyć moją sytuację. Nie odzywaliśmy się, siedzieliśmy w ciszy.

– Spodziewałam się tego. Bez… – Urwała. – Kiedy odeszła?

– Dawno. – Nie wiedziałem nawet, jaki jest dzień.

Nagle spojrzała na zegarek i zerwała się z wersalki.

– Wstawaj, jedziemy do Borowca – stwierdziła głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Pakuj się. Gdzie masz walizkę?

Pobiegła do przedpokoju i zaczęła otwierać szafki.

– Gdzie ona jest?

– Mamo, przestań. Nigdzie nie jadę.

– Jedziesz, bez dyskusji. Nie będziesz siedział tu jak słup soli. Za godzinę mamy pociąg. Musimy zdążyć.

Wpadła jak huragan do sypialni, wyciągnęła walizkę i rzuciła na łóżko.

– Chodź tu. Masz natychmiast spakować rzeczy. Pojedziemy, odpoczniesz od tego wielkiego miasta, od tego pustego mieszkania. Wszystko się ułoży, zobaczysz.

Wróciła do mnie, siłą wepchnęła mnie do sypialni. Dałem się prowadzić, jakbym był kompletnie bezwładny. W końcu co mnie tu trzymało?

– Ojciec się za ciebie weźmie, potrenujesz z wieśniakami, wrócisz do formy w trymiga, zobaczysz.

– Mamo, mam sztywne kolano.

– Ojciec je uruchomi, nakupił książek o akupresurze, masarzach i innych dziwactwach, to cię doprowadzi do pełnej sprawności. Wiesz, że laski masuje w Borowcu? Takie babeczki od sześćdziesiątki w górę. A poza tym lata im z wahadełkiem nad całym ciałem, wyszukując choroby. Zgłupiał na stare lata.

Paplała, jakby tym słowotokiem chciała przykryć moje problemy, a jednocześnie wyciągała z szafy co popadnie i upychała do walizki.

Zanim się obejrzałem, siedzieliśmy w taksówce, która wiozła nas na dworzec. Pociąg był prawie pusty, mieliśmy przedział tylko dla siebie, więc opowiedziała mi, dlaczego zdecydowała się mnie odwiedzić.

Ponieważ nie odbierałem telefonów, wysłała do mnie dwa listy, których oczywiście nie wyjąłem ze skrzynki. W końcu jej cierpliwość się wyczerpała i uznała, że przyjedzie zaprowadzać porządki w moim życiu. Trafiła idealnie.

Pociąg wlókł się niemiłosiernie, kołysał i usypiał monotonnym stukotem. Wyjechaliśmy już z miasta, za oknem przesuwały się pola uprawne, pastwiska, gdzieniegdzie upstrzone sylwetkami zwierząt hodowlanych. Matka wpatrywała się zamyślona w krajobraz.

– Ale wiesz, że bez Boga ani od proga? – Uśmiechnęła się. – Będzie dobrze. Wróci.

Długo wytrzymała, w końcu musiała to powiedzieć. Przesiadła się na siedzenie obok i mocno mnie przytuliła.

Do Warszawy wróciłem po dwóch tygodniach w zdecydowanie lepszym stanie. George przez ten czas nie dał znaku życia, mimo że kilkakrotnie próbowałem się z nim skontaktować. Bojąc się zostawić mnie samego, rodzice przyjeżdżali do mnie na zmianę na kilka dni, wbrew moim protestom, by nie traktowali mnie jak dziecka. I tak wróciłem do spokojnej, codziennej, nudnej egzystencji bez wzlotów, upadków i adrenaliny.

Zostałem trenerem… grupki dzieciaków z osiedla. Przychodzą trzy razy w tygodniu na orlika. Albo i nie przychodzą. Ja dostaję jakieś grosze z urzędu dzielnicy, więc przychodzę. Nie ma transferów, obozów treningowych, sponsorów, reklam. Żadnych kontraktów, prowizji, procentów, łapówek. Nic. Pieniędzy nie mam, a dopiero czeka mnie sprawa rozwodowa i alimenty.

Od czasu do czasu spoglądam wstecz, choć bronię się przed tym rękami i nogami. Czy byłem głupi dwanaście lat temu, na igrzyskach, wybijając tę

piłkę? Czy mądrość kazała mi kontaktować się z Niebińskim? Czy mogłem zrobić odwrotnie? Czemu jako głupi gówniarz, żółtodziób wybiłem piłkę, gdy miałem pustą bramkę? Czemu jako doświadczony piłkarz zdecydowałem się na coś, przed czym broniłem się całe życie? W imię sportowej walki do końca? W myśl zasady: zwycięstwo albo nic?

A gdyby mi się udało? Czy też bym tak myślał? Ilu jest piłkarzy oszustów, którym wyszło? Setki? Tysiące? Co czują? Mają wyrzuty sumienia? Nie mogą spać, budzą się zlani potem, że prokuratura zapuka do ich drzwi? Czym się teraz zajmują? Trenują dzieci, dorosłych, są działaczami, prezesami? Jaki to ma wpływ na naszą piłkę? Czy szkoląc młodzież, zarządzając futbolem, czynią go lepszym? Czy przekazują młodemu pokoleniu swój stosunek do dyscypliny, tworząc zastępy podobnych im klonów, nastawionych na szmal bez względu na wszystko? Jeśli tak faktycznie jest, to jeszcze długo nie wyjdziemy z tej piwnicy. Trzeba będzie stworzyć kolejną jednostkę treningową, uczącą, jak nie dać się wydymać koledze z drużyny. Trening czujności: obserwuj, bądź nieufny, kojarz fakty, spodziewaj się, że kumpel cię wydyma. Szuje wychowujące szuje. Czy do nich należę?

Na orlik mam niedaleko, dwie przecznice, zazwyczaj pokonuję je piechotą. Traktuję to jak ćwiczenie rehabilitacyjne, kilka miesięcy po operacji, ale z nogą nie jest najlepiej. Schodząc po schodach, utykam, trzymając się mocno poręczy. Kolano mam sztywne, zablokowane, jak zaklejone plasteliną, niezbyt chce się zginać, ale po kilkuset metrach jest już dużo lepiej. Przechodzę obok stacji metra, z której o tej porze wylewa się kolorowy strumień ludzi. Tuż obok ścieżki dla rowerów władze miejskie zbudowały minisiłownię. Kilka przyrządów do ćwiczeń dobranych tak, by mogły z nich korzystać zarówno dzieci, jak i emeryci, więc przysiadam od czasu do czasu na jednym z nich i próbuję rozruszać sztywne kolano. Trochę mi wstyd, że ja, była gwiazda superligi, wyginam się na jaskrawych pomarańczowo-czerwonych stanowiskach niczym jarmarczny cyrkowiec, ale niedawno przełykałem gorsze upokorzenia, więc nasuwam tylko czapkę z daszkiem na oczy i rozglądając się wokół, kręcę biodrami, zginam kolana.

Mijam park, z którego wiatr nawiewa na chodnik liście szeleszczące mi pod butami. Suche lato spowodowało, że drzewa szybko pozbyły się listowia, jakby było im za gorąco w tym upale i chciały się ochłodzić, zrzucając wierzchnie okrycie. Przyglądam się dzieciom, które bawią się na

kolorowym placu zabaw wyłożonym kauczukiem, brzdącom wspinającym się na wieżę po drabinie z siatki, huśtającym się, skaczącym, pełnym energii. Jeszcze kilka miesięcy temu nie zauważyłbym tego wszystkiego. Zwolnienie kroku zawsze wiąże się z lepszą obserwacją; wolniej idziesz, więcej widzisz. Nic dziwnego, że w dzisiejszej rzeczywistości pełnej pędu i pośpiechu większość ludzi to ślepcy. Sam do nich należałem. Kiedyś przeszedłbym pewnie szybkim krokiem obok, ze wzrokiem wbitym w chodnik, ominąłbym tyle fragmentów czyjegoś życia, a co gorsza – swojego chyba też. To, że teraz wszystko to widzę, jest konsekwencją niedawnych wydarzeń… Przynajmniej chcę w to wierzyć.

Tuż za parkiem leży duży parking, którego rozmiary są proporcjonalne do wielkości górującego nad okolicą kościoła. Potężna kopuła z bocznymi nawami wygląda z daleka jak kapelusz gigantycznego grzyba. Kościół zazwyczaj jest otwarty i pusty, zapełnia się tylko w niedziele. Zajrzałem tam wczoraj po treningu, właśnie skończyła się msza. Jako że był środek tygodnia, w środku siedziało tylko kilka starszych pań; usłyszałem echo własnych kroków i poczułem chłód bijący od murów. Wewnątrz kościół wydawał się jeszcze większy niż z zewnątrz. Dwa rzędy potężnych kolumn oddzielały nawy boczne, na ścianach o surowym wystroju wisiały stacje drogi krzyżowej, a z ołtarza patrzyła na mnie monstrualnej wielkości postać Jezusa, oświetlona ciepłym światłem wpadającym przez witraż.

Na środku kościoła ustawiono dwa rzędy ławek, które oddzielało szerokie przejście. Usiadłem w pierwszej z brzegu. Spojrzałem w górę i aż zakręciło mi się w głowie. Kopułę ledwo było widać, zapalone kinkiety w nawach bocznych jeszcze wzmacniały wrażenie potęgi. Poczułem się jak ziarenko piasku pod ogromnym stemplem, malutkie i czekające na coś, co ma się zdarzyć. Cały sufit pokryty był kwadratowymi kasetonami, pustymi w środku, jakby czekającymi na wypełnienie. Ze środka kopuły zwisał na grubym łańcuchu potężny, zgaszony teraz żyrandol z trzema zmniejszającymi się okręgami żarówek. Nie mogłem oderwać wzroku od sufitu, siedziałem jak zahipnotyzowany, wpatrując się w ledwo widoczny kwadratowy wzór. Było mi po prostu dobrze, przyjemnie tak trwać w bezmyślnym letargu.

W drodze do domu jak zwykle kupiłem „Kurier Sportowy”; kioskarz, Zenek, wielkie chłopisko z jeszcze większym brzuchem, zawsze zostawia mi egzemplarz. Czasem zatrzymuję się, żeby pogadać, jeśli mam jeszcze trochę czasu do treningu.

– Roman, co myślisz o tym nowym trenerze kadry? Trenowałeś u niego? Nie, przecież ty czternaście lat grałeś w Centrum, a jego u nas nie było – sam sobie odpowiadał.

– Dwanaście – sprecyzowałem.

– Będą grali lepiej? – dopytywał.

– Ty mi lepiej powiedz, jak ty włazisz do tej dziupli? Masz opracowany jakiś schemat ruchów?

– A żebyś wiedział, zawsze najpierw wsadzam dupę. Zapamiętaj, to sposób na życie. Jeszcze trochę przytyję i nic oprócz dupy mi się tam nie zmieści. Sadło na półki się wyleje, będę mógł mięsny otworzyć.

W kiosku jest tak mało miejsca, a on jest tak duży, że wydaje się niemożliwością, by Zenek się tam zmieścił, a co dopiero wytrzymał tam tyle godzin. Uśmiecha się i deklaruje, że wtedy zacznie mnie dokarmiać, bo źle wyglądam. Przekomarzamy się chwilę i kuśtykam dalej.

Kilka miesięcy po operacji i ciągłym chodzeniu o kulach zacząłem doceniać każdy samodzielny krok, nawet okupiony bólem. Chłopakom na treningu nie jestem w stanie niczego pokazać, jest na to za wcześnie, może za pół roku, gdy kolano zacznie się lepiej sprawować, będę mógł zademonstrować im ćwiczenia z piłką. Na razie mogę się z nimi podzielić tylko wiedzą teoretyczną.

Cały czas mam wątpliwości, czy po tym, co zrobiłem, powinienem uczyć dwunastoletnich chłopców grać w piłkę. Gdy jednak patrzę na to stado rozkrzyczanych dzieciaków, które gromadą gonią uciekającą im piłkę, gdy widzę te uśmiechy na twarzach, płonące policzki i iskry w oczach, uświadamiam sobie, że w tej chwili reszta rzeczywistości jest nieważna. Jeśli tylko cały oddaję się grze, jeśli nie ma nic innego, jeśli nie wnoszę ze sobą na boisko niczego, co powoduje, że je bezczeszczę, to jest to idealny świat. Bez względu na to, czy wygrywam, czy przegrywam, czy jestem doskonały, czy robię błędy. Teraz to wiem.

Przez większość kariery wszyscy wmawiali mi, że wynik jest najważniejszy. Ale wcale tak nie jest, bo gdy skupiasz się na wyniku, z twojego pola widzenia znika człowiek. Mam nadzieję, że moi podopieczni jak najpóźniej zaczną wnosić do gry swoje brudy, choć nie mam złudzeń, że wcześniej czy później to zrobią. Zaczną myśleć o rzeczach otaczających piłkę, ulegną presji otoczenia – rodziny, kolegów, trenera, dziennikarzy, kibiców. Skupią się na pieniądzach, zmianach klubu, wyjazdach za granicę, miejscu w tabeli. Trudno grać z takim bagażem

wniesionym na plac. To moje zadanie: spróbować sprawić, by grali tylko w piłkę.

Gdy zbliżałem się do boiska, przestało padać. Po południu przychodził Emil i chciałem być w dobrym nastroju. W końcu Maria zgodziła się, żebym spotykał się z synem – dwa razy w tygodniu – i gdy był u mnie, starałem się skoncentrować wyłącznie na nim. Spędzaliśmy razem niewiele czasu, więc chciałem go wykorzystać maksymalnie i sprawić, by mój Emil choć na moment zapomniał o codzienności, którą zaserwowali mu rodzice.

Wyciągnąłem z kieszeni kartkę. Przejrzałem konspekt treningu, choć znałem go na pamięć: szczegółowo rozpisana rozgrzewka, ćwiczenia części głównej, zakończenie. Zabrałem go na wszelki wypadek, gdybym doznał zaćmienia umysłu i potrzebował przypomnienia. Plany treningowe robiłem zawsze w mikrocyklu tygodniowym, musiałem go tylko dostosować do liczby uczestników. W końcu miałem dużo czasu. Wszedłem na brudnozieloną sztuczną trawę, było zachmurzone jesienne popołudnie, zdjąłem bluzę i rzuciłem na ławkę przy drucianej siatce. Z każdym krokiem wzbijały się drobiny granulatu spomiędzy imitacji trawy, rozbrzmiewał chrzęst, jakbym szedł po żwirze. Zapach rozgrzanej gumy drażnił nozdrza.

Kilku chłopaków natychmiast do mnie podbiegło.

– Dzień dobry, trenerze. Co dziś robimy? Gra? Strzelecki? Czy technika? – przekrzykiwali się.

– Marek, worek z piłkami, paliki i koszulki. – Rzuciłem mu klucz od pomieszczenia technicznego.

– Hurra, będzie gra! – rozdarli się uradowani i pędem ruszyli po sprzęt.

Obserwowałem tę pstrokatą grupkę dzieciaków w krótkich spodenkach; każdy ubrany był inaczej, w koszulki różnych klubów, niektórzy nosili zwykłe T-shirty, na nogach przeważnie mieli obuwie na halę – wiedzieli, że będą się ślizgać, ale w ogóle im to nie przeszkadzało. Rozentuzjazmowani przekrzykiwali się, ciągnąc na boisko wielki worek i paliki, rozmawiali o wczorajszym meczu. Energia tak w nich kipiała, że ledwo zdołałem ich usadzić, by omówić trening.

Półokrąg twarzy wpatrzonych we mnie z uwagą, jeszcze skoncentrowanych, ale niecierpliwie czekających na początek zajęć. Przyglądając się im, pojąłem ogrom spoczywającej na mnie odpowiedzialności. We wzroku dzieciaków dostrzegłem taką ufność, wiarę we mnie i zaufanie, że zacząłem się wahać. Czy powinienem tu być? Czy

jestem wzorem do naśladowania, przykładem? Czy umiem wyszkolić ich na piłkarzy? I najważniejsze: czy stać mnie, by zrobić z nich dobrych ludzi?

W końcu stracili cierpliwość.

– To co, trenerze? Piła w górę i gramy? – spytał Janek.

– Ja ci dam „gramy”! – fuknąłem oburzony. – A rozgrzewka?

Odwróciłem się. Przy siatce stał Emil, ubrany był w szary dres i czarne sportowe buty.

– Trzy minuty truchtu – krzyknąłem do chłopaków i machnąłem ręką do syna. – Jesteś wcześniej.

– Zwolnili nas z ostatniej lekcji. Tato, mogę potrenować? – spytał niepewnym głosem.

Spojrzałem na niego zaskoczony. Nigdy dotąd nie przejawiał najmniejszego zainteresowania piłką, nie licząc ekranu komputera.

– Jesteś pewny? Co się stało?

– Nic, chcę się nauczyć grać w piłkę.

– Naprawdę? Świetnie, chodź – zawołałem z udawaną radością.

Nie mogłem mu odmówić i gorączkowo zastanawiałem się, jak go przygotować na trudne pierwsze kroki.

– Synku, nie trenowałeś nigdy, może być ci ciężko. Chłopaki, koledzy mogą się trochę denerwować… Na początku nie będziesz najlepszy.

– Tato. Wiem, że będę najsłabszy i będą się na mnie złościć albo się śmiać. Chodzę codziennie do szkoły! Nie muszę być najlepszy. Chcę po prostu potrenować.

– Ale czemu? Co się zmieniło? – dopytywałem.

– Bo jesteś… – Urwał w połowie zdania i spuścił głowę. – To mogę czy nie?

Zagwizdałem, chłopcy natychmiast przybiegli.

– Panowie, to jest Emil – przedstawiłem chłopcom syna – potrenuje z nami. Jest pierwszy raz, więc proszę o wyrozumiałość. Jasne? – Kiwnęli głowami. – Zaczynamy od berka. Piotrek, gonisz, gdy kogoś złapiesz, trzymacie się za ręce i tworzycie węża, goniąc następnych, każdy kolejny go powiększa.

Piotrek był najszybszym chłopakiem w drużynie, po kilku sekundach od gwizdka rozpoczynającego zabawę złapał mojego syna. Nie było to trudne zadanie: Emil fizycznie był zapuszczony, po kilku krokach zaczął sapać, brakowało mu sił, biegał wolno i był mało zwrotny. Przed monitorem trudno wypracować kondycję. Wzięli się z Piotrem za ręce i usiłowali

złapać kogoś z pozostałych. Nie wyglądało to dobrze, Emil robił za kotwicę, którą Piotrek musiał taszczyć za sobą. Niczym balast zwalniał każdą próbę, Piotrek szarpał nim, próbując chwycić kogokolwiek. Bez skutku. Rozdzielali się, gdy każdy z nich chciał złapać kogoś innego, przeszkadzając sobie wzajemnie. Chłopaki bez trudu wymykały się ich próbom. Widziałem narastającą złość i frustrację Piotrka, spoglądał spode łba na Emila, ale nic nie mówił. Nie przerywałem zabawy, choć widziałem, że jeden i drugi są już mocno wściekli. W końcu Piotrek zatrzymał się zdyszany, odwrócił się do Emila i powiedział:

– Tak to nikogo nie złapiemy. Spróbujmy inaczej: nie łap nikogo, okej? Rób tylko to, co ja, i biegnij tam, gdzie ja. Naśladuj mnie, dobra? Musimy działać wspólnie.

Emil, czerwony na twarzy, pokiwał głową, próbując złapać oddech. Ruszyli. Po chwili udało im się zapędzić w róg boiska Michała; gdy chciał wyminąć Emila, ten klepnął go w ramię. Mój syn wrzasnął z radości, podskoczył kilka razy, wzniósł ręce, jakby został mistrzem świata. Przybili piątkę z Piotrem. Ponownie, tym razem we trójkę, wzięli się za ręce. Emil na końcu. Kolejne próby wyglądały jeszcze gorzej niż we dwójkę na początku zabawy. We trzech przeszkadzali sobie jeszcze bardziej, każdy z nich ciągnął w innym kierunku. Piotrek z Michałem spoglądali na Emila z coraz większą złością. Reszta chłopaków zaczęła się z nich nabijać, co jeszcze bardziej podsycało frustrację goniącej trójki. Jednak Piotrek znowu znalazł rozwiązanie: zamienili kolejność, wzięli Emila między siebie i ciągnęli go z dwóch stron niczym sieć rybacką. Błyskawicznie złapali następnego i już bez najmniejszych problemów wyłapali po kolei resztę piłkarzy. Na twarzy Emila widziałem szeroki uśmiech.

Obserwowałem tę gonitwę, stojąc przy linii bocznej. Niepokoiłem się o syna. Bałem się, że chłopaki wskoczą na niego, zniechęcą go i cała zabawa się skończy. Ale im dłużej im się przyglądałem, tym stawałem się spokojniejszy. W końcu dotarło do mnie, że to ja powinienem się od nich uczyć.

Fakt, przegrałem. Ale może warto przegrywać? Cóż warte jest zwycięstwo bez przeciwwagi w postaci porażki? Może trzeba przegrywać, bo tylko wtedy wyciąga się prawidłowe wnioski? Klęski uczą, zwycięstwa ogłupiają radością, oślepiają wynikiem. Po wygranej łatwo wpaść w samozachwyt, zachłysnąć się euforią i z błędu uczynić zaletę. Grałem

źle, ale wygrałem, więc warto grać źle, bo to przynosi wymierny efekt? Czy ten kretyński sposób myślenia to nie codzienność piłkarzy i trenerów?

Przypomniała mi się odprawa przed meczem w pucharach europejskich z AS Monaco, trener omawiał hipotetyczną sytuację boiskową – jak mamy się zachować, gdy pierwsi zdobędziemy bramkę i obejmiemy prowadzenie. Na co Piesek odezwał się z ostatniego rzędu:

– T… t… trenerze, a m… może lepiej ich nie… nie w… wkurwiać?

Następnego dnia padało. Gdy wszedłem do ciemnej klatki schodowej, woda ściekała mi z włosów na twarz. Zdjąłem kurtkę, strzepnąłem ją i zacząłem wolno wspinać się na drugie piętro. Żarówka była spalona, na szczęście przez małe okna wpadało jeszcze dość światła, bym widział schody i odrapane ściany. Na półpiętrze zawahałem się, spojrzałem w okno, deszcz miarowo bębnił w parapet. Dzwonek także nie działał, więc zapukałem mocno w sfatygowane drewniane drzwi. Po kilku sekundach usłyszałem szuranie i za chwilę rytmiczny powolny stukot. Drzwi uchyliły się z piskiem, w środku panował półmrok, dostrzegłem biel włosów stojącej wewnątrz postaci.

– Mogę? – spytałem.

Marek Karczew, wsparty na chodziku, popatrzył na mnie zaskoczony.

– Wejdź… proszę. – Otworzył szerzej drzwi. Mówił powoli, z wyraźnym wysiłkiem artykułował każdą sylabę. Odwrócił się i podparty na metalowym rusztowaniu na dwóch kółkach i dwóch nogach, z rękami na hamulcu, szurając kapciami, skierował się w głąb korytarza. Ruszyłem za nim. W środku było jeszcze ciemniej niż na klatce schodowej. Z krótkiego przedpokoju weszliśmy do większego pomieszczenia, gdzie centralne miejsce zajmowała szara skórzana wersalka przykryta materiałową narzutą w pasy. Obok niej stały niski stolik i fotel, dosunięte do ściany, by zostawić trochę wolnego miejsca. Naprzeciwko migał duży telewizor. Mieszkanko kończył aneks kuchenny i drzwi do łazienki. W środku było czysto, na stoliku stały kwiaty, widać ktoś zajmował się utrzymywaniem porządku.

Karczew zatrzymał się przed wersalką, zamarł, noga zaczęła mu drżeć. Pochylił się, chciał zrobić krok i gdy wydawało mi się, że upadnie, noga wystrzeliła do przodu. Ciężko, z westchnieniem usiadł na wersalce. Podniósł na mnie wzrok, w którym dostrzegłem wstyd zmieszany ze smutkiem. Wskazał ręką fotel.

Usiadłem, miętosząc nerwowo kołnierz kurtki.

– Gratuluję mistrzostwa. – Potrzebowałem chwili, by zrozumieć, co mówi, bo mocno zniekształcał słowa.

– Dziękuję. Przepraszam za najście, w klubie powiedzieli mi, gdzie trenera szukać…

W szatni MKS Promyk zastałem obcego młodego człowieka w dresie, od którego dowiedziałem się, że Karczew zaczął mieć problemy z poruszaniem się i zrezygnował z prowadzenia drużyny. Pan Mirek streścił mi całą sytuację i podał adres, pod którym znalazłem trenera.

Karczew schudł jeszcze bardziej, bruzdy na twarzy mu się pogłębiły, kąciki ust opadły. Drżącą dłonią przytrzymywał na brzuchu drugą rękę i patrzył na mnie wyczekująco.

– Przyszedłem sprawdzić, co u pana. Jeśli potrzebna pomoc, to ja chętnie. To był ostatni mój sezon, skończyłem grać… – mówiłem nieskładnie. – U pana zaczynałem… Grałem, jak umiałem, i jakoś tak… Sam nie wiem… Chciałem pogadać… Myśli pan, że to, co robiliśmy, było cokolwiek warte? Że ktoś tego potrzebował? – Przetarłem mokrą twarz i włosy. – Wiem, że jestem dziwakiem i że w meczu z Włochami złamałem panu karierę, ale… ja wiem, że mnie pan rozumie, że wie pan, czemu to zrobiłem. Prawda? Niech pan powie, że tak, proszę.

Spojrzałem błagalnie na siedzącą obok postać siwego staruszka. Wysuszone, chude ciało i obwisła skóra twarzy, z której patrzyły inteligentne, błyszczące oczy. Kiwnął głową, uśmiechnął się i wzruszył ramionami, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

– Nie skończyłeś mojej kariery. Nie masz takiej mocy. Moją karierę skończył parkinson. – Mówił bardzo wolno, wymawiając słowa jak dziecko, robił długie pauzy dla złapania oddechu i chwili odpoczynku. – Ty jednym kopnięciem w aut pozbawiłeś wszystkich nas dożywotniej renty. W imię czego? Wzniosłej idei, szlachetnej wizji?

Mina mi zrzedła, Karczew pochylił się w moim kierunku.

– Pozbawiłeś całą ekipę pieniędzy, by dochować wierności zasadzie, by dochować wierności sobie. Tak? – Nie czekał na odpowiedź. – Dlaczego tu przyszedłeś? Czy nie dlatego, że sam masz wątpliwości co do tamtej decyzji? Gdybyś wtedy zdobył bramkę, mielibyśmy medal i rentę. Czy byłbyś kimś innym? Inaczej byś żył, podejmował inne decyzje? Dużo niewiadomych, prawda?

Ręce na jego brzuchu cały czas lekko się trzęsły.

– Pieniądz czy zasada? Racjonalizm kontra idealizm. Uczciwość *versus* korzyść. Co jest ważniejsze? Pieniądze ze złamania zasady? Czy reguła, zgodnie z którą postępujesz w dalszym życiu? Kim byś był, gdybyś miał tę rentę i żył bez zasad albo zmieniał zasady w zależności od potrzeb? Co o tym sądzisz dzisiaj, po wielu latach? Co ci powiedział choćby ostatni sezon? Szmal czy drogowskaz? Dla wielu wybór będzie prosty. – Zakaszlał, drżącą ręką wytarł ślinę z kącika ust. – Wybór pieniędzy to przecież też wybór reguł, którymi kieruje się większość piłkarzy. Zysk bez względu na wszystko to też zasada. Gorsza? Lepsza? Z etycznego punktu widzenia ocena jest prosta, z ekonomicznego także, tyle że w przeciwną stronę. Dziś świat nie ma dylematów etycznych, ma dylematy ekonomiczne, które podszywają się pod te pierwsze. One są siłą napędową wszystkiego. One zniewoliły moralność, etykę i ich wyznawców. Rachunek ekonomiczny stał się siłą sprawczą, kamufluje się go wzniosłymi hasłami, wiernością barwom klubowym, partii, organizacji, ojczyźnie. Nawet na stadionie są chętni do zawłaszczenia historii! Sztandary łopocą na wietrze, prowadząc armie fanatyków. Manipulacja ślepym idealistą jest prosta, armią ślepców kierować jeszcze łatwiej, bo w grupie wzajemnie wzmacniają swoją ułomność. Wystarczy rzucić kamieniem w odpowiednim kierunku.

Z trudnością przełknął ślinę. Ja milczałem.

– Nie oczekuj zrozumienia od innych, nie jest ci to do niczego potrzebne. Aprobata też nic nie zmieni. Nieświadomy swojej ślepoty ślepiec również powie ci, co widzi. Nie dostaniesz recepty, rozgrzeszenia, bo to zrzucanie odpowiedzialności i szukanie alibi. Potrzeba posiadania wzorca jest szkodliwa, żerują na niej ci od rachunków. – Wciągnął łapczywie powietrze. – Tylko ty. Musisz być sam ze swoim wyborem i wcale nie jest ważne, żebyś go rozumiał. – Ponownie wzruszył ramionami. – Pytanie nie brzmi: czy rozumiesz siebie z tamtego dnia? Każdy siebie rozumie, usprawiedliwi swoje postępowanie, nawet morderca. Pytanie brzmi: czy chcesz taki być? Tworzysz samego siebie za sprawą podejmowanych wyborów i decyzji, sam decydujesz, kim jesteś. Chcesz jakiś być i to robisz. To wybór, nie los czy przeznaczenie: chcesz kochać, to kochasz, chcesz nienawidzić, to nienawidzisz, chcesz być złodziejem, to kradniesz. Każdy z nas wybiera. Pytanie tylko, czy robi się to świadomie. I wcale nie mam na myśli kontroli nad swoim życiem, o nie. Jedyne, co kontrolujesz, to swój wybór, choć często wydaje się, że go nie ma.

Opadł wyczerpany na oparcie i przymknął oczy. Wyglądał jak zasuszona mumia, postać z innego świata i innego czasu.

– Jak się obronić…?

– Znowu szukasz recepty – przerwał mi, nie otwierając oczu. – Nie ma gotowców, schematów taktycznych… tabletki na już. Dbaj o wzrok, walcz o wzrok, broń się przed ślepotą, przed obrazkami, które podsuwają ci przed oczy.

Mówił inaczej, niż gdy widzieliśmy się poprzednio w szatni. Wtedy był zależny ode mnie, chciał czegoś, był podporządkowany swoim oczekiwaniom. Sam się ustawił w roli petenta. Teraz słuchałem kogoś, komu na niczym nie zależy, kto po prostu mówi, co myśli.

Patrzyłem na niego w napięciu, w gotowości, jakby tu także miał liczyć się refleks.

– Chcesz czuć i myśleć jak ten chłopak, który kopnął piłkę za linię?

Nie otwierał oczu, siedzieliśmy w milczeniu długi czas, myślałem, że usnął. Bardzo powoli wstałem.

– Do widzenia, trenerze.

Podszedłem do niego, pochyliłem się. Nie otworzył oczu, nawet gdy dotknąłem jego ręki.

W korytarzu minąłem się z młodą kobietą z dwoma wypełnionymi torbami w rękach. Przepuściła mnie w drzwiach i powiedziała:

– O, cieszę się, nikt go nie odwiedza, niech pan zagląda częściej, proszę.

Na klatce założyłem kurtkę, postawiłem kołnierz i wyszedłem w szary, mokry świat. Wilgotne ulice odbijały światło latarni, na chodniku tańczyły refleksy. Mżawka osiadła mi na twarzy mokrą mgiełką jak oczyszczający kompres, który goi rany. Spojrzałem w niebo. Zrobiłem przysiad, by rozruszać kolano. Wstałem z grymasem bólu.

Tydzień później w moim mieszkaniu zadzwonił dzwonek. Był późny jesienny wieczór. Deszcz uderzał miarowo w parapet. Dźwięk wyrwał mnie z drzemki, w którą wprawili mnie piłkarze Birmingham City i Fulham. Głowa kiwała mi się od prawej do lewej, gdy wodziłem wzrokiem za latającą z połówki na połówkę piłką, która dłużej przebywała w powietrzu niż na murawie. Ocknąłem się – wynik był w dalszym ciągu bezbramkowy – poczłapałem do przedpokoju, usiłując rozruszać zastane kolano.

Za drzwiami stał George i błyskał białymi zębami w szerokim uśmiechu. Cały był ubrany na czarno: dżinsy, przemoczona skórzana kurtka z postawionym kołnierzem i czapka. Jedynym jasnym elementem, nie licząc zębów, była biała reklamówka, którą trzymał w ręku.

– Dobry wieczór. Mogę?

Byłem tak zaskoczony, że odsunąłem się, robiąc mu miejsce. Wszedł od razu do pokoju, rozejrzał się i klapnął na wersalce. Kurtkę rzucił obok, ale reklamówki nie wypuścił z ręki. Popatrzył w telewizor.

– Zero do zera, przecież oni nie umią grać, tylko kopią. Nie masz oglądać czego?

– Po co przyszedłeś? – warknąłem. – Wiem o dziewczynie, więc nie wymyślaj.

Stałem nad nim z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– Wie? Skąd? – Był szczerze zdziwiony.

– Widziałem naszyjnik w lombardzie.

– No tak. Po co ty do…? – Przerwał. – Widzę, że w dobry moment ja wrócił.

Położył reklamówkę na stoliku.

– Proszę, to twoje. Mam nadzieję, że rozumie, ja nie mógł do szpitala. Wyjechał. Musiał się schować, nie wiedział, jak zareaguje Maciek. Bał się, że ktoś coś widział. Dużo przypadku.

Usiadłem na fotelu i przysunąłem reklamówkę do siebie. Torba wypełniona była plikami banknotów powiązanymi papierowymi banderolami. Spojrzałem na George’a.

– Podzieliłem na pół, pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

Podniósł wzrok, oczekując jakiejś reakcji z mojej strony, a ja tymczasem gapiłem się jak zahipnotyzowany na torbę pełną szmalu.

– Nie jest tego, ile dawał Niebiński nam, gówniarzowi mniej obiecał, ale to i tak niezła suma. Szukał kto mnie?

Pokręciłem głową. George sięgnął po kurtkę.

– Dziwne, że Winer został, liczyłem, że zwieje za granicę.

– Nikt nie kupuje kota w worku. Prasa może sobie wymyślać newsy. On ma osiemnaście lat, tyle ile ja, gdy… – Urwałem. – Kiedyś to było nie do pomyślenia. Młody, nieopierzony, zaczynający grę w wielkiej drużynie, debiut w meczu o mistrzostwo…

– Przyszłość jego jasna jest. – George się zaśmiał. – Słyszałem, że ty pan trener jest teraz? Jak trzeba, służę pomocą. Procent od transferów,

organizacja obozów, sprzęt, wszyscy będą chcieli płacić. Teraz to dopiero otwarte możliwości.

– Przestań!

George pokręcił głową i przewrócił oczami.

– Ta strona jasna mocy tak na stałe? Nuda. – Popatrzył na kałużę wody, która spłynęła z kurtki na podłogę. – Da szmatę, wytrzemy.

Krople jedna po drugiej skapywały z ubrania do kałuży, tworząc rozchodzące się mikrofale. Chwilę im się przyglądałem.

– Dlaczego przyniosłeś te pieniądze? – spytałem.

– Jak to dlaczego? – Spojrzał na mnie zaskoczony. – My wspólnicy.

– Nie jesteśmy wspólnikami. To szmal z oszustwa Winera, który ukradłeś jego dziewczynie. Gdzie tu mój udział?

Gapił się na mnie, nic nie rozumiejąc.

– Przyniósł ci torbę szmalu, a ty narzeka? Darowanemu koniu… czy jak to szło.

Milczałem, nie miałem zamiaru kończyć za niego zdania ani mu czegokolwiek ułatwiać.

– Gdybym zabrał jej walizkę wtedy w knajpie… – zacząłem wolno. – Jak myślisz, co bym zrobił?

– Podzielił się ze mną, to oczywiste.

– Jesteś pewny? A gdybym powiedział, że na przykład miałem zamiar oddać pieniądze policji i spróbować podkablować Maćka, a co ważniejsze: Niebińskiego? Co miałbym do stracenia?

George patrzył na mnie z coraz większym niedowierzaniem.

– Ciebie mocniej piznęli w łeb niż w kolano, i dobrze. Kto by ci uwierzył? Bramkarz bohater, na Nieba masz słowa tylko. Kurwa, tyle szmalu by oddał glinom?

Popukał się w głowę, wstał i założył kurtkę.

– Nie chcę tych pieniędzy – stwierdziłem.

George zastygł ze zmarszczonymi brwiami, nie spodziewał się takiego rozwoju wypadków. Zastanawiał się, co zrobić, widziałem w jego postawie wahanie. Zabrać reklamówkę czy nie?

– Nie to nie, się nie zmarnują. – Chwycił zdenerwowany torbę, zrobił krok w stronę drzwi i się zatrzymał. – Gdzie Maria?

Pokręciłem głową.

– Nie ma.

Powiódł wzrokiem po mieszkaniu, jakby szukając potwierdzenia tej informacji w wystroju wnętrza.

– Przez moment nawet myślałem, że z tobą odeszła – stwierdziłem.

Spuścił głowę, westchnął.

– One się tylko pieprzą ze mną, nic więcej. – Położył torbę na podłodze przy drzwiach. Chwycił klamkę i nie patrząc na mnie, rzekł: – Zrobi ze szmalem, co zechce. Ja uciekam z Warszawy. Pamięta o Staszku? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, wyszedł.

Nawet nie drgnąłem. Siedziałem w fotelu, wpatrując się w torbę wypełnioną pieniędzmi. Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że znowu coś zadziało się za moimi plecami, instynktownie czułem, że coś przeoczyłem, że umknął mi jakiś szczegół, coś istotnego, coś, co pozwoliłoby mi spojrzeć na całą sytuację z innej perspektywy. Dlaczego tak naprawdę wrócił George?

W tle słyszałem podniecony głos komentatora telewizyjnego, widocznie piłka wreszcie spadła na murawę.

Deszcz za oknem zamienił się w grad i stukał w szybę oraz parapet z coraz większym impetem, podmuchy wiatru ciskały w okna drobnym żwirem. Świat próbował mnie ukamieniować.

Pod drzwiami w dalszym ciągu leżała reklamówka wypełniona pieniędzmi.

Warszawa, lipiec 2018

Z wyrazami podziękowania Iwonie, Anecie i przyjaciołom, którzy cierpliwie znosili moje ciągłe analizowanie opowieści

Szmata

Copyright © by Tomasz Łapiński 2019
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2019

Redakcja – Grzegorz Krzymianowski
Korekta – Joanna Mika, Piotr Królak
Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc
Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl
Fotografia na okładce – Tom Chance / Getty Images
Rysunki wewnątrz książki – Agnieszka Jednaka

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2019
ISBN EPUB: 978-83-8129-409-6
ISBN MOBI: 978-83-8129-408-9

wsqn.pl
WydawnictwoSQN
wydawnictwosqn
SQNPublishing
WydawnictwoSQN
E-booki
Zrównoważona gospodarka leśna
Eheu, fugaces labuntur anni

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Prolog
Część pierwsza
Część druga
Część trzecia
Strona redakcyjna

SPOWIEDŹ ŻYCIA NAJBARDZIEJ BARWNEJ POSTACI POLSKIEJ PIŁKI!

Dla milionów Polaków Janusz Wójcik to wciąż najpiękniejsze piłkarskie wspomnienia, ostatnie wielkie polskie sukcesy, unikalne metody motywacji, kąśliwy język i niezrównane poczucie humoru. A także fascynujące życie na krawędzi, pełne szalonych przygód, politycznych intryg, pięknych kobiet, najszybszych samochodów i najlepszych alkoholi.

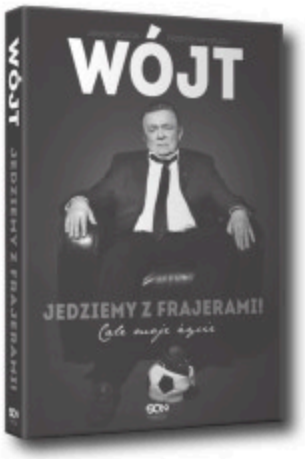

CZYTAJĄC TĘ KSIĄŻKĘ, WIELE RAZY POPŁACZESZ SIĘ ZE ŚMIECHU

Szukaj w dobrych księgarniach

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl

WYRUSZ W FASCYNUJĄCĄ PODRÓŻ PRZEZ ŻYCIE TRENERSKIEJ LEGENDY!

W środowisku budzi szacunek. Stacje telewizyjne ustawiają się w kolejce po trzy zdania komentarza do każdej wiadomości ze świata futbolu. Jego głos eksperta zna prawie każdy telewidz. Rzadko mówiono o nim w towarzystwie per Andrzej. Raczej Strejlau. Z dodatkiem – ON. Dziwne nazwisko dziwnego faceta… Teraz, po trzech ćwiartkach wieku spędzonych przy piłce, przyszedł czas rozliczenia.

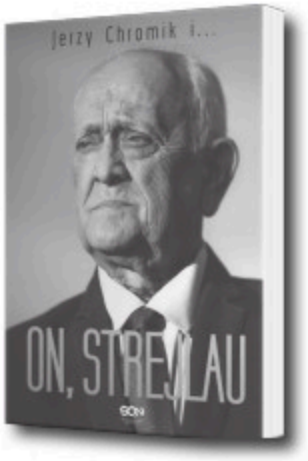

TO CZYTA SIĘ TAK, JAKBY SIĘ SŁUCHAŁO KOLEJNEGO KOMENTOWANEGO PRZEZ NIEGO MECZU!

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl

NAJWIĘKSZA INTERNETOWA
KSIĘGARNIA
SPORTOWA

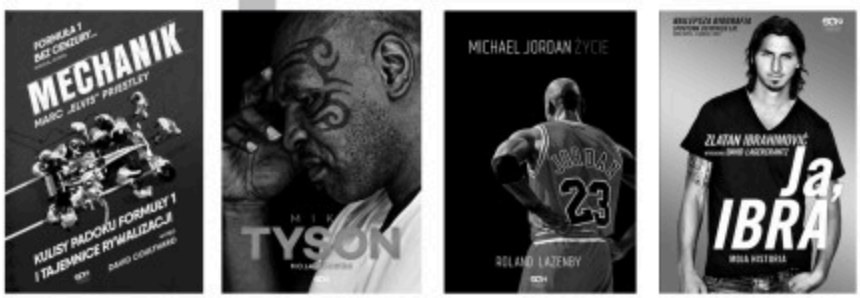

KUPUJ I OSZCZĘDZAJ Z PROGRAMEM
LOJALNOŚCIOWYM LABOTIGA TEAM

labotiga.pl

KSIĘGARNIĘ POLECA **WYDAWNICTWO SQN**

SQN
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON